PAWEŁ HERTZ

PIEŚNI Z RYNKU

WITOLD ZALEWSKI

ZIEMIA BEZ NIEBA

STANISŁAW PIĘTAK

NOWE WIERSZE

FRANZ KAFKA

KOLONIA KARNA

CHARLES BAUDELAIRE

POEMATY PROZĄ

JEAN-PAUL SARTRE

ROZWAŻANIA O KWESTII ŻYDOWSKIEJ (2)

TWÓRCZOŚĆ 10

TWÓRCZOŚĆ

PAŹDZIERNIK 1956

10

Wśród książek

ŻYWIOŁ WYOBRAŹNI — *Stefan Lichański*

Str. 137

PORA DOJRZEWANIA — *Stefan Lichański*

Str. 139

NAD OKRUCHAMI LIRYCZNEJ WAZY — *Zbigniew Pędziński*

Str. 141

Na widnokręgu

Z PRASY — *Andrzej Kijowski*

Str. 145

TRZY DNI ERMITAŻU — *Zbigniew Bieńkowski*

Str. 146

FEDERICO GARCIA LORCA — W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ ZAMORDOWANIA — *Wojciech Natanson*

Str. 150

LITERATURA POLITYCZNA W AMERYCE — *Julian Stawiński*

Str. 153

Noty

Str. 157

Książki nadesłane

Str. 165

REDAKTOR NACZELNY:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
nformacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela raz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5250/c z dnia 11.9.1956 r.
Nakład 6400 egz. Druk ukończono w październiku 1956 r. B-23

Paweł Hertz

PIEŚNI Z RYNKU

*
* *

Usnąć. Usnąć. Usnąć. Usnąć
W noc bez celu i rachuby.
I z gliniastą ziemią tłustą
Niezniszczalne zawrzeć śluby.

A nad ranem obudzony,
Ciężki sen spędzając z powiek,
Przez krzyk orła, charkot wrony,
Słuchać, jak się krząta człowiek.

Śmierć dla próby. Sen dla próby.
Dzień nadchodzi. Mara pryska.
Jeszcze skrzypi powróz gruby.
I połyska pętla śliska.

*
* *

W tym domu może dwóch nas było,
A może więcej. Ja nie powiem,
Ilu nas śniło i marzyło,
A świat dotykał naszych powiek.
W tym domu może dwóch nas było.

W tym domu może dwóch nas było,
Inni gonili grosz i sławę.
Stracili ludzką cześć i miłość.
Stracili własne serca prawe.
W tym domu może dwóch nas było.

W tym domu może dwóch nas było.
A może więcej. Niech nas sądzą,
Ilu nas śniło i marzyło.
Obłudnik mówił: „Oni błądzą".
W tym domu może dwóch nas było.

W tym domu może dwóch nas było.
I pozostanie jak świadectwo
Troska i gorycz, ból i miłość,
Która ocala strof kalectwo
W świecie, gdzie może dwóch nas było.

*
* *

To jest siostra nienawiści,
Żona strachu, matka łez.
Dla niej wszyscy są nieczyści,
Z nią wyroki pisze bies.

Ona rankiem mnie nawiedza
I do nocy tkwi u drzwi.
Kuma-groza, kuma-nędza
Chciwie liczy nasze dni.

Strąconemu na dno piekła
Jeszcze grozi, w oczy plwa,
Kuma-groza, suka wściekła,
Sama czysta niby łza.

*
* *

Gdy milknie głucha trąba sławy,
Jazgot celników, głupstwa głos
I wszystkie nasze dzienne sprawy
Do czarnej nocy wrzuca los,

Ze śmierci, z kłamstwa obudzony,
Jak bratu w oczy patrzy brat,
Spoglądam w kraj mój ulubiony
I w trudny czas, i w trudny świat.

Mimo celników formalności
Za prawdę nie zapłacę cła.
Z przemytem krzywdy i miłości
Przekraczam znów granice dnia.

*
* *

Milczenie bywa czasem złotem
Wciśniętym w usta skazańcowi,
Lecz z lichwą to obliczą potem
Oniemiałemu narodowi.

Oślepłe oczy, głuche uszy,
Ręce wzniesione do oklasku,
Lokaj się przed lokajem puszy
I głupiec kręci bicze z piasku.

Fałszywy sędzia wyrok pisze,
Prawdziwa kula mur zadraśnie.
Milczący powie: nic nie słyszę,
A głuchy jeszcze smaczniej zaśnie.

*
* *

Niepogrzebany trup tu leży.
Dokoła ziemia spopielona.
Bez łez, bez słów i bez pacierzy
Czuwa nad trupem Antygona.

To dla nas i na przyszłe wieki,
Aby się prawu stało zadość,
Bezsenne świecą jej powieki
Na słabych i bezbronnych radość.

I jaka wszelkiej siły płonność,
A strachu nicość i daremność,
Kiedy kamienna ta bezbronność
Jak gwiazda spada w naszą ciemność.

Paweł Hertz

Witold Zalewski

ZIEMIA BEZ NIEBA

(FRAGMENT POWIEŚCI)

W drugiej połowie grudnia rozeszła się po wsiach nowa wieść — o Mundku Kocie i o jego koleżce. Młynarz z Firleja, wracając wieczorem do domu przez młody zagajnik, został napadnięty, pobity i rozebrany do bielizny przez dwóch zamaskowanych mężczyzn. Chociaż Flisak, ów młynarz, w zeznaniach na posterunku a także w rozmowach prywatnych nie rzucał na nikogo cienia podejrzeń, przeciwnie — głośno zastrzegał się, że nie rozpoznał bandytów — zaczęła krążyć uparta gadka o powrocie Kota w rodzinne strony. W tydzień później ktoś strzelał z lasu do samochodu, którym Dykow jechał na inspekcję powiatu. Zamach nie udał się; nie udał się również pościg, mimo że Dykow z towarzyszami runął od razu w gąszcz jak raniony odyniec. Zebrani na rynku firlejskim chłopi oglądali maskę łazika przestrzeloną kilkakrotnie nad kołem i znów imię Mundka zaczęło powracać w rozmowach. Potem stary pijak i trochę „trącony" grabarz z Leszkowic opowiadał, zaklinając się na wszystkich świętych, że w bialutką noc księżycową widział Mundka jak „żywego", sunącego główną aleją cmentarza. „Tylko — dodawał — duchem to on nie był, chociaż chwała Trójcy Przenajświętszej, że nie dojrzał mojej osoby." Milicjanci zaczęli znów coraz wpadać do Kocichy; urządzali zasadzki na drogach i w knajpach; bez żadnego jednak rezultatu. Tymczasem na wygonie leszkowickim znaleziono trupa mężczyzny z rozbitą czaszką, ubranego w wyszarzałą kurtkę mundurową z oberwanym kołnierzem. Człowieka tego zabito przed kilkoma zaledwie godzinami; krew nie skrzepła jeszcze wokół rany — nikt go nie rozpoznawał i dla wszystkich było zupełnie jasne, z czyjej ręki stracił swoje młode życie. Teraz jednak przypomniano sobie również „Szatana". Jakby wróciły dni sprzed roku; nocą ciemność czaiła się za oknami, czasem echo wystrzału obiło się o szyby, szarpnęło serca; pobladłe kobiety zaczynały nadsłuchiwać, mężczyźni czujnie rozglądali się po czarnym niebie. Największy niepokój trawił Leszkowice. Baniak i dwóch jego szwagrów, którzy również wpisali się do PPR, nie sypiali teraz w czworaku; jak za okupacji, wieczorami znikali z domu i przepadali gdzieś w coraz to innych kryjówkach.

Ale nie tylko w Leszkowicach; na terenie całej gminy odżyły opowieści o „Szatanie". Dni były szare, wietrzne, bezlitośnie krótkie. Noc doganiała noc. Ledwie kobiety zdążyły się uwinąć z obrządkiem, mężczyzni narżnęli sieczki, narąbali drew, a dzieci wróciły ze szkoły, już zapadał ołowiany mrok; zamykano okiennice, naftówki zaczynały filować na okapach. Ciemność, nadciąga-

jąc zwykle z jękiem wichury, dławiła resztki światła; wiatr tłukł się po gontach, czochrał o strzechy, przytupywał na strychach. Takie noce zawsze zaludniają się widmami. Kobiety zebrane przy pierzu albo przy lnie, mężczyźni ciągnący samogon, grający w oko albo w durnia licytowali się snując historie o duchach i o bandyckich wyczynach. W Przyborówce nastał karnawał dziadka Maziora. Gdzie się nie pokazał, tam zaraz zasiadano do gry; Mazior nie tylko najwalniej rozbijał banki, ale i w rajcowaniu nie dawał się byle komu przewyższyć.

„Po mojemu — mawiał — to powinny karty ważyć o życiu, tak samo o społeczeństwie. Niechby się, na ten przykład, zmówili ludzie — więcej żadnych bójek nie będzie. Coś do siebie mają — to ten naród stawi jednego, ten jednego — dwóch najpierwszych graczy i — o bank; a któren sprytniejszy, tego racja. Przykładowo — jakbym ja się z takim „Szatanem“ zmierzył, już by więcej ludzi nie targał; zaraz bym mu głowę na fant ściągnął...“

Tutaj także odczuwano obecność Kota w okolicy. ORMO wzmocniło posterunki i nauczyciel Płaszczuk często przed zaśnięciem, leżąc przytłoczony ciemnością, słyszał śpiew swoich zetwuemowców: „My zetwuem, my zetwuem, reakcji nie boimy się...” Poznawał rozjuszone wódką głosy: Sowy, Wieśka Guranowskiego, Bystrzyckiego... Nikt się nie odważał w porze zmierzchu odbijać od wsi; wyjeżdżając do młynów, na targ, do magazynu spółdzielni łączono się po kilku, wyruszano o świcie, a wracano, ostro poganiając konia, jeszcze za dnia. Do lasu po drzewo w ogóle chwilowo zaniechano wypraw. Było w Przyborówce paru zamiłowanych myśliwych, między którymi królował trafiający z kuli każdą sztukę, jak mawiano — złota rączka do zajączka — Antek Praczyk. W tym roku niewiele zajęcy hulało po polach; twarda, długa zima wymroziła młode w bruzdach; pokazały się za to lisy. Antkowi udało się upolować jednego; położył rudzielca celnym strzałem z pepeszki z odległości mierzonej — sześćdziesięciu kroków, czym zadziwił nawet „Zaburcę“ — własnego teścia. Koło firlejskiej choiny trafiono na ślady dzików; stratowana ozimina, zryte poszycie w zagajniku... Antek zapuścił się po tym tropie w głąb lasu; wrócił wkrótce nie oddawszy strzału, ale przejęty czymś i podniecony. Powałkę, który go spotkał na polu i zaczął wypytywać o stado, zbył byle jaką odpowiedzią. Do wieczora chodził zamyślony, nie popił nawet tego dnia, przed spaniem starannie przeczyścił zamek i lufę pepeszki. Nazajutrz wstał o świcie. Sabina już szurała w sieni drewniakami, ale Józio jeszcze pochrapywał wystawiwszy spod derek tylko sam czubek nastroszonej czupryny. Antek wypił trochę ciepłego, wdział unrowski szynelik, jeszcze raz spojrzał pod światło w lufę automatu, przerzucił go przez ramię. Z półki zdjął sznur konopny, zwinął motek i wsunął do kieszeni. Sabina, która wróciła do izby, bez słowa przyglądała się tym zabiegom. Wrzucił do torby ćwierć bochenka chleba, a potem wyciągnął spod pryczy okutą skrzynkę i zaczął rozgarniać palcami granaty rozmaitego kalibru, leżące na dnie. Odsunął niemieckie, trzonkowe, czyniące jedynie dużo huku, zdatne w sam raz do głuszenia karpi w stawie, po chwili namysłu zrezygnował również z rosyjskich przeciwpancernych „fiłatowów“, ciężki zapłon mógł utrudnić ich błyskawiczne użycie. Wyjął więc trzy polskie, żelazne jaja w grubych, karbowanych czerepach. Położył na łóżku.

— Dokąd idziesz?

Zatrzasnął kuferek, szczęknął zameczkiem kłódki.

— Dokąd idziesz, Antoś? — głos Sabiny poderwał się spłoszony.

— Na dziki.

— Z granatami? Antoś...

Dwie stalowe bulwy wsunął do chlebaka, obok pajdy razowca, a jedną, rozchyliwszy poły płaszcza i kurtki mundurowej, przytroczył szczypką do rzemienia na brzuchu.

— A jak myślisz? — mruknął. — Granaty nie twoja rzecz. Zostaw...

Na dworze było już jasno. Bury grudzień po nocy błysnął białymi kłami; ziemia posiwiała, szron posrebrzył strzechy, sopelki lodu zawisły u okapów, woda ścięła się i szkliście zalśniła w dołkach. Przez budzącą się ze snu wioskę przelatywały pierwsze odgłosy życia; koguty darły się po zagrodach, u Bystrzyckich skrzypiał zeschnięty żuraw, głucho stuknęło o cembrowinę studni puste wiadro.

Antek szedł szybko, uniósłszy lekko ramię, z którego zwisała pepeszka, opuściwszy głowę, żeby w razie natknięcia się na kogoś znajomego wyminąć go bez słowa. Co chwila rzucał krótkie spojrzenia na drogę i widząc ją pustą przed sobą, uspokajał się za każdym razem. Bardzo nie na rękę byłoby mu teraz spotkanie własnych ormowców. O tej porze powinni już siedzieć w chałupach, ale zdarzało się często, że przebalowawszy u dziewczyn parę nocnych godzin, jeszcze po wschodzie słońca urządzali obchód.

Dotarł wreszcie do krzyża, nie widziany, jak mu się wydawało, przez nikogo, skręcił na Trąbkową miedzę i zaczął się oddalać od wsi. Mroźny wiaterek szczypał w uszy, po grudzie biło nierówne tętno przyśpieszonych kroków, szare niebo i brunatne pola zaróżowiły się od wschodu, czerwony blask ślizgał się po rudej korze sosen. Na oszronionym wrzosowisku przed choiniakami znów rzuciły mu się w oczy splątane odciski racic, kępy świeżo zrytego mchu czerniały pod jałowcami. Antek zapuszczał się w las, tą samą ścieżką, przy której poprzedniego dnia odkrył ślady dzików. Żerowały więc dzisiaj na niezmienionym szlaku; był to dobry znak. Skoro nawet zwierz nie poczuł wczoraj jego obecności... W lesie pobłyskiwały rudo pnie sosen; dołem jeszcze mrok nocny leżał wokół świerków i krył się w gąszczach jałowcowych, ale z góry poprzez szumiące lekko gałęzie szerokie smugi zaróżowionego światła rozjaśniały wnętrze boru. Las pełen był aromatu, spod którego chwilami tylko dźwigał się ciężki zapach mchu i grzybni. Nad konarami sosen zawisło tępe kraknięcie i zaraz ze wszystkich stron rozdarły się, załopotały w zielonych wiechach wygłodniałe kruki.

O takiej porannej porze najczęściej wracało się do lasu z nocnych akcji. Blask wschodzącego słońca palił pod powiekami, nogi ciążyły po długim marszu, ale za to spokojne, uradowane było serce człowieka. Chrust trzaska pod butami partyzantów, ktoś gwiżdże przed nimi; to warta koło obozu wita wracający oddział. Stoją na polanie i wytrzeszczają ślepia na niego — na sierżanta „Cukiera", niosącego przewieszone przez pierś dwa własną dłonią zdobyte na banszucach szmajsery. Potem dym z ogniska; pachnie tłustą, gorącą strawą; odpoczywa się pod wysoką sosną; jeden za drugim podchodzą niesyci wciąż i żądający nowych szczegółów o nocnym wypadzie. Innym razem, o takim właśnie szarym świcie, biegnie się do lasu ostatkiem sił, z głową wciśniętą w ramiona, przygięty nisko do ziemi, kule zaś jak gzy tną powietrze... Sosny pachną wtedy człowiekowi...

Godzina jest odpowiednia. Każdy, kto „chodzi", zwyczajnie o tej porze

właśnie wraca do swojej kryjówki, zwala się z nóg zmordowany, zapada w grząski sen... W takiej minucie najpewniej można go przydusić...

Już otworzyła się przed Antkiem kwatera wypalonego lasu. Zwęglony mech chrzęści pod nogami; osmalone pnie sosen rozbiegają się przerzedzoną tyralierą, przy ziemi czernieje wypalone poszycie — gdzieniegdzie tylko tryska zielenią kolczasty krzaczek. Sucha, gorzkawa woń zgorzeliska nieruchomo wisi w martwym, głuchym powietrzu. Przed pięciu laty huczał tutaj śmiertelny ogień; żar dławił oddech, jęk pikujących samolotów, huk bomb i trzask łamanych konarów ze wszystkich stron waliły się na człowieka. Pięć lat, a nawet więcej trochę minęło od tego dnia, a dla Antka jakby to było wczoraj. W ogóle w tym lesie lata się zbiegają, wracają tamte dni. Ale po chwili trzeźwieje, czuje za sobą miesiące ostatnie — zawodne i dokuczliwe... Minął już zgorzelisko. Przeskoczył rów i wał ochronny, który własnymi rękami sypali wtedy dla zduszenia pożaru. Przeszedł szeroki dukt i obejrzawszy się w obie strony znów zagłębił się w żywy, zielony gąszcz leśny. Na moment stanął, ściągnął z ramienia popeszkę, rozpiął płaszcz, żeby móc szybko chwycić granat obciągający pasek, i poprawiwszy zsuniętą z czoła cyklistówkę — zaczął się wolno posuwać pomiędzy gęsto tutaj rosnącymi świerkami. Szedł lekko, stąpając z wysoka i tak umiejętnie, że pod butami jego nie trzasnął ani jeden patyk, ani jedna szyszka. Co kilkadziesiąt kroków zatrzymywał się, przyciskał plecy do pnia sosny i chwilę nadsłuchiwał. Potem znów wciągał głowę w ramiona, opuszczał automat, jakby węszył trop lufą po ziemi, i z palcem na bezpieczniku skradał się bezszelestnie, nie łatwy do wypatrzenia, bo ochronna zieleń szynelu łączyła się z zielenią świerczyny. Wszystkie myśli, które jeszcze przed paroma minutami tłukły mu się po głowie — teraz bez śladu znikły. Skupił całą siłę we wzroku, w słuchu, w dłoniach gotowych już poderwać broń do strzału.

Plan jego był prosty. Antek powziął go od razu, wczorajszego dnia, kiedy zapuściwszy się aż tutaj za dzikami trafił na ślady Mundzia koło Zyśkowej ziemianki. O świcie, po jakimś nocnym popiju albo po napadzie Kot razem z tym drugim wrócą do swojej kryjówki i zwalą się do snu. Zaskoczyć śpiących, rozbroić i pod lufą przypędzić do wsi — to byłoby najlepsze. Ale Antek liczył się również z innym rozegraniem. Może bandziory czuwają. Wtedy trzeba będzie puścić w ruch automat, a w takim wypadku nie ma pewności, czy uda się zagnać żywych do Przyborówki. Trudna rada — jeśli nie żywych, to zarąbanych przyciągnie za nogi do chłopów i pokaże: na takie dziki poluje komendant ORMO, Praczyk. Tak się walczy z reakcją. Tak się bierze zemstę za przyjaciela najlepszego, za towarzysza... Długie miesiące wypatrywał tej okazji, żeby wziąć na muszkę morderców Stacha.

Wiedział co prawda, że jeśli nie dadzą się zajść we śnie, będzie mu ciepło. Nie miał nawet pewności co do liczby wroga; spodziewał się dwóch — Mundka i tego Kostka-dezertera, ale mógł się do nich przyplątać jeszcze jakiś... Szedł jednak sam... Milicji zawiadamiać nie myślał. To była jego sprawa najsampierw... On obiecał Kotowi rozrachunek. Zresztą z taką milicją, jaka teraz była, nie wypadało się zadawać. Dopóki żył Stacho — mieli od niego trochę partyzanckiego ducha. Ale potem powschodzili nowi. I ten komendant nie wiadomo skąd — czyściutki, przyczesany, pozapinany zawsze na wszystkie guziki; każdemu jednemu salutujący. Z tej samej przyczyny, z chęci zatajenia przed milicją, nie mógł Antek poprowadzić za sobą ormowców.

Gdyby któryś z nich oberwał w strzelaninie... Zresztą co te mleczaki potrafiłyby wywojować wobec takich tuzów, jak Kot albo ten drugi... Jednego tylko człowieka z Przyborówki zawołałby Antek chętnie do pomocy. Wahał się nawet krótką chwilę, czy nie wyjawić przed nim sekretu. Ale później trzeba by dzielić honor, który był do zdobycia w sam raz dla jednego. Stefanowi i tak starczy zaszczytów. Zewsząd go wywyższają. A przy tym odkąd Guranowski został sekretarzem, Antek nie ufał mu tak ślepo, jak dawnymi czasy. Kilka razy wyszły na wierzch różnice między nimi; przedtem nigdy się tak nie ujawniały. Stefan gotów i teraz pokazać, co to on — zamiast do lasu udałby się na milicję — meldować o Antkowym odkryciu. Parzyłoby go ryzyko; nie o własną skórę drżałby zresztą, tylko bałby się zapewne, że nie sięgną bandytów, że tamci im jednak ujdą. Obejdzie się więc bez niego...

Antek szedł coraz wolniej. Podług świerków gęściej tutaj rosnących, podług wybujałych paproci i splątanych krzaków jałowcowych pojmował, że już nie więcej niż sto metrów zostało mu do Zyśkowej jamy. Głęboki półmrok panował w gęstwinie. Ostre igiełki łaskotały szyję, czapka znów zjechała z czoła; posuwał się wciąż bez szelestu, wyciągniętą ręką miękko rozchylając gałęzie. Ostatni raz przystanął za grubym pniem sosny; sople zeschniętej żywicy bielały na ceglastej korze. Lekko szemrząca w koronach leśna cisza otaczała go szczelnie. Nic się nie poruszyło w promieniu kilkudziesięciu kroków. Tłumiąc dłonią szczęknięcie metalu odsunął bezpiecznik, zadarł głowę — trochę błękitu wpadło mu w oczy, spojrzał w dół na miękkie mchy, wciągnął głęboko mroźne powietrze i ruszył naprzód. Z palcem na cynglu przebrnął gąszcz wybujałych, sięgających bioder paproci; jeszcze kilka siwych brzózek, świerk ogromny, jałowiec i już stał nad uchylonym zejściem do Zyśkowej ziemianki.

Odsunął nogą zamaskowaną mchem pokrywę i pochylił się nad otworem. Uderzył weń piwniczny zapach, ciemność mignęła przed oczyma. Nora była pusta. Wyprostował się i stał chwilę, mrugając powiekami. Spojrzał w lewo, w prawo, zarzucił pepeszę na ramię i po giętkiej drabince zszedł na dół. W promieniu bateryjki odszukał nie naruszone wszystkie te przedmioty, które znalazł poprzedniego dnia. Obok barłogu skrzynka z ogarkiem świeczki nagrobkowej, kilka łusek z krótkiej broni, kawałek nie dojedzonego boczku, pusta butelka — litrówka z nalepką monopolową i stemplem zawierającym datę — 10.XII.1947. Jeszcze raz omiótł światłem ściany i legowisko loszku, zgasił latarkę, wdrapał się po drabince na powierzchnię. Zasunął otwór darniowym wiekiem, zostawiając dokładnie taką samą szparę, jaka czerniała przedtem. Sprawdziwszy, że nie wydeptał żadnych widocznych śladów, cofnął się kilkanaście kroków i zaszywszy się w gąszcz pomiędzy jałowce i świerki, skąd miał na oku dojście do kryjówki, siadł na mchu. Postanowił czekać na powrót Kota. W koronach sosen błąkał się skośny promień wschodzącego słońca. Chłód ciągnął od ziemi; Antek owinął się szynelem, nastawił kołnierz, dłonie wsunął w postrzępione rękawy. „Doczekam się — myślał — żeby nie wiedzieć ile godzin. A i tak przyjdziesz, przyjdziesz, musisz przyjść..." Znów wyobraził sobie, jaki gwałt powstanie we wsi, kiedy przyprowadzi tam swoich jeńców. „Po czyjej stronie racja?... — zapyta w powiecie. — Tylko takim sposobem można tępić wroga. A wyście mnie uważali za jednostkę bez znaczenia, po prostu mówiąc, za szmelc. Źle, towarzysze! Byli tacy, co mówili, że sierżant „Cukier" to teraz ślepy nabój, huku tylko dużo daje. No i licząc, kto tu jest ten niewypał? Czy nie taki, co spuścił łeb jak wół i tylko

ziemię widzi tę, co ją ma pod nogami? Taki, co zapomniał wszystkiego — kim był, o co krew przelewał z dobrymi towarzyszami, na co przysięgał? Taki partyjniak?“ Wszystko to im wygarnie. Potem przecież muszą przyjąć go do Urzędu.

Nad nim, w gałęziach sosny załopotało gwałtownie; dropiaty jastrząb frunął z gniazda, mignęły skrzydła w gęstwinie, suche igły posypały się z korony. Ciężko było siedzieć bez ruchu. Mróz ściskał coraz mocniej. Na parę minut ogrzał sobie Antek oddech dymem papierosowym. Ale następny skręt nic mu już nie pomógł. Przymykał oczy i zapadał w krótki, płytki półsen. Majaczyło mu się, że tam dalej na kwaterze odpoczywa cały oddział, on sam zaś czuwa tutaj jako wysunięta czujka. Popił jednak zdrowo w nocy i teraz nie może odzyskać pełnej przytomności. Męczy go sumienie, broni się przed sennością, ale powieki same opadają na oczy. „»Cukier« to prawdziwy ślepy nabój“ — słyszy znajomy głos. W tej samej chwili ktoś przedziera się, trzeszczą krzaki. „Stój!“ — woła Antek. Ocknął się, usłyszawszy własny zduszony półkrzyk. Oblała go fala gorąca... W jałowcach gdzieś niedaleko za nim szeleściły roztrącane krzaki. Antek klęknął, ścisnął pepeszę. Szmer gałęzi zaczął się oddalać, dopadło go urywane pochrząkiwanie. Dziki...

— Jeszcze tu zmarznę — pomyślał, czując, jak go znów ziąb ogarnia.

— Przyjdź, przyjdź, człowieku — powtarzał w myśli; przyzywał, zdawało mu się, przyciągał tamtego. Znowu świadomość zaczęła się coraz głębiej obsuwać i w zamąceniu uwagi kołatała się jedna tylko myśl — przyjdź-że ty... przyjdź raz... Wzgardliwy nakaz-wyzwanie przemieniał się z minuty na minutę w gorącą prośbę. W tej półprzytomności tracił chwilami poczucie, na kogo, na co właściwie czeka; cały czas jednak tkwiła w nim, jak odwiedziona iglica, napięta pamięć, że musi być gotowy, że lada sekunda trzeba się poderwać. Cały czas również czuł w rękach ciężar automatu, zaciskał jedną dłoń na gładkim drzewie, a palce drugiej zwierał mocno na zimnej stali. Coś go raptownie wypchnęło z tej półdrzemki, jakby napór jakiś od środka, z głębi piersi. Otworzył szeroko oczy, spojrzał dokoła, wsłuchał się w ciszę leśną. Ale nic się nie działo... I nagle ogarnęło Antka zniechęcenie. W przykrym otrzeźwieniu od razu stało się jasne, że bez żadnej potrzeby czai się w tych krzakach; ani Kot, ani nikt inny tutaj nie przyjdzie. Długą chwilę siedział nieruchomo, powoli próbował, jaki jest rzeczywiście ciężar tej nowej porażki. Wszystko, co sobie obiecywał po dzisiejszym dniu, od razu wzięło w łeb. Przed nim znów życie, w którym nie umie znaleźć właściwej koleiny. Nie spełniło się nawet teraz jego gorące życzenie, żeby wróg pokazał twarz, żeby można było spojrzeć na tego drania poprzez szczerbinę i muszkę pepeszy. Zamiast Mundzia będą się człowiekowi pchali przed oczy inni rozmaici gnębiciele, judasze i kainy; ale żadnego palcem nie trącisz, każdy z nich lojalny, rączki ma osobiście nie splamione, wszystko gospodarze szanowne... A gdyby tak skryte chęci tych obywateli mogły zabijać, to już jednego komunisty nie znalazłbyś we świecie szerokim.

Czy to jednak tylko przez nich życie jest zbakierowane, czy przez nich jedynie skręciło na stary, wyślizgany trakt? Właściwie nigdy nie toczyło się ono inną drogą. W czasie wojny, kiedy się tłukli tutaj po tych lasach, wierzył człowiek, że po zwycięstwie zapanuje od razu nie podrabiana sprawiedliwość, że do każdego trafi z tym, co mu się będzie należało. Wtedy właśnie zdawało się człowiekowi, że na zawsze zrzuci z siebie los, który go do tej pory przy-

gniatał, że się wyrwie do lepszego... Tymczasem łańcuch okazał się silniejszy... Kiedy było szarpać, żelazo zaciskało się jeszcze mocniej koło szyi. Może to więc wreszcie musi tak zostać, a nie może być inaczej?

Nieraz mówili do niego rozmaici, kiedy występował z mową o równości: „Ty, Antoś, nie próbuj jednać górów z dołami. Nic z tego nigdy nie będzie". Czy oni mieli rację? Czy świat jest naprawdę tak na amen stworzony? Antek żachnął się na tę myśl. Nieprawda... Nie może tak być... Niedoczekanie wasze...

Wytrzeźwiony zupełnie, siedział jeszcze na stanowisku; jeszcze sam przed sobą udawał, że czeka, że może jednak... Zjadł chleb, powoli żując i błądząc wzrokiem po zapylonej słońcem, sklepionej w górze, zielono-rdzawej leśnej kopule. Ziąb ostry znów przeszył go na wskroś.

„Żeby tak trochę wódki" — pomyślał. Zaczęło go ssać pragnienie. Było już blisko południa sądząc po smugach świetlnych, niemal prostopadle przedzierających się przez zieloną zasłonę. Dłużej nie było po co siedzieć. Antek wracał drogą najbardziej okrężną, szerokim łukiem, przez las dworski, przez trójnicki zagajnik, aż do nadwieprzańskiej olszyny, która po tamtej stronie rzeki styka się niemal z pierwszymi budynkami Leszkowic. Szedł, klucząc po najdzikszych ostępach, przedzierał się przez chaszcze, rozglądał się i nadsłuchiwał co parę minut. Miał jeszcze trochę nadziei, że gdzieś w tych zaroślach natknie się na bandytów, którzy inną trasą ze swoich rodzinnych Leszkowic do lasów firlejskich nie mogli się chyba przekradać. Zamiast nich jednak, przecinając trakt lubartowski, spotkał furmankę wracającą z miasta. Słychać ich było z dala, z krzaków jeszcze, zanim się ukazali na drodze. Stary Woleński wiózł dwoje łebków — Magdaleńskiego w rozchełstanym kożuchu, siedzącego bokiem na worku z mąką, i Celinę Sowów — skromnie okutaną w czarną bajową chustkę. Dojrzawszy Antka obaj chłopi zaczęli go jednocześnie wołać na wóz. „Zawodziak" wstrzymał pękatą kobyłę, a Magdaleński — potoczywszy triumfująco zezowatym okiem — wydobył spod wiązki do połowy opróżnioną litrówkę. „Co — polujesz, Antoś?" — Woleński wiercił się i niecierpliwie ruszał wąsikami. — „Na dziki — co? I tak w pojedynkę po lasach — teraz?" „Ano..."

— Z ciebie to jest partyzant...

Pociągnęli z butelki pod miarę oznaczoną kciukiem przez Magdaleńskiego. Pierwszy łyk od razu rozgrzał wnętrze, troszkę się rozjaśniły Antkowe myśli... Magdaleński rozpiął do dołu wytartą kożuszynę, rozparł się na wiązce, jak rzeczywisty gospodarz. Flaszkę oparł dumnie na kolanie, a drugim ramieniem objął władczo Celinę.

— Postawiłem liter za przejazd, „Zawodziaku"? — wykrzykiwał. — Jak się rzekło. Mam swój honor; postawiłem — co?

— Postawiłeś, Magdaleński... — przytakiwał powściągliwie „Zawodziak". Odwracał się co chwila do Antka i wpatrując się weń bystrymi oczkami pytał: — A co, trafiłeś na ślad, Antoś? Czego to dzisiaj nie ma w tych lasach... Czego to nie ma... A tych swoich ormowców nie wzioneś?...

— Po kiego? — Antek wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem. Zawszeć weselej. Myślałem, może jakie maniebry... Wie, maluśka... — Poruszył lejcami. — Droga bezecna. Nie podgonisz tutaj — dodał tonem wyjaśnienia, bo siwa kobyłka z przesadną już ostrożnością niosła swój obwisły brzuch. Ale pisk Celiny obudził nagle jej prawdziwą naturę — machnęła ogonem, zastrzygła na przemian lewym i prawym uchem. Celina

wrzeszczała atakowana przez Magdaleńskiego. — Puszczajcie... Znalazł się, nie chcę... — odrzucała głowę i ściągała wargi, pomiędzy które Magdaleński próbował wcisnąć szyjkę butelki. Drugą ręką zapalczywie gniótł spódnicę na kolanach dziewczyny. Celina szarpnęła się gwałtowniej i wódka z przechylonej litrówki chlusnęła jej na palto.

— Co robisz, człowieku... — zgorszył się Antek; wyjął flaszkę z dłoni zdrętwiałego fundatora. — Tyleś stracił. A dziewuchy nie trza jarzmić; co do tego, to nie babska rzecz picie spirytusu...

— Patrzcie... — Celina już się ogarnęła, wsunęła jasny kosmyk pod chustkę. — To wy, Antoni, teraz nie pijący... — Błysnęła w uśmiechu śnieżnymi zębami. — Trza by z wieży ogłosić.

— A ja kiedy piłem z babami? — mruknął. Podał flachę Woleńskiemu. „Zawodziak" przechylił głowę, przymknął oczy i statecznie, drobnymi łykami wykończył swoją porcję. Antek wlał w siebie od razu cały przydział.

— A tak samopas chodzący po lasach to się nie obawiasz Mundzia, Antoś? — wyrzucił „Zawodziak" jednym tchem.

Antek aż się poderwał na wiązce: — Ja? Mundzia? Ja jego szukam od nocy...

Woleński poprawił barankową czapkę, jakby się komuś kłaniał, pokręcił głową. — Z ciebie rezykant. Ale nie ma co... Ty masz cel... — dokończył z uznaniem i nagle zastygł w zadumie.

— Pewnie — wtrąciła Celina, jej zarumieniona twarz wychyliła się z otoku chustki. — Najlepiej, jak Antoni ustrzelili tego cietrzewia za stodołami, będzie z rok; co to potem Trąbkowa latała, że jej indyka zginęła — pamiętacie, „Zawodziaku"?

— Durna baba — mruknął Antek. Woleński wzruszył ramionami: — Ja tam nie pamiętam.

— Ale, nie pamiętacie. Antoni ma cel. Jak tego zajączka za kopcem; tylko kosmyk wystawił, a Antoni go łup, raz i po kosmyku.

Antek spojrzał przeciągle w zuchwałe oczy dziewczyny. — A tobie to bym w kosmyk nie trafił, myślisz? Tylko, żebyś pokazała...

Celina spłonęła gęstym rumieńcem. — O, już zaczynacie... cofnęła się i ukryła twarz za plecami Magdaleńskiego, który bezsilnie chwiał głową i mamrotał coś, potrząsając pustą butelką. „Zawodziak" pokasłując i trzęsąc się, obśmiewał porażkę dziewczyny. Umilkł wreszcie i po chwili, jakby sobie nagle przypomniawszy, powiedział do Antka: — Spotkalim w mieście Toporowiczaka z Leszkowic — tego, wiesz...

— Tego, co siedzi za Stacha?

— Już nie siedzi; akuratnie go wypuścili dzisiaj. Nie powiem, nawet zdrowo wygląda. I tak sobie dosyć chwalił; nie narzekał, nie...

— Jak to wypuścili? Na wolność?

— Ano, powiada, że mu nic nie dowiedli, to i puścili. I wolny jest całkiem tak jak ty albo i ja nie przymierzając.

— Jak to wolny? On? On? Przecie go zamkli raz...

— Ano. Zaczem się puści, to trzeba najprzód zamknąć. Nie wiesz, jak jest; jak we świecie. Po porządku — najpierw się zamyka, a potem puszcza. Węgrzyna też puścili. A innych...

— Tak... Ale toć ten inaczej. Może uciekł — co?

— Ee, gdzie tam. Po rynku chodził, papier pokazywał z bezpieczeństwa; pieczątki rozmaite na nim. Franciszek Toporowicz — napisane — zwolniony,

bez żadnych w ogóle pretensji. Mówił, że przed puszczeniem to jeszcze go przepraszali, sam komendant podobnież ściskał mu rękę i prosił, żeby nie brać do serca.

— Kłamał, cholera, kłamał...

— Co wy takie draństwa powtarzacie, aż strach słuchać...

Woleński mrugnął oczkami, poruszył wąsikiem:

— Draństwa? A w czym tu? Nic takiego. W ogóle on się nawet o rządzie grzecznie wyraził. Dosyć chwalił. Powiadał, że od góry to i sprawiedliwość nieraz przyświeci... Nie jest taki zawzięty...

— Człowieku, on za Stacha siedział... On mu nóż wepchnął...

— Ee, przecie to Mundzio. A skoro jego puścili, to znaczy, że niewinny. Sidorowi Kot śmierć zadał — to już rzecz wiadoma.

— Kot... — szarpnął się Antek. — Kot i Kot. A gdzie go znaleźć... Gdzie — co? Kot nienajpierwszy. Sam on na to nie poszedł. To takiego puszczają z rąk. Jakbym ja jego złapał, to nie wiem, co bym zrobił; bądźcie pewni...

— A tylko, tylko, żeśta się nie zeszli — stwierdził „Zawodziak". — Na krzyżówce dopir zlazł z fury, bom go podwiózł od rogatki i przez olszynę pokierował się na rzekę.

Antek przemilczał chwilę. „Cóż by się stało, jakbym ja go zobaczył w lesie? — pomyślał trzeźwiej. — Drań pokazałby swoją przepustkę i nic bym mu nie mógł zrobić. Nic..." — Okrutne poczucie bezsilności zmroziło myśli. Zamiast Mundka, którego na próżno szukał, mało nie spotkał tamtego; jeszcze teraz, gdyby chciał, dogoniłby Toporowiczaka. Ale co z tego — popatrzyliby najwyżej na siebie i powiedzieliby sobie „do widzenia". Świadomość, że nie może nic właściwie uczynić na ich stratę, że ani trochę nie przyczynia się do wymierzenia sprawiedliwości i że tak jest już nie od dzisiaj, ta myśl zapiekła go nagle i ostro. Zahaczył wzrokiem o Woleńskiego, namawiającego akurat kobyłkę do przyśpieszenia truchtu, i raptem zgromadzona w sercu gorycz znalazła ujście.

— A z was to też człowiek, „Zawodziaku" — skrzywił się pogradliwie. — Takiemu gadowi potrzebujecie się zasługiwać. Jeszcze go wozić... Wy to zawsze jak ta sroka na dwie strony...

Woleński odwrócił się żwawo:

— Dlaczego? Ja nic... Nic żem nie powiedział...

— Po coście takiego wieźli. Nie wstyd wam...

— Ee, co to... Wielka rzecz. Nie trza być nieużytkiem. Jak człowiek idzie z więzienia... Zawsze się czego bądź dowiesz. A kobyle nie ubędzie.

— Toteż... — mruknął Antek. — Jak mówię. Na dwie strony patrzycie. Tu posłuchać, tam posłuchać. A swoje schować. Ducha nie macie. Ja jakbym miał konia, do mnie taki gad by się nie przysiadł, jakbym ja miał wóz...

— Ale nie masz...

— No to co... To wyście przez to lepsi pewnie?

— Ale...

Antek patrzył uporczywie w zaczerwienione, szybko mrugające oczka Woleńskiego. Opuścił wzrok. Noga „Zawodziaka" kołysała się poza pomostem; ostry szpic buta opisywał w powietrzu maleńkie pętle.

— To i wódką możeśta jego ugościli; na tyle szczęścia, że się od komuny z rąk wyrwał — rzucił Antek gorzko.

— A pewnie, że popili — wtrąciła Celina. — Magdaleński jak stawia, to by nawet diabła poczęstował. Ma swój honor — parsknęła śmiechem.

— Popili... — powtórzył Antek i spojrzał ze szczerą zgrozą na pustą butelkę w dłoni Magdaleńskiego.

— Ja to nie, Antoś — zaczął się kręcić „Zawodziak" — jażem nie chciał; nie chciałem. Ale ten rzeczywiście, jak się uprze...

Magdaleński ocknął się raptem. Mętnym spojrzeniem zatoczył się po drodze, utknął na końskim grzbiecie; kobyłka zdawała się stać w miejscu, tylko turkotanie obręczy po grudzie świadczyło, że wóz się jednak porusza. Magdaleński machnął władczo ręką i zamamrotał: — Jechać... prędzej... ja stawiam...

— Oo, masz go — pasażera!... — mruknął zgorszony „Zawodziak" i odwrócił się plecami do sąsiada.

Kiedy dotarli do Przyborówki, było już przed wieczorem. Od łuny zachodu bielone ściany domów, strzechy i dachówki pławiły się w różowym świetle. Koło obejścia Paprockiego Antek zeskoczył z fury. Mikołaj machał na niego ręką, majstrując coś pod daszkiem, przy lokomobili. Kilka minut Antek stał nad nim, póki Mikołaj nie dokręcił ostatniej śrubki; potem Paprocki wprowadził go do mieszkania. Tutaj pomiędzy maszynami do szycia, figurkami gipsowych aniołków, dywanikami i różami z bibuły Antek upił się na ponuro i wrogo do całego świata. Paprocki sączył nalewkę statecznie i nie patrząc na Praczyka tłumaczył: „Jak raz mam same rozchody. Teraz do tej lokomobili dokupić dyferencjał. Trafia mi się. Przywiozłem goły motorek. Jaśkowi wysłać sumę, bo mu już wyznaczyli domiar — człowiekowi żyć nie dają. Taka biurokracja..." — Zawiesił głos i podniósł do ust nabitego na widelec śliskiego grzybka.

— Nie dają żyć skurcysyny... — zamamrotał Antek, znów wlał w siebie szklaneczkę wiśniówki. — Było tak i będzie. Wszystko na nic...

Paprocki zatrzymał wzrok na przekrwionej twarzy Antka.

— Wydatki mam... — stwierdził powtórnie. — Poważne wydatki. Ale dla ciebie, kiedyś taki potrzebujący, zawsze wydostanę, co będą mógł. Dziesięć tysięcy nie da rady, ale pięć to ci na jutro odłożę...

Antek przyjął obietnicę bez objawów wdzięczności, nie mrugnąwszy nawet powieką; dalej błądził po pokoju zmrożonym spojrzeniem.

— Posłuchaj mnie, Antoś — Paprocki zebrał się w sobie, zniżył głos do poufnego brzmienia — co masz się tak ciągle poniżać. Czy ja nie widzę twojego udręczenia. A po co to? Trzeba tylko mieć głowę na swoim miejscu. Można zarobić. Do wszystkiego jest swój czas. W wojnie, nie powiem, ty byłeś na swoim stanowisku; mało kto tak jak ty się odznaczył — to już rzecz wiadoma. Mogą sobie przyznawać zaszczyty, komu chcą, rozmaitym takim, co ich oko ludzkie z bronią nie widziało, a dla mnie sierżant „Cukier" najpierwszy. Ja ciebie pamiętam... Ale mnie też nie zdołasz zarzucić. Kto was ukrył, jak żandarmi wpadli do wsi na Nowy Rok? W ogóle mieliście to lepszą melinę niż u mnie? No... Żebym ja miał mniej lat o połowę, niż miałem wtenczas, i zdrowia trochę więcej, to nawet chodziłbym razem z wami. Ale i tak zrobiłem, com mógł. Nieprawda?

Antek popatrzył na niego przeciągle i trzeźwiejąco.

— To was tylko broni. Inaczej bym się do takiego nie przyznawał. Teraz żeście więcej do kułaka podchodzący.

— Nie mów. Co to takie słowa... — Paprocki bez gniewu wzruszył ramio-

nami. — A ja ci powiem życiowo: jeden ma taki charakter, a inny znowuż całkiem przeciwny. Są trusy, są rezykanci, są stateczni, są letkiewicze i ze wszystkim tak wypada. A samo główne: rozumieć, jaki czas nastał... Podam tobie krótko całą sprawę. Ale ryzyko do tego trzeba mieć. Jak się ważysz na to — dobrze, nie — drugie dobrze. Tylko mnie nie wydaj...

— Walcie już... — Antek dźwignął rozkudłaną głowę, którą trzymał wspartą na pięściach, i spojrzał drętwo od dołu. — Walcie.

Paprocki jednak wyłożył całą rzecz nie od razu; przeciwnie, rozsupływał tajemnicę powoli, klucząc i jakby badając grunt mądrymi zdaniami, zachodząc i próbując, czy Praczyk nie szarpnie się jeszcze jak pies na łańcuchu. Antek siedział niemy. Patrzył w dno pustej szklanki, mrugał oczami, pocierał zarośniętą brodę. Wyglądało na to, że mu coś wypadło z pamięci, że z wysiłkiem usiłuje sobie przypomieć jakieś hasło. Paprocki wreszcie przedstawił cały projekt. Chodziło o aparat do bimbru, ostatnio przywieziony z Zachodu, aparat o niezwyczajnej mocy, odremontowany przez Mikołaja poważnym kosztem, taki, na którym przez jedną noc można było napędzić sto i więcej litrów dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu. Zbyt na samogon mieli zapewniony; Kulebiak chętnie zgłaszał się po każdą ilość. Jęczmienia dostarczałby Antkowi Paprocki, tak samo drożdży i w ogóle wszystkiego, czego tylko byłoby potrzeba. Zyskiem dzieliliby się po połowie. Nie wypadłoby tego mało. To wiadomo. Paprocki rzetelnie przyznawał, że nie z czystej sympatii ofiaruje Antkowi korzystną spółkę. Sam nie mógł podejmować takiego ryzyka, bo do niego, do chałupy coraz wpadali rozmaici — a to milicjanci, a to jacyś z powiatu, a to nawet Antkowi ormowcy, najwięcej ci z zetempe. Węszyli, rozglądali się Bóg wie za czym...

— Jeśli tylko nie boisz się kary — kończył Paprocki — to możemy spróbować szczęścia. U ciebie w komórce byłoby w sam raz miejsce. Ty możesz byle gówniarza prześwięcić. Ale rozważ dobrze, czy warto tobie się na to ważyć. Zarobisz; dwadzieścia — trzydzieści tysięcy przez miesiąc, najmarniej. Ale wiesz, jak to teraz ścigają. Najwięcej ten komendant nowy. Całkiem jak Pieniążek — w okupację. Chce widać zasłużyć na order, bo w wojnie to mu nie szło za bardzo...

— Ma krzyż — mruknął Antek — baretkę nosi...

— Właśnie — zgodził się Paprocki. — Sam wiesz najlepiej, komu dawali. Nie tym, co się należało. A teraz, zamiast żeby Mundka nakryć, to on się bimbrowi poświęcił. Za Stacha życia milicja przynajmniej bandę ścigała. A ten, jego w Firleju nazywają „bimbrowy walet", czy jemu „Szatan" w głowie? Widzisz, jak on się nosi, mundur na nim jaki zawsze, a oficerki — wszystko przecież nie z pensji. Za każdą bimbrownię, co ją zamknie, zgarnia premię; z tego się tak panoszy. Na komendanta musiałbyś uważać...

— A ja jego, wiecie co? — dźwignął się Antek krępym tułowiem ponad stół. — Ja jego pieprzę. Mnie wolno. Za to, com walczył; niech raz użyję.

Paprocki wytrzymał znarowione spojrzenie. — Znaczy, że przystajesz — tak?

Antek, jeszcze pochylony nad zastawą, opuścił wzrok, sięgnął po butelkę, bez słowa wlał w siebie pełną szklankę.

— Mam się ciągle męczyć, co? — Źrenice zalśniły mu raptownie wilgocią, głos się skruszył. — Nigdy już, Józiu — synku kochany — ryknął krótko. Stuknął czołem o kant krzesła; zaczął się jednostajnie kiwać z boku na bok,

bełkocąc i pomrukując. Był już do niczego. Wódka rozkleiła go jak starą beczkę. Paprocki po długich wysiłkach wyprowadził wreszcie zwerbowanego wspólnika przed sionkę. Tam wcisnął mu na głowę kaszkiet, na jednym ramieniu zawiesił chlebak z granatami, na drugim pepeszę i wywiódłszy, zataczającego się, na pustą drogę, sam przeszyty mroźnym podmuchem, szybko zwiał do chałupy.

Noc była nieżyczliwa dla pijaków — grudniowo ciemna, skamląca, napierająca przeciwnym wiatrem. Ale dla Antka nie stanowiła pierwszyzny. Ostre powietrze otrzeźwiło go trochę, wydobyło z nicości. Szedł mozolnie, ale szedł jednak właściwą ścieżką i usiłował myślą ogarnąć to, co zaszło. Koło Chudzików ktoś mu zastąpił drogę. Antek szarpnął się do tyłu, na pół przytomny porwał z ramienia pepeszę. Ale w tej samej sekundzie oślepił go blask bateryjki i usłyszał znajomy głos: — To wy, komendancie...

Byli to ormowcy — Zygmunt Bąk, Sowa, Wiesiek Guranowski — patrolem obchodzący wioskę. Antek ucieszył się swoimi chłopakami. Ogarnęło go wzruszenie. Zaczął ich ściskać, mamrotać wylewnie, aż raptem myśl mu błysnęła. Przypomniał się cały ranek stracony na wyczekiwaniu Kota, potem błądzenie po lesie, spotkanie Woleńskiego i wiadomość o Toporowiczu.

— Pójdziem w las — chłopaki... Teraz, teraz... Na mój rozkaz... Mundzia tutaj...

Z początku próbowali wybić mu ten zamiar z głowy cierpliwym tłumaczeniem, ale kiedy się uparł i obrzuciwszy ich wyzwiskami od zasrańców i tchórzów kazał maszerować do wygonu, udali, że się poddają twardej komendzie. Wzięli go więc w środek i śpiewając partyzanckie piosenki zaprowadzili niespostrzeżenie do chałupy. Tutaj Zygmunt Bąk oberwał porządnie w ucho, ścierpiał jednak ból i obrazę bez krzyku. Wspólnymi siłami razem z Sabiną unieszkodliwili swego komendanta, zamknęli w izbie. Zwalił się na łóżko zmordowany, ale kiedy chłopcy odeszli, znów zerwał się, pchnięty jakąś niecierpliwą mocą, a powstrzymywany przez Sabinę zakończył dzień tym, że po raz pierwszy od kilku lat pobił boleśnie kobietę.

*

Zima roku czterdziestego ósmego dopiero w dzień Trzech Króli wjechała do wsi na białych koniach; rozdzwoniła się od razu po zaśnieżonych drogach, sypnęła w oczy ostrą, oślepiającą bielą. Ze strzech, z brogów, z okapów zwisły śniegowe czapy. Na atłasowej płaszczyźnie rozbiegły się najpierw ślady psów tropiących zające i lisy; gdzieniegdzie cukrową biel przeszył ścieg wronich znaków. W osłoniętych dołkach czerniały nieruchome stadka kuropatw. Rozrzedzone powietrze niosło z daleka najlżejszy dźwięk; przybliżało głosy ludzi z oddalonych krańców wioski... W południe na całą wieś niosły się krzyki dzieci biegnących ze szkoły. Brzęczały dzwoneczki u sań; chłopcy wskakiwali na płozy, czepiali niziutkie zajdki, zbite ze starych klepek. Odpędzani batem wrzeszczeli jak chmara wróbli, rozpryskiwali się na boki, aby po chwili znów doskakiwać do pojazdu. Para dymiła z konia; koń parskał, rzucał łbem, grudy zbitego śniegu pryskały mu spod kopyt. Drogi zaludniły się — wszędzie łatwo było dotrzeć przetartymi koleinami. Wieczory, rozjaśnione księżycem, gwiazdami i sinawą bielą śniegu, rozbrzmiewały śpiewem dziewcząt, gwizdaniem i nawoływaniem kawalerki. Prawie co sobotę gdzieś się że-

nili albo odbywała się zabawa w opuszczonym domu Wagramskich. Wtedy już do rana muzyka ulatywała przez otwarte drzwi na drogę i dalej na wieś. Trzymał jeszcze złośliwy mrozek, ale od pól, od siniejących lasów, od zamarzniętej rzeki przeciągał ledwie uchwytny podmuch. Dziewczynom służyło rześkie powietrze, policzki ich kwitły rumieńcami, w oczach świeciły iskierki blasku. Kawalerowie, wywczasowani przez zimowe miesiące, niestrudzenie rwali się do tańca. Najgorętsze pary szukały ochłody w samotności...

Karnawał ten nabrał szczególnego znaczenia dla Szczepana Wójtowicza. Koledzy z jego rocznika pożenili się wszyscy bez wyjątku w ostatnich latach. Do niedawna panny oglądały się na niego. Ale teraz w krótkim odstępie czasu spotkały go trzy niepowodzenia. Najpierw dostał odprawę w Brzezinach, gdzie zaczął uderzać do bogatej wdówki; rodzina jej nieprzychylnie przyjęła oświadczyny dziadoka przyborowskiego; ponieważ zaś „Kiciorz" niezwyczajny był opuszczać terenu bez walki, znaleziono go rankiem w przydrożnym rowie, pijanego i zbitego do nieprzytomności. Potem Hanka Zbiciakówna, ta sama, która tak się w nim „na zabój" durzyła, raptem uległa ojcu; w pierwszą niedzielę po nowym roku usłyszano z ambony zapowiedź: — Anna Zbiciak, panna, lat dziewiętnaście, parafii tutejszej, i Michał Trąbka, kawaler, lat dwadzieścia jeden...

— Jakoś cię, Szczepciu, dziewuchy migiem przepominają — dokuczały mu kobiety na najbliższej zabawie...

Najwięcej jednak nadwerężył sławę „Kiciorza" wypadek z ładną żonką młodego Woleńszczaka. Dawno już Geńkowa wpadła w oko Szczepanowi. Na zabawie w Trójni postawił Woleńszczakowi litra. Geńkowi wystarczyło. Szczepan ułożył go do snu i starannie zamknął za chrapiącym wrota stodoły. Potem pomaszerował do Przyborówki i skierował się prosto do Geńkowego mieszkania. W ciemności, która tam panowała, rozebrał się bez słowa; przebudzona Geńkowa leżała w pościeli cicho, posapując z przejęcia, bo wiedziała, że chłop wraca pijany, a poznała już, jak ciężka jest mężowa ręka, kiedy mu się w takich razach sprzeciwiać. Szczepan zzuł buty i wskoczył pod pierzynę. Od tej chwili przygoda, jakby wzięła na kieł — poniosła „Kiciorza". „Sen miewam czuły jak ten zajączek pod miedzą — szeroko rozpowiadał następnego dnia „Zawodziak", mieszkający z synem w jednym domu przez sień. — Od maleńkości mam to wpojone, żeby po północku przeglądać jednym oknem na świat, bo to, jak powiadają — noc ma cię na zdradzie. Dlategom się od razu ocknął, jak tylko Geńkowa wrzasła. Wypadłem do sieni, a tu z naprzeciw, od Geniów, też wyskakuje jakiści golec — bez portek, w samiuchnej bieliźnie — i do drzwi. Aleć się widać potknął na progu, jak da bykiem w wiadro z pomyją i na czterech, na podwórz; tyle, żem go zdążył dwa razy macnąć bez grzbiet drążkiem; nawet nie poznałem który to... A cóż ten Szczepan chodzi od wczora złamany — kończył za każdym razem, ruszając wąsikiem — jakby mu kto metra wrzucił na plecy; pewnikiem się poderwał..." „Zawodziak" i w takich wypadkach pozostawał dyplomatą. Cała wieś śmiała się z przygody „Kiciorza". „Za bardzo się widać pośpieszył — roztrząsano przyczyny »wpadunku« — albo coś z miejsca inaczej począł niż Geniuś."

— Kobiecie jakby do smaku przypadł, to by takiego alarmu nie podniesła — dogadywali złośliwcy — tylko gębą spotrafi wywijać. „Kiciorz"!

Kto inny pewnie by po takiej nauczce troszeczkę przycichł, ale Szczepan szybko prostował się z upadku. I teraz, ledwie się rozgiął, znów zaczął latać

po wsi, namawiać chłopaków — cholewność, ci mówię, walim do Firleja, na cały świat będzie zabawa...

Raz tylko zdarzyło się, że nie on, a jego zachęcano do pójścia w kawalerkę... W ostatnią niedzielę stycznia wywołał go z chałupy Antek Praczyk. Samogon jechał od Antoniego na parę metrów. — Na — podał butelkę Szczepanowi. Kiedy rozchylił przy tym poły szynelika, błysnął oksydą zatknięty za rzemień Vis. „Kiciorz" zakrztusił się bimbrem usłyszawszy propozycję Praczykową. Nie tak łatwo było napędzić mu stracha; namysł trwał u niego zwyczajnie tyle, co podrzucenie ramion — cholewność, lecim... — Ale to, czym go teraz częstował Praczyk, osadziło Szczepana jak rozpędzonego ogierka nad urwiskiem. — Tam się pchać?... — Od paru lat stało pomiędzy Przyborówką a Leszkowicami surowe prawo, że nikt z obydwu wsi nie śmie bawić się w „pasierba". Można było bałaganić w Trójni, w Michowie, w bogatych Brzezinach, nawet u firlejskich łyków, ale co do Leszkowic — od ostatniego wspólnego wesela, na którym panu młodemu, leszkowickiemu młynarczykowi, drużbowie z Przyborówki rozbili głowę płytą kuchenną, od tego dnia stało się wiadome, że kto pokaże się we wrogiej wiosce na muzyce, temu nazajutrz organy w kościele zagrają ostatniego marsza. Praczyk przytknął do warg otwór szyjki, wlał w gardło resztę bimbru i odrzuciwszy flaszkę przez ramię w zaspę powtórzył: „Pójdziesz?". Nagle Szczepan odzyskał całą lekkość myśli; przygoda zapachniała mu wódką, nieznajomymi dziewczynami, a choćby i awanturą. Antoni ma w kieszeni Visa; nie jest to człowiek, który zostawia towarzysza na zdradzie. Szczepan widział go przed dwoma laty, rozpędzającego zabawę u Kulebiaka. Jednym strzałem od biodra na odległość większą niż sto kroków przetrącił goleń uciekającemu przywódcy firlejaków. Odtąd Szczepan lubił w największym kotłowisku tanecznym zobaczyć obok zmięty kaszkiet komendanta ORMO. Skoczył teraz do mieszkania i po chwili wrócił odziany, dopinając guziki kurtki.

— Wziąłeś co?

„Kiciorz" potrząsnął sprężyną: „Mam gwichta w rękawie..." Szczepan chciał jeszcze zawołać Bystrzycczaka, ale Antek się sprzeciwił; coś go poganiało, przełożył pistolet zza paska do kieszeni szynela, rzucał zasępione spojrzenia, przyśpieszał kroku. Nie tak się chodzi na zabawy... Jakiś tajny zamiar przebijał z ruchów Praczyka. Podejrzenie prześliznęło się przez myśli Szczepana — Antoni szykuje na kogoś podstęp. — Ale nigdy żadna myśl nie trapiła dłużej „Kiciorza". I ta wyleciała z głowy natychmiast. „...Cholewność, idziem" i posunął za Antkiem lekkim krokiem.

Kiedy weszli do remizy, w której huczała zabawa, spostrzeżono ich od razu; stojący przy drzwiach rozstąpili się przed nimi, niektórzy tancerze zostawili pośrodku sali swoje dziewczyny, skupili się pod ścianą i wszyscy naraz wlepili w przybyszów nieruchome spojrzenia. Praczyk wyraźnie szukał kogoś pośród tłumu; ręce trzymał w kieszeniach i z uniesionymi cokolwiek ramionami, przygarbiony, rozglądał się między ludźmi. Szczepan tylko w pierwszej minucie poczuł się nieswojo. Widok Antka zachowującego się jak u siebie we wsi spiął go niby ostroga szlachetnego konia. Akurat zagrali lubartowskiego oberka. W tym tańcu, jak i w wielu innych, „Kiciorz" nie miał równego sobie na okolicę. Orkiestra zgodnie wybijała rytm, pary wirowały w trzasku podkówek o deski, w okrzykach i w zadzierzystych gwizdach. Sala, zdawało się Szczepanowi, kręci się cała jak rozpędzona karuzela. Gęsty kurz w poświacie

naftówek zawieszonych u pułapu dymił siwą chmurą, jakby prosto z głów tańczących. Pył przesłaniał twarze w głębi remizy; z tego pomroku błyskały oczy dziewcząt, śmiały się zapłonione wargi, rozwiane warkocze kilka razy już musnęły policzki Szczepana. Zaczął przytupywać do taktu, rozglądać się bystro, wypatrując partnerki. Pod umajoną estradą siedziało kilka kobiet. Szczepan poznał matkę Mundzia Kota, tęgą brunetkę z gładko zaczesanymi włosami. Wzrok Kocichy zahaczył o Praczyka, czarne źrenice rozszerzyły się i znieruchomiały. Mignęła znajoma twarz Kulebiaczka z Firleja. Ze zlepionymi włosami, opadającymi na czoło, z jedną ręką wzniesioną, potrącającą biało-czerwone girlandy, siarczyście tupał w podłogę, okrążając tancerkę. „Kogo szukasz? Mnie?" — zawołał przelatując obok Praczyka; Antek pokręcił głową i „Spirytusik" przepadł w tłumie. Krąg taneczników topniał z każdą sekundą. Pod ścianami zebrało się kilka grupek; jedna stała przy drzwiach, jakby im odcinała odwrót. Ale znów tylko na krótką chwilę trzeźwość zmroziła Szczepana. Znów porwał go pęd muzyki. Obok wynurzyła się dziewczyna jeszcze rozogniona tańcem, z kropelkami potu pomiędzy ciemnymi brwiami... „Obrócimy raz..." — wyciągnął ręce. Zawahała się, wydęła pogardliwie wargi, ale już ją ogarnął ramieniem, pociągnął w wir taneczny. Z miejsca ruszył na szybkich obrotach, wyprostowany sztywno, trzymając partnerkę w stalowym uchwycie zgiętego ramienia. Podrywając stopy wirował coraz prędzej, każde kółko zaznaczał błyskawicznym skrętem głowy. Orkiestra przyśpieszała, coraz krótszy rytm wybijał bęben i talerze, coraz szybciej dyszała harmonia, coraz zawrotniej niosły rozpędzone nogi, coraz cieńszy przyświst wyrywał się z ust dziewczyny. Ale dotrzymywała tempa; trafił na tanecznicę... Lekko drobiła kroczki, niosła się dumnie jak łabędzica, a trzymała ramię Szczepanowe mocną dłonią. Wirowali jak sczepieni w jedno coraz prędzej i prędzej — i Szczepan dziwił się, że dziewucha nie słabnie, nie zakręciło jej się jeszcze w głowie.

— Cholewność, i tak cię zmogę... — zawziął się, patrząc w rozszerzone źrenice. Nagle muzyka jak zdmuchnięta świeczka zgasła wpół taktu.

— Mało... — krzyknął Szczepan, przytrzymując ramię dziewczyny. Dookoła zrobiło się przestronnie, prawie pusto... Kilka par stało niepewnie i spoglądało w stronę podwyższenia, na którym długonogi jak bocian drągal tłumaczył coś muzykantom. Kocicha przeciskała się do wyjścia, supłając pod brodą niebieską chusteczkę. Ktoś trącił Szczepana. „Kiciorz" odwrócił głowę. Dziewczyna wyrwała mu rękę i dała nurka między ludzi. „Cholewność, zła krew..." „Wychodzę" — zaszeptał Praczyk przytrzymując „Kiciorza" za klapę i oglądając się na drzwi, między którymi w tłumie kaszkietów błysnęła niebieska szmatka. „Mam jedną sprawę. Chodź i ty. Samego cię zadziubią tutaj..."

Z estrady skoczyła na salę polka-galopka. Szczepana poderwało. „Iii tam... — mrugnął do Praczyka — spokojny bądź. Cholewność, mam tu pannę... Widziałeś?..."

— Jak wolisz... Ja idę...

„Kiciorz" został sam. Dziewczynę swoją dopadł w rogu remizy rozmawiającą z dwoma koleżankami. Znów wyciągnął ją na środek sali. Po pierwszych kilku obrotach przycisnęła się do niego i szepnęła prosto do ucha: „Niech pan stąd ucieka. Zmawiali się, żeby pana zabić... Jak zagrają walca, niech pan ucieka, przez to okno, gdzie ja stałam..."

„Kiciorz" wypiął pierś, napuszył się cały, ale strach zaświdrował w dołku. Po drugim okrążeniu ktoś go pchnął z całej siły. Inny zapewne gruchnąłby

od takiego potrącenia na ziemię, Szczepan tylko się zatoczył, puścił dziewczynę, podskoczył do długowłosego blondyna; w tej chwili — z boku rąbnęli go w ciemię. „Kiciorz“ potknął się, zasłonił głowę łokciem, drugą ręką wyrzucił odważnik. Pisk dziewcząt zmieszał się z krzykiem mężczyzn: „Bij dziada! W łeb bolszewika!“ Orkiestra grała walczyka. Drąg spadł Szczepanowi na plecy, przygiął do podłogi; był otoczony ze wszystkich stron. Od okna też sunęło kilku z opuszczonymi ramionami. „Kiciorz” skurczył się i całym impetem, jak gwicht sprężynowy, runął im pod nogi. Zakotłowało się, upadli na siebie. Ale zanim zdążył poderwać się i skoczyć na parapet, już go dosięgli, stal błysnęła przed oczami, ucięła w ramię. Na każdą rękę zwaliło się kilku, próbowali zbić go z nóg. Szarpał się, trykał głową w lewo i w prawo, ale już tracił siły.

„Wyczyścić knura!“ „Rżnąć ubiaka!“

Raptem strzał wstrząsnął powietrzem, raz, drugi, trzeci... Zabrzęczały wybite szyby. Pisk, krzyk: „Milicja!“ Prześladowcy przysiedli. „Kiciorz“ rąbnął o ziemię dwóch najbardziej zawziętych i jednym susem znalazł się na parapecie. Plecami wypchnął szybę; zakrwawiony i poszarpany, zdążył jeszcze okazać zgromadzonym swoją pogardę, zgiął rękę w łokciu. „Macie go...“ Odwrócił się i buchnął w głęboką zaspę. Jeszcze raz strzał targnął nocą. Szczepan dostrzegł czerwone żądło wypału. Popędził w tamtą stronę. Za stodołą wpadł na kłusującego Praczyka. Antek ciężko dyszał po biegu. Potrząsał Visem. „A wasza mać, hitlerowce...“ Niedaleko przemknął skulony cień. „Tamoj, Antoś, pal w łeb zbója.“ Ale Praczyk poznał umykającego. To ten właśnie, co dopadł Antka na drodze i ściągnął Szczepanowi na pomoc. Jakiś dworski... Antek widział go raz u Stefana w komitecie. „Żeby nie on, już by nie było co zbierać z ciebie.“

— Ze mnie? — „Kiciorz“ oburzył się. — Ja, cholewność, ja bym ich wszystkich, wiesz, Antoś... ja bym ich rozpieprzył do ostatniego...

*

Przez pierwsze dni po powrocie ze szkoły partyjnej wszystko tutaj wydawało się Stefanowi nie na jego miarę. Z początku albo pozwalał się nieść leniwemu nurtowi wsiowego życia, popadał w tępe odrętwienie, albo niecierpliwił się, ciskał na lewo i prawo, poganiał ludzi, którzy przychodzili doń ze swoimi małymi sprawami. Był już na wylocie z Firleja; z dnia na dzień oczekiwał powołania do komitetu powiatowego. Kilka razy jeździł nawet w teren z odchodzącym kierownikiem wydziału rolnego i ten przekazywał mu swoje doświadczenia. Ale po wypadkach geesowskich przeniesienie Stefana zostało zawieszone. Dykow, kierujący komitetem w zastępstwie chorego Nowoczka, przestał o tym w ogóle wspominać, a zapytany raz stuknął jak kozioł piętą. „Do powiatu? Ty? Tak, tak, jasne... zrobi się. Ale jeszcze poczekasz ze dwa tygodnie...”

Stefan z dnia na dzień wciągał się z powrotem w sprawy firlejskie.

W komitecie zjawiał się zawsze wcześniej niż urzędnicy w gminie albo w geesie i pierwszy otwierał okiennice narożnego murowańca. Nigdy też nie potrafił długo wysiedzieć nad papierami; po godzinie, dwóch najwyżej podnosił się od przykrytego czerwienią stołu, zdrętwiały i czczy w sobie; krążył trochę po lokalu, zaglądał do innych biur, wstępował do gospody na piwo, załatwiał interesantów, jeśli się zgłaszali, i wreszcie, najpóźniej w południe, wyruszał w teren. Często ścigały go telefony z powiatu, a Dykow powtarzał

swoje nauki. Powiat upominał się wciąż o rozmaite wykazy, raporty i protokoły.

Stefan znał już sposoby wielu innych sekretarzy upiększających sprawozdania; bez skrupułów wciągali na listy nierzeczywistych członków partii, opisywali zebrania, które w ogóle nigdy się nie odbyły. Usłyszawszy pierwszy raz od jednego z nich takie wyznanie Stefan nawymyślał mu i zasypał go w czasie odprawy. Tamten jednak wyparł się wszystkiego; Stefan nie miał czym poprzeć swojego oskarżenia, nikt nie podtrzymał go w ataku. Dykow potraktował to jako jeszcze jedną rozróbkę, za pomocą której Guranowski, zazdroszczący innym większych sukcesów, próbuje sam się wywyższyć... Ostro wtedy potępił oszczercę. Cała ta papierkowa robota mierziła więc Stefana; był to dla niego prawdziwy odrobek; męczył się przy tym i często wpisując w tasiemcowe rubryki — cyfry, nazwiska i inne dane albo klecąc zdania raportów doznawał wrażenia, że coś przekręca, fałszuje, wprowadza w błąd partię. Ale po powrocie z kursu, kiedy zaczęła go razić małość tych wszystkich pojedynczych kłopotów, z którymi ludzie do niego przychodzili, a którymi przedtem tak się przejmował, i kiedy z perspektywy budującego się w mieście socjalizmu dojrzał nikłość chłopskich starań ugrzęzłych we własnych interesach, wtedy jednocześnie zaczął dłużej przesiadywać przy biurku i coraz więcej znajdował przyjemności w wypełnianiu najróżniejszych ankiet. Mniej teraz jeździł po wsiach. Czas spędzał w komitecie albo na odwiedzaniu innych urzędów. Przynajmniej raz dziennie przemierzał drogę do gospody pośrodku rynku. Na ławeczkach przed bramami i przed bielonymi parkanami o każdej pogodniejszej porze dnia gromadzili się obywatele firlejowscy. Dawniej Stefan mijał rozmawiających z zaciętą twarzą, nadstawiając uszu, żeby złowić jakieś reakcyjne słówko. Oni milkli na jego widok i tylko niektórzy kłaniali mu się, leniwie uchylając maciejówek. Stopniowo jednak, w miarę, jak się lepiej z nimi zapoznawał, pozdrowienia te wiązały się w krótkie wymiany zdań. Na przedwiośniu jeszcze więcej firlejaków wylegało przed chałupy. Szczuli na siebie psy, przybijając dłonie o zakład — czyj przemoże, śledzili loty gołębi, gapili się na chłopców strącających z wysokich topól kawcze gniazda. Siedzieli tak albo stali grzejąc plecy w słońcu, z daszkami zsuniętymi na oczy, z rękami w kieszeniach. Kury wygrzebywały dołki w piasku przydrożnym i trzepotały skrzydłami; siwa rzęsa wisiała nad drogą; pachniało kurzem i zeprzałą słomą. Widok ten ciążył Stefanowi. Burzył się przeciwko martwocie, w której wszystko dookoła gnuśniało, przeciwko ludziom, nieruchomym jak kołki w płocie, o który się opierali; znów mógł pomyśleć z ulgą o swoim wyjeździe do miasta; ta myśl właśnie studziła jego niecierpliwość; coraz częściej zaczepiany, zaczął przystawać koło gapiów. Wdawał się w leniwe pogwarki, potem razem z nimi przyglądał się gołębiom „bujającym" nad strzechami. Czasem dolatywał jakiś „obcy" i między widzami rozpętywał się natychmiast hazard: które stado przyciągnie zabłąkanego ptaka. Przed kilkunastu laty Stefan liczył się między najtęższych gołębiarzy Przyborówki. Trzymał zawsze zaledwie cztery, pięć par. Ale były to same wyborowe, ćwiczone sztuki. Jastrzębie nie miały korzyści z jego „koków". Stefan pamiętał dobrze jednego z nich — dużego „siwka", barwy popielatej, niemal srebrzystej, z dwoma ciemnymi pręgami w poprzek skrzydeł, z mieniącą się pawim upierzeniem szyją, z tępym dziobem i oczami w grubych, białych okularach. Wszyscy gołębiarze zazdrościli Stefanowi tego ptaka. Był to rzeczywiście samiec mądry jak rzadko. Kiedy na

niebie ukazał się obcy gołąb, „siwek“ odrywał się od stada i zaczynał „bujać“ wokoło przybysza. Krążył przed nim i za nim, klepał rozpostartymi, w górę wzniesionymi lotami, zataczał koła i nieuchronnie wiódł zabłąkanego do swojego gołębnika. Nieraz tak się oddalił za cudzym, aż zginął Stefanowi z oczu; można było jednak spokojnie oczekiwać jego powrotu. Nadlatywał po paru minutach, a nieraz i po godzinach, klaszcząc z daleka wzniesionymi skrzydłami, szybując wprost na swoje podwórko, a za nim jak holowany na sznurku ześlizgiwał się w dół „obcy”. Ambicja czternastoletniego wówczas Stefana szczyciła się zdobyczami „siwego”. Niewiele korzystał z nich materialnie; jeśli zgłosił się właściciel, Stefan zwracał mu jeńca. Ukrywać zdobyczy nie chciał, a gdyby otwarcie żądał wykupu, to „siwy” niedługo latałby po tym świecie. A tak, chociaż kilka razy wpadł w zastawione na polach sidła, nie ukręcili mu łba; próbowali przyuczyć go do nowego miejsca. Kończyło się zawsze jednakowo. Po kilku dniach „siwy” wracał do domu; raz na oczach Stefana spadał ciężko na strzechę stodoły albo wprost na ziemię przed próg obórki. Kiedy indziej zaś rankiem Stefan znajdował go już siedzącego przed otworem gołębnika. Za każdym razem jedno skrzydło sterczało mu spętane jak kikut; z takim balastem potrafił przefrunąć z trzeciej albo i czwartej wsi.

Dla Stefana ptak ten znaczył o wiele więcej niż jakiś inny gołąb. Radował się jego wspaniałym lotem, kiedy umykając przed jastrzębiem, „siwy“ wzbijał się coraz wyżej i wyżej, aż tylko małym punktem ciemniał w błękicie, potem zaś ze świstem napiętych lotów spadał jak kamień prosto w otwarte drzwi sieni albo obórki. Stefan nie lękał się nigdy o wynik takiej ucieczki; również w czasie wypraw „siwego“ zaufanie Stefana nie zachwiało się ani razu. Było to zaufanie całkowite; zaufanie właściwie nie jak do ptaka. Stefan miał to od małego w naturze — nie dzielił żadnych uczuć. Któregoś dnia „siwy“ zaginął. Nie wrócił do gołębnika nazajutrz i przez cały tydzień Stefan szukał go bez skutku. Dopiero przed kościołem w niedzielę dowiedział się od chłopców firlejskich, że jego „siwy“ przyłączył się do stada młynarzowego i buja teraz z nim razem nad Firlejem. Stefanowi trudno było uwierzyć własnym oczom. Na podwórzu przed młynem pośród rozmaitych koków — kręcił się jego „siwy“. Zamiatając piasek ogonem, z wyciągniętą wysoko szyją gruchał zapamiętale i głupio do białej gołąbki, pilnie dziobiącej ziarno. Skrzydła miał swobodne, nie obcięte ani nawet nie związane. Młynarczyk triumfował, spędził stado i Stefan musiał patrzeć, jak w białej chmurze ptactwa posłusznie, wymachując wolnymi skrzydłami, jego „siwy“ żegluje w kółko nad obejściem młynarza. Młynarczyk przechwalał się — jego „wiedynka“ przybuja każdego gołębia; Stefanowego za parę chwil ściągnęła na dach. A tyle o nim gadali... Zażądał za zwrot polucha pary ceglastych newków, którą kiedyś upatrzył był sobie na stodole Guranowskich. Tego samego dnia jeszcze Stefan przyniósł okup. Bez słowa targu dokonał zamiany. Odebrał „siwego“ z rąk młynarczyka i wróciwszy do chałupy ukręcił kokowi łeb. Od tej chwili przestał się zajmować gołębiami i wkrótce wszystkie je rozprzedał.

Teraz, patrząc na kilka białych i pstrych obłoków mknących po jasnym niebie, przypomniał sobie „siwego“... Samotny gołąb kołował pomiędzy krążącymi stadami. Gwizdy gołębiarzy krzyżowały się w powietrzu.

— Zawróci... — upierał się jeden z firlejaków.

— Ale... przegraliśta... poszedł już...

— To bez tych świstoczy; muzykanty na koziej woli...

— Oo, patrzeć — zawraca... Mówiłem... Nie wygrata ze mną. Leci jak ta kula zwinny... Jaka to szybkość... Żeby tak człowiek spotrafił...

— Żółć mu przeszkadza...

— A powiadają, że Hitler podobnież w takiej maszynie uciekł... Prosto z bunkra esmany wystrzeliły go w górę...

— I gdzie spadł?

— Na samotnej wyspie zamieszkuje... Bombe ma przy sobie taką, że podobnież od jednego wybuchu mógłby pół ziemi zawalić...

Ktoś z tyłu pociągnął Stefana za rękaw. Odwrócił się. Praczykowa Sabina wlepiła w niego zaćmione spojrzenie.

— Szukałam cię, Stefku, wszędzie, zachodziłam do gospody...

— Masz co do mnie?

Kiwnęła głową bez słowa. Wargi drgnęły jej jak listki na wietrze, zwarzone źrenice zaszkliła mgiełka.

W komitecie ledwie usiadła przed biurkiem, popatrzyła na Stefana, podniosła ręce do twarzy i rozpłakała się nabrzmiałym, tłumionym szlochem. Stefan wiercił się bezradnie; w pierś pchnęło go podejrzenie. Poderwał się. „Z Antkiem — co?“ Podniosła ramię; bura ćma chustki mignęła mu przed oczyma. Zobaczył rozszerzone źrenice i całą twarz zastygłą w przestraszonym zdumieniu. Ciężar, który go przed chwilą przygniótł, spadł od razu. Stefan odetchnął.

— No, to czego ten płacz?

Sabina także jakby się ocknęła. Zaczęła mówić szybko, pociągając nosem i rozmazując na policzkach ślady łez. Płacze, bo nie może ścierpieć już takiego poniżenia. Jeść nie ma co... Dziecko głodne... Od ilu lat żyją w tej poniewierce, a przecież ona nigdy się nie skarżyła. Ale teraz już nie daje rady... — głos jej rwał się co chwila, załamywała chude palce albo podnosiła dłoń i przeciągała palcami po zapadniętym policzku. — O siebie już tak nie stoi... Ale dziecko, a teraz jeszcze drugie w drodze.

Dopiero w tej chwili Stefan spostrzegł wzgórowany w opiętym paletku brzuch kobiety. — Chłopak nocami woła jeść. A ten z jęczmienia bimber pędzi... Jest taki, co mu dostawia... Do roboty żadnej wziąć się nie chce... Rozpił się do reszty... O byle co piekło... A przecież dawniej nie znałeś lepszego od niego... Nigdy na nią ręki nie podniósł... Żeby się nie wiem jak upił, zawsze był człowiekiem... a teraz... Wczoraj tak ją zbił, tak sponiewierał... — Gwałtownie podciągnęła rękaw palta; na chudym ramieniu ciemniało kilka rozlanych sińców. — Musiała zasłaniać głowę, bo by ją chyba zabił... Rodzina woła ją do siebie, każą go rzucić; już sama nie wie, jak postąpić... Przecież bez niej on się straci... Przez ten bimber tak wariuje... Żeby choć zarobił... Raz dał jej tysiąc złotych, a tak przepija... Jeszcze go zamkną do więzienia. Przyszła, żeby Stefan pomógł coś, żeby wyciągnął przyjaciela z biedy.

— Dla kogo Antek bimber pędzi? — zapytał Stefan. — Kto mu daje jęczmień? Komu on samogon odstawia?

Sabina nagle znieruchomiała; przemknęła w bok spłoszonym spojrzeniem. — Ona nic nie wie o tym... Antek się pilnuje... Bimber odnosi nocą... — Urwała; szarpiąc frędzle stygła w coraz twardszym milczeniu.

Stefanowi zaciążyła ta chwila, to niezrozumienie, które ich nagle rozdzieliło. Na chudej szyi kobiety pulsowała napięta żyła; w znękanych źrenicach jakby kulki gradu zajaśniały i powoli zaczęły topnieć... Żal napłynął Stefa-

nowi do serca; jak zawsze, kiedy go dotknęła czyjaś krzywda, poderwał się w sobie i jak zawsze poruszony współczuciem uderzył ciężkim spojrzeniem. „Nie szkodzi — mruknął. — Od niego dowiem się, jak jest; mnie on wszystko zwierzy.“

Ale Antek nie puścił farby. Wieczorem tego samego dnia pili razem ów bimber Antkowego wyrobu. W całym mieszkaniu pachniało zacierem jak w gorzelni. Szumówka miała oliwkowe zabarwienie i mętną treść, na dnie poruszonej butelki burzył się żółty mus; za to w smaku nie było czuć fuzlu, spirytus piekł zimnym ogniem. Pili bez zagryzania, Antek dolewał do wyszczerbionych szklanek. Na ławce, oparty o ścianę, pochrapywał już obezwładniony snem Powałka. Mały Józio spał skulony pod dziurawymi derkami, a Sabina siedząc przy nim co jakiś czas szeroko wytrzeszczała oczy, wpatrywała się w pijących a potem znów głowa zsuwała jej się na piersi.

— Żaden wstyd dla mnie — opierał się Antek. — Bimber kto wypije? Tak samo ludzie... Partii to nie szkodzi. Tego mi nie zarzucisz... — Przywitał Stefana pogodnie, bez drgnienia przyjął do wiadomości, że Stefan zna jego sekret. Nie tłumaczył się, od razu postawił litra i Stefan, niezadowolony z siebie, musiał wylądować przy stole. Od początku wzniosła się pomiędzy nimi jakaś zapora. Stefan słuchał niecierpliwie wojennych wspomnień. Potem Powałka utonął w pijackim śnie i Antek na próżno ciągnął go za włosy; zaczął więc odpowiadać na Stefanowe zarzuty.

— ...Żaden wstyd dla mnie... — powtarzał. — Filip niech na swoje ręce zważa. Ja go jeszcze przypilnuję... Spróbuj z nim teraz pogadać... Gdzie jest ta równość, cośwa się o nią darli?... Czy to było oszustwo? Ja w to nie wierzę. Ale oni zemszczą — „do dziadowskiej księgi zapisanyś, przepadło, zdechniesz dziadem...” ja bym jemu wypisał... Jeszcze ta chwila przyjdzie, wtedy ja powiem — przepadło...

Antek stuknął o kant stołu kostkami zwiniętej dłoni; spojrzenie strzeliło w bok; źrenice jego kryły się w zapaniętych oczodołach. Twarz Antka rzeczywiście wychudła i zdziczała przez ostatnie miesiące. Jakby wypchnięte z głębi jakimś rozruchem, sterczały kości policzkowe; wystawały twarde żuchwy i zaciśnięte szczęki. Zimną bladością przeświecała skóra przez czarną szczeć kilkudniowego zarostu. Na wysokim czole, aż po mocno przerzedzoną czuprynę, jak żywica na obłupanym pniu, lśniły pojedyncze krople potu. Naśladując czyjąś mowę Antek podnosił się nad stołem albo przemierzał izbę drobnymi kroczkami. Kilka razy podrywał się, jakby miał dokądś lecieć; bose, brunatne stopy szybko deptały gliniany tok. „Poszukaj” — przypomniało się Stefanowi przezwisko, którym obdarzyła Antka Lodzia. „Poszukam litra” — śmiała się... Teraz litr stał przed nim, a przecież coś go poganiało; Stefan przechwytywał umykające w bok spojrzenia przyjaciela. Antek poił się wodą, zgrzytając warząchwią o krawędź wiadra. Wszędzie, nawet u siebie w domu, wyglądał tak, jakby przed chwilą wpadł tutaj z lasu i zaraz zamierzał prysnąć dalej. Osadzić go czymś, jakimś mocnym słowem związać z tym życiem. Stefan męcząco, na próżno szukał takich myśli. Co ma wskazać człowiekowi, który walczył o ten dobry byt, a teraz zostaje wyśmiany, jako ostatni dziad. Wszystko wymyka mu się z rąk... Nieraz już próbowali wciągnąć go do jakiejś roboty. Łatwo było powiedzieć: „sam sobie winien“. Stefan czuł kłujący cierń tego niesprawiedliwego wyroku. A tak właśnie, tymi słowami rozmaici stawiali nad Praczykiem krzyżyk. Gdyby Stefan podzielił

z innymi tamto zdanie, byłby się wyparł przyjaciela. Jak łatwo mógł go teraz zepchnąć jeszcze niżej. Komendant ORMO — bimbrarzem... Podnieśliby krzyk... Stefan nie zapalał się gniewem o to przekroczenie. Sam, będzie dopiero rok, jak sprzedał swój aparat. Ale niechby Antek wydał dostawcę jęczmienia, niechby już teraz na oczach zerwał sitwę z kombinatorem. Tymczasem Antek ukrywał to nazwisko w gęstym milczeniu. „I tak już skończone — powtarzał — dzisiaj, jak na to, ostatni zacier i po krzyku. Więcej tego robił nie będę..." Stefan przyjmował do wiadomości zapewnienia. Chciał wierzyć Antkowi. Naturalnie najlepiej, żeby on sam wszystko zlikwidował. Dla niego to jedyny teraz ratunek. A dla Stefana, osobiście, ujawnienie takiego bimbrowego interesu w tym czasie byłoby bardzo niezdrowe. Toć nieraz popierał Praczyka, stawiał kontry Dykowowi, kiedy ten chciał zmieniać komendanta ORMO, gwarantował za Antka... Dykow byłby mu to wszystko od razu wypomniał... A przeniesienie do powiatu? Stefan kiwał więc głową, kiedy Antek zarzekał się, że sam kończy z gorzelnią... Przepili do jęczącego we śnie Powałki. Bimber mieszał myśli. W oczach Praczyka pojawiły się iskierki. Stefan chwycił ten błysk.

— Antoś, tylko ty mnie nie próbuj zlisić — powiedział surowo — bo najsampierw siebie oszukasz fatalnie...

Antek lejąc resztę bimbru z butelki i nie podnosząc głowy wzruszył ramionami. Wypili ostatek. Puste szkło rozdzieliło ich jeszcze bardziej. Antek poderwał się po następnego litra. Ale Stefan stanowczo odmówił. Było mu mdło i duszno. Na dworze odetchnął. Od razu, przestąpiwszy próg, znaleźli się jakby w środku gęstego lasu... Noc ich wchłonęła. Szli na przełaj wyczuwając swoją bliskość ramionami. Szum w głowach nie wiadomo z czego płynął, z bimbru czy od niewidocznych drzew... Antek zatrzymał się pierwszy na przeciwko mijanej topoli. W ciemnościach majaczyło kilka zaognionych światełek. Stefan ujrzał przed nosem hebanowy, lśniący jak oskołek węgla przedmiot.

— Te-te — mruknął Antek. — Zobacz, jak bije...

Błyskawica mrugnęła przed lufą, huk zerwał się i przeszył ciszę. Stefan wyjął swojego Visa. Rąbnęli po dwa razy — czyj głośniej... Jedno, drugie światełko przestało na nich patrzeć ze wsi. Psy za to zajazgotały.

— Zobacz, Trąbka się boi — Antek wskazał gasnącą na uboczu, jakby zwolna przymykającą się źrenicę. — Wszyscy się boją. — Najlepsza broń — Antek potrząsał pistoletem. „W niedzielę dzik wyszedł z choiniaków. Strzeliłem, aby tylko. A tu patrzeć: juszy. Tyle że poszedł jeszcze. Ale broń jak zegareczek...

Ciemność rozstępowała się przed nimi; niebo płynęło wezbrane siwymi chmurami; nisko wiatr przemykał i kluczył w zaroślach. Wszystko dookoła ogarnięte było ruchem; nawet grunt jeździł pod nogami; łąka uginała się za każdym krokiem. Noc zupełnie jak na huśtawce; trudno pogodzić własne ruchy z takim bujaniem. Za to w głowie miał Stefan jasno...

— Pamiętasz, jak chodzilim, zanim cię wzięli? — mamrotał Antek. — W nocy było wtenczas weselej niż dzisiaj. Po dniu rozmaicie, ale nocą. W nocy kto nad nami panował? Nie było mocnego...

Otoczeni ciemnością, jakby tą sprzed paru laty, nagle znowu zrównali się i poczuli sobie bliscy. Objęli się ramionami.

— Stefciu, coś ci powiem...

— Ja wiem, Antoś, ja wiem...

— Nie, ja ci powiem, Stefciu...

— No, to powiedz...

— Nie teraz; kiedyś to ci powiem...

Zamilkli obydwaj. Podmokła darń cmokała pod stopami. Coś zaszeleściło w badylach. „Ręce do góry!“ Stefan skoczył w bok, wyrwał pistolet z kieszeni, ale w tej chwili znajomy głos przeciągnął w zdziwieniu: „To wy, komendancie?“

Antek mamrotał gniewnie od dołu.

— To wyście strzelali? — wypytywał długi Bystrzycczak. — O, i sekretarz... a my biegniem ode wsi; myślelim — orzełki strzelają; ale byśmy zapruli...

— Wała — odburknął Antek, podnosząc się z ziemi. Stefan roześmiał się. — Ale cię rzuciło... Coś chciał... — ciągnął dotknięty Antek. — Od dołu bym ich porachował po jednemu. Wasze szczęście, żeśta się odezwali; gówniarze, już byśta leżeli tu za koleją...

Stało przed nimi kilku tych młodych z ORMO. Spoza szerokich pleców Bystrzyckiego ukazała się okrągła jak księżyc twarz Edka Paśnika.

— A ja powiem, towarzysze, że to niepolitycznie strzelać po nocy bez potrzeby, spokojnych ludzi nastraszyliście...

— Zamknij się — odciął Praczyk. — Ty polityku... Ty będziesz mnie uczył, kiedy ja mam strzelać — co?

— A chociażby, nie widzę w tym żadnego dyshonoru... Krytyka każdemu się przyda...

Niespodziewanie Antek przycichł.

— Tacy jak ty lepiej wiedzą. Pewnie... — dokończył gorzko.

*

Na zebranie przyborowskiej komórki partyjnej, które miało się zająć sprawą Praczyka przyłapanego w tych dniach na gorącym uczynku pędzenia bimbru, przybył osobiście Dykow. Jak zwykle, schodzono się do szkoły pojedynczo i opieszale.

— Chłopi żyli dotychczas podług słońca — tłumaczył Dykow, wyjmując z kieszonki bryczesów srebrną cebulę, a nadszedł taki moment, że wypada kierować się zegarkiem.

— Zegarkiem to się w mieście kierują — przerwał mu z miejsca Zbiciak. — A nasz na niebie wisi.

— Otóż właśnie — stuknął piętą Dykow. — Wy wciąż zaznaczacie różnice. Ale są już podobieństwa. Bydło żyje podług słońca, a chłop za nim. Teraz maszyna wymaga innego rozwoju tempa. Wypada żyć kulturalnie, wykorzystując zdobycze techniki.

— Miało się już rozmaite czasomierze — odezwał się dziadek Mazior, rozpychając stojących wokół Dykowa. — Taki jak ten wasz też posiadałem. Marki niemieckiej z cyferkami świecącymi.

W rzeczywistości był to jedyny w ogóle zegarek, który trafił do rąk Maziora. Kolejarz chodzący podczas wojny za szmuglem postawił go nieopatrznie do gry; Mazior uderzył po banku i zgarnął fant.

— Tylko, psiamać, z jesieni żem go gdzieści posiał.

— Bo karta was zdradziła — przyciął Zbiciak, częsta ofiara Maziorowego szczęścia.

Wszyscy pamiętali klęskę, którą zadał dziadkowi przyjezdny kontroler

geesów, osmyczywszy go między innymi z czasomierza. Tylko sam Mazior nigdy by się do tego nie przyznał. I teraz zignorował zaczepkę.

— A chodził, psiajucha, jak automat; żem go trzymał na wątpi w kieszonce, to na cały kościół głosił swoje.

Dykow już nie słuchał starego. Cofnął się za stół prezydialny, usiadł, ale zaraz znów wstał, szurnął krzesłem i jeszcze raz, dziubiąc palcem powietrze koło nosa, przeliczył zebranych.

— Zaczynajcie wreszcie — wysupłał z kieszonki zegarek, ułożył go na stole obok torby polowej i postukawszy paznokciem w szkiełko powtórzył: — Zaczynajcie, ja, żeby się paliło, waliło, za dwie godziny muszę być na uroczystości szkolnej w Michowie.

Stefan otworzył zebranie, oddawszy na początek głos nauczycielowi dla odczytania ostatniego protokołu. Zerknął na Dykowa i spostrzegł, że wargi ściągnęły mu się w cienkie ostrze, a spod stołu doleciało przyśpieszone pukanie obcasa. Chwilę jeszcze Dykow kręcił się w milczeniu, ale nagle łypnął na Stefana czarnym okiem i mruknął: „Wypadało przywitać mnie, zgodnie z obyczajem przedstawić zebranym". Stefan chciał odpowiedzieć, że i tak wszyscy tutaj znają przecież sekretarza, ale Dykow już się przechylił na drugą stronę i szeptał coś do Edzia Paśnika, dzisiejszego protokolanta. Jego obecność na tym zebraniu wróżyła dla Praczyka ciężki wyrok. Już zapowiadając przez telefon swoje przybycie Dykow klął i wykrzykiwał, że należy przykładowo ukarać winnego. — Jak to wygląda? — unosił się — taki skurkowany włożył reakcji broń do ręki. Ja go skończę. — Z komendy ORMO został Antek zdjęty natychmiast, jak tylko dotarł do powiatu meldunek o jego wykroczeniu. Nie wiadomo było jeszcze, ile dostanie w sądzie, ale pewnie ze trzy, cztery miesiące go nie minie — obliczał Stefan.

„...Po czym towarzysz Guranowski wezwał zgromadzonych do dyskusji na temat poruszony spekulacji oraz wszelkiego wyzysku..." — Płaszczuk, prężąc się po swojemu, wygłaszał protokoł.

Co parę minut drzwi się otwierały i ktoś spóźniony wchodził do klasy. Niektórzy zaglądali najpierw przez okna. Stefan zobaczył za szybą skołtunioną czuprynę i ocienioną zarostem twarz Filipa Panka. Filip zjawił się widocznie prosto z pola. Podwinięte nogawki cajgowych spodni ukazywały omszałe kurzem łydki. Na kostce czerwieniał skrzepły sopel. Stojąc w progu Filip jeszcze raz rozejrzał się po sali. Dykow zobaczywszy go przerwał rozmowę z Paśnikiem i pokiwał głową. Filip nie odpowiedział na jego uśmiech; wciąż jakby czegoś szukał, wcisnął się w pustą ławkę, opadł ciężko, aż zatrzeszczały deski siedzenia.

„Antek jest winny — myślał Stefan. Nic dziwnego, że Dykow obrzuca go wyrazami. Należy mu się kara." — Ale jednocześnie Stefan znał przecież niechęć, jaką Dykow od dawna obdarzał Praczyka. Wiedział, że drugi sekretarz lubartowski próbował kilka razy przepędzić Antka ze stanowiska komendanta ORMO. — Element awanturniczy i w dodatku pijaczyna — tymi słowami określał Dykow Stefanowego przyjaciela. Antek drażnił go i gniewał. Ale najwięcej, tak się wydawało Stefanowi, irytowała sekretarza bieda Praczykowa; zżymał się na widok postrzępionego szynela i dziurawych chodaków, w których wczorajszy partyzant defilował po pokojach komitetu. Kiedyś, przelatując gazikiem z Firleja przez Przyborówkę, zatrzymali się koło chałupy Antka, aby go także zabrać do miasta. Mżył kapuśniaczek, zziębli, szofer dłubał coś

przy motorze, Antek wołał na rozgrzewkę do izby; mimo to Dykow nie podniósł się z siedzenia. Złym okiem krążył po nędzarskim obejściu, milczał, ale dla Stefana było to wymowne milczenie. Gdyby Antek, jako ten dziad, inaczej się zachowywał; gdyby nie wyznawał tak głośno swojej partyjnej wiary... To właśnie manifestowane często przywiązanie i ta napastliwość wobec uznanych przez siebie za wrogów, widać było, również ostro jątrzą Dykowa. Wydawało się Stefanowi, że sama obecność Antka krępuje Dykowa. Nieraz ciskał się, że Antkowe wyskoki odrzucają ludzi od demokracji. Ten zarzut Stefan znał; jemu także Dykow powtarzał — zrazisz do nas jednego, od razu najmniej trzech dołączysz reakcji... Dlatego Praczyka uważał sekretarz za element awanturniczy... Dlatego chętnie słuchał ludzi takich, jak Edzio Paśnik, którzy wszystko zamykali w okrągłych zdaniach. I teraz w ucho Stefana wpadał z boku toczony półszept. Tymczasem „kolega w płaszczu" skończył odczytywanie protokołu. Z arkuszem w jednej dłoni i z żółtą teczką uniesioną ponad pulpity w drugim ręku przecisnął się pomiędzy ławkami do kąta, w którym siedział Praczyk. Stefan przedstawił sprawę krótko i sucho. Na wezwanie do dyskusji cisza zmąciła się w szmer skłóconych głosów. Pierwszy wstał Edzio Paśnik.

— Moim zdaniem, proszę towarzyszy, towarzysz Praczyk postąpił w sposób niegodny partyjniaka. Swoim uczynkiem towarzysz Praczyk postawił siebie w fałszywym świetle. Ja, proszę zebranych, jestem jeszcze bardzo młodym partyjniakiem, niedoświadczonym partyjniakiem, zaledwie przed kilkoma miesiącami zostałem przyjęty w szeregi partii, jednakowoż ja, proszę towarzyszy, młody, niezahartowany członek partii, nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego, co zrobił towarzysz Praczyk. A mianowicie pędził bimber, będąc w tym samym czasie komendantem ORMO.

— To już wszyscy wiedzą — mruknął Stefan.

— Jasne, wszyscy to wiedzą, towarzyszu Guranowski — nie patrząc na Stefana powtórzył Paśnik. — No, moim zdaniem, nie zaszkodzi, jeśli my dziś jasno uświadomimy sobie całe przewinienie towarzysza Praczyka...

Edzio cedził słowa ze spokojnym namysłem; mrużył lekko oczy, przez co spojrzenie jego nabierało wyrazu przenikliwości, przy tym nieznacznie rozdymał nozdrza niewielkiego nosa. Ubrany był czysto, pozapinany na wszystkie guziki i, jak zawsze, starannie uczesany. Czarna kurtka wojskowego kroju, ściśle dopasowana, obciskała szczupłą talię, wciętą w pasie. Od skroni aż za ucho bielała jak blizna równa kreska przedziałka.

„Czegoś taki przylizany?" przypomniały się Stefanowi słowa, którymi Antek uczcił Paśnika podczas przyjmowania go do partii. Edzio nie speszył się wówczas. W ogóle zawsze umiał się właściwie zachować. Odznaczał się powagą, spokojem, był skromny i uczynny. Dlatego cieszył się we wsi ogólną sympatią. On pierwszy z koła zetwuemowców zapisał się do partii.

— Nasza partia, towarzysze, mobilizuje cały naród do walki o szczęście i bogatą przyszłość ludu polskiego — ciągnął uroczyście — rośnie nasza ukochana ojczyzna zawdzięczając wytrwałej pracy wszystkich Polaków. Ale także znajdują się jeszcze rozmaite przeszkody na drodze. Jak na przykład, towarzysze, ten bimber. My, młodzi, dziwimy się, że starszy towarzysz, wypróbowany towarzysz, nie przełamie w sobie i nie zdoła wyrwać się ze szponów zgubnego nałogu. Bo, proszę towarzyszy, dla człowieka partyjnego nie wystarcza żyć jedynie wczorajszym dniem. Jak ktoś ma zasługi, to jasne, że my, młodzi, jeszcze

bardziej oglądamy się na niego, chcielibyśmy wzorować się na nim, więc taki towarzysz siłą rzeczy powinien dzisiaj dawać młodzieży przykład swoim postępowaniem...

— Jak ksiądz gada — z uznaniem szepnął Bąk, członek egzekutywy.

Sala słuchała Edzia w milczeniu, ukołysana melodyjnymi słowami. Na twarzach tych z pierwszych ławek powschodziły uśmieszki. Stacho Powałka aż przekrzywił głowę, „patrzcie go", zdawał się mówić, „jaki polityk..." Nawet Dykow, który nie miał w zwyczaju uważać w czasie cudzych wystąpień, tym razem wyciągnął szyję i kręcił głową jak nadsłuchujący piejak, zanim się sam odezwie. Już po chwili zaczął przytakiwać mówcy, szczególnie w tych zdaniach, które wprost atakowały Praczyka.

— Chyba raz załatwisz z tym dzikiem — mówił do Stefana jeszcze w drodze na zebranie. — Przyjaciel, nie przyjaciel, jak, jego mać — łobuz. Wypada, żebyś na odchodnym zostawił czysty teren. To może być twoja ostatnia ankieta, jako firlejskiego...

Stefan nie zdążył wówczas odpowiedzieć, bo ktoś się przyplątał i Dykow skoczył na niego ze swoimi naukami. Antkowi, rzeczywiście, należało się... Minęły bez mała dwie niedziele, jak obiecywał przecież zlikwidować bimbrownię. Tymczasem złamał słowo. Tłumaczył się przed Stefanem: — tamten, który mu był dostarczał zboża, zażądał zwrotu pożyczki. A i tak cała uciecha faktycznie się skończyła. Antek przedstawił na to dowód Stefanowi — kowal firlejski przyznał się, że utargował już od Praczyka aparat, zamierzając przekuć blachę na wiadro i bańki dla mleczarni. — Nie należało jednak wtedy zawierzać Antkowi — zarzucał sobie Stefan — tylko własne oko gwarantuje... — czuł, jak ta głupia sprawa grzęźnie w nim samym. Ale jednocześnie wyczekiwane przeniesienie do powiatu było teraz bliższe niż kiedy indziej. Nawet Lodzia dowiedziała się już o tym poprzedniego dnia, spotkawszy Dykowa.

— Ten twój Dykow... — zdawała Stefanowi relację po powrocie z miasta, stuknęła w podłogę drewnianym obcasikiem. — Ty się do niego na pewno uprzedziłeś. Kopie, wierzga, ale chyba nie gryzie, co? — Kazał nam się szykować do przeprowadzki. — Taki sokół, jak pani mąż, powiada, job jego mać, szkoda, żeby się gdzieś po gminach marnował. Otworzymy przed nim świat i niech pokaże, do czego jest zdolny...

„Do czego zdolny? — Żebyś wiedział — czuję się na siłach, dużo mogę pociągnąć..." — Spojrzenie Stefana starło się w przelocie ze wzrokiem Dykowa — Paśnik tymczasem kończył swoje.

— ...My, towarzysze, musimy odciąć się od takiego postępowania, powiedzieć jasno — kto robił zakazany interes na wódce, ten, bezstronnie biorąc, staje przeciwko interesom Polski Ludowej, naszej partii...

— A ty sam? — klinem wbił się w mowę głos z głębi sali, biała czupryna Franka Marzęty wynurzyła się w ostatnim rzędzie. — U waju nie pędziliśta? — Aby Pańskiego lata jeszcze, widziałem...

Edzio przeczekał, aż Stefan uciszy hałas, po czym odparł spokojnie:

— Towarzysze, mówimy o dniu dzisiejszym, a co do przeszłości, jasne, nikt nie zaprzecza, pędzili mój tatulo za okupacji i jeszcze trochę czasu po wojnie; ale kto, towarzyszu, u nas we wsi nie służył temu szklanemu bożkowi. Zdziczenie panowało w narodzie, towarzysze... Jeszcze nadmienię co do mojej osoby, jako w odpowiedzi: mnie zarzut towarzysza Marzęty nie dotyczy; byłem, jak wia-

domo, nieobecny, wywieziony na przymusowe roboty rolne do Rzeszy, gdzie przebywałem do ubiegłego roku, na skutek komplikacji zdrowotnych. No, pomijając to wszystko, towarzysze, dzisiejszy dzień jak ranek po nocy niepodobny jest do tego, co było. Dziś po prostu powiedziałbym, wstyd puszczać się na takie procedery, kiedy nasze państwo ludowe dało każdemu możność, żeby uczciwą pracą doszedł do dobrobytu i do majątku... Więc ja, towarzysze, powiem jasno, po partyjnemu: nie mam absolutnie nic na obronę towarzysza Praczyka...

Edzio usiadł; Dykow demonstracyjnie podniósł dłonie i wodząc wzrokiem po sali głośno zaklaskał. Odpowiedzieli mu pojedynczo z pierwszych ławek; jakby oddział ostrzeliwujący się w tyralierce. Większość milczała, niektórzy szeptali między sobą, Stefan zahaczył spojrzeniem o Panka; Filip nie klaskał, grube palce poruszały się, skręcając palenie; wzrok miał skryty pod powiekami. „Jednak pamięć go nie opuściła" — pomyślał Stefan.

— No, kto się teraz wypowie? — rzucił. — Kto chce?

— Co tu... Wiele się na tym dorobił, spojrzeć ino...

— Bo teraz już samogon nie płaci. Meter jęczmienia — cztery tysiące.

— Przed niedzielą trzy i pół stało...

— Tylko do rzeczy, towarzysze, wypowiadajcie się w sprawie „Cukiera".

— Oj, oj, na co ci to było, Antoś? — zmarszczył się stary Stachowicz, najeżył wargi, czoło pofałdowały mu długie bruzdy. — Kłopot, ci mówię. Nie trza go było słuchać, oszukańca starego; to to na nic, kiepski człowiek, aby się poślizgnąć na drugim...

— Strefił się Antoś, pewnikiem jego wina...

— Ja tam za pośledztwem nie jestem — mruknął Zbiczak — sąd mu i tak zmierzy grzechy.

Szurnęło gwałtownie odsunięte krzesło; nad stołem wzniósł się Dykow.

— Tu u was, ja widzę, nie zebranie partyjne, kochani towarzysze, a nastajaszczy burdel. — Potrącił nogą krzesełko, jakby mu zabrakło miejsca przy stole, przesunął się za Stefanem, za Bąkiem, stanął naprzeciw ławek. — Tak nie można obradować. Słusznie nadmienił towarzysz Paśnik — jak my sami nie będziemy siebie szanować, to i nikt nas, naszej władzy tak samo nie uzna. Co to za powiedzenie — i tak zmierzy grzechy. Sąd sądem, a wy od czego jesteście? Karę macie wymierzyć; potrzeba wyciąć ten wrzód, to nie oglądajcie się na nic — wycinajcie do cholery. Sprawa stoi prosto, kto przynosi wstyd partii, tego, towarzysze, wyrwać, i to tak wyrwać z szeregów, żeby w końcu marny ślad po nim nie pozostał...

Wzrok Stefana padł na Praczyka tkwiącego samotnie pod oknem. Przy ostatnich słowach zwieszone powieki Antka drgnęły, skurcz ścisnął policzki; Antek nie poruszył się jednak, został oparty łokciami o pulpit, z głową wciśniętą w ramiona.

— Trzeba szerzej myśleć, towarzysze, szerzej... — ciągnął Dykow. — Co ludzie mówią o nas? Najpierw gadali — komuniści nie dadzą rady; jak te chamy nieuczone pokierują całym państwem? A my rządzimy. I rządzimy sto razy lepiej niż pieprzona sanacja. Do czego oni doprowadzili Polskę, ci uczeni panowie, co kończyli wysokie szkoły za granicą, wykształceni panowie inteligenci, rozmaici inżynierowie, profesorowie? Doprowadzili do klęski, do poniewierki, do zniszczenia narodu. Bo sami byli zaprzedani wrogom. A my bez tej wielkiej nauki, prości robociarze, przed którymi bramy gimnazjum były zamknię-

te na złotą kłódkę, myśmy postawili Polskę na nogi, nigdy nie była Polska taka silna, jak za naszych rządów. Teraz znów niektórzy powiadają, że partia zasila się samym elementem, czyli rozmaitymi łobuzami. A przez to porządni ludzie stronią od nas. Więc my, towarzysze, nie możemy iść na rękę wrogiej propagandzie. Ażeby nie pokazywali palcem — tacy są wszyscy komuniści, aby nie głosili, że my kryjemy łobuzów, bo wszyscy od góry do dołu jesteśmy tacy sami. Wypada teraz przyjmować w nasze szeregi ludzi szanowanych przez ogół, wartościowych obywateli, którzy imponują masie, a nie najrozmaitszych pijaków... Tacy jak Praczyk odstraszają od partii...

— Ja nie od dziś — gwałtownie pękło milczenie Praczyka — dziesiąty rok w partii...

— Tacy stanowią element awanturniczy — ciągnął jakby nie słysząc Dykow. — Co to jest element? Taki element sieje niepokój w robocie politycznej, nikogo nie szanuje, rozrabia naokoło, a wszystko przez to, że sam, job jego mać, nie potrafi żyć jak człowiek, dorabia się czegoś, chociaż władza ludowa dała mu możność; woli w brudzie, w smrodzie... — „Za to go nie potępię. Od biedy ludzkiej przecież nie wolno partii się odwrócić. Ale Dykow zmierza bezlitośnie do swojego celu. Dla Antka byłby to cios w samo serce. Dykow występuje w imię władzy partyjnej — myśli coraz szybciej tłoczyły się do głowy Stefana, parły jednocześnie z kilku stron, ścierały się. — Komitet trzyma ster polityki. Kiedy sam znajdę się już w powiecie, będę tak jak Dykow odpowiedzialny za linię partii. Dykow nie zatwierdzi mnie, jeżeli teraz sprzeciwię się jego zamiarowi. Ten zamiar jest zresztą jakby celem partii. Chcąc nie chcąc, powinienem mu się poddać. Czy wystarczy oprzeć się jedynie na własnym sumieniu? Od śmierci Sidora nie mam bliższego przyjaciela niż Praczyk; znam jego myśli; sam wręczałem niejednemu legitymację partyjną; wiem, że nawet tutaj wielu mogłoby ją zwrócić bez słowa żalu; ale jemu właśnie trzeba by ją wydzierać przemocą. Dykow ma rację, że niektórzy cieszyliby się z klęski Antka. A Mikołaj Paprocki? Dlaczego temu gadowi uchodzi na sucho, chociaż tylko on pociągnął z Antkowego ryzyka? Kiedy będę w powiecie, przyduszę takiego przy pierwszej okazji. Stamtąd dopiero można coś zwojować. To Mikołaj jest spekulantem...“

— ...I każdego spekulanta, job jego mać, niemiłosiernie... Sprawa stoi prosto.

Dykow znalazł się znów za stołem prezydialnym; przesunął zegarek, spojrzał na tarczę i z powrotem przeniósł wzrok na salę; Praczyk obracał w palcach kałamarz, z pulpitu kapały na podłogę czarne krople; Płaszczuk pochylił się nad nim i Antek zaczął wycierać ławkę rękawem szynela.

— Więcej nie ma co tracić drogiego czasu. — Dykow siał słowami. — Wszyscyście chyba zrozumieli, że partia musi oczyszczać się z elementu. Nie ma potrzeby przeciągać zebrania, głosujcie. Kto jest za tym, żeby natychmiast usunąć Praczyka z naszej partii, niech teraz podniesie rękę...

— Czekajcie — zerwał się Stefan.

— Tak nie idzie... Trzeba niech inni też, towarzyszu Dykow. Ja sam chcę powiedzieć — wzburzenie plątało zdania Stefanowi. — Tak nie przejdzie... I Praczyk ma jeszcze prawo. Dopiero będziem głosować...

Dykow obrzucił Stefana rozjarzonym spojrzeniem, trąchnął nogą potrącając krzesło.

— Wy mnie tylko nie uczcie procedury, dobrze? Nie ma u was partyj-

nego podejścia, towarzyszu gminny sekretarzu. Sprawę uważam za wyczerpaną. Szkoda czasu; głosujcie...

— To nieformalnie — poderwał się Płaszczuk — przerywać dyskusję.

— Osobiście czuję język w gębie... — rzucił ktoś z kąta. — Głosować, aby prędzej...

— Od góry napór idzie...

— A my się i tak nie podpiszem...

— Wy mi nie zabierajcie głosu, towarzyszu... — Stefan zacisnął szczęki, wyostrzone gniewem spojrzenie utkwił w Dykowie. Dykow również kipiał; widać wahał się chwilę, chwytając zdania rzucane z ławek, jakby ważył siłę oporu swoich przeciwników. Odwrócił do Stefana już opanowaną twarz:

— Nie macie podejścia, Guranowski. Ale nikt wam pomimo to głosu nie odmawia. Proszę, gadajcie...

— Towarzysz Dykow wie, jakie powinno być podejście partyjne — zaczął szybko Stefan. — Ale ja się nie zgadzam z jego podejściem do Praczyka. Z tego, co tu głosił, wychodzi, że Praczyk jest obcy partii jako element... Znaczy, że jest wrogi. A ja się z tym nie zgodzę, towarzyszu Dykow...

— Uhm... — mruknął sekretarz, nie podnosząc głowy znad brulionu, do którego coś szybko wpisywał.

— Tak jest, nie zgodzę się. My, cała gromada, znamy „Cukiera" na wylot; jego, jak na to zasługuje, ukarzemy; ale w tej sprawie bimbru była jeszcze inna ręka, właściwiej nazywając — głowa... Paprockiemu Mikołajowi uszło na sucho. Zarobił na tym interesie i teraz śmieje się po kątach. Towarzysz Dykow mówił o tych, co nie umieją żyć po ludzku. Po mojemu to jest pytanie, co znaczy „ludzkie życie". Paprocki ma z czego pożyczać, więc potem odbija swoje na skórze drugiego. Praczyk też pędził na jego konto w ostatku, żeby się wysupłać z długu. Czy to ma być to życie po ludzku, o którym mówił towarzysz Dykow?

— Bez demagogii, Guranowski; nie ucz mnie walki klas; ani jedno, ani drugie...

— A ja powiem — jedno przy drugim. Wy mówicie — wyrzucić z partii. Za ostro, towarzyszu. Niech powiedzą jeszcze inni, co chodzili z Praczykiem w lesie, niech oni powiedzą, czy należy mu się od nas taki wyrok, sumiennie niech zdecydują; czy to będzie sprawiedliwie — przekreślić wpół człowieka. Niech wszyscy powiedzą; na przykład ty, Filip — rozważ swoje zdanie...

Panek podniósł głowę, ale zaraz, jakby mu zaciążyła, zmarszczył się, zwiesił czoło wzruszywszy ramionami.

— Wam, towarzyszu Dykow, Praczyk zrobił się duży w oczach, podług was on odstrasza dobrych obywateli od partii; nie wiem, kogo macie na myśli; ale ja wiem tyle, że Praczyk kłuje w ślepia najsampierw całą reakcję; i po mojemu wypada, żeby tacy znali właśnie ten strach przed partią. Gdybyśmy wyrzucili Antka, to dla nich gotowa uciecha. I tak podpuszczają niektórzy, jako partia nie sprzyja biednemu chłopu. Niejednego już judzili — co masz z tej legitymacji? — Antka ile razy próbowały zajść od tego frontu. A przecież partia trzymała i będzie trzymać za biedotą... Bo jak wreszcie miałoby być? Po co to wszystko, ja swojego celu nie stracę, nikt mnie nie zawróci... — Stefan wyrzucał myśli nieporządnie, tak jak się tłoczyły do głowy; poganiała go niecierpliwa chęć, żeby powiedzieć tutaj wszystko, co wezbrało dokoła ostatnim czasem. Zaczął opowiadać o swojej rozmowie z Antkiem przed dwo-

ma tygodniami, kiedy Praczyk zamierzał z własnej woli zlikwidować bimbrownię. Ale wtedy upomniał się o swoje Paprocki, wymusił na konto długu jeszcze trzy zaciery. Na koniec Stefan dał wniosek: uchwalić dla Praczyka naganę z ostrzeżeniem. Ledwie urwał to chaotyczne przemówienie, doleciał go przyduszony głos Dykowa:

— Uprawiacie kumoterstwo, to się wam zanotuje...

— Notujcie — odrzucił zuchwale Stefan; gniew go ponosił. Gdzieś w zakamarkach mózgu błysnęło ostrzeżenie: tym sposobem staje na przekór własnemu interesowi; Dykow nie daruje sprzeciwiania się swojej woli. Ale napór myśli natychmiast zgasił wątpliwość. Z końca sali wyrwał się jak zawsze podrażniony Marzęta.

— Iii tam, bieda z biedą, jak powiadają, na przyprzążkę; zawszeć będziesz miał ino dwie biedy, a bogatego z jeich nie złożysz. Bieda wraz śmierdzi. Nie wierzę, Stefan... Komuj przypisana, tego i w partii nie kochajo... Dostałem w ostatku deski na te chałupine...

— Ohoho... — zaśmiał się Edzio Paśnik. — Franciszek znowu w kwestii budownictwa...

— Tyś mądry... Sprzedaj aby głupiemu rozum, będzie i ze mnie polityk...

— Dajcie spokój. — Edzio zarumienił się. — W dobrej woli żartowałem.

— Kończ, Franek...

— Dostałem przydział, a jakże, kantówek dwadzieścia metrów, półtoraków — dziesięć, kwit do ręki. Proszę bardzo. Ino towar w Czerwonym Borze. Ile? — Piętnaście kilometrów; chyba na plecach przenieść. Prosiłem tego towarzysza, drugiego — pomóżta; iii tam. Albo koń za słaby, albo znaturzony, albo się ochwacił, co insze jeszcze. A kwit trza na dniach mieniać. Dopir jeden przystał, żeśmy przyszli do zgody. Za podwodę zabrał pół desek...

— Nie prosiłem się... — przeciął „Białemu" ostry półkrzyk Filipa. — Sam żeś nastawał...

— Ano, juści... Ino cóżem miał?

— No i co? Umówiłeś się. — Panek grzmiał z góry, jakby z wozu pędzącego po grudzie; rozpychał się w ławce, aż trzeszczały pulpity i oparcie. — Teraz wywlekasz. I co wywlekasz? Jeszcze żebyś nie przyszedł drugi raz... Ci mówię, że przyjdziesz...

— Dosyć już, chłopy — wtrącił się Stefan. — Wracajcie do sprawy.

— Przypomniałem sobie, jak to z Paprockim — zaczął nagle dziadek Mazior. — „Stary człowiek to na nic — powiada Mikołaj. — Człowiek powinien żyć do pięćdziesięciu lat, a potem umierać. I tak, i tak — powiada — zarówno zgnije w ziemi. To po co przeszkadzać młodemu światu?" „Mikołaj — rzekłem na to — nie mów uff, boś nie przeskoczył przez rów..." I co, patrzeć — na przewodnią Paprocki złamał nogę pod suchą wierzbą. Wierzba stoi do dziś dnia...

— Mazior, do czego wy to gadacie, wiążcie ze sprawą...

— Jakże? — oburzył się stary — przecie względem wypowiedzi...

— Kto dalej?

— Towarzyszu Panek — wtrącił się Edzio Paśnik. — Może wy przedstawicie swoje zdanie na temat postępku towarzysza Praczyka. Trzeba przekonać ludzi. Powiedzcie...

— Ja? — Filip uniósł głowę, źrenice jeszcze mu zezowały gniewnie, rozejrzał się, wzruszył ramionami. — Ja nie posiadam gadanej. Są pyskacze...

Niechta... Dawniej tożem też nie pyskował jak inni... Chodziłem... — Zacisnął brudną pięść i potrząsnął niby karabinem. — Tero ja się zdaje na te ręce i na żadne nic. Patrze swojej roboty... A kto chce, niech się poi władzą... Niechta... — Obejrzał się na Praczyka, poruszył wargami, wydawało się, że rzuci jakieś słowo, ale nagle machnął dłonią i nieprzyjaźnie zesznurował usta.

— A ty, Filip, nie powinieneś się wywyższać — powiedział Stefan. — Odszedłeś z własnej chęci od roboty partyjnej; żyjesz na uboczu, jak zarażony; właściwie to wychodzi na jedno, jakbyś zdezerterował z frontu; w dodatku szczycisz się swoim odwrotem...

Głos Filipa wzbił się teraz wysoko ponad zamęt i szum zebrania.

— Ty mi dezertera nie wymawiaj. Możem się z bitwy cofnął? Mnie ludzie znają i towarzysz Dykow mnie zna. Nie było mocnego, żebym ja przed nim potrzebował uciekać. Towarzysz Dykow wie, jak jest; swojem zrobił. Znają i was. Jak i „Cukier". Ludzi szarpać. A jakże... Wiem, co gadam... — Odwrócił się do Praczyka. — Nie posyłałeś swoich na prześpiegi? Ja bym ich tam... Ręka boska strzegła, żem w kieszonce nic nie miał. Już byś nimi nie rządził... A inni też, niektórzy. — Przeciągnął ciężkie spojrzenie po Franku Białym, po Zbiciaku, po Powałce, podniósł w górę rozczapierzoną, odwróconą dłoń i zacisnął palce przed nosem, mówił z płaczliwym akcentem, przytakując sobie wysuniętą głową. Aby tak człowieka poderwać, aby mu się broń Boże nie wydarzyło; tylko go zawstydzać nie wiadomo z jakiej racji... Albo i jakiem prawem? Ja nie kradnę. Ja nie letką ręką zdobywam na życie. Władzy swojej ja nie podchodzę. I władza mnie też nie oszuka, od ziemi mnie nie odsadzi. Dla niej krew puszczałem...

Zawiesił głos, stuknął pięścią w pulpit. Dykow zaklaskał kilka razy.

— Chcecie wiedzieć, towarzyszu, moje zdanie co do sprawy? — zwrócił na Dykowa wyostrzoną twarz, w jego zwężonych źrenicach błysnęło coś znajomego Stefanowi. — Nie powiem, chodzilim razem, mierzylim do jednego celu; zdawało się... A czy on to uszanował? Nigdy... Judził dokoła mnie, aby tylko. Od samego pierwszego dnia, jakżem wrócił na swoje, tak mnie podchodził. Wyrzucić takiego z partii, to mało. Kazać przesiedlić z wioski, oo, gdzieści na Zachód, to by skutkowało.

— A tobie grunt oddać, co? — palnął Stefan, jakby pierwszy raz ujrzał Panka, wbił w niego spojrzenie. W sali zakipiało. Niektórzy wstawali z miejsc, żeby lepiej widzieć Filipa i pobladłego Antka. „Po co, Filip, lepiej od razu go rozstrzelaj" — poderwał się głos Zbiciaka.

— Wyśta obaj zgodne — darł się Panek, wyłażąc z ławki. — Praczyk i ty, Stefan, jedna zmowa, ja was poznałem. Do czego wy dążyta?.

— Do czego, no?

— Chcesz wiedzieć? Przeciw chłopu robita podchody, przeciw chłopu.

— Takiemu jak ty.

Panek, przecisnąwszy się między rzędami, stał naprzeciw prezydium, pochylony, jakby miał zamiar skoczyć na Stefana. Nagle odwrócił się do sali; natchniona groźną myślą twarz zaświeciła zebranym.

— Do kołchozu „Cukier" podburza. Nie było tak? Nie było? Do tego dążą...

Przez chwilę słychać było klekotanie wozu na drodze. Pod oknem zamiauczał przebiegający kot.

Poderwał się Dykow: „Może skończyć z tym, róbcie głosowanie". Kłapiąc drewniakami po skrzypiących deskach Filip skierował się do drzwi.

— Nie wychodź, Filip, głosujemy — zawołał za nim Stefan.

Panek odwrócił się od progu. „Szkoda słów; i tak sforsujeta swoje.” — Machnął ręką.

— Musicie jednak formalnie oddać głos — oburzył się Dykow.

— A ja za większością, zawsze i wciąż za większością... — Uśmiechnął się krzywo do Dykowa. — Przebaczcie, towarzyszu — krowa mi się cieli... — Szybko zamknął za sobą drzwi.

Dykow stuknął nogą, zakręcił się na krześle. „Anarchia, towarzyszu sekretarzu” — szepce pochylony nad papierami Edzio Paśnik.

Głosowanie, tak jak przepowiedział Panek, przebiegło po myśli Stefana. Praczykowi udzielono nagany z ostrzeżeniem. Tylko trzech towarzyszy, między nimi Paśnik, wstrzymało się od głosu. Po zebraniu Dykow wyskoczył z klasy, jak na alarm. W biegu zaciskał rzemienie torby polowej i wpychał jakieś papiery w kieszenie szynela. Gniew zatknął go, nie rzucił zebranym ani słowa. Ale, czekając na szofera przed samochodem, zdążył widocznie ochłonąć. Polówkę miał już przewieszoną przez ramię, ręce spokojnie trzymał w kieszeniach; stał oparty o motor gazika. Obok kręcił się Edzio Paśnik.

— Naraziłeś się, Guranowski — mówił Dykow. — I nie mnie, ale partii się naraziłeś. Łamiesz dyscyplinę. Myślisz, że w partii wystarczy zdawać się na własny rozum. Mądrzejszy od ciebie nie wszystko ogarnia. Trzeba szerzej myśleć. Partia stoi na dyscyplinie, a ty nic sobie nie robisz. Dobrze... Dostaniesz po nosie...

— Trudno. Swego zdania i tak nie cofnę...

— Dziwny człowieku — zdenerwował się Dykow. — A cóż niby jest to twoje zdanie? Co ono takie specjalne? A gdzie linia partii? Myślisz, że zawsze będzie ci się to zgadzać? Oho... Chcesz krakać własnym tonem, to nie w partii... Każdy, job jego mać, na swoje wykręca. A partia ma być siłą.

Stefan nie zdążył odpowiedzieć. Szofer zapuszczał motor i Dykow wyszarpnąwszy z kieszonki zegarek woła: „Gazuj, synu; zbałamuciłem godzinę za wiele“. I do Stefana: „A ty, Guranowski, nie licz już na Lubartów...“

Auto skoczyło z miejsca, Dykow kiwnął się w siedzeniu, dmuchnęło niebieskawym swędem spalin; zanim dym rozwiał się, gazik przepadł już za pierwszym zakrętem.

Ze szkoły jeszcze wychodzili ludzie; coraz któryś doganiał Stefana, szedł z nim kawałek, mówił coś o szarwarku, o podatku albo o jakiejś robocie, do której było mu śpieszno, i po chwili drogi ich się rozstawały. Stefan szedł wolno; ciężko mu się szło z tymi myślami wlokącymi sprawy zebrania. Powiedzenie Dykowa przekreślające nadzieję na Lubartów nawet nie ugodziło go mocniej. Zrozumiał, że skoro tak różni się z sekretarzem, to teraz nie ma dla niego miejsca w komitecie. Z tej myśli snuła się rozterka. Czy to nie partia, choćby w osobie Dykowa, potępia go za wyskoki? Pierwszy raz wydało mu się, że czuje na sobie wzrok partii. Idąc ze starym Stachowiczem, próbował u niego znaleźć podtrzymanie. Pytał, czy jego zdaniem we wsi ostro krytykują Praczyka.

„Zboża ludziom braknie...” „Kłopot” w gumiakach miękko stąpa po rozjeżdżonej drodze. Co parę kroków guma z cmoknięciem odlepia się od gliniastej mazi. W powietrzu wisi rzęsa kapuśniaczku; zieleni się Zawodziakowa ozimina; wilgoć powlekła listki lśniącym lakierem. Jedwabisty łan ciągnie spojrze-

nie aż po szereg brzóz bielejących w szarej mżawce na tle mętnego nieba, przez które dołem prześwituje miedziany blask zachodu.

— Na wzgórku mi wypaliło, musowo od nowa zasiać; ci mówię, Stefku, kłopot...

Stachowicz chlupie wodą w kałużach, grubym palcem strąca z nosa zwisającą kroplę.

— I u innych wymarzło. A ze ziarnem coraz gorzej. Oj, oj, co to się wyrabia, niemożebna tutaj spekulacja. Ci mówię, Stefku, wziąłbyś się ukrócić to, to...

— Ja o zupie, a wy o trupie — wybuchnął Stefan. — Pytałem was o Antka.

Stachowicz spojrzał podejrzliwie. „Nerwowyś czeguj..." Zamilkł zgorszony, pokręcił głową, po chwili godnie się pożegnał.

Nikogo, widać, nie poruszyło to zebranie. Z kim tu porozmawiać? Kogo się poradzić? Ciągną ich sprawy gospodarskie, a to, z czym on teraz się próbuje, dla nich byłoby obce. A gdyby zresztą „Kłopot" albo Zawodziak, albo nawet Wojciech Bąk wypowiedzieli się po jego myśli, czy to by go zadowoliło? Jeżeli Dykow zdecydował w imieniu partii, to cóż oni mogą wnieść przeciwko temu zarządzeniu? Stefan porozmawiałby teraz z kimś odpowiedzialnym, zapytał go, jak to właściwie jest z sumieniem partyjniaka, czy tak, jak głosi Dykow, każdy powinien je zdać do Komitetu Centralnego? Gdzie człowiek ma szukać tego najlepszego oparcia, żeby nie pobłądzić? — Stefan zatrzymał się; myśl, która mu zaświtała nagle, proste przypomnienie, dosłownie osadziła go na miejscu: „Zostawiliśmy Antka w partii, uratowałem przyjaciela..." To przypomnienie na chwilę rozproszyło chmury. Poczuł, że to właśnie jest najważniejsze i nieodwołalne, że nie mógłby się tego wyprzeć i do końca broniłby swojego towarzysza. Od razu mu ulżyło. Zaciągnął się głębiej soczystym powietrzem, wezbranym chłodną rosą wiosennego dżdżu. Z gałązek pęczniejących kleistymi kulkami zwisały nabrzmiałe, przezroczyste krople. Dźwięk piły wypełnił obejście Zbiciaka. Zapachniało cierpko mokrą sośniną. Stefan szedł dalszą drogą przez arendę, nie spiesząc się, aby jeszcze w samotności zważyć dzisiejsze zwycięstwo i porażkę. W domu na pewno jak zawsze czekają już rozmaici interesanci. „Jak do znachora, tak się złażą" — złościła się często Lodzia. Nie miał dzisiaj głowy do wysłuchiwania skarg. Miał własny zgryz i chętnie sam podzieliłby się z kimś swoimi myślami. Ale chyba z żadnym przyborowiakiem nie umiałby gadać o tych sprawach. Zawsze tylko oni przychodzili do niego, zawsze on ich wspierał, radził, pouczał i rozsądzał. Nigdy sam nie szukał u nikogo pomocy. Od roku zwracali się do niego jako do przedstawiciela partii. Każdy, kto przychodził do niego, mówił o sobie, on zaś musiał wejść w położenie tamtego. Przez ten czas zawsze tylko odpowiadał i nigdy prawie nie pytał. Jakże teraz miałby ugiąć się i pokazać swoje wahanie? I tak nie zostałby zrozumiany.

W domu rzeczywiście ktoś go oczekuje. Już w sieni, otrzepując wodę z kaszkietu i z kołnierza, usłyszał przez drzwi gwar rozmowy. Kiedy wszedł do izby, od razu natknął się na kobiece spojrzenie. Na chwilę zapomniał się w tych ciemnych źrenicach. Bąknął niewyraźne przywitanie i podając rękę zapytał Helenę, czy na niego czekała. Potrząsnęła głową; miała na sobie kurtkę z sinego sukna, przerobioną widocznie ze Stachowego szynela. Kapota była zbyt obszerna, tylko różowe palce wysuwały się z przydługich rękawów.

Siedząc na kufrze, Helena wyglądała w niej jak wędrująca żołnierka. Wstała i owinąwszy się szerokimi połami ściągnęła mocno rzemień.

— Idziesz już? — zapytała Lodzia. Siedziała przy maszynie i szarpiąc zębami nić pruła fastrygę.

— Nic nie masz do mnie? — powtórzył Stefan.

Helena zaprzeczyła — przyszła tylko do Lody w jednej sprawie...

W sieni otwarły się drzwi od mieszkania nauczyciela; Płaszczuk, energicznie wymachując teczką, dopadł Heleny.

— Pójdę z wami, towarzyszko Sidorowa, mnie po drodze...

— Wam z kobietą zawsze po drodze — mruknął Stefan.

Płaszczuk roześmiał się, chwycił rękę Stefana. „Gratuluję, towarzyszu, prima wystąpienie, na medal, nie daliście się zagiąć..."

Drzwi stuknęły za nimi. Stefan zatrzymał się przy oknie. Szli wąską miedzą jedno blisko drugiego; Płaszczuk zachodził jej drogę, zaglądał w oczy i tokował, migając żółtą teczką. Na szybie drobna ospa dżdżu zacierała obraz. Podniesiony kołnierz kurtki zasłaniał policzek Heleny. Ale Stefanowi wydało się, że Sidorowa uśmiecha się do nauczyciela. Ukłuty przykrym uczuciem odwrócił się od okna. „Ma się z kim włóczyć" — mruknął. „Kto?" — Loda podniosła głowę. — „A Helena. Z takim kogutem... Teraz będzie do niej przyskakiwał." — Loda wzruszyła ramionami. — „Jaki z niego kogut, prędzeń kurzeń. Aby się pokręcić."

Od pewnego czasu Lodzia dość lekceważąco wyrażała się o kierowniku. Zimą jeszcze „kolega w płaszczu" wyraźnie jej nadskakiwał. Potem nagle coś mu się odwróciło, zaczął odwiedzać dziewczynę Negalów. Teraz znów, kiedy tylko trafi się odpowiedni moment, wodzi spojrzeniem za Heleną. Lodzię to gniewa. Nie lubi niczego wypuszczać z rąk.

— No to z Lubartowem koniec — ogłasza Stefan, siadając naprzeciw niej. — Dykow mi odmówił.

Lodzia otwiera szeroko oczy, opuszcza płótno na kolana. — Jak to odmówił? Co ty? Jak to odmówił?

Stefan zaczyna po kolei opowiadać o zebraniu. Ale widzi, że nic z tego, co jemu wtedy dopiekało i teraz jeszcze go nurtuje, do niej w ogóle nie dociera; widzi tylko pusty strach w zwężonych źrenicach, zaciśnięte gniewnie wargi. Ogarnia go zniechęcenie. Przerywa relację i powtarza od razu rozmowę przy samochodzie.

Lodzia podrywa się; strach jakby z niej w jednej chwili wyparował. Twarz ma zwarzoną złością. Piskliwym, fałszywym głosem, którego jeszcze nie słyszał, zaczyna mu zarzucać głupotę i pychę, fałsz w stosunku do niej, przekładanie ponad nią przyjaźni do jakiegoś łobuza, podłość. Mówi, że wcale nie dziwi się Dykowowi, który przekonał się, z jakim awanturnikiem ma do czynienia... Stefan długą chwilę patrzał na nią zaskoczony. Milczał. To milczenie podnieciło ją do wzmożenia ataku. Zasypuje go znów lawiną zarzutów, pretensji i niemal wyzwisk. Pobladła, tupie nogami, załamuje dłonie. Ale i w nim gniew podnosi się już coraz wyższą falą, zalewa, gasi jasność myśli. „Przestań!" — woła pierwszy raz. — „Milcz!" — powtarza po chwili. Dłonie wbija coraz głębiej w kieszenie. Ona jednak nie myśli się zatrzymać. Chce się zemścić za ten zawód, który jej sprawił, chce go ugodzić jak najcelniej. „I tak obydwu was wyrzucą z tej partii — krzyczy — jego i ciebie, razem was wyrzucą, razem nie jesteście im potrzebni, nie są im potrzebni tacy jak wy — bandziory."

— Milcz!

— Wyleją was na mordę.

Podrywa się i wierzchem dłoni uderza ją w twarz. Ona zatacza się i pada na ścianę z ustami zasłoniętymi ramieniem. On także potyka się, potrąca krzesło, z którego obsuwają się na podłogę kawałki płótna. Nachyla się i zbiera je z podłogi. Rzuca z powrotem na krzesło, ale zaraz jedną sztukę podnosi znów i rozciąga w dłoniach. Patrzy na tę maleńką koszulkę ze śmiesznie króciutkimi rękawkami, mruga oczyma i czuje, jak mu się tłoczy w piersi wielki ciężar. Przenosi wzrok. Ona nic nie mówi. Płacze. Z rozciętej wargi spływa jej po brodzie kręty wężyk krwi.

*

Godzina przedświtu... Niebo jaśnieje na wschodzie, prześwietlone daleką zorzą. Mroźna cisza wypełnia przestrzeń. Przez noc śnieg zaprószył pola i przeorane zagony wyglądają z oddali jak bure futra wilcze, upstrzone gęsto siwizną. Gdzieniegdzie zielenieją łachy zbóż. Wierzby posiwiały w koronach; niby rożki obsypane mąką sterczą sztywne wici. Na płatach śnieżnej bieli zające nie zdążyły jeszcze rozsiać splątanych tropów. Błękitnawe mgiełki nad łąkami, rozwłóczone w postrzępionych pasmach, dalej łączą się wznosząc nieprzejrzysty, mleczny opar. Nad krętym łożyskiem rzeki wisi tuman; wije się wzdłuż koryta i dalej nad torfowiskiem, nad Krowim Bagnem występuje z brzegów, zatapia sinym rozlewiskiem nieobjęty wzrokiem obszar; jakby chmura oberwała się i legła na równinie. W kotlinie szepce strumień łąkowy; warstwy śniegu zawisają nad czarnym nurtem. Po skarpie zbiegają nad nieprzejrzystą wodą cętkowane ślady lisa. Trop przeskoczył na drugą stronę i zgubił się pośród wybujałych trzcin gęstego poszycia olszyny. Spłoszona czajka mignęła cieniem; „piuuu-lit...“ — przewinął się w powietrzu świdrujący okrzyk. I znów nastaje cisza rozległa, ostatnie chwile snu przed wrzawą, która ogarnia ziemię o wschodzie słońca. W tej godzinie ludzie uporczywie walczą z sennymi majakami, przed zaciśniętymi oczyma toczą się najbardziej utajone sprawy. O tej godzinie w niektórych stajniach zmora zajeżdża konie, wiedźma kradnie mleko bydlęciu, strzyga dusi starców. Milczą psy, milczą nawet wrzaskliwe koguty, najłatwiej zasypia się wtedy na posterunkach. O tej właśnie porze wracają z nocnych żerowisk polni i leśni drapieżnicy. Kuna, łaska i świstak unoszą zdobycz z kurników; obżarty lis poi się wodą u źródła. Na leśnym dukcie wilk przystaje w biegu, odwraca sztywny kark i długo wietrzy okrwawionym pyskiem. O tej porze Niemcy najbardziej lubili otaczać wioski. Z mgły, z cichego półmroku wynurzały się spłaszczone hełmy i nie zawsze warta zdążyła uderzyć w blachę na alarm. Wycie motorów, którym wypełniała ulicę szturmowa grupa ekspedycji, niejednego poderwało na nogi ostatni raz w życiu. W pamięci partyzanta czas taki to przypływ ciszy po zgiełku potyczki, stukanie do zamkniętych drzwi o konia i wóz dla rannego, cwał przez ogłuchłą, jakby nieżywą wieś. Las cały jeszcze wezbrany nocą i milczeniem, wilgotny i pachnący żywicą. Na polanach wygasłe ogniska pomiędzy postaciami owiniętymi w koce. Łyk spirytusu na leżąco, z kępą mchu pod głową. Kiedy indziej jednak te same chwile jeszcze przed wschodem słońca rozbłysłe eksplozjami, rozdarte hukiem granatów. Krzyk, a potem przytłumione nawoływanie Niemca: „Sanitäter, sanitäter...” Wzrok umierającego to-

warzysza rozwarty na niebo, szukający światła, ręce wyprężone, jak na apelu, wzdłuż bioder... Niebo o tej porze zwykle zaciągnięte jest chmurami. Granatowe pasma odcinają się od szarosinej powłoki, przez którą blado przeświecają ostatnie, pojedyncze gwiazdy. Dzień wstaje na mokradłach rozkudłany, bury, z kłakami mgły jak z pierzem zaplątanym w chaszcze. W rozwłóczonych oparach giną tropy na śniegu. Obok olszyny dziki zryły kartoflisko. Pochruchiwanie ich doleciało aż od zagajów sosnowych. Stoją pod wiatrem i nie dopuszczają człowieka na odległość strzału. Ta noc nie wydarzyła się Antkowi. Przed chałupą ściągnął z ramienia pepeszę, wyjął magazyn z komory. Ale nagle wpadł mu w oko kuszący widok. Na dachu szopy Zagólskich ciemniał nieruchomy kształt. Jakby oksydowane lśniły czernią pióra ptaka; zbladłe korale różowiały na wypukłej piersi. Indyk Jędrkowej spał, przywarłszy płasko do kalenicy. Antek rozejrzał się bystro — w obejściach z jednej i z drugiej strony tylko wietrzące oddechy bydła ulatywały przez ściany obór. Gdzieś na krańcu wioski zapiał gorliwy kogut. Antek szybko skoczył do sieni; wyciągnął drabinkę z otworu strychowego; znad belkowania zdjął drucianą pętlę, przymocowaną do długiej żerdzi. Dawniej posiadał więcej podobnych przyrządów. Dzisiaj, przy okazji, posługiwał się tylko tym okiem. Sidło działało za to niezawodnie. Gdyby chciał, Antek umiałby porwać w biały dzień o każdej porze upatrzoną sztukę ze stada drobiu. Na progu zawadził drabiną, brzęknęło potrącone wiadro... Ujrzał, jak spoza stodoły Zagólskich mignął w przelocie płowy cień; Antek rzucił ciężary, zerwał z ramienia pepeszę. Zakotłowało się nad strzechą szopy i jastrząb, rozpostarłszy szeroko loty (jak zawsze w tym momencie wydał się ogromny), z drgającym indykiem w szponach pomknął nisko nad ziemią. Antek strzelił z biodra, myszołów runął w śnieg. Antek biegł przeskakując bruzdy. Zbliżył się już na kilkanaście kroków, kiedy ptak poderwał się i wlokąc po ziemi strzaskane skrzydło, drugim młócąc ciężko powietrze frunął dalej. W bruździe został poraniony indyk; z rozoranej piersi ciemna posoka farbowała śnieg. Można by go teraz podnieść i uciekać do chaty. Ale w tej chwili jastrzębia rozkrzyżowało na ziemi. Antek ruszył przez zagony. I znów, kiedy był już zupełnie blisko, ptak załopotał zdrowym skrzydłem, znów na czystej bieli przeciągnął czerwony ścieg. Upadł niedaleko olszyny. Tym razem nie mógł się już poderwać. Stał wczepiony szponami w grudę, z bezwładnie rozpostartym na śniegu skrzydłem, wbijał w swojego prześladowcę dzikie spojrzenie okrągłych ślepiów i rozwierając krogulczy dziób wydawał syk węża. Był to, widać, stary, mocny ptak. Dropiate upierzenie, nastroszone dokoła wciągniętej szyi, siwiało na szerokiej piersi. Płaski łeb tego drapieżcy groził zakrzywionym dziobem; nie spuszczał z nacierającego człowieka wysadzonych nienawiścią oczu. Antek nie śpieszył się. Zdjął kurtkę, ale zanim zarzucił ją na łeb jastrzębia, chwilę przypatrywał mu się, ujęty widokiem tego rabusia, broniącego swojej wolności. Jastrząb cofał się krok za krokiem; mokre, zrudziałe pióra lotów malowały na szreni pąsowy szlak. Płowe, jakby stalowym rdzeniem przecięte w środku, blisko osadzone źrenice, nieulękłe wpatrywały się w człowieka. Jastrząb cofał się, wlokąc po śniegu wykręcone skrzydło, coraz bardziej kurczył się i przysiadał na ogon. Raptem, odwróciwszy się w miejscu, podskoczył i jeszcze raz, jak wielki kamień wyrzucony z procy, przeleciał kilkanaście kroków, runął łamiąc gałęzie w krzakach olszyny. Chwilami znikał za gęstą trzciną i za suchymi badylami i wtedy Antek kierował się szelestem roztrącanej naci a także tro-

pem posoki, ciągnącym się po śniegu. Raptem Antek stanął. Na zaprószonej śniegiem ścieżce wiodącej do wygonu rzuciły mu się w oczy rozpryśnięte krople krwi. Ujrzał świeże ślady podkutych butów, biegnące przez olszynę. Były to wojskowe kamasze albo saperki gęsto cechowane gwoździami... Co parę kroków ciemne plamy czerwieniały obok odciśniętych śladów. Ranny widać tamował krew, ale upływ musiał być dosyć silny. Na bladym, martwym listowiu skarlałej brzózki, jakby przeciągnął lakierem, zastygła wiśniowa smuga. A więc dostał w rękę... W lewą rękę... Antek dojrzał go zaraz za olszyną, kiedy wspiął się na wał łąkowy. Ściągnął z ramienia pepeszę i ruszył z miejsca ostro, zrywając się co chwila kłusem. Od uchodzącego człowieka dzieliła go na razie odległość nieosiągalna dla skutecznego strzału, najmniej czterysta metrów. Nie było się za czym kryć ani którędy zajść tamtemu drogę. Na otwartej równinie łąk obydwaj byli z daleka jednakowo widzialni. Zanim jednak ranny obejrzał się, Antek zdołał zmniejszyć dystans; mógł już rozróżnić: najpierw wysoką, wciętą w pasie i szeroką w barach sylwetkę, zgniłą barwę szynela, czarną czuprynę, znajome kołysanie ramion. Poznał uciekiniera... Podejrzenie, które od razu w olszynie nasunęła mu krew i ślady nabijanych gwoździami butów, sprawdziło się. Kot uchodził w stronę mostu na rzece. Szedł szybko. Widać udało mu się zatamować upływ krwi; zostawała za nim nieskalana biel śniegu, znaczona jedynie odciskami podkutych saperek. W pewnej chwili obejrzał się. Jeszcze ponad dwustumetrowa przestrzeń rozciągała się między nimi. Chwilę Mundzio stał, zwrócony twarzą do zbliżającego się Antka. Jego lewa ręka spoczywała na pasie przewieszonym przez szyję, prawą trzymał nieruchomo w kieszeni płaszcza. Na rozstawionych nogach, z wyciągniętą głową, jakby się czaił do skoku, zdawał się czekać, aż przeciwnik wejdzie w zasięg jego broni. Antek nie zwolnił kroku, odbezpieczył tylko automat i ścisnął dłonią szyjkę pistoletu. Na całym obszarze łąk byli nieodwołalnie sami, od wioski doleciało Antka przytłumione odległością pianie koguta. Ucichło i znów tylko skrzypienie śniegu na ścieżce wtórowało rozpędzonym krokom. Kot odwrócił się i równie nagle, jak był przystanął, puścił się kłusem w kierunku rzeki.

— Stój!

Kot stanął; przed wyciągniętym ramieniem błysnęło rude żądło. Pierwsze dwie kule jęknęły gdzieś do wschodzącego słońca, trzecia, zasyczawszy, dmuchnęła białym pyłem pod nogami Antka.

Antek, nie zatrzymując się, nacisnął spust. Krótka seria zerwała się a echo nad rzeką rozciągnęło ją w jeden odgłos. Z tej odległości jeszcze nie było co celować. Antek biegł zapadając co chwila w coraz bardziej błotny grunt. Zaczynały się już grzęzawiska. Nagle Kot zmienił kierunek. Zamiast do przeprawy uciekał teraz prosto na wielką topiel Krowiego Bagna. Zaskoczyło to Antka. Przez myśl przemknęło zdumienie. Mundzio wiedział chyba, czym grozi ta niezmierzona toń. Ale zaraz zrozumiał Antek jego zamiar. Siwe mgły wisiały nad trzęsawiskiem. Bagno dymiło na całym obszarze. Dołem mętniał nieprzejrzysty opar; błękitnawe pasma przeświecały gdzieniegdzie na skraju topieli, dalej mlecznobiała chmura okrywała szczelnie rozlewiska. Kot od razu do połowy znikł w tej zawiesinie. Jego plecy, widoczne jeszcze, majaczyły coraz mniej wyraźnie, coraz bardziej przesłaniała je biała gaza unoszącej się w górę mgły. Strach, że w tym tumanie Mundzio ucieknie mu, poderwał Antka do jeszcze szybszego biegu. W piersi coraz gwałtowniej rwał się od-

dech, a stopy ześlizgiwały się na ruchomych kępach. Kwaśny zapach bagniska wdzierał się do nosa. Za każdym stąpnięciem darń uginała się i podchodząca woda bulgotała dookoła; ten bulgot i sepleniące cmokanie zalewanego gruntu łączyły się w jedno echo. Tu już rozciągał się obszar Krowiego Bagna. Kożuch przerwał się i noga od razu do pół łydki ugrzęzła w mazi. Wyrwał ją i przerzuciwszy cały ciężar ciała na drugą nogę, znów zapadał się niemal po kolana. Ruda gęstwa zasyczała pod nim; zmacał wolną stopą kawałek twardego gruntu i z trudem wydostał się na powierzchnię. Musiał jednak zwolnić kroku. Mundzio także posuwał się teraz ostrożniej. Mimo to biała opona chwilami zupełnie zakrywała cień uchodzącego, chwilami zaś niewyraźnie majaczył zarys jego pleców.

Antek jeszcze raz puścił za nim krótką serię; Kot znikł we mgle i zanim przebrzmiał terkot pepeszki, nad głową Antka zadźwięczało przeciągle raz po raz. Opar kłębił się tutaj gęsto i siwy, unoszący się w górę dym pochłonął Kota całkowicie. Ze wszystkich stron otaczała teraz Antka biała, prześwietlona kurzawa; obłok wiszący nad ziemią zaczynał się przecierać, z młaki wynurzyła się rdzawa powierzchnia topieli, brunatne kępy, zgniło-zielone kłącze turzycy i błotnych porostów. Rozmazane słupy pary wyrastały z głębi tych waporów, ciągnęły ku górze, pełzały na boki, przesłaniając widok. Wschodzące słońce różowymi smugami syciło mgłę. Wydawało się, że powietrze i cały obszar grzęzawiska są w nieustannym ruchu. Pod nogami grunt plątał kroki, topna darń lgnęła i zapadała się pod stopą albo też wzgórowana kępa obsuwała się raptownie. Mundzio przepadł w dymiących wyziewach, ale teraz już musiał być zupełnie blisko. Jedną tylko miał tędy drogę: wilczą ścieżką do grobli serockiej, a stamtąd do starego mostu i na drugą stronę rzeki. Chyba że zamiast uciekać, skręci kawałek w bok i, niewidzialny, z mgły sam zaatakuje. Na bielejących płatach śniegu co kilkanaście kroków dostrzegał Antek świeży ślad, zaciekający dopiero wodą podskórną. Nie tylko ślady zostawały po Kocie; poruszone trzęsawisko, dziury w darni, otwarte oka, w których bulgotał brunatny muł, utrudniały przeprawę idącemu po jego tropie. Był umazany w błocie; dłonie oblepione miał śliskim szlamem, palce kleiły się na kolbie automatu. Spodnie w rdzawej skorupie zimnym, blaszanym pancerzem skuwały łydki i uda. Wciąż przebijał spojrzeniem tylko niewielki obszar dookoła; chwilami jednak mgły rozsuwały zasłony; widział wtedy trochę dalej, przyśpieszał kroku, aby zaraz znów zwalniać w gęstym oślepiającym oparze. Nieustannie jednak posuwał się naprzód. Bagno syczało i ciamkało w ślad za nim. Z lewej i z prawej strony ciągnęło się martwe, brunatne jezioro, przeświecające z mgły i ginące we mgle, z rzadka usiane kędzierzawymi wyspami ciemnej zieleni. Mgła coraz bardziej odrywała się od grzęzawiska, jak zasłona dymna unosiła się w górę i płynęła przeciwko Antkowi. Mokry ziąb przenikał całe ciało. Antek był przesiąknięty wilgocią, tak jakby przed chwilą wylazł z wody. Zaciskał szczęki, ale mimo to trząsł się i zęby dzwoniły mu jak od wielkiego strachu. Nogi oblepione błotem kostniały coraz bardziej, spodnie szeleściły blaszanym chrzęstem, a stopy ślizgały się w drewniakach pełnych ciepłego mułu. Do grobli było już niedaleko. Antkowi wydało się nawet, że we mgle majaczy cień nasypu. Tutaj zaczynał się najzdradniejszy odcinek przeprawy. Raz tylko w czasie wojny Antek przechodził tędy. Wtedy było zresztą jeszcze trudniej niż teraz. Razem ze Stachem Sidorem nieśli pod ogniem rannego chłopaka, z Kunowa. Podwójny ciężar raz po raz przerywał

kożuch. Mimo to udało się. Utonął wówczas tylko wielki „Wiatrak", który biegł na końcu oddziału. W trzasku strzelaniny nikt nie usłyszał krzyku. Dopiero później znaleźli sterczący w bagnie karabin.

To już rzeczywiście grobla. Antek zaczyna głośno kląć; klnie na trzęsawisko, na mgłę i jeszcze raz na mgłę. Osłoniła tamtego; gdyby nie ta chmara, już by miał gada, przeciągnąłby mu celną serią po kulach. Mimo to nie zrezygnuje z pościgu. Czuje się teraz trochę głupi w tych młakach. Ślady Mundzia zgubiły się od dobrej chwili. Wyleźć jak najszybciej na wał; choć i to nie wszystko. Tamten może się, jak na to, ukryć w gęstych łozach... Antek stara się stąpać coraz lżej, bo ścieżka grzęźnie pod nim i ledwie postawi nogę, brunatna gnojówka błyskawicznie przesiąka na powierzchnię, rozlewa się w krąg z głośnym bulgotaniem. Gdzieś z prawa wzbił się ostry wrzask ptasi; nad żółknącymi trzcinami przy grobli cieniem we mgle przemknął długodzioby bąk. Zaszeleściło w szuwarach. Nie dalej niż o pięćdziesiąt kroków od Antka Kot wspina się na nasyp. Jego kwadratowe plecy rysują się wyraźnie. Antek naciska spust. Kot skurczył się, wyskoczył na groblę. Antek stanął. Znów seria. Dostał... Antek spostrzegł, jak go najpierw wyprostowało, cofnęło w miejscu, a potem znów, zgiętego, pchnęło raz i drugi ukosem do przodu. Antek rzucił się pomiędzy sitowie, z trzaskiem łamie suche badyle, wyciąga kamiennie ciążące nogi, pazurami czepia się kępy na stromym zboczu tamy. Ale trawa zostaje mu w ręku, a on sam zapada się od razu prawie po biodra. Wbija obie dłonie w murawę, ale darń pruje się i bagno wciąga go coraz głębiej. Nad nim jaśnieje pień karłowatej brzózki; nie może jej dosięgnąć. Ręce na próżno macają oparcia, czuje obręcz zaciskającą się już wokół pasa. „Ratunku! — krzyczy z głębi piersi. — Ludzie!" Ale w tej samej niemal chwili otrzeźwia go błysk myśli o Kocie. Dławi głos w gardle. Zaciska zęby. Drze rękami ziemię i w ten sposób zwalnia obsuwanie się ciała w topiel. Jest teraz cały w napiętych do ostateczności mięśniach ramion. Palce wbijają się w twardą glinę. Ciężar bagna sięga mu już do żeber; pęczniejący syk grzęzawiska wlewa się w uszy. Ale palce jeszcze głębiej wdzierają się w ziemię. Orzą skorupę, aż wreszcie zwierają się wokół giętkiego uchwytu. Kurczowo ściska korzeń. Ostrożnie, powoli, przerywając co chwila, zaczyna się podciągać na kłączach bielejącej nad nim brzozy. Rozgląda się za pepeszą...

Nogi niosły go jeszcze. Wiedział, że jeśli teraz upadnie, nie będzie mógł podnieść się już o własnych siłach. Parząc, oddech wzbiera w gardle i napływa do ust gorący lak. Raz po raz Kot spluwa krwawym czopem. Wtedy, kiedy go Praczyk trafił, szarpnęło nim, targnęło całym ciałem od stóp do kręgów karku. Ale teraz nie czuje w piersi bólu. Idzie tak lekko, jak pijany, któremu udało się wprawić w ruch nogi i teraz wytęża siły, żeby na tych rozhuśtanych resorach utrzymać chwiejny tułów. A przecież w nocy ledwie pociągnął; nigdy nie był tak zaprawiony... Skurwysyny chcieli z nim skończyć... I tak ma ich w ręku... Najsampierw „Wesołemu"... Przez most przechodzi prawie kłusem; na zakręcie u wodopoju czernieje leszkowickie stado... Gdyby nie ten Praczyk... Innemu mógłby się zdać... Ma im co sprzedać... Najsampierw „Wesołego"... Zresztą ogłosili łaskę... Darł się „Ludzieee!" — Nażryj się błota, zarazo... Nachodziłeś się za mną...

Z nasypu po drugiej stronie rzeki Kot skręcił na ścieżkę wijącą się pośród nadrzecznej wikliny. Potykał się teraz i zataczał, co chwila wypluwał grudę

krwi. Stoi tutaj między łozami stara buda, kiedyś służąca dworskim gościom za garderobę kąpielową i przechowalnię łodzi. Kot wtoczył się do ciemnego wnętrza, uczepił się ściany, powoli osuwał się na ziemię, zalała go fala gorąca i gęsta krew chlusnęła ustami. Kiedy znów zaświtał nad nim brzask, Kot leżał rozciągnięty, z ustami sklejonymi gorzko-słonym śluzem. Nie wie, co się z nim stało. Tam, gdzie przeciera się światło, szumi coś i bulgoce, jakby wlewali szlauchem spirytus do olbrzymiej kufy. Tylko patrzeć, podejdzie do nich gorzelany, zarządzi — starczy... — Mundek wyciąga węża, uraża przy tym boleśnie rękę, ale już przycisnął otwór do warg; aż ciemnieje w oczach, spirytus parzy ogniem, krztusi w gardle. Znów gorzelany pochyla nad nim ściągniętą twarz. — Trzymaj język, inaczej nie obudzisz się... — Kot dźwiga rękę, przeciera policzek... Palcami rozmazuje kleistą ciecz. Przysuwa dłoń do oczu i widzi — czerwona farba... Wybuch strachu wyrzuca go z maligny. Nie wie gdzie się znajduje... Próbuje wstać, ale, jakby był przybity do krzyża, nie może oderwać pleców od ziemi; ledwie unosi głowę i przez szparę dostrzega lśniące zieloną wilgocią łozy. Pali go teraz we wnętrzu; oddech bulgoce w gardle, w ustach pęcznieje słony język. Monotonny bełkot wlewa się do uszu. — Na, wypij... — Kostek napełnia szklankę, która zdaje się nie mieć dna i wciąż jest od połowy pusta. Słychać tylko nieustanne ciurkanie bimbru, Kostek obojętnie sączy płyn z butelki. Tamten łysy z kąta porywa się, w wyciągniętej ręce błyska oksyda parabelki. — Znasz „Szatana"? — ogień z lufy i tępe uderzenie przetrąca ramię Mundka... Kostek śmieje się, nie przestaje dolewać do szklanki.

— Pić — jęczy Mundzio. Zza ściany wychodzi matka; ubrana jest w białą, długą koszulę, która plącze jej się pod nogami. Matka niesie przed sobą dużą bańkę, potrząsa nią i chlupot wody zbliża się powoli do Mundka. Mundek wyciąga ręce, ujmuje w dłonie gorącą blachę, przechyla... Zamiast wody żar wdziera się do płuc, w gardle krztusi go gwałtowny wylew krwi.

Kot odzyskuje przytomność. Rozpoznaje szopę na plaży; od rzeki przypływa nieustanny szum. Przypomina sobie, jak tutaj trafił. Nocne spotkanie na melinie pod lasem firlejskim. Obaj z Kostkiem zostali tam wysłani przez „Wesołego". Jemu to zapisać. Sam się nie stawił. Zamiast papierów i pieniędzy na drogę, czterech nieznajomych zaczęło z nich ciągnąć... Rozsiedli się dokoła, dwóch obstawiło okna. „Ubiaki" — domyślił się Mundek, nie wyjmował ręki z kieszeni. Próbowali wybadać, jakie jest ich zorientowanie w organizacji, kogo znają po nazwisku i pseudonimie. Kot grał głupiego, odpowiadał nie do rzeczy... Kilka razy napomknęli o „Szatanie", miał być ich dowódcą, zapytywali, czy Kostek i Mundzio nie poznali go osobiście. Gawniaki... Kot zaśmiał im się w oczy... Zastukano przepisowo trzy razy w szybę i po chwili do mieszkania wszedł jakiś łysy, a z nim gorzelany leszkowicki. Ci czterej trzasnęli kopytami. Kot także podniósł się na widok Kosińskiego. Spojrzał mu w twarz i nagle czegoś się przestraszył. Więc to on jest tym...

— Idziemy gdzieś? — poderwał się gorliwie. — W Firleju rąbiemy, szefie?

Kosiński, ubrany tak jak wtedy, kiedy wykańczali Sidora, w siwą cyklistówkę i w długi, czarny, ceratowy płaszcz, bez słowa zbliżył się do wymokłego blondyna, tamten zaszeptał coś krótko, Kosiński odwrócił się i rozkazał: — Ręce z kieszeni; będziemy was sądzić... — Mundek z obrotu strzelił do stojącego przy oknie; tamten przysiadł. Mundek skoczył ponad nim, wywalił zasłonięte kocem szyby. Noc była gęsta. Nie czuł nawet, jak go trafili w ra-

mię. Posiedział z godzinę w zagajniku. Niepotrzebnie pchał się na Przyborówkę. Gdyby kto inny narwał się tam na niego, jedno z dwojga — albo by mu Kot od razu przedziurawił brzenia, albo może z własnej chęci zdałby się do niewoli. Teraz już tyle wie, że jego słowo ważyłoby dla nich więcej niż stare grzechy. Ale Praczykowi nie wypadało wierzyć. Od ubicia Sidora chodził za nimi, następował na ślady, kilka razy wykurzył ich z głębokiej meliny. Powtarzano Kotowi, jak po pijanemu przysięgał, że własnoręcznie wypuści z niego duszę... Wypuścił swoją... Kot już rozumie wszystko; wie, jak i dlaczego trafił do tej kryjówki. Tu właśnie matka zaraz po zachodzie powinna mu dostarczyć bieliznę i ubranie na rajzę. Ale czy wytrzyma do zachodu bez wody? Cały czas słyszy szum i plusk rzeki, wezbrany nurt bełkotliwie mamroce, podmywając brzeg. Usta ma zaklejone; coraz trudniej jest mu czerpać oddech; smoła kłębi się w gardle... Znów próbuje powstać, ale dłoń bezsilnie ześlizguje się we krwi. Na języku czuje smak roztopionej, gorącej soli. Przez plecy przelatuje na przemian lodowaty i palący wiatr. Co chwila albo obsuwa się w głęboki, ciemny dół, albo wewnętrzny wybuch szarpie nim i wyrzuca go na powierzchnię. Zupełnie nagle uderza w niego świadomość, że umiera. Resztką sił, czucia i myśli rzuca się do ucieczki, chce się wyrwać z uwięzi skazanego ciała. Długą chwilę wszystko w nim szarpie się, krzyczy, aż do zaćmienia przytomności. Potem nagle fala opada. Porażoną myślą zwraca się do ludzi. Chce żyć... Niech go ratują. „Sam już sobie nie pomogę. — Nie darmo. Będzie wam się opłaciło; za mnie dostaniecie tamtych...“ Uprzytamnia sobie, że nikt nie może go usłyszeć. Błądzi zdrową ręką po ciele, gorączkowo szukając rany. Palce potrącają o jakiś twardy, wystający zza pasa gnat. Z wysiłkiem wyciąga pistolet i wlecze go po ziemi. Zwiera palce na kolbie, podnosi broń do oczu. Wlepia wzrok w smukły kształt lufy, na której rudzieje plama krwi. Kieruje wylot na bielejącą szparę wejściową; naciska spust raz, drugi, trzeci... Strzały wzbijają się i echo ich długo tętni w korycie rzeki.

Antek wydobył się z grzęzawiska, kiedy słońce całe wyszło już na niebo. Pepesza utonęła w bagnie. Łąką nad samą rzeką, a potem okrężnymi drogami przedostał się do domu. Ledwie ściągnął z siebie zeskorupiałe łachy. Sabina zaczęła nad nim lamentować, ale zaraz ją uspokoił. Było mu wstyd za kąpiel w błocie, za nieudany pościg, za zgubienie pepeszy. Zimno, którym przeniknęło go bagno, teraz trzęsło nim, jak w gorączce. Dla rozgrzewki musiał poszukać pół litra. W ten sposób zmarudził kilka godzin; dopiero w południe wybrał się do Firleja i na posterunku zameldował, co się zdarzyło. Dostał karabin i razem z dwoma milicjantami pomaszerował w stronę Leszkowic. Długo błądzili na próżno; wstępowali do Kocichy, słuchali jej krętych odpowiedzi, przeplatanych płaczem. Maleńkie obejście można było objąć jednym spojrzeniem. Dopiero w drodze powrotnej zaczepił ich stary rybak i opowiedział, że przed południem były nad rzeką jakieści strzały, nad samiuchną wodą. W łozach niedaleko grobli znaleźli wreszcie ślady krwi. Kiedy trafili do szopy, Mundzio Kot już nie żył.

W nocy na Antka rzuciła się gorączka. Zrywał się, chciał gdzieś lecieć, gadał od rzeczy. Sabina biegała po lód do Zagólskich, kładła kompresy na rozpalone czoło męża. W piersiach Antka rzęziło i świstało, zanosił się głuchym kaszlem. Miał zapalenie płuc.

Witold Zalewski

Stanisław Piętak

ELEGIA

Jak kiedyś w dawnych latach
zasłoniłbym dłońmi oczy
i biegnąc, śpiesząc przez rozgrzane pole,
cieszyłbym się znów bliskością szczęścia,
że tylko oderwę ręce,
a ujrzę już obraz jedyny, ukochany...

Matka stoi przy oknie,
matka lekko krząta się po izbie —
a od jej ruchu łagodnego
każdy zakątek mieszkania staje się cichszy i łaskawszy.
Wyszła na drogę, popędza w zmierzchu wracające krowy,
usiadła pod wierzbą, by choć spocząć chwilę,
lecz oto chwyciła się za serce i się słania...

Nie tańczyła prawie nigdy.
Nie śpiewała i śpiewem nie cieszyła ciepłej wieczornej ciszy.
Rzadko siadywała z sąsiadkami pod płotem i na przyzbie.
Rzadko śmiała się — nawet w jej śmiechu
drżał cierń obawy i męki.
Kroku przejść nie umiała bez myśli czułej o przyszłości.
Była zadumą nad życiem, a dla mnie, dla mnie
kwiatem, co gaśnie,
gwiazdą spadającą, pękniętym od żalu powietrzem.

*
* *

Rzadko już słońce przemienia niebo i ziemię,
zaułki złotych brzóz, białe topole w dali.
Rzadko już przedwieczorne chłodne wiatru tchnienie
przeczystą linią polny krajobraz utrwali...

A jednak lubię i tę porę w mej ojczyźnie.
Znają jesienne pola mój śmiech, krok i mowę.
Budziłem ludzi do życia i sady żyzne,
imiona uczuć pisałem w mgle najczulszym słowem.

A jednak lubię i tę porę, lecz już teraz
nie wybiegam na deszcz, na wiatr, by błądzić z trwogą.
i szczęściem swoim. Ostatni ruch dnia zamiera,
a ja się chylę znów nad wspomnieniem ubogim.
I naraz z umarłymi spotykam się w drodze,
rozmowy podejmuję, których nie skończyłem
niegdyś z nimi... Nad głową wieje dawne zboże,
dawna przestrzeń i odbiera i wzrok, i siłę.

Nic dziwnego więc, że później w głębinie nocy
za czymś, czego nie widzę, a co kocham, gonię.
I płacz mój widzi jedynie księżyc sierocy,
kładąc białą garstkę światła na śpiące dłonie.

SPLITT

Cyprysy, jak zakonnicy, śpieszą na wzniesienie,
nudząc się, nie oglądając za siebie.
Lecz do czego porównać barwę nieba nad morzem, nad miastem
tak lekką, tak czystą —
chyba do spojrzenia dziecka,
do skroni dziewczęcej, chłodnej, pierwszy raz ucałowanej.

Jeszcze jest tyle światła w przestrzeni,
że mogłoby przerwać widnokręgi.
Morze niecierpliwi się troszkę,
więc w najdalszej głębi płynie przez nie smuga szeroka i tak żywa,
że widać każdą cząstkę skaczącej, rozsypującej się wody.

Ale oto mrocznieje już powietrze
i staje się jeszcze piękniej.
Miasto nasila się białością kamieni
i kładzie się spokojnie w objęcia wody i nieba, już czarnych i uniesionych jak ściana.

Zapachy wzbiły się teraz nad ziemię i szumy ledwo narodzone
i potrąciły dłoń wiatru.

Może to twarz utęskniona pod niebem drży,
czy może pierwsza gwiazda?
A naraz przepłynął cień obłoku,
rzeczywistości i marzenia.

MACEDONIA

Auto nasze pędziło przez mgłę tak gęstą,
że gdy obnażało się niebo,
trudno nad przepaścią było nam o męstwo.

Mijaliśmy miasta stoczone przez brud i biedę
i klasztory ciemnozłote wiszące pod niebem.
Wychodził brodaty mnich podrapany strachem i obrzydzeniem,
lecz rychło nakładał na grzbiet pokorę i świeższe odzienie.

A potem zmiana, zmiana!
Bo słońce na szczyty gór wdrapało się jak pastuch na kolanach
i zaraz poczęły krzyczeć liściaste lasy tak ostrą żółcizną i czerwienią,
że koloru przydały ziemi, cieniom i kamieniom.
Spadały potoki na łeb na szyję
i ledwie widać było, jak woda w wąwozie się wije.
To tylko jak w ciężkim śnie wisiały u wzgórz gliniane wioski.
Czochrał ciszę śmiechem i płaczem malec mokronoski.

Była to podróż w zapomniane dawne dzieje.
Chłop porusza drewnianą sochą ziemię, wiatr za niego sieje.
Osiołek, który dźwiga dzieci, wodę i drwa pod górę,
jedynie temu się nie dziwi.
Cóż — i tu ludzie za wiek wyrównają czas
i będą już nowocześnie szczęśliwi lub nieszczęśliwi.

*
* *

Tyle nieznanego, tyle nowego stworzyć bym mógł,
lecz czym nie ufał wyobraźni,
czym strwonił czas leżąc u kochanych nóg,
lub milczał, gdy inni sięgali po słowo odważniej?...

Mękę przynosi porównanie, wstyd,
bo jeśli ni w połowie siebie-m nie urzeczywistnił,
a tego, co czuję, com przebył w myśli, nie wypowie nikt,
to czy słabość i łatwą zgodę z życiem darują ludzie przyszli?...

Stanisław Piętak

Franz Kafka

KOLONIA KARNA

„Jest to osobliwy przyrząd" — powiedział oficer do podróżującego naukowca i objął spojrzeniem poniekąd pełnym podziwu znany mu przecież dobrze przyrząd. Odnosiło się wrażenie, że podróżny jedynie przez uprzejmość przyjął zaproszenie komendanta, który mu zaproponował, aby obejrzał sobie egzekucję pewnego żołnierza, skazanego za nieposłuszeństwo oraz obrazę dowódcy. Zainteresowanie tą egzekucją było chyba i w samej kolonii karnej niewielkie. W głębokiej, piaszczystej, nagimi urwiskami zewsząd zamkniętej małej dolinie znajdowali się oprócz oficera i podróżnego jedynie skazaniec, człowiek o szerokiej, tępej, obrośniętej gębie i rozwichrzonych włosach, oraz żołnierz trzymający ciężki łańcuch, w którym zbiegały się łańcuszki, jakimi skazaniec skuty był w kostkach, nadgarstkach i u szyi i które były posczepiane innymi jeszcze łańcuszkami. Ponadto miał skazaniec wyraz tak psiego posłuszeństwa, iż zdawało się, że można go puścić swobodnie po urwiskach i że należy jedynie w chwili rozpoczęcia egzekucji zagwizdać, aby przyszedł.

Podróżny okazywał przyrządowi mało uwagi i przechadzał się za plecami skazańca tam i z powrotem z nieomal oczywistą obojętnością, podczas gdy oficer zajął się ostatnimi przygotowaniami, to włażąc pod głęboko w ziemię wbudowany przyrząd, to wchodząc po drabinie, aby dokonać przeglądu górnych jego części. Prace te można było właściwie przekazać maszyniście, ale oficer wykonywał je z wielkim zapałem — już to, że był szczególnym zwolennikiem tego przyrządu, już to, że nie można było z innych powodów nikomu poza nim pracy tej powierzyć. „Teraz już wszystko gotowe!" — zawołał wreszcie i zszedł z drabiny. Był niezwykle wyczerpany, oddychał szeroko otwartymi ustami i wetknął dwie cieniutkie damskie chusteczki do nosa za kołnierz munduru. „Te mundury są przecież zbyt grube jak na klimat tropikalny" — powiedział podróżny, zamiast zainteresować się przyrządem, jak tego oczekiwał oficer. „Z pewnością — powiedział oficer i obmył sobie ubrudzone tłuszczem i oliwą ręce w stojącym w pogotowiu kuble — lecz one przypominają ojczyznę; nie chcemy utracić ojczyzny. Ale niech pan teraz popatrzy na ten przyrząd — dodał natychmiast, wycierając ręce szmatą i wskazując jednocześnie na przyrząd. — Dotychczas konieczna była ręczna robota, ale obecnie przyrząd pracuje zupełnie sam." Podróżny skinął głową i podążył za oficerem. Ów starał się zabezpieczyć przed wszelką ewentualnością i powie-

dział: — „Zdarzają się, oczywiście, uszkodzenia; spodziewam się wprawdzie, że dzisiaj nic nie zajdzie, ale zawsze trzeba się z tym liczyć. Przyrząd ma przecież pracować dwanaście godzin bez przerwy. Jeżeli jednak zdarzają się uszkodzenia, to są one całkiem nieznaczne i natychmiast się je usuwa."

„Czy nie chciałby pan usiąść?" — zapytał w końcu. Wyciągnął z leżącego stosu trzcinowe krzesło i podał je podróżnemu; ów nie mógł odmówić. Siedział teraz na skraju rowu i spoglądał weń pobieżnie. Rów nie był zbyt głęboki. Z jednego boku piętrzył się wał wykopanej ziemi, z drugiego stał przyrząd. „Nie wiem — powiedział oficer — czy komendant wyjaśnił już panu działanie przyrządu." Podróżny uczynił nieokreślony ruch ręką; oficer tylko czekał na to, gdyż teraz mógł działanie przyrządu sam objaśnić. „Ten przyrząd — powiedział i chwycił za korbowód, o który się opierał — jest wynalazkiem naszego poprzedniego komendanta. Osobiście brałem udział w najpierwszych próbach i byłem również obecny w czasie wszystkich prac, aż do ich ukończenia. Zasługa dokonania wynalazku przypada jednak wyłącznie jemu. Słyszał pan o naszym poprzednim komendancie? Nie? A więc nie przesadzę na pewno, jeśli powiem, że zorganizowanie całej kolonii karnej jest jego dziełem. My, przyjaciele jego, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że organizacja kolonii jest tak skończoną całością, iż jego następca, choćby miał w głowie tysiąc nowych pomysłów, przez wiele lat co najmniej nie będzie mógł starych urządzeń zmienić. I nasze przewidywania sprawdziły się; nowy komendant musiał to uznać. Szkoda, że nie znał pan dawnego komendanta! Ale — przerwał swój wywód oficer — ja tu gadam, a jego przyrząd stoi oto przed nami. Składa się, jak pan widzi, z trzech części. Z biegiem czasu powstały dla każdej z tych części określenia poniekąd potoczne. Dolna nazywa się łóżkiem, górna nazywa się rysownicą, ta zaś unosząca się między nimi środkowa część nazywa się broną." „Broną?" — spytał podróżnik. Słuchał niezbyt uważnie, słońce prażyło za mocno w nieocienionej dolinie, tylko z trudem można było zebrać myśli. Tym bardziej godny podziwu wydawał mu się oficer, który w ciasnym, ozdobionym ciężkimi epoletami, obwieszonym sznurami galowym mundurze wykładał swą rzecz z takim zapałem, ponadto zaś, mówiąc, majstrował przy tej lub innej śrubie śrubokrętem. W podobnym nastroju, co podróżny, wydawał się żołnierz. Owinął sobie łańcuch skazańca wokół obydwu przegubów, oparł się dłonią o karabin, zwiesił głowę i nie troszczył się o nic. Podróżny nie dziwił się temu, gdyż oficer mówił po francusku, francuskiego zaś z pewnością ani żołnierz, ani skazaniec nie znali. Tym bardziej było zastanawiające, że skazaniec usiłował mimo to nadążać za objaśnieniami oficera. Kierował stale wzrok z pewnego rodzaju ospałym uporem w to miejsce, które właśnie oficer pokazywał, a teraz, kiedy podróżny przerwał tok wywodu pytaniem, spojrzał, podobnie jak oficer, na podróżnego.

„Tak, broną — powiedział oficer — ta nazwa pasuje. Igły są uszeregowane jak przy bronie, całość porusza się również jak brona, choć tylko w miejscu i znacznie kunsztowniej. Zaraz pan to zresztą zrozumie. Skazańca kładzie się tutaj, na łóżko. Chciałbym mianowicie przyrząd najpierw opisać, a potem wydam polecenie wykonania samej procedury. Będzie ją pan mógł wówczas lepiej prześledzić. W rysownicy jest bowiem jeden tryb nazbyt zużyty; zgrzyta bardzo, kiedy jest w ruchu; ledwie się można wtedy porozumieć; niestety czę-

ści zapasowe można tutaj dostać z trudem. — Tu jest więc łóżko, jak powiedziałem. Jest całkowicie pokryte warstwą waty; dlaczego — dowie się pan jeszcze. Na tę watę kładzie się skazańca na brzuchu, nago oczywiście; tu są rzemienie, dla rąk, dla nóg, dla szyi, żeby go można było przywiązać. Tu, w głowach łóżka, gdzie się go, jak już powiedziałem, kładzie twarzą na dół, znajduje się mały kołek z filcu, który daje się łatwo wyregulować tak, żeby wszedł skazańcowi do ust. Urządzenie to ma na celu zapobieżenie krzykom oraz pogryzieniu języka. Skazaniec musi się oczywiście zgodzić na włożenie filcu, ponieważ inaczej rzemień złamie mu kark.“ „Czy to jest wata?“ — zapytał podróżny i pochylił się do przodu. „Tak, oczywiście — powiedział oficer z uśmiechem — niech pan sam pomaca.“ Chwycił rękę podróżnego i przeciągnął nią po łóżku. „Jest to specjalnie spreparowana wata, dlatego wygląda zupełnie inaczej; o jej przeznaczeniu będę jeszcze mówił.“ Udało mu się już nieco zainteresować przyrządem podróżnego, który, przysłoniwszy ręką oczy od słońca, patrzył w górę przyrządu. Była to duża budowla. Łóżko i rysownica miały te same rozmiary i wyglądały jak dwie ciemne skrzynie. Rysownica była umieszczona mniej więcej dwa metry nad łóżkiem; obie te części łączyły się po rogach czterema mosiężnymi prętami, które w słońcu nieomal promieniowały. Pomiędzy skrzyniami unosiła się na stalowej taśmie brona.

Oficer ledwo zauważał uprzednią obojętność podróżnego, wykazywał jednak zrozumienie dla jego budzącego się obecnie zainteresowania; przerwał więc swoje objaśnienia, aby dać podróżnemu czas na skupioną obserwację. Skazaniec naśladował podróżnego; ponieważ nie mógł oczu przysłonić ręką, mrugał nieosłoniętymi oczyma, patrząc w górę.

„A więc skazaniec już leży“ — powiedział podróżny, wyciągnął się w fotelu, i skrzyżował nogi.

„Tak — powiedział oficer. Zsunął nieco czapkę do tyłu i przejechał ręką po zgrzanej twarzy — niech pan teraz słucha! Zarówno łóżko jak i rysownica mają własną baterię elektryczną; łóżko potrzebuje jej dla siebie, rysownica dla brony. Skoro tylko skazaniec jest przywiązany, wprawia się łóżko w ruch. Drga ono drobnymi, bardzo szybkimi skurczami jednocześnie na boki oraz w dół i w górę. Widział pan pewno podobne przyrządy w zakładach leczniczych; ale przy naszym łóżku wszelkie poruszenia są dokładnie obliczone; muszą się bowiem co do joty zgadzać z ruchami brony. Zadaniem brony natomiast jest właściwe wykonanie wyroku.

„Lecz jakże brzmi ów wyrok?“ — zapytał podróżny. „I tego również pan nie wie? — powiedział zdumiony oficer i przygryzł sobie wargi. — Niech mi pan wybaczy, jeśli moje wyjaśnienia są może nie uporządkowane; bardzo pana przepraszam. Wyjaśnień zwykł bowiem dawniej udzielać komendant; nowy komendant wszakże zrzekł się tego zaszczytnego obowiązku; że jednakże tak wybitnemu gościowi — podróżny usiłował obiema rękami bronić się przed okazywaniem mu czołobitności, ale oficer uparł się przy tym wyrażeniu — tak wybitnemu gościowi nie chce udzielić informacji nawet o formie naszego wyroku, to jest znowu innowacja, która... — miał już przekleństwo na ustach, opanował się jednak i powiedział tylko — nie powiadomiono mnie o tym, nie ponoszę więc winy. Ja osobiście mam zresztą najwięcej danych, aby wyjaśnić karty naszych wyroków, gdyż noszę tutaj — uderzył się po górnej kieszeni munduru — odnośne, własnoręczne rysunki dawnego komendanta.“

„Własnoręczne rysunki samego komendanta? — zapytał podróżny. — Czyż jednoczył w sobie wszystko? Był żołnierzem, sędzią, konstruktorem, chemikiem, rysownikiem?" „Tak jest" — powiedział oficer skinąwszy głową, ze spojrzeniem znieruchomiałym i zamyślonym. Potem popatrzył krytycznie na swoje ręce; nie wydały mu się dość czyste, aby dotykać rysunków; podszedł więc do kosza i wymył je raz jeszcze. Następnie wyjął małą skórzaną teczuszkę i powiedział: — „Nasz wyrok nie brzmi surowo. Na ciele skazanego wypisuje się przy pomocy brony przykazanie, które przekroczył. Temu skazanemu na przykład — oficer wskazał na niego — wypiszemy na ciele: »szanuj swego dowódcę!«"

Podróżny spojrzał przelotnie na tego człowieka; gdy oficer na niego wskazał, miał głowę zwieszoną i zdawał się natężać całą siłę swego słuchu, aby się czegoś dowiedzieć. Ale ruchy jego nabrzmiałych i zaciśniętych warg okazywały jasno, że nic nie mógł zrozumieć. Podróżny chciał zapytać o wiele rzeczy, lecz na widok tego człowieka zapytał jedynie: — „Czy zna wyrok?" „Nie" — powiedział oficer i chciał z miejsca kontynuować swoje wyjaśnienia, ale podróżny przerwał mu: — „On nie zna swego własnego wyroku?" „Nie" — powiedział znowu oficer, po czym zamilkł na chwilę, jakby żądał od podróżnego dokładniejszego uzasadnienia pytania, i następnie powiedział: „Obwieścić mu to byłoby zbyteczne. Doświadczy tego przecież na własnym ciele!. Podróżny chciał już zamilknąć, kiedy poczuł, że skazaniec skierował na niego wzrok, który zdawał się pytać, czy podróżny uważa za możliwe zaakceptowanie przedstawionej procedury. Dlatego też podróżny, który już rozparł się w fotelu, pochylił się znowu do przodu i zapytał jeszcze: — „Ale że w ogóle został skazany, o tym przecież wie?" „Też nie — powiedział oficer i uśmiechnął się do podróżnego, jakby oczekiwał teraz od niego jeszcze paru osobliwych wynurzeń. „Nie — rzekł podróżny i przeciągnął ręką po czole — a więc ten człowiek i teraz jeszcze nie wie, w jaki sposób przyjęto jego obronę?" „Nie miał żadnej sposobności, aby się bronić — powiedział oficer i spojrzał w bok, jakby mówił do siebie i nie chciał zawstydzić podróżnego opowiadaniem tak oczywistych dla siebie rzeczy. — „Musiał mieć przecież sposobność, aby się bronić" — powiedział podróżny i wstał z fotela.

Oficer pojął, iż zagraża mu, że przez dłuższy czas nie będzie miał możności objaśniać działania przyrządu; podszedł więc do podróżnego, wziął go pod ramię, wskazał ręką na skazańca, który widząc, że uwaga w sposób tak oczywisty zwrócona jest na niego, stanął na baczność — a i żołnierz podciągnął łańcuch — i powiedział: — „Sprawa przedstawia się następująco. Mianowano mnie to w kolonii karnej sędzią. Mimo mego młodego wieku. Przecież i poprzedniemu komendantowi pomagałem we wszystkich sprawach karnych a także znam najlepiej działanie przyrządu. Zasada, według której rozstrzygam, brzmi: wina jest zawsze niewątpliwa. Inne sądy być może nie uznają tej zasady, ponieważ są wieloosobowe, a poza tym mają jeszcze wyższe sądy nad sobą. Tutaj to nie zachodzi a przynajmniej nie zachodziło za dawnego komendanta. Swoją drogą nowy komendant okazał już ochotę mieszania się do moich funkcji sędziowskich, dotychczas jednak udawało mi się przed tym obronić i będzie mi się to nadal udawało. Chciał pan, abym wyjaśnił ten przypadek; jest taż prosty, jak wszystkie inne. Pewien kapitan złożył dziś rano doniesienie, że ten człowiek, który jest mu przydzielony jako służący i śpi pod

jego drzwiami, przespał swoją służbę. Jego obowiązkiem jest mianowicie wstawać przy każdym uderzeniu zegara i salutować u drzwi kapitana. Jest to z pewnością obowiązek łatwy, a ponadto niezbędny, gdyż człowiek ten ma pozostawać rześki zarówno dla ochrony jak i dla posługi. Kapitan chciał zeszłej nocy sprawdzić, czy służący wypełnia swoje obowiązki. Otworzył drzwi z wybiciem drugiej i zastał go śpiącego w postawie skulonej. Przyniósł pejcz i uderzył go w twarz. A ten człowiek, zamiast wstać i prosić o przebaczenie, chwycił swego pana za nogi, potrząsnął nim i zawołał: »Odrzuć pejcz, bo cię pożrę.« Oto stan faktyczny. Kapitan przyszedł do mnie przed godziną, spisałem jego zeznanie i natychmiast w załączeniu wyrok. Potem kazałem tego człowieka skuć łańcuchami. Wszystko to było bardzo proste. Gdybym był najpierw go zawołał i przepytał, powstałoby tylko zamieszanie. Kłamałby, a gdyby mi się udało te kłamstwa obalić, zastąpiłby je nowymi kłamstwami i tak dalej. Teraz jednak trzymam go i już nie puszczę. Czy wszystko już jasne? Ale czas mija, egzekucja miała się już rozpocząć, a ja jeszcze nie skończyłem z objaśnianiem przyrządu.“ Zmusił podróżnego, aby usiadł w fotelu, podszedł znowu do przyrządu i rozpoczął: — „Jak pan widzi, kształt brony odpowiada kształtowi człowieka; tutaj mamy bronę dla tułowia, tutaj są brony dla nóg. Dla głowy przeznaczono tylko ten mały kolec. Czy to pan rozumie?“ — Nakłonił się przyjaźnie ku podróżnemu, gotów do wyczerpujących wywodów.

Podróżny oglądał bronę ze zmarszczonym czołem. Informacje o postępowaniu sądowym nie zadowoliły go. Musiał sobie wszakże powiedzieć, że chodzi o kolonię karną, że były tu konieczne szczególne środki i że należało postępować konsekwentnie, po wojskowemu. Poza tym jednak wiązał pewne nadzieje z osobą nowego komendanta, który widocznie, choć powoli, miał zamiar wprowadzić nowy sposób postępowania, co nie mogło się zmieścić w ograniczonej głowie tego oficera. Tak rozumując podróżny zapytał: — „Czy komendant będzie obecny przy egzekucji?“ „To nie jest pewne“ — powiedział oficer, przykro dotknięty bezpośrednim pytaniem, i jego przyjazne oblicze wykrzywiło się: — Właśnie dlatego powinniśmy się pośpieszyć. Będę nawet musiał, choć mi bardzo przykro, skrócić moje wyjaśnienia. Lecz mógłbym przecież jutro, kiedy przyrząd będzie znowu oczyszczony — to że się tak zanieczyszcza, jest jego jedyną wadą — służyć dodatkowymi wyjaśnieniami. Teraz więc tylko co najkonieczniejsze. Kiedy skazany leży na łóżku i kiedy łóżko jest wprawione w drganie, opuszcza się bronę na ciało. Ustawia się ona sama w ten sposób, że ledwo dotyka ciała ostrzami; kiedy znajdzie się w tej pozycji, napina się ta oto lina stalowa na kształt pręta. I teraz zaczyna się gra. Niewtajemniczony nie dostrzega na pozór żadnej różnicy pomiędzy karami. Brona zdaje się pracować za każdym razem w ten sam sposób. Drgając nakłuwa swymi ostrzami ciało, które oprócz tego samo drga na łóżku. Aby więc każdemu dać możność sprawdzenia, jak wyrok jest wykonywany, zrobiono bronę ze szkła. Spowodowało to pewne techniczne trudności, związane z umocowaniem igieł, co jednak udało się po wielu próbach. Nie cofaliśmy się przed żadnym wysiłkiem. I teraz każdy może przez to szkło zobaczyć, jak się wykonuje napis w żywym ciele. Czy nie zechciałby się pan przybliżyć, aby obejrzeć sobie igły?“

Podróżny powstał wolno, podszedł i nachylił się nad broną. „Widzi pan — powiedział oficer — są tu igły dwojakiego rodzaju, ułożone w różnorakim po-

rządku. Każdej długiej igle towarzyszy krótka. Długa mianowicie pisze, z krótkiej zaś tryska woda, aby zmywać krew i aby napis pozostawał zawsze wyraźny. Krew z wodą odprowadzana jest tymi małymi rynienkami i spływa w końcu do głównej rynny, której ujście skierowane jest do rowu.“ Oficer pokazał dokładnie palcem drogę, którą krew z wodą powinna płynąć. Kiedy ją u ujścia rury formalnie podchwycił oburącz, aby rzecz możliwie unaocznić, podróżny uniósł głowę i chciał, macając ręką do tyłu, wrócić na fotel. Nagle ujrzał ku swemu przerażeniu, że skazaniec, podobnie jak on sam, skorzystał z zaproszenia oficera, aby sobie bliżej urządzenie brony obejrzeć. Pociągnął lekko za łańcuch zaspanego żołnierza i nachylił się również nad szkłem. Widać było, jak niepewnymi oczami także szukał tego, co sobie właśnie obaj panowie oglądali, i jak, ponieważ brakowało mu wyjaśnień, nie mógł tego znaleźć. Pochylał się to tu, to tam. Bez ustanku przesuwał wzrokiem po szkle. Podróżny chciał go odpędzić, gdyż to, co czynił, było prawdopodobnie karalne. Ale oficer jedną ręką przytrzymał podróżnego, drugą zaś podniósł z wału grudę ziemi i rzucił nią w żołnierza. Ów ocknął się, otworzył oczy, zobaczył, na co się skazaniec odważył, upuścił karabin, zaparł się obcasami w ziemię, szarpnął skazańca do tyłu, aż upadł, po czym popatrzył na niego z góry, jak się wił i szczękał łańcuchami. „Postaw go!“ — krzyknął oficer, gdyż spostrzegł, że skazaniec nadmiernie odwracał uwagę podróżnego. Podróżny wychylił się nawet poza bronę, nie troszcząc się o nią zupełnie, i chciał teraz tylko stwierdzić, co się stanie ze skazanym. „Obchodź się z nim starannie!“ — krzyknął znowu oficer. Obiegł przyrząd dookoła, chwycił sam skazańca pod pachy i z pomocą żołnierza postawił go na nogi, choć tamten ciągle się wyślizgiwał.

„Teraz wiem już wszystko“ — powiedział podróżny, kiedy oficer znowu do niego powrócił. „Prócz najważniejszego“ — powiedział ów, chwycił podróżnego za ramię i wskazał w górę: — Tam w rysownicy jest maszyneria z kół zębatych, która kieruje ruchami brony. Maszyneria ta nastawiana jest według rysunku, na który opiewa wyrok. Stosuję jeszcze rysunki dawnego komendanta. Oto one — wyciągnął kilka kartek ze skórzanej teczuszki. — Nie mogę ich jednak panu, niestety, dać do ręki. To najdroższe, co posiadam. Proszę usiąść, pokażę je panu z tej odległości, wtedy będzie pan mógł wszystko dobrze widzieć.“ Pokazał pierwszą kartkę. Podróżny wyraziłby chętnie słowa uznania, ale zobaczył tylko pogmatwane, po wielekroć się wzajemnie krzyżujące linie, które pokrywały papier tak gęsto, że jedynie z trudem można było dostrzec białą przestrzeń między nimi. „Niech pan czyta“ — powiedział oficer. „Nie mogę“ — odrzekł podróżny. „To przecież wyraźne“ — powiedział oficer. „To bardzo kunsztowne — rzekł podróżny wymijająco — ale nie mogę tego odcyfrować.“ „Tak — powiedział oficer, roześmiał się i schował teczuszkę z powrotem. — To nie jest kaligrafia dla dzieci szkolnych. Trzeba to długo odczytywać. Również i pan by się w końcu pewnie tego nauczył. Pismo nie może być oczywiście zwyczajne; nie powinno przecież uśmiercać od razu, lecz przeciętnie dopiero po upływie dwunastu godzin; po upływie szóstej godziny przewidziano moment zwrotny. Właściwe pismo musi więc otaczać wiele, wiele ozdób; sam napis otacza ciało jedynie wąskim paskiem; reszta tułowia przeznaczona jest na ozdoby. Czy może pan teraz ocenić pracę brony oraz całego przyrządu? Niechże pan spojrzy!“ — Skoczył na drabinę, pokręcił jakieś koło, zawołał z góry: „Uwaga, proszę odejść na bok!“ — i wszystko ruszyło. Gdyby

nie zgrzytanie koła, byłoby to wspaniałe. Oficer jakby zaskoczony tym przeszkadzającym kołem, pogroził mu pięścią, po czym, przepraszając, wyciągnął do podróżnego ramiona i zlazł pośpiesznie, aby z dołu obserwować działanie przyrządu. Coś było jeszcze nie w porządku, tylko on to dostrzegał; wdrapał się znowu na górę, sięgnął oburącz do wnętrza rysownicy, po czym, aby szybciej dostać się na dół, zamiast zejść po drabinie, zsunął się po jednym z prętów i aby go podróżny zrozumiał wśród hałasu, z najwyższym natężeniem krzyknął mu prosto w ucho: — „Rozumie pan, jak to funkcjonuje? Brona zaczyna pisać; gdy wykona po raz pierwszy napis na plecach skazańca, przesuwa się warstwa waty i obraca ciało powoli na bok, aby dać bronie nowe miejsce. Poranione pismem miejsca układają się tymczasem na wacie, która, dzięki szczególnemu składowi chemicznemu, natychmiast tamuje krwawienie i przygotowuje ciało do ponownego pogłębienia napisu. Te zęby tutaj, u brzegu brony, zdzierają przy następnych obrotach ciała watę z ran, ciskają ją do rowu i brona ma znowu zajęcie. I tak pisze ona coraz głębiej przez całe dwanaście godzin. Pierwsze sześć godzin żyje skazaniec prawie tak jak do tej pory, cierpi jedynie ból. Po dwóch godzinach usuwa się kołek filcowy, gdyż człowiek nie ma już siły krzyczeć. Tutaj, w głowach, w tej elektrycznie podgrzewanej misie przygotowuje się ciepłą kaszę ryżową, której ten człowiek, jeśli ma ochotę, może spożyć tyle, ile sięgnie językiem. Nikt nie pomija tej okazji. Nie znam przynajmniej nikogo, kto by ją pominął, a moje doświadczenie jest wielkie. Dopiero po sześciu godzinach skazańcowi przestaje smakować jedzenie. Zazwyczaj klękam wówczas w tym miejscu i obserwuję to zjawisko. Skazaniec rzadko połyka ostatni kęs, obraca go jedynie w ustach i wypluwa do rowu. Muszę się wtedy odchylić, inaczej oplułby mi twarz. Ale jakże wtedy, około szóstej godziny, ucisza się ten człowiek! Nawet najgłupszy nabiera wówczas rozumu. Zaczyna się to koło oczu. Stamtąd rozprzestrzenia się. Widok, który mógłby skusić do tego, aby się razem położyć pod bronę. A nie dzieje się przecież nic więcej, jak tylko to, że skazany zaczyna odcyfrowywać napis. Składa usta w ciup, jakby nasłuchiwał. Sam pan widział, że nie łatwo odcyfrować napis wzrokiem; skazaniec odcyfrowuje go wszakże swymi ranami. Jest to jednak duża robota; potrzeba sześciu godzin do jej dokonania. Wówczas człowiek ten zostaje całkowicie nadziany na bronę, która rzuca go do rowu, gdzie pada z chlupotem na krew z wodą i na watę. Na tym kończy się egzekucja, a my, to jest ja z żołnierzem, grzebiemy go.“

Podróżny nachylił ucho do oficera i przypatrywał się, z rękami w kieszeni marynarki, pracy maszyny. Również i skazany przypatrywał się jej, ale bez zrozumienia. Pochylił się nieco i śledził przesuwające się igły, kiedy mu żołnierz, na znak oficera, rozciął z tyłu nożem koszulę i spodnie, tak że opadły na ziemię; skazany chciał pochwycić opadającą odzież, aby okryć swą nagość, ale żołnierz podniósł go w górę i strząsnął z niego ostatnie strzępy. Oficer zatrzymał maszynę i w ciszy, która teraz nastąpiła, położono skazańca pod bronę. Zdjęto mu łańcuchy, a założono rzemienie; zdawało się to w pierwszej chwili nieomal ulgą dla skazańca. Wówczas brona opuściła się jeszcze trochę niżej, gdyż był to człowiek chudy. Gdy go ostrza dotknęły, przeszły przez jego skórę dreszcze. Podczas gdy żołnierz zajmował się jego prawą ręką, on sam wyciągnął lewą, nie wiedząc dokąd; w tej jednak właśnie stronie stał podróżny. Oficer nieustannie obserwował podróżnego z boku, jakby chciał z jego

twarzy odczytać wrażenie, jakie czyni na nim egzekucja, której przebieg mu powierzchownie przynajmniej objaśnił.

Rzemień, który miał być umocowany na przegubie, zerwał się; prawdopodobnie żołnierz ściągnął go za mocno. Oficer miał pomóc, żołnierz pokazał mu zerwany kawał rzemienia. Oficer podszedł więc do niego i powiedział obróciwszy twarz w stronę podróżnego: — „Maszyna jest bardzo skomplikowana, musi się więc tu i ówdzie coś zerwać albo odłamać; nie należy jednak z tego powodu mylić się w ocenie całości. Rzemień ten zresztą natychmiast zastąpimy; użyję łańcucha; delikatność ruchów będzie jednak z tego powodu przy prawym ramieniu osłabiona." I umocowując łańcuchy, powiedział jeszcze: — „Środki dla konserwacji maszyny są teraz bardzo ograniczone. Za dawnego komendanta miałem zawsze na ten cel do dyspozycji osobną kasę. Był tu magazyn, w którym przechowywano wszelkie możliwe części zapasowe. Przyznaję, byłem niemal rozrzutny, oczywiście dawniej, nie teraz, jak twierdzi nowy komendant, dla którego wszystko jest pretekstem do zwalczania starych urządzeń. Obecnie sam zarządza kasą maszyny i jeśli posyłam po nowy rzemień, żąda starego na dowód, nowy przychodzi dopiero po dziesięciu dniach, jest wszakże w gorszym gatunku i nie na wiele się zdaje. Ale jak ja tymczasem mam używać maszyny bez rzemienia, o to nie troszczy się nikt."

Podróżny zastanawiał się: jest zawsze rzeczą niepewną mieszać się w sposób zasadniczy w obce sprawy. Nie był ani obywatelem kolonii karnej, ani obywatelem państwa, do którego kolonia należała. Gdyby chciał egzekucję potępić albo wręcz ją uniemożliwić, mógłby mu ktoś powiedzieć: jesteś obcy, bądź cicho. Na to nie miałby żadnej odpowiedzi, mógłby najwyżej dodać, że w tym wypadku sam siebie nie pojmuje, ponieważ jedynym celem jego podróży jest obserwowanie, nigdy zaś zmienianie obcych praw sądowych. Sprawy jednak układały się tu bardzo ponętnie. Niesprawiedliwość postępowania i nieludzkość egzekucji nie ulegały wątpliwości. Nikt nie mógł zarzucić podróżnemu, jakoby miał w tym jakiś własny interes, gdyż skazany był mu obcy, nie był jego rodakiem ani też człowiekiem budzącym współczucie. Podróżny natomiast miał listy polecające od wysokich instytucji, został tu przyjęty nadzwyczaj uprzejmie, to zaś, że zaproszono go do asystowania przy owej egzekucji, zdawało się nawet wskazywać, że oczekiwano od niego oceny tego aktu. Było to tym prawdopodobniejsze, że komendant, jak o tym teraz aż nadto wyraźnie usłyszał, nie był zwolennikiem takiego postępowania i zachowywał się wobec oficera nieomal wrogo.

Nagle podróżny usłyszał okrzyk wściekłości oficera. Ów wsunął był właśnie nie bez trudu skazańcowi w usta kołek filcowy, kiedy skazaniec zamknął oczy w niepowstrzymanym napadzie nudności i zwymiotował. Oficer poderwał go śpiesznie w górę i chciał mu obrócić głowę w stronę rowu; było już jednak za późno, nieczystości spływały po maszynie. „To wszystko jest winą komendanta! — krzyczał oficer i targał nieprzytomnie mosiężnymi prętami. — „Zanieczyszczą mi maszynę jak chlew". — Drżącymi rękami pokazywał podróżnemu, co się stało. — „Godzinami przecież starałem się przekonać komendanta, że na dzień przed egzekucją nie należy dawać jedzenia. Ale nowy, łagodny kierunek mówi co innego. Panie z otoczenia komendanta, zanim skazaniec zostaje odprowadzony, napychają go słodyczami do niemożliwości. Całe życie odżywiał się cuchnącymi rybami i teraz raptem ma jeść słodycze! Ale

i to byłoby do zniesienia, nie miałbym ostatecznie nic przeciw temu, ale dlaczego nie zakłada się nowego filcu, choć o to proszę już przez cały kwartał. Jak można bez wstrętu brać do ust ten filc, który umierając ssało i gryzło stu ludzi?“ Skazany oparł głowę i wyglądał spokojnie, żołnierz zajmował się czyszczeniem maszyny koszulą skazanego. Oficer podszedł do podróżnego, który przeczuwając coś, odstąpił na krok, chwycił go za rękę i odciągnął w bok. „Chciałbym powiedzieć panu parę słów w zaufaniu — powiedział. — czy można?“ „Oczywiście“ — powiedział podróżny i słuchał ze spuszczonymi oczami.

„To postępowanie i ta egzekucja, którą ma pan teraz sposobność podziwiać, nie ma obecnie w naszej kolonii żadnego jawnego zwolennika. Jestem jedynym, jak również jestem jedynym przedstawicielem spuścizny dawnego komendanta. O dalszej rozbudowie tego postępowania nie ma co myśleć, wszystkie moje siły poświęcam temu, aby zachować to, co się ostało. Kiedy dawny komendant żył, kolonia była pełna jego zwolenników; osobiście posiadam częściowo siłę oddziaływania dawnego komendanta, ale jego władzy brakuje mi zupełnie; wskutek tego jego zwolennicy poukrywali się, jest ich jeszcze wielu, ale żaden z nich nie przyznaje się do tego. Jeśli pan dzisiaj, czyli w dniu egzekucji, pójdzie do herbaciarni i nastawi uszu, usłyszy pan może dwuznaczne tylko wypowiedzi. Są to sami moi zwolennicy, ale pod rządami obcego komendanta i przy jego obecnych zapatrywaniach całkowicie dla mnie bezużyteczni. I teraz pytam pana: czyż z powodu tego komendanta i kobiet, które wywierają na niego wpływ, takie oto dzieło całego życia — wskazał maszynę — ma ulec zagładzie? Czyż wolno do tego dopuścić? Nawet jeśli się jedynie jako obcy przebywa kilka dni na naszej wyspie? Nie ma jednak czasu do stracenia, już przygotowuje się pewne rzeczy przeciwko mojej praktyce sądowej; odbywają się narady w komendanturze, na które mnie nie zapraszają; nawet pańskie dzisiejsze odwiedziny wydają mi się dla całej sytuacji charakterystyczne; boją się i przysyłają najpierw pana, obcego człowieka. Jakżeż inaczej wyglądała egzekucja w dawnych czasach! Już na dzień przed wykonaniem wyroku cała dolina była pełna ludzi; przybywali wszyscy, aby tylko popatrzeć; z samego rana ukazywał się komendant ze swoimi paniami; fanfary budziły całe obozowisko; ja składałem meldunek, że wszystko przygotowane; towarzystwo — a żadnego wyższego urzędnika nie śmiało zabraknąć — ustawiało się wokół maszyny; ten stos foteli trzcinowych to nędzna pozostałość tamtych czasów. Maszyna, świeżo wyczyszczona, lśniła, do każdej niemal egzekucji pobierałem nowe części zapasowe. W obliczu setek oczu — wszyscy widzowie, aż het do wzniesienia, wspinali się na palce — komendant osobiście kładł skazańca pod bronę. Co dzisiaj dozwala się prostemu żołnierzowi, było wówczas moim — przewodniczącego sądu — zadaniem, i było to dla mnie zaszczytem. I oto zaczynała się egzekucja! Żaden szmer nie zakłócał pracy maszyny. Niektórzy nie przypatrywali się już nawet, tylko leżeli na piasku z zamkniętymi oczami; wszyscy wiedzieli: dokonuje się sprawiedliwość. W ciszy słychać było jedynie westchnienia skazanego, tłumione przez filc. Dzisiaj nie udaje się już maszynie wycisnąć ze skazanego westchnień tak silnych, że filc nie może ich stłumić, ale wówczas piszące igły wydzielały jątrzącą ciecz, której już dzisiaj nie wolno stosować. I oto nadchodziła szósta godzina! Było niemożliwością uwzględniać wszystkie prośby o przypatrywanie się z bliska. Komendant zarządził w swojej mądrości, że przede wszystkim uwzględnić należy dzieci; ja wszakże z mocy

mego urzędu mogłem zawsze być przy tym; jakże często kucałem tam z dziećmi w ramionach po prawej i lewej stronie. Jakże często wchłanialiśmy wyraz uspokojenia, jaki płynął z umęczonego oblicza, i jakże blask owej nareszcie osiągniętej i już przemijającej sprawiedliwości rozjaśniał nasze oblicza! Cóż to były za czasy, mój towarzyszu!" Oficer widocznie zapomniał, kto przed nim stoi; objął podróżnego i złożył mu głowę na ramieniu. Podróżny zmieszał się bardzo, niecierpliwie spoglądał ponad głową oficera. Żołnierz ukończył już czyszczenie maszyny i nasypał ryżu z puszki do miski. Ledwo spostrzegł to skazany, który wyglądał, jakby już zupełnie przyszedł do siebie, a już zaczął chwytać kaszę językiem. Żołnierz ciągle go odtrącał, gdyż kasza była przecież potrzebna w późniejszym okresie. Ale nieprzyzwoitością było również i to, że żołnierz wtykał tam swoje brudne ręce i podjadał kaszę wygłodniałemu skazańcowi.

Oficer szybko się opanował. „Nie chciałem pana bynajmniej wzruszyć — powiedział. — Ja wiem, że jest niemożliwością uczynić owe czasy zrozumiałymi dzisiaj. Maszyna zresztą pracuje jeszcze i ma to swoje znaczenie. Ma to swoje znaczenie, mimo że stoi ona osamotniona w tej dolinie. I zwłoki padają nadal niepojęcie miękkim lotem do rowu, mimo że nie zbierają się wokół niego — jak wówczas — setki ludzi, podobne muchom. Wtedy musieliśmy założyć wokół rowu mocne ogrodzenie, które już dawno zostało zerwane."

Podróżny chciał ukryć swoją twarz przed wzrokiem oficera i spoglądał wokoło bez celu. Oficer sądził, że dostrzega pustkę doliny; chwycił go wobec tego za ręce, obszedł naokoło, aby pochwycić jego wzrok, i zapytał: „Czy widzi pan tę hańbę?"

Ale podróżny milczał. Oficer dał mu na chwilkę spokój; z rozstawionymi nogami, ująwszy się pod boki, stał nieruchomo i patrzył w ziemię. Potem uśmiechnął się do podróżnego zachęcająco i powiedział: „Byłem wczoraj w pobliżu pana, kiedy komendant pana zapraszał. Słyszałem to zaproszenie. Znam dobrze komendanta. Od razu zrozumiałem, jaki cel ma to zaproszenie. Mimo że miałby dostateczną władzę, aby przeciwko mnie wystąpić, nie ma jeszcze na to odwagi, pragnie jednak wystawić mnie na pański sąd — sąd poważanego cudzoziemca. Jego wyrachowanie jest staranne: jest pan drugi dzień na wyspie, nie znał pan dawnego komendanta i zasięgu jego myśli, pańskie poglądy są na wskroś europejskie, może jest pan przeciwnikiem kary śmierci w ogóle, tego zaś rodzaju maszynowych egzekucji w szczególności, widzi pan poza tym, że egzekucja przebiega bez publicznego zainteresowania, smutno, na już nieco uszkodzonej maszynie — czyżby wziąwszy to wszystko razem pod uwagę (tak myśli komendant) nie było możliwe, że uzna pan moje postępowanie za niesłuszne? I jeśli uważa pan je za niesłuszne (mówię ciągle w duchu rozumowania komendanta), to pan tego nie przemilczy, gdyż ma pan zaufanie do swych wielekroć wypróbowanych przekonań. Widział pan jednakże wiele osobliwości rozmaitych ludów, nauczył się pan je szanować i dlatego nie będzie pan prawdopodobnie, tak jakby przypuszczalnie uczynił to w swojej ojczyźnie, wypowiadał się ze wszystkich sił przeciwko temu postępowaniu. Ale komendant tego wcale nie potrzebuje. Wystarczy przelotne, nieostrożne słowo. Nie musi ono wcale wyrażać pańskiego przekonania, jeśli tylko, choćby pozornie, odpowiada jego życzeniom. Że będzie pana wypytywał z całą chytrością, tego jestem pewny. Jego zaś panie będą zasiadały wokoło i będą nadstawiały uszek; powie pan na przykład: »Procedura sądowa jest u nas inna« albo »U nas prze-

słuchuje się oskarżonego przed wydaniem wyroku», albo »Tortury istniały u nas tylko w średniowieczu«. Wszystko to są uwagi słuszne w tym samym stopniu, w jakim się one panu wydają oczywiste. Niewinne uwagi, które mego postępowania nie dotyczą. Ale jakże przyjmie je komendant? Widzę go, tego dobrego komendanta, jak natychmiast odsuwa krzesło i śpieszy na balkon, widzę jego panie, jak podążają za nim, słyszę jego głos — panie nazywają jego głos piorunującym — i oto przemawia: »Wielki uczony Zachodu, obarczony misją zbadania postępowania karnego wszystkich krajów, oznajmił właśnie, że postępowanie nasze, oparte na dawnym obyczaju, jest nieludzkie. Po wysłuchaniu opinii takiej osobistości nie mogę oczywiście tego postępowania tolerować. Z dniem dzisiejszym zarządzam zatem... i tak dalej«. Pan chce interweniować, nie powiedział pan tego, co on ogłosił, pan nie nazwał mego postępowania nieludzkim, przeciwnie, uważa pan je, zgodnie ze swym najgłębszym przekonaniem, za najbardziej ludzkie i za najbardziej godne człowieka, podziwia pan również tę oto maszynę; jest już jednak za późno — nie wejdzie pan na balkon zapełniony paniami; chce pan zwrócić na siebie uwagę; chce pan krzyczeć, ale kobieca ręka zamyka panu usta — i oto ja oraz dzieło dawnego komendanta jesteśmy zgubieni."

Podróżny z trudem powstrzymał uśmiech; tak łatwe było więc zadanie, które uważał za tak trudne. Powiedział wymijająco: — „Przecenia pan mój wpływ; komendant czytał moje listy polecające i wie, że nie jestem znawcą procedury sądowej. Jeślibym wyraził moją opinię, byłoby to zdanie osoby prywatnej, nie znaczące więcej niż zdanie kogokolwiek innego, a w każdym razie nie znaczące więcej niż zdanie komendanta, który, o ile mi wiadomo, posiada w tej kolonii karnej bardzo szerokie uprawnienia. Jeśli zdanie jego o tym postępowaniu jest tak wyraźne, jak pan mniema, to, obawiam się, nadszedł temu koniec i to bez mego skromnego współudziału."

Czy oficer to zrozumiał? Nie, on tego jeszcze nie zrozumiał. Potrząsnął gwałtownie głową, spojrzał znowu szybko na skazanego oraz na żołnierza, którzy wzdrygnęli się i przestali jeść ryż, podszedł blisko do podróżnego i nie spojrzawszy mu w twarz, lecz gdzieś na jego marynarkę, powiedział ciszej niż przedtem: — „Nie zna pan komendanta — proszę wybaczyć wyrażenie — jest pan całkowicie nieświadomy rzeczy; wpływu pańskiego, niech mi pan wierzy. nie można nie doceniać. Byłem przecież uszczęśliwiony, gdy dowiedziałem się, że jedynie pan będzie asystował egzekucji. To zarządzenie komendanta miało mnie ugodzić; teraz jednakże obracam je na moją korzyść. Nie powodowany fałszywymi podszeptami i pogardliwymi spojrzeniami — czego przy większej asyście podczas egzekucji nie dałoby się uniknąć — wysłuchał pan moich objaśnień, obejrzał pan maszynę i jest pan oto w trakcie obserwowania egzekucji. Wydał pan już zapewne swój sąd; jeśli istnieją jeszcze jakieś niepewności, widok egzekucji zapewne je zlikwiduje. A teraz proszę pana o jedno: niech mi pan pomoże wobec komendanta!"

Podróżny nie pozwolił mu dalej mówić. „Jakże mogę to uczynić! — wykrzyknął — to zupełnie niemożliwe. Nie mogę panu przecież pomóc, tak jak nie mogę zaszkodzić."

„Może pan" — powiedział oficer. Podróżny ujrzał z niejakim lękiem, że oficer zacisnął pięści. „Może pan" — powtórzył oficer jeszcze bardziej natarczywie. „Obmyśliłem plan, który musi się udać. Pan sądzi, że pański wpływ nie

wystarcza. Ja wiem, że wystarcza. Ale przyjąwszy nawet, że pan ma rację, czyż nie jest wobec tego rzeczą konieczną spróbować wszystkiego, nawet jeśliby to było niedostateczne dla utrzymania tego postępowania? Niech pan więc wysłucha mego planu. Dla jego urzeczywistnienia konieczne jest przede wszystkim, aby pan dzisiaj możliwie powstrzymywał się na terenie kolonii od wyrażania swego sądu o tym postępowaniu. W żadnym wypadku nie wolno się panu na ten temat wypowiadać, chyba że pana o to wprost zapytają; pańskie wypowiedzi wszakże powinny być krótkie i nieokreślone; trzeba, aby odnoszono wrażenie, że trudno panu o tym mówić, że jest pan rozgoryczony, że, gdyby miał pan mówić otwarcie, byłby pan wprost zmuszony wybuchnąć złorzeczeniami. Nie żądam, aby pan kłamał, bynajmniej; powinien pan jedynie odpowiadać krótko, na przykład: »Tak, widziałem egzekucję« albo »Tak, wysłuchałem wszystkich objaśnień«. Tylko tyle, nic więcej. Są to przecież dostateczne powody do rozgoryczenia, które trzeba, aby u pana zauważono, choć rozgoryczenie to nie będzie po myśli komendanta. On, oczywiście, zrozumie to całkowicie opacznie i wytłumaczy na swój sposób. Na tym opiera się mój plan. Jutro odbędzie się w komendanturze pod przewodnictwem komendanta wielkie posiedzenie wszystkich wyższych urzędników administracyjnych. Komendant umie, oczywiście, robić z takich posiedzeń przedstawienia. Wybudowano galerię, która zawsze jest pełna widzów. Zmuszono mnie, abym brał udział w tych obradach, ale wstręt mnie ogarnia. Otóż pan będzie w każdym razie na to posiedzenie zaproszony; jeśli pan się dzisiaj zachowa ściśle według mego planu, zaproszenie zmieni się w gorącą prośbę. Gdyby pan jednak z jakiejś niepojętej przyczyny nie został zaproszony, wówczas musiałby pan zaproszenia zażądać; że je pan wówczas otrzyma, jest rzeczą niewątpliwą. A więc jutro pan zasiada wraz z paniami w loży komendanta... Komendant często upewnia się spojrzeniem co do pańskiej obecności. Po różnych obojętnych, śmiechu wartych, jedynie na słuchaczy obliczonych przedmiotach dyskusji — są to przeważnie inwestycje portowe, wciąż i bez ustanku inwestycje portowe! — na porządku dziennym pojawia się wreszcie sprawa postępowania karnego... Gdyby to z winy komendanta nie nastąpiło lub nastąpiło zbyt późno, już ja się o to zatroszczę. Wstanę i złożę meldunek o dzisiejszej egzekucji. Wystąpię krótko, jedynie ten meldunek. Nie jest tam w zwyczaju składać podobne meldunki, uczynię to jednak. Komendant dziękuje mi jak zwykle z przyjaznym uśmiechem i nie może się powstrzymać od podchwycenia sposobności. »Właśnie — tak albo podobnie będzie przemawiał — złożono meldunek o egzekucji. Chciałbym do tego meldunku jedynie dodać, że egzekucji tej asystował wielki uczony, o którego wizycie, tak wyjątkowo dla naszej kolonii zaszczytnej, wszyscy państwo zapewne wiecie. Również i nasze dzisiejsze posiedzenie nabrało przez jego obecność szczególnej wagi. Czyż nie zechcemy więc zwrócić się do tego wielkiego uczonego z pytaniem, jak ocenia egzekucję opartą na dawnym obyczaju oraz poprzedzającą ją procedurę?« Oczywiście zewsząd oklaski, aklamacja, ja zachowuję się najgłośniej. Komendant składa panu ukłon i powiada: »Wobec tego stawiam panu to pytanie w imieniu wszystkich«. Staje pan więc u bariery. Niech pan położy ręce na widocznym dla wszystkich miejscu, gdyż inaczej panie je pochwycą i będą się bawić paluszkami. I wreszcie wygłosi pan swoje słowo. Nie wiem, jak zniosę napięcie tych godzin aż do tej chwili. W przemówieniu swoim nie może pan stawiać sobie żadnych gra-

nic, niech pan czyni o prawdę wiele hałasu, niech się pan przechyla przez barierę, niech pan wrzeszczy, niech pan wrzeszczy komendantowi swoje zdanie, swoje niezachwiane zdanie. Ale może sobie pan tego nie życzy, nie odpowiada to pańskiemu charakterowi, w pańskiej ojczyźnie zwykło się może w takich wypadkach zachowywać inaczej i to także jest słuszne, to także całkowicie wystarczy, niech pan w ogóle nie wstaje, niech pan powie tylko kilka słów, niech pan je wyszepce, tak że dosłyszą je tylko urzędnicy wokół pana, to wystarczy, wcale nie trzeba, aby pan osobiście mówił o niedostatecznym zainteresowaniu egzekucją, o zgrzytającym kole, zerwanym rzemieniu, obrzydliwym filcu, nie, wszystko to ja wezmę na siebie, i — niech pan mi wierzy — jeśli moje przemówienie nie wygna go z sali, to rzuci go ono na kolana, aż będzie musiał wyznać: »Stary komendancie, korzę się przed tobą«. Oto mój plan. Czy chce pan pomóc mi w jego wykonaniu? Ależ oczywiście, chce pan, więcej, pan musi.“ Oficer chwycił podróżnego za oba ramiona i ciężko dysząc patrzył mu w twarz. Ostatnie zdania wykrzykiwał tak mocno, że nawet żołnierz i skazany zwrócili na to uwagę; mimo że nic nie mogli zrozumieć, przestali jeść i patrzyli, żując, na podróżnego.

Odpowiedź, jaką powinien był dać, od początku nie ulegała dla podróżnego wątpliwości; zbyt wiele w życiu doświadczył, żeby się teraz mógł wahać; był na wskroś uczciwy i nie bał się. Mimo to jednak ociągał się przez mgnienie oka w obliczu żołnierza i skazańca. W końcu jednak powiedział, jak musiał: — „Nie.“ Oficer zamrugał parę razy oczami, ani na chwilę jednak nie spuścił z niego wzroku. „Czy chce pan wyjaśnienia? — zapytał podróżny. Oficer milcząc skinął głową. — Jestem przeciwnikiem tego postępowania — powiedział więc podróżny — jeszcze zanim okazał mi pan zaufanie — zaufania tego nie będę oczywiście pod żadnym pozorem nadużywał — zastanowiłem się już, czy byłbym upoważniony przeciwko temu postępowaniu wystąpić i czy moje wystąpienie miałoby najmniejsze choćby widoki powodzenia. Do kogo musiałbym się przede wszystkim zwrócić, było dla mnie jasne: do komendanta oczywiście. Uczynił pan to dla mnie jeszcze bardziej jasnym, choć nie przyczynił się pan do umocnienia mojej decyzji, przeciwnie, pańskie uczciwe przekonanie bardzo mnie przejmuje, choć nie może mnie ono zmylić.“

Oficer milczał dalej, obrócił się ku maszynie, chwycił mosiężne pręty, po czym spojrzał, nieco przechylony do tyłu, w górę, na rysownicę, jakby badał, czy wszystko jest w porządku. Żołnierz i skazany zdawali się zawierać ze sobą przyjaźń; skazany, choć było to trudne wobec tak mocnego skrępowania, dawał żołnierzowi jakieś znaki; żołnierz pochylił się ku niemu; skazany szepnął mu coś, żołnierz zaś skinął głową.

Podróżny podszedł do oficera i powiedział: „Nie wie pan jeszcze, co chcę zrobić. Wprawdzie wyrażę komendantowi mój pogląd na to postępowanie, ale nie na posiedzeniu, lecz w cztery oczy; nie pozostanę tutaj również tak długo, żebym mógł brać udział w jakimkolwiek posiedzeniu; odjadę już jutro z rana albo przynajmniej się zaokrętuję.“

Nie wyglądało na to, by oficer go słuchał. „Postępowanie nie przekonało więc pana“ — powiedział do siebie i uśmiechnął się tak, jak się uśmiecha stary człowiek nad naiwnością dziecka, kryjąc za tym uśmiechem swoje własne myśli.

„Nadszedł więc czas“ — powiedział w końcu i spojrzał nagle na podróżnego

rozjaśnionymi oczami, w których kryło się jakieś wyzwanie, jakiś apel o współuczestnictwo.

„Na co nadszedł czas?“ — zapytał podróżny niespokojnie, nie otrzymał jednak odpowiedzi.

„Jesteś wolny“ — powiedział oficer skazanemu w jego języku. Ów początkowo nie wierzył. „No, wolny jesteś“ — powiedział oficer. Twarz skazanego ożywiła się po raz pierwszy naprawdę. Była to prawda? Czy tylko kaprys oficera, kaprys, który mógł minąć? Czyżby obcy podróżnik uzyskał dla niego łaskę? Cóż to było? Tak zdawała się pytać jego twarz. Niedługo jednak. Cokolwiek by to mogło być, chciał, skoro mógł, być naprawdę wolnym i zaczął się szarpać, na ile tylko brona pozwalała.

„Porwiesz mi rzemienie — krzyknął oficer — uspokój się! Zaraz je odepniemy.“ I wziął się wraz z żołnierzem, któremu dał znak, do roboty. Skazany chichotał tylko cicho bez słów, zwracając twarz to w lewo, ku oficerowi, to w prawo, ku żołnierzowi, nie zapominając również o podróżnym.

„Wyciągnij go“ — rozkazał oficer żołnierzowi. Należało z powodu brony zachować niejaką ostrożność. Skazany miał już na skutek swojej niecierpliwości kilka małych, szarpanych ran na plecach.

Od tej chwili jednak oficer przestał się nim zajmować. Podszedł tuż do podróżnego, wyciągnął ponownie swoją teczuszkę, przerzucił w niej kartki, znalazł w końcu kartkę, której szukał, i pokazał ją podróżnemu. „Niech pan czyta“ — powiedział. „Nie mogę — rzekł podróżny — powiedziałem już, że nie mogę tych kartek czytać.“ „Ale niech pan się dokładnie tej kartce przyjrzy“ — powiedział oficer i stanął obok podróżnego, aby czytać z nim razem. Gdy i to nie pomogło, zaczął małym palcem kreślić znaki wysoko ponad papierem — jakby w żadnym wypadku nie wolno mu było kartki dotknąć — aby w ten sposób ułatwić podróżnemu czytanie. Podróżny starał się więc, jak mógł, aby przynajmniej w tym okazać oficerowi uprzejmość, ale było to dla niego niemożliwe. Wobec tego zaczął oficer napis sylabizować, po czym przeczytał go jeszcze raz łącznie. „»Bądź sprawiedliwy« — napisano tutaj — powiedział — teraz przecież może to pan przeczytać.“ Podróżny pochylił się tak nisko nad papierem, że oficer, w obawie przed dotknięciem kartki, odsunął ją dalej; teraz wprawdzie podróżny nic już nie powiedział, ale było jasne, że wciąż jeszcze nie mógł tego przeczytać. „»Bądź sprawiedliwy!« — napisano tutaj“ — powiedział oficer raz jeszcze. „Być może — powiedział podróżny — wierzę, że tak tam napisano.“ „Dobrze więc“ — powiedział oficer, częściowo przynajmniej zadowolony, i wszedł z kartką po drabinie; ułożył kartkę z wielką ostrożnością wewnątrz rysownicy i całkowicie, jak się zdawało, przestawił maszynerię; była to praca bardzo uciążliwa, musiała dotyczyć i całkiem małych kółek, głowa oficera znikała niekiedy całkowicie w rysownicy, tak dokładnie musiał maszynerię przebadać.

Podróżny bez przerwy śledził tę pracę z dołu, kark mu zesztywniał i oczy bolały od słonecznego blasku na niebie. Żołnierz i skazany zajęci byli wyłącznie sobą. Koszulę i spodnie skazańca, które leżały już w rowie, wyciągnął żołnierz ostrzem bagnetu. Koszula była straszliwie brudna i skazany prał ją w kuble z wodą. Kiedy potem koszulę i spodnie włożył, zarówno żołnierz jak skazany musieli roześmiać się głośno, bo ubranie to przecież było z tyłu porozcinane. Możliwe, że skazany sądził, iż jego obowiązkiem jest zabawiać żołnierza i w roz-

ciętym ubraniu kręcił się przed nim w kółko, tak że żołnierz przykucnął na ziemi i ze śmiechem uderzał się po kolanach. Bądź co bądź miarkowali się jednak przez wzgląd na obecność panów.

Gdy oficer skończył nareszcie swą pracę na górze, uśmiechając się objął wzrokiem raz jeszcze całość we wszystkich szczegółach, zatrzasnął tym razem pokrywę rysownicy, która dotychczas pozostawała otwarta, zszedł, popatrzył do rowu, a potem na skazanego, zauważył z zadowoleniem, że skazany wyciągnął swoje ubranie, potem podszedł do kubła z wodą, aby sobie umyć ręce, spostrzegł za późno obrzydliwą nieczystość, zasmucił się, że oto nie może umyć rąk, zanurzył je wreszcie — ten zastępczy sposób nie wystarczał mu, ale nie miał innej możliwości — w piasek, po czym wstał i zaczął sobie rozpinać mundur. Najsamprzód wpadły mu przy tym do ręki owe dwie damskie chusteczki do nosa, które zatknął był za kołnierz. „Masz tu swoje chustki“ — powiedział i rzucił je skazanemu. Do podróżnego zaś powiedział wyjaśniająco: — „Podarunki od pań“.

Mimo widocznego pośpiechu, z którym zdejmował mundur i potem się całkowicie rozebrał, obchodził się jednak bardzo troskliwie z każdą częścią ubrania, srebrne sznury przy mundurze wygładził nawet palcami i potrząsnął chwaścikiem, aby się prawidłowo ułożył. Mało jednak licowało z ową starannością to, że skoro tylko ukończył składanie jakiejś części ubioru, rzucał ją natychmiast niechętnym szarpnięciem do rowu. Ostatnią rzeczą, jaka mu została, była jego krótka szpada wraz z rapciami. Wyciągnął szpadę z pochwy, złamał ją, chwycił potem wszystko razem, kawałki szpady, pochwę i rapcie i rzucił to tak gwałtownie, aż zaszczękało na dnie rowu.

Stał teraz nagi. Podróżny przygryzł wargi i nie mówił nic. Wiedział wprawdzie, co się stanie, ale nie miał prawa przeszkodzić oficerowi w czymkolwiek. Jeśli procedura sądowa, której oficer był zwolennikiem, była rzeczywiście w przededniu likwidacji — może nawet wskutek interwencji podróżnego, który ze swej strony czuł się do tego zobowiązany — to oficer postępował teraz zupełnie słusznie; podróżny nie postąpiłby na jego miejscu inaczej.

Skazany i żołnierz nie rozumieli z tego początkowo nic, na razie nawet nie przyglądali się temu. Skazany bardzo się ucieszył, że otrzymał chusteczki z powrotem, cieszył się jednak nimi niedługo, gdyż żołnierz zabrał mu je szybkim, nie dającym się przewidzieć chwytem. Z kolei skazany usiłował wyciągnąć chusteczki żołnierzowi zza pasa, gdzie ów je wetknął, ale żołnierz był czujny. Tak spierali się półżartem. Dopiero kiedy oficer był zupełnie nagi, zwróciło to ich uwagę. Szczególnie skazany zdawał się być uderzony przeczuciem jakiejś wielkiej przemiany. Co się działo przedtem z nim, dzieje się teraz z oficerem. Być może dojdzie do ostateczności. Prawdopodobnie obcy podróżny wydał po temu rozkaz. Była to więc zemsta. Nie cierpiąc sam do końca, był wszakże do końca pomszczony. Szeroki bezgłośny śmiech ukazał się nagle na jego obliczu i już nie znikał.

Oficer jednakże odwrócił się ku maszynie. Jeśli już przedtem było oczywiste, że znał maszynę dobrze, to teraz wprost zdumiewało, jak się z nią obchodził i jak mu była posłuszna. Zbliżał zaledwie rękę do brony, a ta podnosiła się i opuszczała wielekroć, aż znalazła się w prawidłowym położeniu, gotowa na jego przyjęcie; ledwo chwycił łóżko przy brzegu, a już zaczynało dygotać; kołek filcowy przysunął się do jego ust, widać było, że oficer go właściwie nie

chce, ale ociąganie się trwało zaledwie mgnienie oka, podporządkował się i włożył go sobie w usta. Wszystko było gotowe, jedynie rzemienie zwisały jeszcze po bokach, ale były widać zbyteczne, oficer nie musiał być przywiązany. Wtedy te luźne rzemienie dojrzał skazany, jego zdaniem egzekucja nie byłaby całkowita, gdyby rzemienie nie były zapięte, skinął niecierpliwie na żołnierza i obaj podbiegli, aby oficera przywiązać. Ów wyciągnął już jedną nogę, aby pchnąć korbę, wprawiającą rysownicę w ruch, gdy zobaczył, że ci dwaj podeszli. Cofnął wówczas nogę i dał się przywiązać. Teraz co prawda nie mógł sięgnąć do korby; ani żołnierz, ani skazany nie potrafiliby jej znaleźć, podróżny zaś był zdecydowany nie ruszyć się z miejsca. Nie było to potrzebne. Ledwo założono rzemienie, maszyna zaczęła pracować. Łóżko drgało, igły tańczyły po skórze, brona unosiła się w dół i w górę. Podróżny już chwilę patrzył tępo przed siebie, zanim sobie przypomniał, że jedno z kół w rysownicy miało zgrzytać. Wszystko jednak odbywało się w ciszy, nie słychać było najlżejszego brzęczenia.

Ta cicha praca była powodem, że maszyna wprost wymykała się uwadze. Podróżny spojrzał na żołnierza i skazanego. Skazany był bardziej ożywiony, wszystko w maszynie interesowało go, to pochylał się, to wyprostowywał, co chwila palcem wskazującym pokazywał coś żołnierzowi. Podróżnemu sprawiało to przykrość. Był zdecydowany pozostać tu do końca, ale widoku tych dwóch nie mógłby długo znosić. „Idźcie do domu" — powiedział. Żołnierz byłby może nawet gotów to uczynić, ale skazaniec odczuł rozkaz wprost jako karę. Prosił błagalnie, ze złożonymi rękami, aby mu pozwolono zostać. Kiedy zaś podróżny, potrząsając głową, nie chciał ustąpić, ukląkł nawet przed nim. Podróżny widział, że rozkazy tu na nic się nie zdadzą, chciał więc podejść i przepędzić obydwóch. Wtem usłyszał u góry, w rysownicy, jakiś szmer. Spojrzał w górę. Czyżby to jedno koło mimo wszystko przeszkadzało? Ale było to co innego. Pokrywa rysownicy podnosiła się zwolna, aż otwarła się całkowicie. Ukazały się zęby jednego z trybów, podniosły się do góry, wkrótce pojawił się cały tryb, zdawało się, że jakaś ogromna siła ściska rysownicę, tak że dla tego trybu nie starczyło już miejsca. Tryb kręcił się aż do skraju rysownicy, spadł na dół, toczył się kawałek w piasku i przewrócił się w końcu. Ale już podnosił się w górze następny tryb, za nim wiele innych, wielkich, małych i ledwo dostrzegalnych. Ze wszystkimi działo się to samo. Już zdawało się, że rysownica jest pusta, gdy nagle ukazywała się nowa, szczególnie liczna grupa trybów, podnosiła się, spadała, toczyła po piasku i przewracała. Wskutek tego wszystkiego skazany zapomniał o rozkazie podróżnego, tryby wprowadziły go w zachwyt absolutny, stale chciał któryś z nich chwycić, popędzał jednocześnie żołnierza, aby mu pomógł, cofał jednak z lękiem rękę, gdy nadchodził następny tryb, który go — przynajmniej w pierwszym impecie — przerażał.

Podróżny był natomiast bardzo zaniepokojony: maszyna najwyraźniej rozpadała się; spokojny jej chód był złudzeniem. Miał uczucie, jak gdyby jego obowiązkiem było teraz zająć się oficerem, który już się nie mógł o siebie troszczyć. Ale podczas gdy wyskakiwanie trybów zajęło całą jego uwagę, zapomniał przyjrzeć się reszcie maszyny. Teraz, gdy ostatni tryb opuścił rysownicę, pochylił się nad broną i spotkała go nowa, jeszcze gorsza niespodzianka. Brona nie pisała, kłuła jedynie, łóżko zaś nie przewracało ciała, lecz dygocząc wciskało je tylko na igły. Podróżny chciał interweniować, zatrzymać w miarę

możliwości całe urządzenie — nie była to przecież tortura, jak tego pragnął oficer, to był po prostu mord. Wyciągnął ręce. Lecz oto brona z nadzianym na nią ciałem uniosła się w bok, tak jak to czyniła zazwyczaj dopiero po dwunastu godzinach. Krew płynęła setką strumieni, nie zmieszana z wodą, gdyż również i rureczki tym razem zawiodły. Zawiodła także i ostatnia rzecz: ciało nie oderwało się od długich igieł, wykrwawiało się, zwisając ciągle nad rowem. Brona chciała wrócić do dawnej pozycji, ale jakby spostrzegłszy, że nie uwolniono jej jeszcze od ciężaru, pozostała nadal nad rowem. „Pomóżcie!" — krzyknął podróżny do żołnierza i skazanego, i chwycił sam za nogi oficera. Chciał pocisnąć z tej strony na nogi, tamci dwaj powinni byli po przeciwnej stronie uchwycić głowę oficera i tak miano go powoli zdjąć z igieł. Ale tamci dwaj nie mogli się zdecydować na przyjście: skazany odwrócił się wręcz tyłem; podróżny musiał podejść do nich i siłą ich do głowy oficera ściągnąć. Zobaczył przy tym wbrew woli twarz trupa. Wyglądała tak jak za życia, nie można było odkryć żadnej oznaki obiecanego wyzwolenia; oficer nie znalazł w maszynie tego, co znajdowali w niej wszyscy inni; wargi jego były mocno zaciśnięte, oczy otwarte, pełne wyrazu życia, o spojrzeniu spokojnym i ufnym, przez czoło przechodziło ostrze wielkiego stalowego kolca.

Kiedy podróżny wraz z podążającymi za nim żołnierzem i skazanym zbliżył się do pierwszych domów kolonii, żołnierz wskazał na jeden z budynków i powiedział: „To jest ta herbaciarnia".

Na parterze znajdowało się głębokie, niskie, podobne do jaskini pomieszczenie, ze śladami dymu na ścianach i suficie. Od strony ulicy było otwarte na całą swoją szerokość. Mimo że herbaciarnia mało się różniła od innych domów kolonii, które prócz pałacowych budowli komendantury, były bardzo poniszczone, zrobiła jednak na podróżnym wrażenie historycznej pamiątki i poczuł potęgę minionych czasów. Podszedł bliżej, zapuścił się wraz ze swymi towarzyszami pomiędzy puste stoliki, które stały przed herbaciarnią na ulicy, i wciągnął chłodne i stęchłe powietrze wychodzące z wnętrza. „Stary jest tutaj pogrzebany — powiedział żołnierz — duchowieństwo odmówiło mu miejsca na cmentarzu. Przez pewien czas nie było decyzji, gdzie go pogrzebać, w końcu pochowano go tutaj. O tym z pewnością panu oficer nic nie powiedział, gdyż tego wstydził się, oczywiście, najbardziej. Próbował nawet kilka razy w nocy wygrzebać starego, zawsze go jednak przepędzano." „Gdzie jest grób?" — zapytał podróżny, który nie mógł żołnierzowi uwierzyć. Zaraz obaj, żołnierz i skazany wybiegli naprzód i wyciągniętymi rękami wskazywali miejsce, gdzie miał znajdować się grób. Poprowadzili podróżnego aż do tylnej ściany, gdzie przy kilku stolikach siedzieli goście. Byli to przypuszczalnie robotnicy portowi, silni mężczyźni z krótkimi, czarnymi, połyskującymi brodami. Wszyscy byli bez marynarek, koszule mieli podarte, byli to biedni, poniżeni ludzie. Gdy podróżny się zbliżył, niektórzy z nich wstali, przycisnęli się do ściany i patrzyli na niego. „To obcy — szeptano wokół podróżnego — chce zobaczyć grób." Odsunęli na bok jeden ze stołów, pod którym znajdował się rzeczywiście kamień nagrobny. Był to zwyczajny kamień, dość niski, aby go można było ukryć pod stołem. Miał napis o bardzo małych literach —aby go przeczytać, podróżny musiał uklęknąć. Napis głosił: „Tu spoczywa dawny komendant. Jego zwolennicy, którzy obecnie nie mogą nosić żadnej

nazwy, wykopali mu ten grób i położyli ten kamień. Istnieje przepowiednia, że komendant za pewną ilość lat zmartwychwstanie i poprowadzi swych zwolenników na ponowne zdobycie kolonii. Wierzcie i czekajcie!" Kiedy podróżny przeczytawszy to powstał, ujrzał stojących wokół siebie uśmiechniętych ludzi, jak gdyby wraz z nim odczytali napis, stwierdzili, że jest śmieszny, i żądali teraz, aby podzielił ich pogląd. Podróżny udawał, że tego nie spostrzega, rozdał między nich parę monet, poczekał jeszcze, aż zasunięto stół ponad grobem, opuścił herbaciarnię i poszedł do portu.

Żołnierz i skazany spotkali w herbaciarni znajomych, którzy ich zatrzymali. Musieli się jednak prędko od nich uwolnić, gdyż podróżny znajdował się zaledwie w połowie długich schodów prowadzących do szalup, kiedy już go doganiali. Chcieli widocznie w ostatniej chwili zmusić podróżnego, aby ich zabrał ze sobą. Podczas gdy podróżny pertraktował na dole z jakimś marynarzem w sprawie przewozu na statek, tamci dwaj pędzili w milczeniu schodami w dół, nie mając odwagi krzyczeć. Ale kiedy dotarli na dół, podróżny był już w łodzi, a marynarz odepchnął ją właśnie od brzegu. Mogli jeszcze skoczyć do łodzi, lecz podróżny podniósł z dna ciężką, pokrytą węzłami linę, pogroził im i powstrzymał ich w ten sposób od skoku.

Przełożył
Witold Wirpsza

Tymoteusz Karpowicz

ZMYŚLONY CZŁOWIEK

Nie przyglądaj się mojej twarzy —
Twarz to zmyślona.
Ciułałem martwy rys po rysie,
Rozpinałem nad sobą sarkofag;
Pół życia straciłem, lecz dokonałem arcyrzeczy:
Nawet krzywe zwierciadło
Takiej twarzy nie może pogiąć.

Nie przysłuchuj się mojej mowie —
Jest także zmyślona.
W wieży Babel
Wymieniłem rzecz czarnoleską
Na syntezę mowy.
Było to trudniejsze od lotu bez skrzydeł —
Straciłem na to drugie pół życia.

Nie przyglądaj się mym rękom,
Nie przyglądaj się mym stopom,
Nie przyglądaj się memu cieniowi.

Zmyśliłem siebie,
Jestem zmyślony człowiek —
Owoc nie istniejącego drzewa.

Wrocław 1954

TCHÓRZE

To oni
Pozostawiają siebie w domu,
Kiedy wychodzą komuś na spotkanie,
Przecinają na ukos życie,
Zygzakami przebiegają drogi.

To oni
Oplwają z przestrachu,
Zabiją z przerażenia,
Zatrują wszystkie oceany,
Byle się ocalić przed kroplą
Własnej goryczy.

To oni
Krzyczą we śnie,
Gdy przyśni im się rzecz straszna —
Ludzka odwaga.

Wrocław 1956

*
* *

Nie każdy krok zostawia trwałe ślady,
Nie każda myśl utrwala się na wieki.
Lecz każdy krok wyjawia ludzki ciężar
I każda myśl wyjawia ludzką twarz.

A pośród bliskich mych nieraz się ujrzeć zdarzy,
Jak ktoś nie stąpa, ale płynie przez powietrze.
Próżno wytężam wzrok — nie mogę ujrzeć śladów.
Próżno zabiegam szlak — nie mogę spostrzec twarzy.

Widocznie dobrze im swojego kształtu nie mieć,
W historii żyć na prawach przywidzenia.

Wrocław 1955

Tymoteusz Karpowicz

Michał Głowiński

SZKIC O LEŚMIANIE

I

Pokolenie 1875—1880 wydało wielu poetów, ale spośród nich dwóch tylko przeszło do dziejów narodowej poezji i wpłynęło na jej dalszy rozwój: Staff i Leśmian. Reszta to byli lirycy, niekiedy bardzo utalentowani, by wymienić tylko Bronisławę Ostrowską i Józefa Ruffera — twórczość ich jednak, nieraz ilościowo dość obfita, nie rozwinęła się tak, jak zapowiadały wierszopisarskie początki. To nie przypadek. Sytuacja poety debiutującego około roku 1900 była bowiem szczególnie trudna — przypadała przecież na okres obumierania „Młodej Polski", upadku jej ideałów artystycznych i poetyki. Mimo to stworzone przez nią konwencje i styl nadal obowiązywały. Niewielu w swej praktyce twórczej zdołało w sposób wyrazisty młodopolszczyźnie się przeciwstawić. A stała się ona już wtedy dla poezji wędzidłem, pancerzem, przez który każdy debiutujący liryk musiał się przebijać. Około roku 1890 ta żyzna gleba — w okresie pierwszych wystąpień Kasprowicza, Langego, Tetmajera — dziesięć lat potem stała się ziemią jałową. Toteż wyrastająca na jej podłożu poezja nader miernie się prezentowała. Stan ten trwać będzie mniej więcej do czasu pierwszej wojny, mimo tych czy innych, niekiedy wielkich, osiągnięć poszczególnych poetów (tomiki Staffa).

Poezja *„Chimery"*, poezja początku naszego wieku, była poezją przetwarzającą motywy i styl pierwszego pokolenia młodopolskiego, z jego młodzieńczego okresu „burzy i naporu", oraz zachodnich symbolistów, a niekiedy nawet i parnasistów. Przykładem fatalnych skutków, jakie modernistyczne konwencje pozostawiały na twórczości młodych poetów, mogą być wiersze Leśmiana z pierwszego okresu jego działalności pisarskiej, rozproszone po czasopismach: *„Wędrowcu"*, *„Tygodniku Illustrowanym"*, *„Głosie"*, a nawet część tych liryków, które potem wejdą do tomu *Sad rozstajny*. Są to utwory zadziwiające. W pewnych ich fragmentach widać przebłyski ogromnego talentu poetyckiego, inne nie odbiegają niemal niczym od typowo młodopolskiej tandety literackiej. Skłonność do jędrnego słownictwa kojarzy się z *fin de siècle*'owym wielosłowiem. Banalne obrazy sąsiadują — nieraz nawet na przestrzeni jednej strofy — z wizjami, urzekającymi świeżością spojrzenia na świat. Konwencjonalne tematy występują tuż obok oryginalnych wątków, którym poeta pozostanie wierny przez całe życie.

Swe juvenilia — są między nimi utwory, które na pewno kosztowały wiele wysiłku pisarskiego, np. obszerny, zajmujący sześć kolumn w *„Wędrowcu"*, poemat *Niedopita czara* — skazał Leśmian na zapomnienie. Z potężnych foliałów czasopism nie trafiły one nigdy na karty tomiku. Są jednak bardzo interesujące: z tego względu przede wszystkim, że pozwalają śledzić kształtowanie się poetyckiej wyobraźni Leśmiana, że ukazują jakby narodziny problematyki, która będzie istotna dla jego dojrzałej twórczości. Już w najwcześniejszych wierszach występuje podstawowe dla Leśmiana zagadnienie: stosunek człowieka do przyrody. Np. w sonecie, nagrodzonym i wydrukowanym w roku 1898 przez *„Życie"*, jest to stosunek racjonalisty, który widzi w przyrodzie przede wszystkim pierwiastki materialne. Wyrażeniu takiego jej rozumienia służy pewien chwyt, który nazwałbym świadomym burzeniem poetyckiej iluzji:

Znojnych całunków przelata ulewa,
A dusza moja śród błękitnych jarów
Zda się szeleści pod dotknięciem czarów,
Nie widać duszy — to szeleszczą drzewa!...

Niech sen mój złoty nagle się przesili.
Co to? — Szept bóstwa widzę w niebo wzbity,
Nie widać bóstwa — to szepczą błękity...

Czary, dusza, bóstwa są pewnymi złudzeniami, które poeta niweczy. Jest to bardzo ciekawe z tego względu, że zupełnie odbiega od praktyk młodopolskich. Burzenie iluzji stanowi nawet przeciwieństwo modernistycznego traktowania przyrody, w której przede wszystkim widziano pewien sens metafizyczny, widziano odbicie subiektywnych przeżyć jednostki. W sonecie Leśmiana przyroda ma charakter obiektywny. Przeciwstawianie metafizycznej interpretacji natury jej pojmowaniu niejako empirycznemu decyduje nie tylko o filozofii sonetu, ale również o jego kompozycji. W trzech aż strofach spowodowało ono swoistą konstrukcję, jakby opartą na zaprzeczeniu — ostatni wiersz strofy neguje to, co poeta powiedział poprzednio.

2

Racjonalizm nie będzie nigdy tym elementem światopoglądu Leśmiana, który w sposób decydujący zaważy na jego liryce. Autor *Łąki* należy jednak do tych poetów, którzy filozofują (pisali o tym niemal wszyscy jego krytycy — bodaj pierwszy zwrócił na to uwagę w swych cennych studiach Adam Szczerbowski). Artur Sandauer przeprowadził kiedyś podział tzw. liryków intelektualnych na takich, którzy bezpośrednio poruszają zagadnienia filozoficzne, i tych, którzy nie mówią bezpośrednio o problemach, ale stawiają je jednak — intelektualizm tkwi w formie. Leśmian, który nie napisał bodaj ani jednego wiersza ściśle refleksyjnego, należy, oczywiście, do drugiej grupy poetów. Podstawę jego filozofii, przejawiającej się w obrazowaniu, języku, fabule wierszy, wskazał niedawno Kazimierz Wyka: jest nią neokantyzm.

Świat poetycki Leśmiana jest niezwykle bogaty. Fundamentem jego konstrukcji jest przeświadczenie, że świat rzeczywisty jest niepoznawalny. To nie przypadek, że w tak wielu wierszach pojawia się słowo „nie wiem". W utworach Leśmiana bowiem wyobraźnia może tworzyć nowy świat poetycki, może konstruować jakby fikcje „wyższego stopnia". Poszukiwania sensu świata, praw nim rządzących, istoty warunkującej jego byt, kończą się niepowodzeniem. Wyprawy po „rzecz samą w sobie" przynoszą klęskę. Tragiczny topielec — z wiersza pod tym tytułem — ginie nie dowiedziawszy się niczego. Leśmian nie tylko wątpi o poznawalności „rzeczy samej w sobie", ale tak jak XIX- i XX-wieczni kontynuatorzy myśliciela z Królewca — neguje niekiedy jej istnienie. Wobec takich założeń jedynie rzeczywiste pozostaje ludzkie spojrzenie na świat, a co za tym idzie, twory wyobraźni:

W cienistym istnień bezładzie Znikomek błąka się skocznie.
Jedno ma oko błękitne, a drugie — piwne, więc raczej
Nie widzi świata tak samo, lecz każdym okiem — inaczej —
I nie wie, który z tych światów jest rzeczywisty — zaocznie?
(Znikomek)

W wierszu *Otchłań* — jest to swego rodzaju dwugłos liryczny — bohater przygląda się Otchłani, ale potem upersonifikowana Otchłań chce poznać swego obserwatora: jej oczy „widzą kogoś innego niż ten, który jestem". Bohater — w myśl takich założeń myślowych — nie może przekonać Otchłani, że jest w błędzie. Każda jednostka jest niepoznawalna dla innej.

Ma to u Leśmiana daleko idące konsekwencje: wpływa na tragizm jego wierszy. Niemożność poznania, przy wysiłkach w tym kierunku, sprowadza na bohatera nieszczęście. Jedyną sensowną postawą jest bierne wyczekiwanie. W popularnej *Dziewczynie* poznanie jest jedynie złudzeniem — jego konsekwencją katastrofa. Działanie okazuje się nie tylko daremne, ale sam jego zamysł — nonsensem. W *Balladzie dziadowskiej* podobnie ukazany jest już nawet nie czyn, ale tylko pragnienie.

Przeświadczenie o niepoznawalności świata prowadzić musi do swego rodzaju mitologizowania rzeczywistości, do fantastyki. Światem fantastyki, kreowanym przecież przez wyobraźnię, nie rządzą prawa, których trzeba by poszukiwać. Króluje baśniowość, uzależniona jedynie od subiektywnej woli twórcy. Fantastyka przenika u Leśmiana zarówno w utwory, obracające się w kręgu ludzi, jak i w kręgu przyrody. Łączy się z tajemniczością. Fantastyczne zjawy, mimo swej obrazowej konkretności, mimo swej „materialności", są absolutnie nieokreślone. Ich istota jest enigmatyczna, przyczyny działania — niedocieczone. Fantastyka znajduje swe uzasadnienie w widzeniu sennym. Motywy snu jakby utwierdzają filozofię Leśmiana. Świat, tworzony przez wyobraźnię, najdziwaczniejsze swe kontury ukazuje wtedy, gdy działanie świadomości zostaje jakby wstrzymane. Leśmian pisał: „Śnić — i widzieć sen własny, i ująć go w karby bezwzględnego artyzmu, i wywalczyć mu dziwaczne prawo bytu w dookolnych obszarach — oto czyn jedyny, na który zdobyć się winien poeta".

Jest to jeden z największych paradoksów poezji Leśmiana: solipsyzm, wątpienie o tym, że istnieje cokolwiek poza poznającym podmiotem, niejako

współżyje z wręcz maksymalną konkretnością i zmysłowością obrazu poetyckiego. Leśmian — poeta sceptyczny i filozofujący jakby mimo woli — gubi się w sprzecznościach. Powątpiewa i o swoich — utajonych zazwyczaj — koncepcjach. Rubaszny humor, tak dla niego znamienny, jest przeciwieństwem wszelkiej mistyki, jest wyrazem trzeźwości spojrzenia i swego rodzaju racjonalizmu. W poetyckiej wizji przestrzega Leśmian poszanowania dla przedmiotów, które uległy bądź też nie uległy fantastycznej deformacji. W bogatym, chciałoby się powiedzieć „rzeczowym", obrazie ginie koncepcja, która zadecydowała o jego wyglądzie. *Rzecz sama w sobie* znowu ukazuje swą materialną istotę.

Neokantowska podstawa otwierała nowe możliwości artystyczne, na których ostateczny wygląd filozofia wpływ mogła wywrzeć jedynie minimalny. Gdy się twierdzi, że przedmiot jest jedynie tworem wyobraźni (w dziele sztuki ma to wpływ przede wszystkim na metodę twórczą artysty i charakteryzuje głównie wyznawaną przez niego teorię poznania), następstwem być musi jego wizja subiektywna, nie odtwarzająca, ale do pewnego stopnia „tworząca" nowe postacie rzeczy. Łączy się to z osiągnięciami nowoczesnego malarstwa, z jego wielowarstwowością widzenia. Leśmian też patrzy jakby „po malarsku", równocześnie z wielu punktów widzenia, co warunkuje nowatorski charakter jego obrazów. Takie założenie myślowe sprzyja też nasyceniu lirycznemu: świat, którego poeta nie opisuje, ale jakby od nowa tworzy, niemal prowokuje do emocjonalnego „skomentowania". Wizja, w której „marzenie graniczy z rzeczywistością, rzeczywistość z marzeniem" (zdania z eseju Leśmiana o Poem), musi być wizją liryczną.

3

Słusznie pisał Sandauer (w swym studium o Przybosiu), że postawa kreacyjna prowadzi do postawy katastroficznej: „władza demiurga najpełniej objawia się w Apokalipsie". Niewiara w poznanie świata prowadzi do wątpienia o jego istnieniu, o jego trwałości. Twory bujnej wyobraźni rozpadają się. Świat w poetyckiej wizji Leśmiana skazany jest na zagładę — „nadchodzi rok nieistnienia". Przyroda pochłania człowieka i sama ginie. Ludzie są wobec wszystkiego tragicznie bezradni — ich czyny są absolutnie bezsensowne.

Na tym tle pojawia się najczęstszy, najoryginalniej ujmowany motyw poety: śmierć. O śmierci się w tych wierszach nie mówi, ją jakby się pokazuje w trakcie działania. Poeta nie rozmyśla na jej tematy — jakby ją ukazuje podczas szerzenia zagłady. Rzadko nadaje jej postać konwencjonalną: nieraz jednak — w myśl starych tradycji — personifikuje. Najkapitalniej określa jednak śmierć w tych wierszach, w których wyraża swój stosunek do niej najbardziej bezpośrednio, gdy mówi o umieraniu:

Słyszę, jak deszcz po liściach coraz głębiej pluska.
Tak mnie nuży zwłok moich w zaświaty wywózka
Na kołach, co się kręcą, choć nie wiedzą drogi!...

(Pogrzeb)

Tak mi ciężko zaznajamiać się z mogiłą,
Tak się nie chce być czymś innym, niż się było!
(Po co tyle świec nade mną...)

Wydaje mi się, że przed Leśmianem nikt na ten temat tak nie pisał — w każdym razie w naszej liryce. Genialnym odkryciem poetyckim jest przecież ukazanie śmierci poprzez zjawiska życia codziennego, sprowadzenie jej do w gruncie rzeczy bardzo prostych spraw ludzkich. Celowa naiwność sformułowań, pozorna błahość spraw niemiłych poecie w powiązaniu ze śmiercią robi wielkie, wstrząsające wrażenie. U Leśmiana często obsesja śmierci łączy się ze zmysłową aprobatą świata. Poeta wciąż oscyluje między tymi dwoma krańcami. Kiedy indziej znów w takim samym sarkazmem kpi ze śmierci jak i z życia. Jest tragicznie zagubiony. Wtedy rodzi się Leśmianowska groteska. W oczach nie wierzącego w poznanie sceptyka wszystko rozpada się na bezładne odłamki, światy życia i światy śmierci okazują się absurdalne — „dziwaczeje istnienie". Komizm zespala się z eschatologią. Prawem rządzącym staje się groteskowy absurd. Poeta anarchicznie burzy wszelki porządek świata, ukazuje bezsensowność i złudność jego ładu. W *Wiośnie* biologiczne poczucie pełni istnienia przeistacza się w kolekcję nieprawdopodobieństw:

Takiej wiosny rzetelnej, jaką w swym powiecie
Widział Jędrek Wysmółek — nikt nie widział w świecie!

Poprzez okno karczemne łeb w bezmiar wyraził
I o mało się w durną mgłę nie przeobraził!

Lecz umocnił się w karku i, nieco przybladłszy,
Łbem pochwiał dla otuchy i splunął, i patrzy...

Jego własna chałupa wraz z babą i sadem
Odwróciła się nagle nieproszonym zadem.

Wieprz-znajomek, nie większy na pozór od snopa,
Biegnie w skradzionych portkach Magdzinego chłopa.

4

Najwyraźniej zaważyła filozofia Leśmiana (nawet w *Sadzie rozstajnym,* najmniej dla niego reprezentatywnym tomie) na obrazach przyrody. „Pragnę ujmować przyrodę jako rzecz samą w sobie — mówił Leśmian w wywiadzie udzielonym Edwardowi Boyé. — W tym tkwi stanowczo jakaś metafizyka, której wypowiedzieć nie umiem, ale mówiąc o przyrodzie traktuję ją tak, jakbym nie tylko do niej tęsknił, lecz i ona do mnie." Enigmatyczna „rzecz sama w sobie" kształtuje wygląd przyrody, ożywia ją, nadaje niemal boską moc. Wiersze stają się po trosze dialogiem z tą tajemniczą istotą natury, wywodzącą się z Kanta, a częściowo pojmowaną panteistycznie w duchu

Spinozy. (Boga utożsamia często Leśmian z naturą. W jednym z wierszy pisze o tym, jak „drzemie Bóg w macierzankach poległy na wznak", gdzie indziej o Bogu znajdującym się w płatku stokroci. Zresztą Bóg przybiera u Leśmiana jak najbardziej fantastyczne postaci — raz jest dobrodusznym staruszkiem, innym razem po prostu fragmentem przyrody. Nie ma wcale znaczenia religijnego, poeta go „zlaicyzował" — często jest jedynie konwencjonalnym stworem.) Sens filozoficzny tego dialogu inspiruje jego wymowę poetycką — jest to jednocześnie symbolistyczny romans z absolutem, pojmowanym przez poetę w *Zielonej godzinie* np. jako niezniszczalny, ale i niepoznawalny duch przyrody. „Poezja wyraża w języku ludzkim, sprowadzonym do swego istotnego rytmu, tajemniczy sens naszego bytu" — pisał Stefan Mallarmé. I Leśmian chce właśnie uchwycić zagadkowy sens przyrody, absolut:

Rozechwiały się szumne gałęzi wahadła
Snem trącone! Wybiła Zielona Godzina!
Wynijdź, lesie, w swej głębi, ty — nasz i nie nasz!

Czyjaż dusza w twe gąszcze znowu się zapadła?
Czyjaż twarz się strumieniom twoim przypomina?
Jeszcze moja przed chwilą, już niczyja twarz...

Czynnikiem określającym przyrodę jest jakiś nieokreślony duch — pociągnęło to daleko idące konsekwencje artystyczne: personifikację. Jak słusznie pisał Stanisław Baczyński, w poezji współczesnej nie sprowadza się ona do przypisywania przedmiotowi jakiejś cechy ludzkiej, lecz przede wszystkim go ożywia. Podobne zjawisko — z modernistycznego punktu widzenia — omawiał Antoni Lange: „Człowiek nadaje naturze swoje ludzkie cechy, nadaje on naturze ludzkie kształty, swoją fizjonomię, swoje uczucia, swoje dążenia i pragnienia. Uczłowiecza naturę. W zjawiskach jej szuka praw. W jej wspomnieniu (odbiciu urojonym) szuka harmonii. Człowiek jest z konieczności swej natury antropomorficzny. Antropomorfizm ten każe mu po ludzku wyobrażać sobie naturę..." W pewnym sensie podejście Leśmiana do przyrody, mimo że całkowicie mieści się jeszcze w poetyce symbolizmu i jego spojrzeniu na świat, odbiega od typowo młodopolskiego traktowania natury. Dla przeciętnego poety modernistycznego przyroda była środkiem wytworzenia nastroju albo — co często sprowadzało się do tego samego — odbiciem subiektywnego stanu twórcy. W *Zielonej godzinie* jest inaczej. Tworzy w niej poeta jakby dwie akcje — „akcję" przyrody i „akcję" liryczną, ściśle ze sobą powiązane. „Akcja" przyrody polega na ukazywaniu się jej w coraz pełniejszej postaci, na dochodzeniu do jej istoty (do której — według poety — nie można dotrzeć), obnażaniu się jej poszczególnych elementów. „Akcja" liryczna jest w stosunku do niej wtórna, spóźniona — ukazuje rozwój bohatera lirycznego w procesie coraz głębszego wdrążania się w istotę natury. Przyroda nie jest tu więc lustrem odbijającym przeżycia poety — między nimi zachodzą stosunki dużo bardziej skomplikowane. Człowiek i przyroda zespalają się w jedną całość — tutaj te dwa elementy można jeszcze odróżnić; w wierszach późniejszych autor dużo ostrzej zatrze granice. W miarę tego procesu integracji człowieka i przyrody ginie w poezji Leśmiana opis,

który zawsze jest rezultatem obserwowania czegoś z zewnątrz. Przestrzeń między podmiotem lirycznym a przedmiotem maleje. Nadał poeta cyklowi konstrukcję bardziej dramatyczną. Cały utwór jest jakby wielką feerią przyrody, która w pewnym momencie dochodzi do punktu szczytowego (jest nim ogarnięcie tajemniczej natury jako całości — ogarnięcie nie równa się jej zrozumieniu). Stąd omówione przedtem „akcje". Punktem szczytowym jest właśnie synteza obydwu „akcji" — zespolenie człowieka z przyrodą.

Wyzwolona z wszelkich więzów przyroda *Zielonej godziny* staje się wartością wszechogarniającą, reprezentuje jednocześnie siłę witalną i materiał burzący. Wyswobodzoną „rzeczą samą w sobie" rządzą prawa baśni. Toteż fantastyka kojarzy się z realizmem i drobiazgowością obserwacji. Precyzja poszczególnych obrazów idzie w parze z niesamowitością tonu i ogromnym nasyceniem lirycznym każdego szczegółu:

Paproć rzuca cień lilii, co w nikłym kielichu
Dźwiga wspomnienia łodzią rozszemranej wody
Wespół z cieniem motyla, co tę wodę pił.
[. . . . . .]
W pobok dębu — w ukośnym majaczy skróceniu
Cień rozwartej na słońce, niewiadomej chaty,
Która kiedyś powstanie, burząc jego pień...

Połączenie mistyki zieleni z tonem baśniowym ma u Leśmiana wielorakie znaczenie. Po pierwsze określa w pewnym sensie stosunek poety do tematu. Jak w każdej baśni, jest to stosunek złożony: z jednej strony wynika z urzeczenia pięknem fantastyki baśniowej, z drugiej przepojony jest rezerwą, wypływającą z niewiary w jej realność. W liryce autora *Łąki* też widać tę nieuchronną sprzeczność: Leśmian-racjonalista dąży do okiełznania wybujałej wyobraźni, dąży do pogodzenia fantazji z prawami rozsądku (zwłaszcza w cyklu *Aniołowie*), Leśmian-fantastyk lgnie do najdalej posuniętej fantasmagorii poetyckiej.

W utworach późniejszych, w których przyroda podlega procesowi zatraty, porzuca poeta wiarę w jej trwałość i obiektywny byt. Natura (jak i człowiek) staje się nieodgadniona, „dziwna". Nie przeprowadza poeta żadnych między nimi różnic — gdy się nie zna istoty, trudno dokonywać rozgraniczenia.

5

Przeświadczenie o nierzeczywistości świata bądź o jego niepoznawalności nie mogło nie zaważyć na konstrukcji bohaterów. W wielu wierszach postać jakby kreuje ukazany w nich świat. Ale do tego problem się nie ogranicza. Równie ważna jest sprawa stosunku bohaterów do historii. Już w *Sadzie rozstajnym* stworzył sobie poeta typ postaci pod tym względem charakterystycznej: sam ją nawet nazwał — „oddaleniec". Takim właśnie „oddaleńcem" jest bohater tytułowy *Nieznanej podróży Sindbada-Żeglarza*, który wyrusza w podróż, by „wlec swe głody po morzach dziesięciu". Właściwe określenie „oddaleńców" przynosi cykl pod tym tytułem. „Oddaleńcem" jest

z jednej strony człowiek, który celowo sam wyłączył się z ludzkiej społeczności, a z drugiej strony człowiek zagubiony w świecie. Te dwa spojrzenia Leśmiana, te dwie interpretacje nie tworzą sprzeczności, ale niejako na siebie zachodzą. Z drugiego punktu widzenia, występujący w cyklu rybacy to odpowiednik zagubionych i skazanych na zagładę *Ślepców* Maeterlincka, będących przejrzystym i oczywistym symbolem całej ludzkości. Ale Leśmian nie wyciąga jeszcze tak pesymistycznych jak belgijski dramaturg wniosków. Poszukuje właściwie formuły człowieka, która w pewnej mierze odpowiadałaby człowiekowi współczesnemu, ale nim nie była, była pozbawiona tych wszystkich cech, które w nim nawarstwiło życie społeczne. Takim człowiekiem jest dla Leśmiana po pierwsze istota zagubiona w rzeczywistości, a po drugie „oddaleniec", czyli samotnik. W tym właśnie zbiegają się dwie linie — w poszukiwaniu człowieka pozahistorycznego. Stanowi to jeden z podstawowych punktów rozbratu poety z rzeczywistością, przejawiający się w manifestowaniu niechęci do niej, jest istotnym stopniem negowania świata — tworzyć ono będzie główny problem późniejszych wierszy poety. Ale pozahistoryczny człowiek nie jest czymś abstrakcyjnym, ożywioną ideą, konglomeratem idealnych cech, nie jest też tylko kaprysem fantazji. Leśmian go uprawdopodabnia, nadaje mu cechy rzeczywiste.

Konstrukcja bohatera-„oddaleńca" nie mogła nie pociągnąć dalszych konsekwencji. „Historia wytworzyła nas: — marzyć o uniezależnieniu się od historii jest to marzyć o samounicestwieniu, o rozpłynięciu się w eterze feerii i baśni" — pisał Stanisław Brzozowski. Zdanie to, wypowiedziane w związku z charakterystyką współczesnej krytykowi kultury, stanowi wręcz znakomity komentarz do Leśmiana. Ukazuje jedną z najistotniejszych cech jego twórczości, wskazuje jeszcze jedno źródło Leśmianowskiej baśniowości i fantastyki.

W późniejszej twórczości „oddaleńców" zastąpią dziwaczne, fantastyczne stworki ballad i grotesek z *Łąki* i *Napoju cienistego.*

6

Twórczość Leśmiana przypada na okres, w którym rozwijał się polski ekspresjonizm. Ten kierunek sztuki współczesnej, którego zasady teoretyczne formułowali u nas pisarze skupieni wokół poznańskiego pisma *„Zdrój"* (bardzo ciekawe — raczej jako dokument historyczno-literacki niż dzieło — są publikacje Przybyszewskiego, dotyczące tych problemów), oddziałał również i na twórców, którzy nie uważali się za jego przedstawicieli. Ekspresjonistyczna metoda konstrukcji wizji poetyckiej nie była obca lirykom reprezentującym inne kierunki artystyczne (nawet awangardowe): obraz stanowił jakby projekcję intymnych przeżyć twórcy, był ich wyrazem. Toteż obrazy nabierają bardzo specyficznego charakteru: najistotniejszym ich elementem staje się swego rodzaju „deformacja", przedstawianie przedmiotów w takim usytuowaniu wobec innych, że ukazują się oczom czytelnika w nowej, nieznanej postaci, bądź też nakreślanie ich pod nowym kątem widzenia. Podobne zjawisko — aczkolwiek zrodziło się ono z zupełnie odmiennego podłoża filozoficznego — obserwujemy u poetów awangardy: obraz staje się świadomie

subiektywną konstrukcją, tworzoną przez wyobraźnię. Leśmian znajduje się jakby pośrodku tych dwu, w gruncie rzeczy bliskich sobie, tendencji. Konstruktywizm zbliżałby go do poetów *„Zwrotnicy“*, styl zaś i skłonność do bezpośredniego „uduchowiania“ obrazów — do pisarzy z grupy *„Zdroju“*. Leśmian — mimo że za życia stał na uboczu, nie uczestniczył w namiętnych sporach literackich epoki — właściwie był wielkim prekursorem obydwu kierunków.

Jednym z przejawów Leśmianowskiego antycypatorstwa było występujące już we wczesnych wierszach zjawisko: „postawa kreacyjna”. Łączy się ona z podstawowymi założeniami ekspresjonizmu — wizja świata w wierszu jest obrazowym przekształceniem własnej osobowości — ale się w nim całkowicie nie mieści. Przez to zaś, że — by posłużyć się sformułowaniem Artura Sandauera — poeta „jakby patrząc na przedmioty, tworzył je”, bliska jest grupie Peipera. W gruncie rzeczy, gdy się patrzy z punktu widzenia historyka, różnice między poszczególnymi kierunkami literackimi dwudziestolecia wydają się coraz mniej istotne, dotyczą spraw drobniejszych: jedynie pewnych — nie zawsze najważniejszych — elementów poetyki i stylu; uwidaczniają się podobieństwa: analogiczna metoda konstruowania wizji poetyckiej. U Leśmiana postawa kreacyjna przejawia się w łączeniu, mieszaniu elementów realnej rzeczywistości z obrazami powstałymi jakby w marzeniu. Oto strofa, stanowiąca klasyczny przykład zjawiska:

W marzeniu moim puste na przestrzał komnaty,
Wbrew nocy rozjarzone spiekotą południa.
Cisza. W lustrach się dwoją i troją złe kwiaty.
Bije północ. Snu próżnia się nagle zaludnia.

(Postacie)

Zarysowany w strofie obraz nie wiadomo do jakiej zakwalifikować kategorii. Czy jest to bezpośrednie odbicie rzeczywistości, czy też jedynie ekspresjonistyczna wizja senna. Chyba ani to, ani to — syntetyzuje tu Leśmian jakby te dwa elementy. I w ten sposób buduje swoje liryczne obrazy. Syntetyzowanie dwu światów poetyckich, wizji utworzonych w marzeniu i przedstawień świata materialnego, przedstawień jakby dotykalnych w swej zmysłowości, „sprawdzalnych”, stanowi podstawę lirycznych konstrukcji Leśmiana. Konkretny fakt, zwykłe zdarzenie, staje się fundamentem obrazów wyłącznie skonstruowanych, „nie odbijających rzeczywistości”, staje się — posłużmy się metaforą, którą rozwijał poeta w swym eseju *U źródeł rytmu* — mostem między światem i zaświatem:

Puściła po stole swawolący wianek.
„Kto go chwyci pierwszy — ten mój ukochanek.“

Pochwycił tak ściśle, że się kwiaty zwarły.
„Skąd ty jesteś rodem?“ — „Ja rodem umarły.“

„Co się stało wokół, że świat mi się mroczy?“ —
„To ja własnoręcznie zamykam ci oczy...“

„Już mnie nie ma nigdzie i nigdy nie będzie!“ —
„Nie ma ciebie nigdzie, bo już jesteś wszędzie.“

Przy czytaniu tego 8-wierszowego utworu pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy jest to, że jego punktem wyjścia jest pewna sytuacja — widzimy dwie zjawy (obawiałbym się nazwać je ludźmi) — słyszymy ich rozmowę, od pierwszej chwili znamy jej temat. Od razu mamy też w polu obserwacji działanie bohaterów utworu: dziewczynę, która puszcza po stole wianek, i jakiegoś jej nieznanego współtowarzysza, prawdopodobnie jednego z wielu (bo „kto chwyci pierwszy"). Rozpoczynające wiersz zdarzenie ma zupełnie swoistą wartość funkcjnalną. Jego przeznaczeniem jest nieskupianie na sobie uwagi czytelnika — ważne jest o tyle, o ile wprowadza w dalszy tok utworu. W pewnym jego momencie zanika obrazowa konkretność — zaczyna panować swego rodzaju chaos. Poetycki most poprowadził w nicość, tajemniczą i niepoznawalną, jakby dopuszczającą tylko do niczego nie zobowiązujące paradoksy (ostatni dwuwiersz). Nie zawsze oczywiście taka metoda budowania wiersza pociągać musi charakterystyczne dla cytowanego utworu załamanie obrazu. Często jest inaczej: wizje senne, ściśle wyobrażeniowe, są dużo bardziej plastyczne od tych epizodów, które dotyczą dostępnej nam wszystkim ziemi.

Przeprowadzona wyżej analiza dopuszczalna była w liryku, który operuje akcją, fabułą, sytuacjami (oczywiście w ujęciach zupełnie miniaturowych). Henryk Markiewicz nazywa ten rodzaj wierszy liryką sytuacyjną. Nie jest to termin w pełni precyzyjny. Jeszcze mniej precyzyjny jest termin Wiktora Żirmunskiego — z jego *Wstępu do poetyki* — liryka tematyczna. Obydwa określenia, mimo że nienajdoskonalsze, chwytają pewne istotne zjawisko. Dlatego też jestem skłonny zachować lepsze z nich (i częściej używane): liryka sytuacyjna. Trzeba mu nadać jednak bardziej konkretne znaczenie. Jak świadczą utwory, które Markiewicz podaje jako przykłady — m. in. *Pieśń żołnierza* Mickiewicza — przez lirykę sytuacyjną rozumie przede wszystkim takie wiersze, których bohaterem nie jest sam „autor", ale ktoś z zewnątrz. Takie rozróżnienie nie jest może najszczęśliwsze, gdyż nie bierze pod uwagę problemu fikcji w utworze lirycznym. Gdyby podobny utwór stanowił bezpośredni monolog *porte-parole* pisarza — według tych kryteriów prawdopodobnie liryką sytuacyjną by nie był. Tymczasem — wydaje mi się — że to wszystko jedno, czy podmiotem lirycznym wiersza jest ktoś, kogo możemy uważać za postać autora, czy bohater wyraźnie wprowadzony z zewnątrz. Kryterium podziału powinno być chyba przesunięte wewnątrz samego wiersza — o jego „sytuacyjności" decyduje to, czy posługuje się środkami wyrazu, które z natury rzeczy są właściwe dramatowi a zwłaszcza epice. W takim sensie liryką sytuacyjną będzie np. *Popas w Upicie* Mickiewicza, *Sowiński w okopach Woli* Słowackiego, *Krysta spod płota* Staffa, będzie też wiele wierszy Leśmiana. W liryce sytuacyjnej skupiają się jakby elementy epiki i dramatu z tym jednak, że podrzędne w stosunku do elementów liryki. Porządek emocjonalny wiersza, jego zabarwienie uczuciowe, nadaje odpowiedni ton i wyraz elementom nielirycznym, jakby nastraja je lirycznie. Równocześnie decyduje o tym, że mogą być one jakby ułamkowe, niepełne, zaledwie zarysowane. Bo — w przeciwieństwie do epiki i dramatu — narracja i sytuacja utworu lirycznego nie są podstawowym środkiem wyrazu. W percepcji liryki czytelnik je chwyta wraz z wyrażonym w nim wzruszeniem.

W twórczości Leśmiana liryka sytuacyjna zajmuje dość pokaźne miejsce i jest — o dziwo! — najbardziej zbliżona do ekspresjonizmu. To paradoks, ale jedynie pozorny. Polega na tym: liryka sytuacyjna jest typem liryki najbardziej zobiektywizowanym, utrwalającym świat w jego rzeczywistym wyglądzie, a więc — wydawałoby się — stanowi najmniej podatny grunt dla ekspresjonistycznej deformacji, dla ekspresjonistycznego przesubiektywizowania rzeczywistości. Żeby zrozumieć pozorność tego paradoksu, trzeba się odwołać do jednego z podstawowych założeń ekspresjonizmu: obraz świata jest jedynie upostaciowieniem indywidualnych, niepowtarzalnych przeżyć twórcy. Teraz sprawa staje się zupełnie jasna: świat obiektywny jest o wiele efektowniejszym obiektem deformacji niż z natury rzeczy zsubiektywizowana liryka zwierzeniowa czy — jak mówili dawni teoretycy poezji — liryka czysta. Dalszy paradoks: w liryce sytuacyjnej, niekiedy bardzo żywiołowej, nasiąkniętej zmysłowością, najwięcej znajdziemy elementów filozoficznych. Tkwią one w obrazie, w kreacjach groteskowych zazwyczaj bohaterów. Bo też Leśmian filozofuje jakby nieświadomie, „od niechcenia", mimo woli. Liryka bezpośrednia, erotyczno-zwierzeniowa, w której jedynym bohaterem jest podmiot liryczny (*porte-parole* poety), jest filozofowaniu najzupełniej obca.

Innym działem poezji Leśmiana, nie będącym ani liryką zwierzeniową, ani sytuacyjną, jest dział, który nazwać by można liryką narracyjną. Ale słowo narracja ma tu zupełnie inny sens niż w prozie. Nie jest zwykłą suchą opowieścią, pisaną jakby z pozycji obserwatora. To jakby relacja bohatera — oczywiście bardzo ulirycznioną — dzięki czemu tak samo może być ułamkowa, ledwie naszkicowana, co nie powoduje wrażenia niedosytu i braku pełni w utworze. Dobry przykład takiej liryki stanowi jeden z bardziej znanych wierszy Leśmiana — *Odjazd:*

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem,
Patrzały na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.

Jego formą zewnętrzną jest forma opowiadania — prawie konsekwentnie zachowana do ostatnich linijek wiersza, które zresztą są nieco bardziej refleksyjne. Gramatyczną oznaką — czas przeszły. Liryzm jest tu — tak jak w opisie — pośredni, ukryty w głębszych warstwach wiersza. Nie ma w nim fragmentu, w którym by narrator liryczny (równający się zresztą bohaterowi) wyrażał swoje wzruszenia w otwartych wyznaniach. Liryzm przejawia się w pewnej rozlewności, jakby zwolnieniu tempa wiersza — spowodowanego specyficzną składnią (typu: „Był klomb i rój motyli, i błękit przezroczy"), jak też intonacją, w której niemałą gra rolę to, że kilka szeregów wierszowych zaczyna się od „i". Liryzm jest wreszcie zawarty w samym obrazowaniu — jego elementy podkreślają nastrój i temperaturę emocjonalną wiersza.

Trzeci typ liryki Leśmiana nazwać chyba można liryką wyznaniową czy zwierzeniową. Nie ma w niej ani epickich, ani dramatycznych domieszek. Takie wiersze najmniej podlegają ekspresjonistycznej deformacji. Ich stylistyka najwyraźniej odbiega od niekiedy rozwichrzonej stylistyki liryków sytuacyjnych. Są najprostsze i chyba najbardziej osobiste. Właśnie intymność określa ich wygląd artystyczny — bo chyba poecie chodziło o to, by najprościej, najpełniej, naj-

bardziej bezpośrednio wyrazić swe uczucia i doznania. W tę stronę skierowany wysiłek twórczy nie wyładowywał się już w konstruowaniu nowych światów poetyckich. Oto przykład strof klarownych i przejrzystych, będących bezpośrednim wyrazem tych tendencji Leśmiana:

Lubię twoim weselem rozniecony gwar —
I twoimi oczami upatrzoną drogę —
I czar w śmiechu zjawiony — ten sam zawsze czar!...
Żem cię dotąd nie kochał — zrozumieć nie mogę!

Dziś, gdy ogród zaszumi lub zaskrzypią drzwi,
Zrywam się, aby stwierdzić pustkę beznadziejną
I przypomnieć twe kroki — i głos twój — i brwi —
I o ustach, i dłoniach pomarzyć kolejno.

(Wyznanie spóźnione)

7

Najdalszym krokiem w kierunku usytuacyjnienia liryki był zwrot Leśmiana ku balladzie. Ballada należy do gatunków literackich, których żywot nie był specjalnie długi, ale za to intensywny — jej znaczenie maleje u nas już po roku 1830. Poeci z początku naszego stulecia z zapałem tę formę reaktywowali. Rezultatem powrotu do tej — wydawałoby się — już tylko historycznej, martwej formy, były, by wymienić jedynie zjawiska najbardziej interesujące, ballady Kasprowicza, kilka ballad Staffa, wreszcie ballady Leśmiana, a z okresu późniejszego — liczne ballady Zegadłowicza.

Ballada dwudziestowieczna jest czymś zupełnie innym od ballady romantycznej, mimo że do niej nawiązuje. Jak pisze Kazimierz Wyka w pierwszym okresie jej istnienia: „...wystarczała fantastyczność i b a l l a d o w o ś ć t r e ś c i (podkr. K. Wyki), niezwykłość zdarzeń, by spełnione zostały wymagania jej formy. Ballada się rychło przeżyła, aby dopiero na tle wyrafinowania estetycznego modernistów dojść swoich praw. Z jednej strony służyła wyrafinowanemu prymitywizowaniu, szukaniu w poezji ludowej jej kunsztu (przekłady Porębowicza, Ostrowska), z drugiej — przypadek znacznie ciekawszy — element balladowości i fantastyki został przeniesiony w inną sferę utworu — w jego formę i język. To rozliczne, równie ciekawe jako dzieło, co jako ogniwo pewnej ewolucji, ballady Leśmiana (...). Balladowość ich mieści się w fantastyce słowotwórczej poety, ale magii słowa towarzyszą jeszcze elementy treści balladowo-fantastycznej".

W swych balladowych utworach chętnie nawiązuje Leśmian do poezji romantycznej, zarówno w zakresie motywów, jak i stylistyki. W *Balladzie dziadowskiej* np. słychać echa mickiewiczowskie. Pięknego młodzieńca ze *Switezianki* zastępuje u Leśmiana stary dziadyga, bardzo podobny do innych kalek, znanych z szeregu wierszy. Nową treścią wchodzącą wraz z nowym bohaterem do starej legendy o rusałkach jest to, co nazwać można, po tradycyjny termin sięgając, ironią tragiczną. Widzimy ją właśnie w losach przebywającego nad jeziorem dziadygi. Polega ona na tym, że to, co,

wydaje się, przyniesie szczęście, daje rezultat wprost odwrotny: katastrofę. Dziad zaspokaja swe życzenia, ale upragnione pieszczoty rusałki nie przynoszą mu szczęścia, lecz śmierć. Na zasadzie ironii tragicznej, która bardzo wyraźnie wskazuje, jak okrutnym był Leśmian panem dla swych bohaterów, na jak straszne narażał ich wypadki, skonstruowanych jest sporo wierszy (np. *Swidryga i Midryga, Pururawa i Urwasi* i in.). Jednakże ironia jest nie tylko siłą kształtującą wypadki w życiu bohaterów, w niej zawiera się również ocena sił niszczących człowieka, obezwładniających go. Tak więc w *Balladzie dziadowskiej* ironia skierowana jest w stronę rusałki, która spowodowała śmierć dziada, w *Żołnierzu* zaś w stronę kuli, która go „tak schłostała po nogach i bokach, że nie mógł iść inaczej, jak tylko w podskokach". Bardzo znamienne jest, że najwyraźniejszą postać uzyskuje ironia właśnie w utworach balladowych, w których ludzie ukazywani mogą być wielostronnie, a bogactwo formalne, jakim z reguły ballada dysponuje, pozwala poecie nie tylko na wielką różnorodność środków wyrazu, ale i na konstrukcję tak subtelnej ironii.

Jak już napisałem, ballada jest formą literacką, która się szybko przeżyła, niejako szybko „zrutynizowała". Już po roku 1830 produkcja balladowa była bądź epigońskim rozwijaniem motywów z ballad dawnych, zwłaszcza Mickiewiczowskich (ballady Berwińskiego), bądź miała charakter parodystyczny. Przecież już parodią jest *Nie wiadomo co albo romantyczność* Słowackiego i Odyńca, a niektórzy badacze nawet *Czaty* uważali za parodię tradycyjnej ballady. Leśmian też odczuwał pewną konwencjonalność tej formy, mimo że w wielu punktach ją odświeżał. Przejawia się to w ironii, ale już nie tej, którą analizowaliśmy w związku z *Balladą dziadowską*. Sprowadza się ona do pewnej rezerwy, z jaką poeta traktuje temat wiersza — sam jakby mówi o nim z uśmieszkiem na ustach. Właśnie jedną z konsekwencji takiego stanowiska jest niesamowity język oraz ogromna konkretność obrazu i rzetelność w relacjonowaniu drobnych czynów i ruchów bohatera, co tworzy sprzeczność z fantastyką tematu:

Niewidomską czapulę wdział Migoń na głowę
I poszedł do Jawrzona w sady czereśniowe.

Stał Jawrzon przy dwóch ulach — ubrany od święta.
— „Kto się tak bezcieleśnie w mym sadzie wałęta?

Słyszę kroki odważne, lecz wroga nie widzę.
Odsłoń twarz, abym stwierdził — kogo nienawidzę!..."

(Migoń i Jawrzon)

Znakomite operowanie realiami — zwłaszcza w strofie pierwszej — jakby prosto wziętymi z codziennego życia — jeszcze bardziej udziwnia świat, nadaje im też znamiona przedmiotów fantastycznych. Jeszcze dalej, bo niemal ku parodii, idzie poeta w balladzie *Alcabon:* tajemnicza balladowość sprowadzona została niemal do karykatury, atmosfera poetycka rozładowana przez wtręty zgoła groteskowe („— »Tere, fere!« — tak śpiewał"), metafory pojmowane są dosłownie, niesamowity nastrój zostaje „uziemiony":

Był na świecie Alcabon. Był, na pewno był!
O brzóz przyszłość wiódł z mgłami walki nieustanne.
Próżnię życia na karku dźwigał z całych sił!
— „Tere, fere!“ — tak śpiewał,
Gdy się śmierci spodziewał.
Aż pokochał osiadłą na strychu Kuriannę.

Ten styl — nazwać go chyba można stylem buffo — nie ogranicza się tylko do utworów o zacięciu wybitnie parodystycznym. Leśmian stosuje go częściej — i prawie zawsze osiąga sukcesy poetyckie (np. w znakomitych *Dwu Maciejach* — chyba najbardziej rubasznym utworze poety). W niektórych wierszach, utrzymanych w tonie poważnym jest on może dysonansem, ale zawsze dysonansem artystycznie celowym:

Zezem spojrzał na Wenus, w jej śmigłe zaświaty,
Gdzie się gęstwił do lotu ptak żywcem liściaty,
Co zaledwie się różnił od dębów i sosen
I tą właśnie różnicą leciał w sen-pierwosen.
(Eliasz)

Fragment ten pochodzi z poważnego poematu filozoficznego określającego stosunek poety do mary i bytu, mówiącego o „możliwości innej jawy niż jawa istnienia” — i tu nagle, w tym utworze dziejącym się gdzieś w zaświatach, taki fragment o Eliaszu, który patrzy z e z e m na planetę. Ta „ziemskość” w połączeniu z całym aparatem fantastycznego obrazowania i zaziemską wizją ma w sobie bardzo dużo uroku poetyckiego — a poza tym rozbija jakby cały obraz. Sądzę, że wnosi weń element żywiołowego racjonalizmu — przez wprowadzenie czegoś tak „przyziemnego“ poeta jakby wyraża swój sceptycyzm w stosunku do zakreślonego metafizycznego obrazu i metafizycznej idei.

W balladach posługiwał się poeta swym najdziwaczniejszym językiem. Łączyło się to nie tylko z ich ironicznym charakterem, ale chyba przede wszystkim z sylwetkami występujących bohaterów: „ludzi szarych” oraz ze swoistą gawędziarską konstrukcją. Dziwaczne wyrazy, pojawiające się szczególnie często zwłaszcza w rymach, nadają utworowi cechy swobody, nieskrępowania, tworzą iluzję, że wszystko wypowiadane jest jakby „od niechcenia”, bez przygotowania, w trybie improwizacji — co charakterystyczne jest właśnie dla gawędy. Z gawędziarstwem łączy się pewna skłonność do rozlewności stylu, określania tego samego zjawiska wieloma bliskoznacznymi wyrazami itp. Rzecz znamienna: współistnieje ona z tendencją akurat odwrotną — powoływania słów, które jakby syntetyzują w sobie kompleksy treści. „Klęczeń“ z *Zalotów* (nawiasem mówiąc słowo znane już w staropolszczyźnie — po zbadaniu okazuje się, że bardzo wielu domniemanych neologizmów Leśmiana używali już pisarze XVI-wieczni) wyraża to, co w „normalnym trybie“ określić by można tylko opisowo: człowiek, który klęczy. Tego typu stylistyka przyczynia się do redukcji opisowości.

Może na balladach najwyraźniej odbiły się związki Leśmiana z poezją ludową. W wywiadzie, udzielonym Edwardowi Boyé, poeta mówił, że oddziałały na niego byliny i polskie pieśni ludowe. Adam Szczerbowski wykazał powiązania z ludowymi balladami skandynawskimi. Związki były więc bardzo wielostronne. Elementy ludowe, nieznane wcześniejszym utworom, szczególnie zaważyły na wierszach *Łąki* — pierwszego dojrzałego zbioru. Istotę swego zwrotu do ludowości uchwycił sam poeta w liście do redakcji *„Ponowy”*, której programem artystycznym było odświeżenie poezji poprzez motywy ludowe. „...zdaje mi się, że w każdym razie na swobodzie ducha oparte spokrewnienie się ze światem i zaświatem ludowym bezwzględnie wyźródłowi i używotni język, który już sam w sobie i sam przez się zataja nieobliczalne w swych skutkach nakazy twórcze, jako odwieczne rozwiewisko najzaranniejszych wspomnień, najpierwotniejszych wrażeń i najnieśmiertelniejszych widów i niewidów. Poza tym sam obrzędowo-natchniony pogląd ludu na sztukę zniewoli niepostrzeżenie do wzlotu ponad szary »powszedek«, a jednocześnie do owocnego zlotu na barwistość konkretnych nizin. Nie tylko zresztą poeta nagina język do swego „widzi mi się“, ale i język, pierwotniejąc, narzuca poecie swoje zamierzchłe „śni mi się”. Ludowość dawała klucz do fantastyki, klucz do odświeżonego słownictwa. Była wielką szkołą nowej wyobraźni twórczej. Jest to zjawisko charakterystyczne nie tylko dla Leśmiana, nie tylko dla literatury, we współczesnej sztuce ma dużo szerszy zasięg. Doświadczenia wielkich prawodawców muzyki dwudziestowiecznej: Bartoka i Strawińskiego, ściśle związanych z folklorem, czy zwrot nowoczesnego malarstwa do prymitywu bardzo wiele mówią. Poprzez ludowość przedkłada Leśmian żywiołowy prymitywizm nad wyrafinowanie kultury, szuka w ludowości przeciwieństwa kultury dnia powszedniego, którą gardzi. Pieśń ludowa również dzięki zawartemu w niej pierwiastkowi tajemniczości, swoistego niedookreślenia, odpowiadała filozofii poety, który wciąż tragicznie wątpił w poznawalność świata, który wciąż ujmował wszystkie jego elementy jakby na jednej płaszczyźnie — między tym, co niepoznawalne, nie można przecież przeprowadzać zróżnicowań.

Przede wszystkim przyrodę traktuje Leśmian tak, jak ją ujmuje pieśń ludowa. Ani w niej, ani u poety nigdy nie jest ona tłem, jej rola nie sprowadza się do poetyckiego ornamentu. Jest ona uczestnikiem dramatu tak samo ważnym, jak osoby. Pieśń ludowa posługuje się paralelizmem: przyroda — człowiek; przyroda jakby interweniuje w jego sprawy, zachodzące słońce nie jest tylko akcesorium schadzki miłosnej, ale jakby nawet jej uczestnikiem. Stanowi ono niezwykle ważny element obrazu takiej schadzki. Między człowiekiem a przyrodą nie ma przepaści, ich działania są wzajemnie uwarunkowane i równoległe. Leśmian idzie po tak wytkniętej linii, ale idzie dużo dalej. Jak już pisałem poprzednio, jeszcze ściślej spaja człowieka z naturą. Niekiedy trudno nawet rozróżnić, czy ktoś jest jeszcze człowiekiem, czy już częścią flory.

Z poezją ludową łączy Leśmiana — chociaż nie wiadomo, czy to nawiązanie było świadome i celowe — skłonność do swoistego łączenia konkretności z jakimiś niedomówieniami czy niedookreśleniami. W twórczości ludowej

absolutny brak abstrakcji łączy się z ukazywaniem nie zjawisk jednostkowych i w swej jednostkowości konkretnych. Konkretność tkwi w rzeczach ogólnych. Jak pisał Bystroń, bohaterem jest zawsze Jaś, nieokreślony jako jednostka, a krajobraz nie jest ukazany tak, że zawiera w sobie składniki jakiegoś konkretnego samoistnego pejzażu. Podobnie u Leśmiana: wizja poetycka jest bardzo uprzedmiotowiona, namacalna, ale nie zindywidualizowana. W jego pejzażach poznajemy wschodnie ziemie Polski, których niezwykłą urodę znał poeta najlepiej, nigdy jednak swego krajobrazu bezpośrednio nie określał. Łąka jest jakąś łąką w ogóle, uosobieniem zieloności, o lasach wiemy przede wszystkim to, że są lasami — bliższych określeń brak.

9

Leśmian — jak tylu wielkich twórców — był poetą sprzeczności. Aprobata życia, pochwała jego uroków, kojarzyła się z przyzywaniem śmierci. Eschatologiczne myśli o końcu świata i powszechnej zagładzie łączyły się z niemal biologicznym odczuciem jego piękna. Nienawiść do „upiorów współczesności" nie prowadziła do jej bezpośredniej, ostrej krytyki, ale kształtowała dziwaczny świat poety, zawieszony gdzieś między piekłem a niebem. Wyrafinowanie artystyczne szło w parze z predylekcją do prymitywu. Humanistyczne umiłowanie człowieka przejawiało się w jego zniekształcaniu, upodabnianiu do jakichś dziwacznych stworów. Język — zadziwiający oryginalnością i niezwykłością — wypływał wprost ze źródeł klasycznej polszczyzny.

Sprzeczności te składają się na jednolitą całość artystyczną, zadziwiającą swą różnorodnością i bogactwem. Sprzeczności są najbardziej charakterystyczną cechą tego — być może — najoryginalniejszego, najbardziej „samoswojego" poety polskiego XX wieku.

Michał Głowiński

Charles Baudelaire

O PIERWSZEJ NAD RANEM

Nareszcie sam! Słychać już tylko turkot kilku spóźnionych i zmęczonych dorożek. Na kilka godzin mamy spokój, jeśli nie wytchnienie. Nareszcie! znikła tyrania twarzy ludzkiej i będę cierpieć jedynie przez siebie.

Nareszcie! więc wolno mi odpocząć w kąpieli ciemności! Najpierw podwójny obrót klucza w zamku. Zdaje mi się, że ten obrót klucza zwiększa moją samotność i wzmacnia barykady dzielące mnie teraz od świata.

Straszne życie! Straszne miasto! Odtwórzmy dzień: widziałem się z wielu literatami, z których jeden zapytał mnie, czy można drogą lądową udać się do Rosji (sądził zapewne, że Rosja jest wyspą); spierałem się wspaniałomyślnie z redaktorem pisma, który na każdy zarzut odpowiadał: „To jest stronnictwo uczciwych ludzi", z czego wynika, że wszystkie inne dzienniki redagują hultaje; witałem się z dwudziestu osobami, z których piętnastu nie znam; rozdałem uściski dłoni w tej samej proporcji, choć nie byłem dość przezorny, by nabyć rękawiczki; chcąc zabić czas zaszedłem podczas ulewy do pewnej cyrkówki, która prosiła mnie, żebym jej narysował kostium Venustry; nadskakiwałem dyrektorowi teatru, który powiedział mi na pożegnanie: „Zrobiłby pan lepiej zwracając się do Z...; to najbardziej tępy, najgłupszy i najsławniejszy ze wszystkich moich autorów; z nim mógłby pan doprowadzić rzecz do skutku; niech pan porozmawia z Z..., potem zobaczymy"; chwaliłem się (dlaczego?) wieloma niegodziwymi postępkami, których nigdy nie popełniłem, i tchórzliwie zaprzeczyłem, jakobym dokonał kilku innych, które sprawiły mi radość — karygodna fanfaronada, zbrodnia przeciw opinii publicznej; odmówiłem przyjacielowi łatwej przysługi i dałem list polecający skończonemu łajdakowi; uf! czy to już koniec?

Niezadowolony ze wszystkich i niezadowolony z siebie, chciałbym się wykupić i odzyskać dumę w ciszy i samotności nocy. Dusze tych, których kochałem, dusze tych, których opiewałem, wzmocnijcie mnie, podtrzymajcie mnie, oddalcie ode mnie kłamstwo i zgubne opary świata; ty zaś, Panie Boże mój! użycz im łaski napisania kilku pięknych wierszy, co mi dowiodą, żem niegorszy od tych, którymi pogardzam.

KAŻDY MA SWOJĄ CHIMERĘ

Pod wielkim szarym niebem, na wielkiej zakurzonej równinie, gdzie ni drogi, ni trawnika, ni ostu, ni pokrzywy, napotkałem tłum ludzi, którzy szli zgięci.

Każdy z nich niósł na plecach ogromną Chimerę, równie ciężką, jak wór mąki lub węgla czy lederwerki piechura rzymskiego.

Ale potworne zwierzę nie było bezwładnym ciężarem; jego sprężyste i potężne ramiona oplatały i uciskały człowieka; dwoma ogromnymi szponami wpinało się w pierś wierzchowca; a bajeczna głowa nad czołem człowieka była jak ów straszliwy hełm, który kładli dawni wojownicy, by podwoić przerażenie wroga.

Zatrzymałem jednego z tych ludzi i zapytałem go, dokąd tak idą. Odparł, że ani on, ani inni nic o tym nie wiedzą; ale na pewno gdzieś idą, skoro popycha ich przemożna potrzeba.

Rzecz ciekawa: żaden z tych wędrowców nie okazywał gniewu na okrutne zwierzę uwieszone u jego szyi i przyklejone do jego pleców; rzekłbyś, że uważa je za część samego siebie. Wszystkie te twarze, zmęczone i poważne, nie zdradzały rozpaczy; pod tchnącą spleenem kopułą nieba, z nogami w kurzu ziemi równie strapionej jak to niebo, szli z rezygnacją ludzi skazanych na wieczną nadzieję.

Orszak minął mnie i zniknął u granic horyzontu, tam gdzie zaokrąglona powierzchnia planety wymyka się ciekawości spojrzenia ludzkiego.

Przez kilka chwil pragnąłem zrozumieć tę tajemnicę; ale niepokonana Obojętność spadła wkrótce na mnie i jej ciężar przytłoczył mnie bardziej niż miażdżące Chimery owych ludzi.

ŚWIAT WE WŁOSACH

Pozwól mi oddychać długo, długo zapachem twoich włosów, pozwól, bym zanurzył w nich twarz jak spragniony w źródle wody i potrząsnął nimi jak wonną chustą, niechaj wspomnienia ulecą w powietrze.

Gdybyś mogła wiedzieć, co widzę! co czuję! co słyszę w twoich włosach! Moja dusza płynie po zapachu jak dusze innych ludzi po muzyce.

W twoich włosach kryją się sny pełne żagli i masztów, wielkie morza, których wiatry unoszą mnie ku cudownym klimatom, tam gdzie przestrzeń jest bardziej głęboka i błękitna, gdzie powietrze pachnie owocami, liśćmi i skórą ludzką.

W oceanie twych włosów widzę port szumiący melancholijnymi pieśniami, wspaniałych ludzi wszystkich narodów i statki wszelkich kształtów, których architektura, delikatna i złożona, odcina się od ogromnego nieba, gdzie rozsiadł się wieczny żar.

W pieszczocie twych włosów odnajduję omdlenia długich godzin spędzonych na sofie w kajucie pięknego statku, godzin kołysanych niedostrzegalnym chy-

botaniem portu, pomiędzy doniczkami kwiatów i odświeżającą wodą w glinianych dzbanach.

W płonącym ognisku twych włosów oddycham zapachem tytoniu, opium i cukru; w nocy twych włosów widzę odblask niezmierzonych tropikalnych lazurów; na puszystych wybrzeżach twych włosów upijam się pomieszanym zapachem smoły, muszkatu i kokosowej oliwy.

Pozwól mi gryźć długo twe ciężkie czarne warkocze. Kiedy gryzę twe włosy, giętkie i oporne, zdaje mi się, że zjadam wspomnienia.

DARY KSIĘŻYCA

Księżyc, tylko swym kaprysom posłuszny, patrzył przez okno, gdy spałaś w swej kołysce, i rzekł do siebie: „To dziecko mi się podoba".

Zstąpił miękko po schodach z chmur i wszedł bezgłośnie przez szyby. Potem rozpostarł się na tobie z uległą tkliwością matki i pozostawił swe barwy na twej twarzy. Dlatego źrenice masz zielone, a policzki nadmiernie blade. Gdy patrzyłaś na tego przybysza, dziwacznie rozszerzyły ci się oczy; i tak czule ścisnął ci gardło, że na zawsze pozostała ci ochota do płaczu.

Tymczasem w wybuchu radości Księżyc wypełnił cały pokój jak fosforyczna atmosfera, jak świetlista trucizna, i całe to żyjące światło myślało i mówiło: „Na zawsze zaznasz władzy mego pocałunku. Będziesz piękna na mój sposób. Pokochasz to, co ja kocham i co mnie kocha: wodę, obłoki, ciszę i noc; morze ogromne i zielone; wodę bezkształtną i wielokształtną; miejsca, w których nie będziesz; kochanka, którego nie poznasz; kwiaty potworne; zapachy, które budzą szaleństwo; koty, co omdlewają na pianinach i jęczą jak kobiety głosem ochrypłym i słodkim!

Będą cię kochać moi kochankowie, będą cię wielbić moi dworzanie. Będziesz królową mężczyzn o zielonych oczach, którym ścisnąłem gardło w nocnych pieszczotach; tych, co kochają morze, morze ogromne, zgiełkliwe i zielone, wodę bezkształtną i wielokształtną, miejsca, gdzie ich nie ma, kobietę, której nie znają, złowieszcze kwiaty podobne do kadzielnic nieznanej religii, zapachy mącące wolę i zwierzęta dzikie i rozkoszne, symbol ich szaleństwa."

Dlatego, przeklęte, rozpieszczone, drogie dziecko, leżę teraz u twych stóp, szukając w tobie odblasku niebezpiecznego Bóstwa, proroczej matki chrzestnej, piastunki i trucicielki wszystkich l u n a t y k ó w.

ZEGAR

Chińczycy widzą czas w oku kota.

Pewien misjonarz przechadzając się kiedyś po przedmieściu Pekinu spostrzegł, że zapomniał zegarka; zapytał więc małego chłopca, która jest godzina.

Chłopiec z Niebieskiego Cesarstwa najpierw się zawahał, za czym, ośmielony, odparł: „Powiem panu". Po kilku chwilach powrócił trzymając w ramionach ogromnego kota i patrząc w białka jego oczu, zapewnił bez wahania: „Nie ma jeszcze południa". I była to prawda.

Co do mnie, kiedy pochylam się nad piękną Feliną o imieniu tak trafnie wybranym, nad Feliną, która jest chwałą swej płci, dumą mego serca i zapachem mej duszy, czy to będzie noc, czy to będzie dzień, pełne światło lub cień nieprzejrzysty, w głębi jej cudownych oczu widzę wyraźnie godzinę zawsze tę samą, godzinę szeroką, uroczystą, wielką jak przestrzeń, nie dzielącą się na minuty i sekundy, której nie ma na zegarach, a lekką jak westchnienie, szybką jak mgnienie oka.

I gdyby przeszkodził mi jakiś natręt, kiedy spojrzenie moje spoczywa na tej rozkosznej tarczy, gdyby jakiś nieuprzejmy i niewyrozumiały Geniusz, jakiś Demon nieszczęśliwego trafu, zadał mi pytanie: „Na co patrzysz tak pilnie? Czego szukasz w oczach tej istoty? Czy widzisz w nich czas, śmiertelniku marnotrawny i leniwy?" Odpowiedziałbym bez wahania: „Tak, widzę czas; jest wieczność!"

Nieprawda, o pani, że oto madrygał zaiste zasługujący na nagrodę i równie jak pani przesadny? Wyznam, że z tak wielką przyjemnością haftowałem ten pretensjonalny komplement, że nie zażądam od pani nic w zamian.

ANY WHERE OUT THE WORLD
GDZIEKOLWIEK Z DALA OD ŚWIATA

To życie jest szpitalem, gdzie wszystkich chorych opętało pragnienie, by zmienić łóżko. Ten chciałby cierpieć naprzeciw pieca, ów sądzi, że wyzdrowiałby przy oknie.

Wydaje mi się zawsze, że dobrze byłoby mi tam, gdzie mnie nie ma, i tę sprawę przeprowadzki roztrząsam nieustannie z moją duszą.

„Powiedz mi, moja duszo, biedna duszo wystygła, co myślisz o Lizbonie? Pewnie jest tam ciepło i będziesz szczęśliwa jak jaszczurka. To miasto leży nad brzegiem wody; powiadają, że jest zbudowane z marmuru, a lud tak bardzo nienawidzi roślinności, że wydziera z ziemi każde drzewo. Oto pejzaż w twoim guście; pejzaż ze światła i z rudy, powtórzony w odbiciu wód!"

Moja dusza nie odpowiada.

„Skoro tak bardzo lubisz odpoczynek i widowisko ruchu, czy chcesz zamieszkać w Holandii, tej ziemi błogosławionej? Może zabawi cię kraina, której wizerunek podziwiałaś często w muzeach. Kochasz las masztów i statki przycumowane u stóp domów, co myślisz więc o Rotterdamie?"

Moja dusza milczy.

„Może Batawia uśmiecha ci się bardziej? To tam duch Europy zjednoczył się z urodą tropikalną."

Ani słowa. — Czyżby moja dusza umarła?

„Więc tak już stałaś się gnuśna, że upodobałaś sobie tylko cierpienie? Jeśli

to prawda, uciekajmy ku krainom, które są podobieństwem Śmierci. Zaufaj mi, biedna duszo! Pojedziemy do Tornio. Dalej jeszcze, na kraniec Bałtyku; jeszcze dalej od życia, jeśli możliwe; zamieszkamy na biegunie. Tam słońce ukośnymi promieniami głaszcze ziemię, a światło i noc, następując po sobie powoli, niweczą rozmaitość i zwiększają monotonię, co na wpół już jest niebytem. Tam możemy długo kąpać się w ciemnościach, rozrywką będą nam zorze północy, które od czasu do czasu przyślą nam swe różowe bukiety, niby odblask sztucznych ogni Piekła!"

Wreszcie moja dusza wybucha i woła do mnie roztropnie: „Gdziekolwiek, tylko z dala od tego świata!"

SZALENIEC I WENUS

Jaki cudowny dzień! Rozległy park omdlewa pod palącym okiem słońca, jak młodość pod władzą Miłości.

Najlżejszy dźwięk nie zdradza wszechogarniającej ekstazy; nawet wody są jak uśpione. To milcząca orgia, zgoła inna od uciech ludzi.

Rzekłbyś, że światło rosnąc nieustannie, coraz więcej blasku dodaje przedmiotom; że podniecone kwiaty płoną z pragnienia, by siłą swych barw iść z lazurem nieba w zawody, a upał ukazując oczom zapachy, unosi je ku gwieździe dnia jak dymy.

U stóp ogromnej Wenus jeden z owych szaleńców udających szaleństwo, błazen z własnej woli, którego zadaniem jest rozśmieszać królów, kiedy Wyrzuty lub Nuda ich ogarną, ubrany dziwacznie w strój świetny i pocieszny, w dzwonkach i rogach na głowie, garnąc się do piedestału, wznosi oczy pełne łez ku nieśmiertelnej Bogini.

I oczy jego mówią: „Jestem ostatnim i najbardziej samotnym z ludzi, nie znającym miłości i przyjaźni, bardziej upośledzonym niż najnędzniejsze ze zwierząt. A przecież ja także jestem stworzony, abym rozumiał i czuł nieśmiertelne Piękno! Ach, Bogini, ulituj się nad mym smutkiem i szaleństwem!"

Ale nieubłagana Wenus patrzy gdzieś w dal oczami z marmuru.

Przełożyła
Joanna Guze

Jean-Paul Sartre

ROZWAŻANIA O KWESTII ŻYDOWSKIEJ
(DOKOŃCZENIE)

III

W jednym zgadzamy się z antysemitą: jak on, nie wierzymy w tzw. „naturę" ludzką, nie uważamy społeczeństwa za sumę pojedynczych i rozdzielnych molekuł; wiemy, że zjawiska biologiczne, psychiczne i społeczne rozpatrywać należy w sposób syntetyczny. Ale już nie zgadzamy się z nim, gdy chodzi o praktyczne zastosowanie myślenia syntetycznego. Nie uznajemy żadnego „pierwiastka" żydowskiego i nie jesteśmy manicheistami, trudno nam także przyjąć, że „prawdziwy" Francuz autonomicznie przyswaja sobie doświadczenia i tradycje przodków, pozostajemy nader sceptyczni wobec spraw dziedziczności w psychologii a na stosowanie kryteriów etnicznych zgodzić się możemy jedynie w tych gałęziach nauki, które eksperymentalnie poświadczyły ich przydatność, jak biologia czy patologia; dla nas człowiek określa się przede wszystkim jako istota „w sytuacji". Rozumiemy przez to, że tworzy on wraz ze swoją sytuacją biologiczną, ekonomiczną, polityczną, kulturalną itd. nierozdzielną jedność syntetyczną. Nie można go od niej odłączyć, bo ona kształtuje człowieka i stanowi o jego możliwościach, ale jednocześnie człowiek nadaje sens tej sytuacji, w niej i przez nią dokonując wyboru samego siebie. Być „w sytuacji" oznacza więc w y b i e r a ć s i e b i e w danej sytuacji, a ludzie różnią się pomiędzy sobą nie tylko tak, jak różnią się ich sytuacje, lecz także poprzez wybór samych siebie, jakiego dokonują. To, co jest im wspólne, to bynajmniej nie żadna natura, ale ich p o ł o ż e n i e, to znaczy pewien zespół przymusów i ograniczeń: konieczność umierania, zarabiania na życie, zamieszkiwania w świecie zamieszkałym już przez innych ludzi. A to położenie nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak podstawową, fundamentalną sytuacją ludzką albo też, jeśli się woli, zespołem abstrakcyjnych cech wspólnych dla wszystkich sytuacji. Zgadzam się więc z demokratą, że Żyd jest człowiekiem jak każdy inny, ale nie dowiaduję się z tego nic ponadto, że jest wolny, że jest jednocześnie niewolnikiem, że rodzi się, spółkuje, cierpi i umiera, że kocha i nienawidzi tak jak inni ludzie. Z tych danych ogólnych niczego więcej się nie dowiem. Jeśli chcę wiedzieć, k i m jest Żyd, muszę, ponieważ jest to istota w sytuacji, zapytać o to najpierw jego sytuację. Z góry uprzedzam, że ograniczę się jedynie

do Żydów francuskich, bowiem właśnie problem Żydów francuskich jest n a s z y m problemem.

Nie będę zaprzeczał, że istnieje rasa żydowska. Ale musimy dobrze się rozumieć. Jeśli przez rasę rozumieć nie określony bliżej zespół najdziwaczniejszych cech somatycznych, moralnych i intelektualnych, to muszę od razu powiedzieć, że nie wierzę w takie pojęcie rasy, tak samo jak nie wierzę w wirujące stoliki. To, co w braku lepszego określenia nazwałbym cechami etnicznymi, są to pewne charakterystyczne cechy fizyczne odziedziczone, które występują częściej u Żydów niż u nie-Żydów. Należy jednak być bardzo oględnym w tej dziedzinie: chodzi nie tyle o rasę, co o r a s y żydowskie. Wiadomo przecież, że nie wszyscy Semici są Żydami; wiadomo także, że niektórzy jasnowłosi Żydzi rosyjscy są bardziej podobni do aryjskich mieszkańców Prus Wschodnich niż do czarnowłosych Żydów algerskich. W rzeczywistości każdy kraj ma swoich Żydów i nasze wyobrażenie o Żydach bynajmniej nie odpowiada wyobrażeniu naszych sąsiadów. Gdy mieszkałem w Berlinie, w pierwszych latach reżimu hitlerowskiego, miałem dwóch przyjaciół Francuzów, z których jeden był Żydem. Był on „typem wybitnie semickim": nos miał garbaty, uszy odstające i grube wargi. Każdy Francuz bez wahania rozpoznałby w nim Żyda. Ale ponieważ był wysoki, jasnowłosy i flegmatyczny, Niemcy nie poznawali go zupełnie; bawiło go niekiedy przebywanie w towarzystwie SS-manów, którzy nie podejrzewali wcale jego pochodzenia. Jeden z nich oświadczył mu kiedyś: „Ja zawsze już na sto kroków wywęszę Żyda". Drugi mój przyjaciel natomiast, Korsykanin i katolik, syn i wnuk katolików, miał czarne, lekko kręcone włosy, burboński nos, cerę bladą, był gruby i niski: dzieci rzucały za nim kamieniami na ulicy wołając „*Jude*" — po prostu wyglądem był zbliżony do pewnego typu Żyda wschodnio-europejskiego, bardziej rozpowszechnionego w wyobraźni niemieckiej. Tak czy owak zresztą, nawet przyjmując, że wszyscy Żydzi mają pewne wspólne cechy fizyczne, nie można by jeszcze na tej podstawie wnioskować, chyba że stosując najbardziej dowolne analogie, że mają również te same cechy charakteru. Dalej: cechy fizyczne spotykane u Semitów są przestrzenne, a więc nałożone jakby na siebie i rozłączone. Za chwilę jedną z nich mogę spotkać u tego czy innego Aryjczyka, występującą pojedynczo. Czy więc powinienem wnosić, że ten Aryjczyk ma także tę, a nie inną cechę charakteru przypisywaną zwykle Żydom? Oczywiście nie. Ale wtedy cały gmach teorii rasistowskiej musi runąć — suponuje ona bowiem, że Żyd jest całością nierozłączną, a tymczasem okazuje się, że jest to jakby mozaika, której każdy element, jak kamień, może być odjęty i ułożony w innej konfiguracji. Nie możemy więc z wyglądu wnioskować o charakterze ani też postulować żadnego paralelizmu psycho-fizjologicznego. Jeśli mi ktoś na to powie, że należy rozpatrywać łącznie j e d n o ś ć cech somatycznych, odpowiem: albo jedność ta jest s u m ą cech etnicznych i jako suma nie może w najmniejszym stopniu wyrażać jakiejś syntezy psychicznej, tak samo jak zespół komórek mózgowych nie odpowiada jeszcze żadnej myśli, albo też, mówiąc o wyglądzie fizycznym Żyda, ma się na myśli całość synkretyczną, przemawiającą jedynie do instynktu. Wtedy rzeczywiście może być mowa o jakiejś *Gestalt* w tym sensie, w jakim używa tego słowa Kohler i niewątpliwie nie o czym innym myślą antysemici, mówiąc, że „węszą Żyda", „mają nosa na Żydów" itd... Tylko że jest absolutną niemożliwością odczuwanie elementów somatycznych w oderwaniu od ściśle

przemieszanych z nimi elementów psychicznych. Weźmy przykład Żyda, który siedzi w drzwiach swego domu na *rue* des Rosiers. Od razu rozpoznaję go jako Żyda: brodę ma czarną i krętą, nos lekko zakrzywiony, uszy odstające, blaszane okulary, czarny kapelusz naciśnięty na oczy, czarne ubranie, szybkie, nerwowe ruchy, uśmiech o dziwnie bolesnej dobroci. Jak tu odróżnić cechy fizyczne od psychicznych? Brodę ma czarną i krętą — to cecha somatyczna. Ale zwraca moją uwagę przede wszystkim fakt, że ją nosi — wyraża w ten sposób swoje przywiązanie do tradycji żydowskiej, wskazuje na siebie jako na emigranta z Polski w pierwszym pokoleniu — ale czy jego syn, mimo że zgolił brodę, jest choć trochę mniej Żydem? Niektóre cechy, jak na przykład kształt nosa czy rozstawienie uszu, są wyłącznie anatomiczne, inne znów wyłącznie psychiczne czy też społeczne, jak wybór ubrania i okularów, jak gest i mimika. Cóż więc sygnalizuje mi w nim Żyda, jeśli nie ta nierozłączna całość, w której miesza się, nakłada i zachodzi na siebie to, co fizyczne, psychiczne, społeczne, religijne i indywidualne, cóż innego niż ta żywa synteza, która oczywiście nie może być absolutnie dziedziczna i która, w gruncie rzeczy, jest identyczna z całą jego o s o b o w o ś c i ą? Rozpatrzmy więc cechy somatyczne i dziedziczne Żydów jako jeden z elementów sytuacji, w jakiej się znajdują, nie zaś jako determinantę ich natury.

Nie mogąc określić Żyda za pomocą rasy, może uda nam się go określić za pomocą religii czy też jego przynależności do określonej, czysto izraelickiej wspólnoty narodowej? Sprawa się nieco komplikuje. Niewątpliwie, istniała w zamierzchłej przeszłości religijna i narodowa wspólnota zwana Izraelem. Ale historia tej wspólnoty jest historią dwudziestopięciowiecznego rozkładu. Utraciła najpierw niepodległość: niewola babilońska, potem lata dominacji perskiej, w końcu rzymskie podboje. Nie należy dopatrywać się w tym skutków jakiejś rzuconej na ten naród klątwy, chyba że istnieją klątwy geograficzne: sytuacja Palestyny, położonej na skrzyżowaniach wszystkich szlaków handlowych ówczesnego świata, wciśniętej między potężne mocarstwa, tłumaczy wystarczająco przyczyny tego powolnego upadku. Więź religijna wzmocniła się wówczas pomiędzy tymi Żydami, którzy opuścili swój kraj, i tymi, którzy w nim zostali — nabrała ona sensu i wartości więzi narodowej. Ale to „przeniesienie" wartości spowodowało, jak można się domyślać, pewną spirytualizację więzów kolektywnych, a spirytualizacja oznacza mimo wszystko osłabienie. Wkrótce zresztą, chrystianizm wniósł rozłam: pojawienie się tej nowej religii spowodowało wielki kryzys w społeczeństwie żydowskim, przeciwstawiając Żydów-emigrantów Żydom z Judei. Chrystianizm stał się od razu „silną formą", wobec której religia hebrajska wydaje się od pierwszej chwili „formą słabą", w rozkładzie; utrzymuje się ona jedynie poprzez bardzo skomplikowaną politykę ciągłych koncesji i ciągłego uporu. Opiera się jeszcze jako tako prześladowaniom i rozsypce Żydów w świecie średniowiecznym, ale już o wiele gorzej opiera się postępom wiedzy i myśli krytycznej. Otaczający nas Żydzi utrzymują ze swoją religią jedynie ceremonialny, grzecznościowy kontakt. Pytałem jednego z nich, dlaczego obrzezał swego syna. Odpowiedział mi: „Bo sprawiało to przyjemność mojej matce, a poza tym jest to zabieg bardzo higieniczny". „A dlaczego zależało na tym pańskiej matce?" „Z powodu przyjaciół i sąsiadów." Rozumiem dobrze, że te pozornie rozsądne odpowiedzi kryją w sobie głuchą i głęboką potrzebę nawiązania do jakiejś tradycji, zakorzenienia się,

jeśli nie w przeszłości narodowej, której nie ma, to przynajmniej w przeszłości tradycji i obyczaju. Ale właśnie dlatego religia spełnia tu tylko symboliczną funkcję. Nie oparła się ona, przynajmniej na zachodzie Europy, wspólnym atakom racjonalizmu i ducha chrześcijańskiego; Żydzi-ateusze, których znałem, przyznawali chętnie, że swój spór o istnienie Boga toczyli z religią chrześcijańską. Religia, którą atakują i której chcą się pozbyć, to religia chrześcijańska; ich ateizm w niczym się nie różni od ateizmu takiego Roger Martin du Garda, który twierdzi, że wyrywa się z katolicyzmu. Ani przez chwilę nie przychodzi im na myśl, że mogliby być ateuszami przeciwko Talmudowi; dla nich duchownym jest zawsze proboszcz, a nie rabin.

Jak więc przedstawiają się dane, którymi dysponujemy? Konkretna wspólnota historyczna jest przede wszystkim narodowa i religijna, tymczasem wspólnota żydowska, która miała znamiona zarówno jednej jak i drugiej, powoli utraciła te cechy konkretne. Nazwalibyśmy ją chętnie wspólnotą historyczną, abstrakcyjną. Jej rozproszenie zakłada rozkład wspólnych tradycji; a wskazaliśmy uprzednio, że dwadzieścia wieków rozproszenia i niemocy politycznej nie pozwala jej mieć przeszłości historycznej. Jeśli prawdą jest, jak twierdzi Hegel, że dana społeczność jest o tyle historyczna, o ile posiada pamięć swej historii, społeczność żydowska jest najmniej historyczna ze wszystkich, bo pamiętać może jedynie o długowiecznym męczeństwie, czyli o długowiecznej bierności.

Czemu więc zawdzięcza wspólnota żydowska te swoje pozory jedności? Aby odpowiedzieć na to pytanie, powrócić należy do pojęcia sytuacji. Ani przeszłość historyczna, ani religia, ani wspólne terytorium nie łączą synów Izraela. Jeśli cokolwiek ich łączy, jeśli zasługują wszyscy na miano Żydów, to dlatego, że każdy z nich znajduje się w sytuacji Żyda, że żyją wszyscy w łonie społeczeństwa, które uważa ich za Żydów. Jednym słowem Żyd, choć może być łatwo asymilowany przez współczesne narody, określa się jako ten, którego narody nie chcą asymilować. Pierworodnie ciąży na nim fakt, że jest mordercą Chrystusa.* Czy zastanawiano się kiedy nad potworną sytuacją tych ludzi, skazanych na przebywanie w łonie społeczeństwa, które czci zabitego przez nich Boga? Zrazu więc Żyd jest zabójcą czy też potomkiem zabójców — co zresztą w oczach społeczeństwa pojmującego odpowiedzialność na sposób prelogiczny nie przedstawia absolutnie żadnej różnicy — i jako zabójca jest właśnie tabu. Nie tłumaczy to oczywiście współczesnego antysemityzmu, ale antysemita dlatego obrał Żyda za przedmiot swej nienawiści, że był on już od dawna przedmiotem odrazy religijnej. Odraza ta zresztą była przyczyną dziwnego zjawiska ekonomicznego: średniowieczny Kościół dlatego tolerował Żydów, chociaż mógł ich asymilować przymusowo czy też wytępić doszczętnie, że wypełniali oni niezbędną rolę ekonomiczną: wyklęci, wykonywali oni zawody wyklęte, lecz mimo to niezbędne. Nie mając prawa do posiadania ziemi, nie mogąc służyć w wojsku, zajmowali się handlem i pieniędzmi, których to rzeczy, bez pokalania swoich rąk, nie mógł się dotknąć chrześcijanin. W ten sposób do ciążącej na Żydach klątwy pierworodnej dołączyła się jeszcze klątwa

* Zaznaczmy od razu, że chodzi tu o legendę wykutą przez chrześcijańską propagandę diaspory. Jest rzeczą ewidentną, że wieszanie na krzyżu było karą rzymską; to Rzymianie, a nie Żydzi, ukrzyżowali Chrystusa jako niebezpiecznego prowodyra politycznego.

ekonomiczna i ta ostatnia przetrwała po dziś dzień. Dziś zarzuca się Żydom wykonywanie zawodów tzw. nieproduktywnych, nie zdając sobie sprawy, że ich pozorna autonomia w łonie społeczeństwa wynika stąd, iż początkowo zmuszano ich do wykonywania tych zawodów, zabraniając dostępu do wszystkich innych. Dlatego też nie będzie przesadą stwierdzenie, że Żydów stworzyli chrześcijanie, powstrzymując gwałtownie proces ich asymilacji i obarczając ich, wbrew ich życzeniom, funkcją ekonomiczną, w której wykonywaniu doszli w międzyczasie do doskonałości. Tu też wchodzi w rachubę już tylko wspomnienie: takie jest dziś zróżnicowanie funkcji ekonomicznych, że niesposób przydzielić Żydom jakiejś specjalnej dziedziny; co najwyżej można zauważyć, że ich długowieczne odsunięcie od pewnych zawodów zniechęciło ich do nich nawet wówczas, gdy mieli już możność ich wykonywania. Ale społeczeństwa współczesne uczepiły się tego wspomnienia i czyniły z niego pretekst i podstawę swego antysemityzmu. Tak więc, skoro szuka się odpowiedzi na pytanie, kim jest współczesny Żyd, trzeba zapytać o to chrześcijańskie sumienia. A pytanie to brzmi nie „kim jest Żyd?", ale „coście zrobili z Żydami?".

Żyd to człowiek, którego inni ludzie uważają za Żyda — oto prawda elementarna, od której trzeba nam wyjść. W tym sensie demokrata ma rację: to antysemita tworzy Żydów. Ale nie mielibyśmy racji sprowadzając nieufność, zaciekawienie i wrogość, jakie zewsząd otaczają Żydów, do sporadycznych manifestacji paru pasjonatów. Przede wszystkim, jak widzieliśmy, antysemityzm jest wyrazem ślepej i prymitywnej społeczności, istniejącej potajemnie w łonie legalnie ukonstytuowanego społeczeństwa. Nie należy więc sądzić, aby starczyło jednego szlachetnego gestu, paru mądrych formułek czy gorących zdań, aby zwalczyć antysemityzm — to tak, jakby sobie ktoś wyobrażał, że zażegna na przyszłość wszystkie wojny przez napisanie książki o okropnościach, jakich są przyczyną. Żyd oczywiście docenia wszystkie dowody sympatii, jakie mu się okazuje, ale nie zmienia to wszystko zasadniczego faktu, że widzi antysemityzm jako permanentną strukturę społeczeństwa, w którym żyje. Wie zresztą skądinąd, że zarówno demokraci jak i wszyscy inni jego obrońcy mają tendencję do oszczędzania antysemityzmu. Przede wszystkim żyjemy przecież w republice i wszystkie przekonania są równouprawnione. Po drugie mit Świętej Jedności wywiera jeszcze tak wielki wpływ na umysły francuskie, że Francuzi gotowi są zawsze zgodzić się na wszelkie kompromisy, aby uniknąć kryzysów wewnętrznych, szczególnie w okresach napięcia międzynarodowego, kiedy to antysemityzm występuje zwykle w największym natężeniu. Naturalnie na koncesje i ustępstwa idzie zawsze demokrata, jako człowiek naiwny i dobrej woli — antysemita nie pójdzie na żaden kompromis On straszy wszystkich swoim gniewem; mówią: „nie trzeba go drażnić"..., wokół niego chodzi się na palcach i mówi szeptem. W 1940 roku na przykład wielu Francuzów opowiedziało się za rządem Pétaina, który demagogicznie lansował hasło Jedności narodu. Wkrótce potem rząd ten wydał zarządzenia antysemickie. „Pétainiści" bynajmniej nie protestowali. Nie mieli może najczystszego sumienia, ale cóż? Skoro ratunek Francji wymaga nieco poświęcenia, lepiej przymknąć oczy na te przykre rzeczy. Jasne, nie wszyscy byli antysemitami, do spotykanych Żydów przemawiali przesadnie uprzejmym, pełnym współczucia tonem. Ale ci Żydzi zdawali sobie sprawę, że los ich poświęcano złudnym rojeniom o zjed-

noczonej i patriarchalnej Francji. Dzisiaj * ci spośród nich, którym udało się uniknąć śmierci lub deportacji, wracają do domu. Wielu z nich należało od pierwszej chwili do Ruchu Oporu, inni mają synów czy kuzynów w armii Leclerca. Cała Francja raduje się i cieszy, tańczy na ulicach, konflikty społeczne na razie ucichły; gazety poświęcają całe kolumny jeńcom wojennym i deportowanym. Czy powie się wreszcie o tragedii Żydów? Czy uczcimy powrót wśród nas tych ludzi cudem ocalałych, czy poświęcimy choć jedną myśl tym, którzy zginęli w komorach gazowych Majdanka? Ani słowa. Ani linijki w gazetach. Dlatego, że nie trzeba drażnić antysemitów. Francja bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje Jedności. Pełni najlepszych chęci dziennikarze mówią nam: „W dobrze rozumianym interesie samych Żydów nie należy teraz zbyt wiele o nich mówić". Przez cztery lata społeczeństwo francuskie przyzwyczaiło się do ich nieobecności, nie należy teraz zbyt głośno mówić o ich powrocie. Czy wydaje się komuś, że Żydzi nie zdają sobie z tego sprawy? Że nie rozumieją, skąd ta cisza? Są nawet między nimi tacy, którzy się z tym zgadzają i mówią: „Im mniej będzie się o nas mówiło, tym lepiej". Czy normalny Francuz, pewien siebie, swojej religii i swojej rasy, rozumie, jaki to stan ducha dyktuje tego rodzaju stwierdzenia? Czyż nie widać od razu, że trzeba było przez lata odczuwać w swoim otoczeniu niechęć, wiecznie czujną złośliwość, oschłą obojętność, gotową każdej chwili zmienić się we wrogość, aby osiągnąć tę mądrość rezygnacji, stosować tę politykę uniku? Po cichu więc, potajmnie wrócili i ich radość z powodu wyzwolenia nie zlała się w jedno z radością całego narodu. Że to ich bolało i boli, niech świadczy jeden drobny fakt. Napisałem w jakimś artykule w *„Lettres Françaises"*, nawet, przyznać muszę, bez specjalnej intencji, po prostu w trosce o niepominięcie niczego, jakieś zdanie o cierpieniach jeńców wojennych, deportowanych, więźniów politycznych i Żydów. Paru znajomych Żydów dziękowało mi za to ze wzruszającą wylewnością: jak bardzo musieli czuć się opuszczeni, aby przyszło im do głowy dziękować autorowi za wydrukowanie s ł o w a Żyd w artykule?

Tak więc Żyd jest w sytuacji Żyda dlatego, że żyje w łonie społeczeństwa, które uważa go za Żyda. Ma w nim namiętnych wrogów i pozbawionych namiętności orędowników. Demokrata jest z zasady umiarkowany: prawi nauki moralne i poucza, podczas gdy antysemici podpalają synagogi. Jest z zasady tolerancyjny, jest nawet snobem na punkcie tolerancji, którą rozszerza i na wrogów demokracji: czyż w kołach radykalnie lewicowej inteligencji nie panowała swego czasu moda na przyznawanie geniuszu Maurrasowi? Demokrata rozumie więc doskonale antysemitę. Jest jakby zafascynowany przez tych wszystkich, którzy planują jego zgubę. Może także tkwi w nim jakaś tajemna tęsknota za gwałtem, przed którym się wzbrania. Poza tym szanse nie są równe: na to, aby demokrata zaczął namiętnie bronić Żydów, trzeba, aby on również stał się manicheistą i odkrył w Żydach pierwiastek Dobra. A to jest niemożliwe. Demokrata nie postradał przecież zmysłów. Broni Żydów, bo widzi w nich pełnoprawnych członków społeczeństwa, ale społeczeństwo składa się również z innych członków, których trzeba bronić, demokrata jest bardzo zajęty; zajmuje się Żydami, kiedy ma na to czas; antysemita natomiast ma jednego tylko wroga, może o nim myśleć bezustannie, on nadaje więc ton spo-

* Pisane w październiku 1944 roku.

łeczeństwu. Ostro atakowany, nieśmiało broniony, Żyd czuje się zagrożony w społeczeństwie, w którym jak miecz Damoklesa wisi nad nim stale groźba antysemityzmu. Trzeba nam przyjrzeć się tej sytuacji bliżej.

Żydzi francuscy należą w przeważającej swej większości do drobnej albo wielkiej burżuazji. Wykonują przeważnie zawody, które nazwałbym uwarunkowanymi przez opinię, w tym sensie, że w nich powodzenie nie zależy od indywidualnych zdolności i umiejętności, ale od opinii innych ludzi. Czy się jest adwokatem czy kapelusznikiem, klienci przychodzą tylko wtedy, jeśli udało się ich w jakiś sposób pozyskać. Wynika z tego, że zawody, o których mówimy, wymagają całego specyficznego ceremoniału: trzeba zjednywać sobie ludzi, urabiać ich sobie, pozyskiwać ich zaufanie. Przyzwoity ubiór, nienaganne obyczaje, bezwzględna uczciwość kupiecka należą do ceremoniału, do tych wszystkich poniżających nieco sposobów przypodobania się klientowi, których nie można nie używać. Tak więc chodzi jedynie o reputację: na reputację się z a p r a c o w u j e, z niej się żyje. Znaczy to, że w gruncie rzeczy jest się całkowicie zdanym na łaskę i niełaskę innych ludzi, gdy na przykład chłop ma przede wszystkim do czynienia ze swoją ziemią, a robotnik z narzędziami i surowcami. Tymczasem Żyd znajduje się w dość paradoksalnej sytuacji — może, jak każdy inny człowiek i w ten sam sposób, zapracować sobie na dobrą reputację. Ale ta dobra reputacja nakłada się tylko na jego pierwotną reputację, z góry mu daną i od której nie ma żadnej ucieczki — tej mianowicie, że jest Żydem. Robotnik Żyd zapomni o niej w swojej kopalni, przy swoich taczkach, w swojej hucie. Ale Żyd-kupiec nie może o niej nigdy zapomnieć. Choćby się okazał nie wiem jak uczciwym i bezinteresownym, najwyżej powiedzą o nim, że jest d o b r y m Ż y d e m. Ale Żydem jest i pozostanie. Przynajmniej gdy mówią o nim, że jest uczciwy czy nieuczciwy, rozumie, o co chodzi. Pamięta uczynki, które zyskały mu takie czy inne miano. Inaczej, gdy się go nazywa Żydem — chodzi bowiem nie o jakieś konkretne czyny czy cechy, ale o pewien s p o s ó b b y c i a, charakterystyczny dla niego we wszystkich jego poczynaniach. Powiedziano mu, że Żyd myśli jak Żyd, śpi, je, pije jak Żyd, jest uczciwy czy nieuczciwy na swój żydowski sposób. Ale choć pilnie przypatruje się samemu sobie, nie potrafi dostrzec w swoim postępowaniu śladów tego sposobu bycia. Czy w ogóle możemy zdawać sobie sami sprawę z naszego sposobu bycia? W rzeczywistości nie możemy się nigdy oderwać na tyle od samych siebie, aby zdobyć się na spojrzenie obiektywne świadka. A jednak to małe słówko „Żyd" pojawiło się pewnego dnia w jego życiu i niesposób się teraz od niego uwolnić. Niektóre dzieci już od szóstego roku życia, już w pierwszej klasie musiały bić się z innymi dziećmi, które wymyślały im od „parchów". Przed innymi znów długo ukrywano tajemnicę ich pochodzenia. Pewna młoda Izraelitka, w znajomym mi domu, do piętnastego roku życia nie rozumiała nawet sensu słowa „Żyd". Podczas okupacji pewien lekarz z Fontainebleau, mieszkający na odludziu, wychowywał swoje dzieci nie pisnąwszy im nawet słówka o swoim pochodzeniu. Ale tak czy owak przychodzi kiedyś dzień, kiedy dowiadują się prawdy — czasami poprzez znaczące uśmiechy otoczenia, czasami przez plotki czy też obraźliwe słowa. Im później odkrywają prawdę, tym szok jest mocniejszy: nagle zdają sobie sprawę, że inni ludzie wiedzieli o nich coś, czego oni sami nie wiedzieli, że używano mówiąc o nich tego dziwnie jakoś niepokojącego epitetu, którego w domu się nie używa. Czu-

ją się nagle samotne, oddzielone od społeczności normalnych dzieci, które biegają po podwórku i bawią się spokojnie i które nie mają żadnej specjalnej nazwy. Wracają do domu, patrzą na ojca, myślą: „Czy on też jest Żydem?" i czują, że szacunek, jaki do niego żywią, jest już na zawsze zatruty. Cóż dziwnego, że na całe życie zostaje im już gorzki smak odkrytej prawdy. Sto razy opisywano wstrząsy, jakie powoduje u dziecka nagłe odkrycie stosunków płciowych pomiędzy rodzicami; podobny wstrząs odczuwa dziecko żydowskie, gdy spoglądając ukradkiem na swoich rodziców myśli: „To są Żydzi".

A wtedy w domu mówią mu, że powinien być dumny z tego, że jest Żydem. Nie wie już, komu wierzyć, rozdarty pomiędzy upokorzeniem, przerażeniem i dumą. Wie, że jest inny, nie rozumie bynajmniej, na czym ta jego inność polega, ale jedno wie na pewno: w oczach innych ludzi, choćby nie wiem co robił, jest i pozostanie zawsze Żydem. Oburzano się i słusznie z powodu haniebnej żółtej gwiazdy, którą hitlerowcy napiętnowali Żydów. To, co wydawało się najbardziej nieludzkie w tym zarządzeniu, to fakt, że wskazywano niejako palcem na Żyda, że zmuszano go do tego, aby czuł się ustawicznie Żydem w obliczu innych ludzi. Do tego stopnia oburzało to ludzi, że na wszystkie sposoby usiłowali okazywać jakoś swoje współczucie i swoją sympatię naznaczonym żółtą gwiazdą nieszczęśliwcom. Ale gdy pewne osoby, pełne najlepszych chęci, zaczęły kłaniać się na ulicy ludziom z żółtymi gwiazdami, ci prosili, aby oszczędzić im tej przykrości. Pod wymownymi, błyszczącymi współczuciem spojrzeniami kłaniających im się ludzi czuli, jak powoli stają się przedmiotami. Przedmiotami współczucia, litości, politowania, ale przedmiotami. Byli dla tych cnotliwych liberałów okazją do demonstracji, do pięknego gestu: byli jedynie okazją, liberałowie bowiem byli ludźmi wolnymi, mogli uścisnąć Żydowi dłoń czy też plunąć mu w twarz, wybierali tę postawę, jaką dyktowała im ich moralność, dokonany przez każdego z nich wybór samego siebie. Żydzi natomiast nie mieli tej wolności, nie mogli być nieŻydami. Dlatego też niektórzy z nich z dwojga złego woleli już wzbudzać nienawiść niż litość, gdyż nienawiść jest namiętnością i wydaje się nie tak całkowicie własnowolną, jak litość, którą zwykło się traktować z góry na dół. Rozumieliśmy to wszystko tak dobrze, że w końcu odwracaliśmy oczy spotykając na ulicy Żyda z żółtą gwiazdą. Nie mogliśmy znieść tego widoku, krępowały nas własne oczy, o których wiedzieliśmy, że spoczywając na nim, mimo nas i mimo niego, kreują go na Żyda. Jedynym sposobem okazywania sympatii czy przyjaźni było udawanie, że się niczego nie widzi: każdy bowiem wysiłek obliczony na dotarcie do osobowości napotykał nieuniknienie na Żyda. Zdumiewające jest tylko dla mnie, iż nikt nie zwrócił uwagi, że właściwie hitlerowskie zarządzenie doprowadzało tylko do ostateczności pewną sytuację faktyczną, którą tolerowaliśmy dotychczas z doskonale czystym sumieniem. Oczywiście przed wojną Żydzi nie nosili żółtej gwiazdy. Ale ich nazwiska, twarze, gesty, tysiące innych cech wskazywały na nich jako na Żydów. Żyd, czy to spacerując po ulicach, czy wchodząc do sklepu, kawiarni, salonu, czuł się już wtedy naznaczony jako Żyd. Jeśli ktoś podchodził do niego w towarzystwie z przesadną wylewnością, z wyciągniętą ostentacyjnie dłonią, Żyd zdawał sobie natychmiast sprawę, że stał się oto przedmiotem maleńkiego pokazu tolerancyjności tego pana, który użył go jako pretekstu, aby poświadczyć przed światem i sobą samym: ja jestem tolerancyjny,

nie jestem antysemitą, dla mnie istnieją tylko indywidua, a nie rasy. Tymczasem w głębi duszy Żyd uważa, że niczym się od innych ludzi nie różni. Mówi tym samym językiem, broni tych samych interesów klasowych, tych samych interesów narodowych, co oni, czyta te same gazety, tak samo głosuje jak oni, rozumie i podziela ich przekonania polityczne. Ale dają mu do zrozumienia, że to niezupełnie jest tak, że on to wszystko robi, to znaczy mówi, czyta gazety, głosuje, na swój jakiś „żydowski sposób". Gdy żąda, aby mu wytłumaczono bliżej, na czym to polega, malują przed nim portret, w którym się bynajmniej nie rozpoznaje. Ale nie ulega wątpliwości, że to jest właśnie jego portret, skoro tak twierdzą zgodnie tysiące ludzi. Przekonamy się zaraz, że jednym ze źródeł żydowskiego niepokoju jest ta stała konieczność zastanawiania się i ustosunkowywania w końcu do tej dziwnie obcej i jednocześnie bliskiej postaci, niezrozumiałej, ale i znajomej, która dręczy go ustawicznie i nie jest niczym innym, jak tylko nim samym, nim samym w oczach innych ludzi. Odpowiedzą mi na to, że z każdym tak jest, że charakter każdego z nas obiektywizuje się w oczach innych ludzi w sposób, o którym nie mamy pojęcia. Oczywiście: jest to w ostateczności wyrazem fundamentalnego naszego stosunku do drugiego człowieka. Ale Żyd, jak każdy z nas, ma swój charakter i jest jeszcze ponadto Żydem. W jego wypadku mamy do czynienia z czymś w rodzaju podwojenia fundamentalnego stosunku do drugiego człowieka. Jest jakby podwójnie determinowany.

To, co sprawia, że w oczach Żyda sytuacja jego staje się jeszcze bardziej niezrozumiała, to fakt, że korzysta on w pełni z wszystkich swoich praw obywatelskich, przynajmniej w czasach równowagi i spokoju społecznego. W okresie kryzysów i prześladowań jest sto razy nieszczęśliwszy niż inni, ale przynajmniej może się zbuntować i na zasadzie tej samej dialektyki, którą opisuje Hegel w *Panu i niewolniku*, odnaleźć swoją wolność przeciwko uciemiężeniu i zaprzeczyć swej przeklętej żydowskiej naturze stawiając z bronią w ręku opór tym, którzy usiłują mu ją narzucić. Ale kiedy wszędzie panuje spokój, przeciwko komu miałby się buntować? Musi godzić się na społeczeństwo, jakie go otacza, ponieważ założył z góry, że uczestniczy w tej grze, że nagina się do ceremoniału, że tańczy wraz z innymi taniec szacowności i poważania. Zresztą nie jest niczyim niewolnikiem: jest wolnym obywatelem w państwie zezwalającym na wolną konkurencję i żadna godność społeczna, żadne stanowisko państwowe nie jest dla niego niedostępne; będzie odznaczony Legią Honorową, będzie wziętym adwokatem, będzie ministrem. Ale w chwili gdy osiągnie najwyższy szczebel hierarchii w legalnym społeczeństwie, odkrywa nagle inne społeczeństwo, amorficzne, nieuchwytne, lecz wszechobecne, które jest dla niego niedostępne. W sposób szczególnie bolesny odczuwa próżność zaszczytów i nieprzydatność pieniędzy, bowiem największy nawet sukces nie dopuści go nigdy do tego społeczeństwa, które jeszcze w dodatku twierdzi, że jest p r a w d z i w y m społeczeństwem: nawet gdy będzie ministrem, będzie ministrem-Żydem, jednocześnie Ekscelencją i pariasem. Nie napotyka zresztą bynajmniej na żaden konkretny opór: czuje tylko jakąś dziwną, niezrozumiałą pustkę koło siebie, a w dodatku, co najgorsze, w wyniku jakiejś magicznej chemii dewaloryzuje się wszystko, czego się tylko dotknie. W społeczeństwie burżuazyjnym bowiem bezustanny ruch osób prądy społeczne, mody, obyczaje wytwarzają w a r t o ś c i. Wartość wier-

szy, mebli, domów, pejzaży, pochodzi w dużym stopniu z tych jakichś spontanicznych kondensacji, osiadających na przedmiotach jak poranna rosa; są one czysto narodowe i są wynikiem normalnego funkcjonowania tradycjonalistycznego i historycznego kolektywu. Być Francuzem znaczy nie tylko być urodzonym we Francji, głosować, płacić podatki, to przede wszystkim umieć używać i rozumieć te wartości. Uczestnicząc w ich tworzeniu człowiek czuje się w jakiś sposób uspokojony wobec samego siebie, jego istnienie jest niejako usprawiedliwione przez przynależenie do całej społeczności. Umieć ocenić krzesło w stylu Ludwika XVI, elegancję jakiegoś powiedzonka Chamforta, piękno pejzażu Ile-de-France czy obraz Claude Lorraina, pozwala poświadczyć raz jeszcze i raz jeszcze odczuć swą przynależność do społeczeństwa francuskiego, pozwala raz jeszcze odnowić milczącą umowę społeczną ze wszystkimi członkami tego społeczeństwa. Od razu zanika niejasne i niepewne poczucie naszego istnienia i zastępuje je natychmiast konieczność istnienia prawnego. Każdy Francuz, który wzrusza się na dźwięk wierszy Villona, na widok pałacu wersalskiego, staje się natychmiast funkcją publiczną i podmiotem praw nienaruszalnych. Tymczasem Żyd jest człowiekiem, któremu z zasady odmawia się prawa dostępu do wartości. Prawda, że i robotnik jest w tym samym położeniu. Ale jego sytuacja jest inna: robotnik może odrzucić z pogardą wartości i kulturę burżuazyjną, może chcieć im przeciwstawić swoje własne. Żyd natomiast należy zasadniczo do klasy, która się go zapiera, podziela jej gusta i jej tryb życia: d o t y k a tych wartości, ale ich nie widzi, powinny należeć do niego, ale odmawia mu się do nich prawa; wmawia mu się, że jest ślepy i głuchy. Jest to oczywista nieprawda: czy ktokolwiek sądzi, że Bloch, Crémieux, Suarès, Schwob czy Benda gorzej rozumieją wielką literaturę francuską niż byle jaki katolicki episjer czy policjant? Czy ktokolwiek przypuszcza, że Max Jacob gorzej władał naszym językiem niż przeciętny „aryjski" sekretarz merostwa? Czyżby Proust, który był na wpół Żydem, na wpół tylko rozumiał Racine'a? A kto lepiej rozumiał Stendhala: czy Aryjczyk Chuquet, słynny grafoman, czy też Żyd — Leon Blum? To nieprawda, jest błąd w tym myśleniu, cóż z tego, skoro błąd kolektywny. I Żyd sam musi zdecydować, czy to prawda, czy też nie, więcej nawet: musi dać dowody. I choćby nie wiem ile ich dawał, zawsze będą niewystarczające. Może posunąć się najdalej jak można w zrozumieniu jakiegoś dzieła literackiego, jakiegoś obyczaju, epoki czy stylu — o p r a w d z i w e j wartości danego przedmiotu, dostępnej jedynie rzeczywistym Francuzom, decydować będzie to wszystko, co jest „poza" słowami, czego nie da się w słowach wyrazić. I daremnie Żyd powołuje się na swoją kulturę, na swoje prace: żydowska to kultura, żydowskie to prace, on właśnie w tym jest Żydem, że nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co powinien był rozumieć. W ten sposób wmawia się w niego, że nie rozumie nic z rzeczywistego sensu rzeczy, tworzy się wokół niego jakąś nieosiągalną mgławicę, która jest p r a w d z i w ą Francją, ze swymi p r a w d z i w y m i wartościami, swoim p r a w d z i w y m taktem, swoją p r a w d z i w ą moralnością — mgławicę absolutnie dlań niedostępną. Tak samo może kupować jakie sobie chce majątki, ziemie i pałace, jeśli go na to stać: w chwili gdy staje się prawnym właścicielem ziemi, własność nagle podstępnie zmienia swój sens i znaczenie. Tylko prawdziwy Francuz, syn Francuzów, chłopski syn czy wnuk, potrafi rzeczywiście, prawdziwie posiadać. Aby posiadać chałupę we wsi, nie wystar-

czy zapłacić za nią pieniądze, trzeba także znać wszystkich sąsiadów, rodziców ich i dziadków, wiedzieć, co się w tej okolicy najlepiej rodzi, znać wszystkie buki i dęby w lesie, umieć orać, łowić ryby i strzelać do zwierzyny, trzeba było w dzieciństwie nacinać drzewa w sadzie i odnajdywać te nacięcia zabliźnione w kilkanaście lat później. Można być zupełnie pewnym, że Żyd nie spełnia tych warunków. Zresztą Francuz też może ich nie spełnia, ale mógłby spełniać, istnieją bowiem stany łaski i jakaś kolosalna różnica pomiędzy żydowskim a francuskim sposobem mylenia pszenicy z żytem. I tak Żyd pozostaje obcym, intruzem, niezasymilowanym członkiem społeczeństwa w łonie społeczeństwa. Wszystko jest mu dostępne, ale nic nie posiada: tego, co się posiada, nie można kupić za pieniądze, powiadają mu. Wszystko, czego się dotyka, wszystko, co nabywa, dewaloryzuje się w jego rękach; dobra, prawdziwe dobra tej ziemi pozostają dla niego zawsze nieosiągalne. A przecież zdaje sobie sprawę, że równie dobrze jak kto inny współuczestniczy w budowaniu przyszłości tego społeczeństwa, które go odrzuca. Jeśli jednak przyszłość rzeczywiście do niego należy, przynajmniej odmówi mu się prawa do przeszłości. I tak zresztą jest naprawdę, niech odwróci się, spojrzy na historię tego kraju — jego rasa w niej nie uczestniczyła. Królowie francuscy, ich ministrowie, wielcy wodzowie, magnaci, artyści ani pisarze nie byli Żydami i nie Żydzi zrobili Rewolucję Francuską. Przyczyna tego bardzo prosta: do dziewiętnastego wieku Żydzi, tak samo jak kobiety, nie byli pełnoprawnymi obywatelami kraju, dlatego też ich wkład do życia społecznego i politycznego jest — jak i wkład kobiet — stosunkowo świeży Nazwiska Einsteina, Charlie Chaplina, Bergsona, Chagalla, Kafki pozwalają nam się domyślać, jaki byłby ten wkład, gdyby wcześniej ich emancypowano. Ale nie o to chodzi, fakt pozostaje faktem. Ci Francuzi nie mogą się powoływać na historię Francji. Ich pamięć kolektywna dostarcza jedynie wspomnienia ponurych pogromów, gett i wygnań, wielkich cierpień monotonnych, dwudziestu wieków dreptania w miejscu, a nie postępu. Żydzi nie są jeszcze h i s t o r y c z n i, chociaż są najstarszym czy też jednym z najstarszych narodów na ziemi. Stąd ich wygląd zawsze trochę staroświecki i ciągle nowy; mają mądrość, lecz nie mają historii. Cóż stąd, można by odpowiedzieć, przyjmijmy ich bez zastrzeżeń do naszej: nasza historia będzie ich historią czy też historią ich synów. Ale tego właśnie nie chce nikt zrobić. Tak więc Żyd błąka się po świecie, niepewny niczego, wyrwany z korzeniami. Ale niechby tylko spróbował zwrócić się w stronę Izraela, aby odnaleźć tam wspólnotę i przeszłość, których mu się tu odmawia. Ta wspólnota żydowska nie oparta ani na państwowości, ani na wspólnym terytorium, ani na religii — przynajmniej już dzisiaj — ani na wspólnych interesach materialnych, a jedynie na wspólnocie s y t u a c j i, mogłaby się stać iście s p i r y t u a l i s t y c z n ą więzią kulturalną i uczuciową. Ale wrogowie Żydów powiedzieliby natychmiast, że jest to więź etniczna i sami Żydzi nie wiedząc dobrze, jak ją określić, użyliby może słowa rasa. Tym samym przyznaliby rację antysemicie: „Więc widzicie, więc znaczy, jest r a s a żydowska, sami to przyznają i zresztą trzymają się zawsze razem". I rzeczywiście. Żydzi chcąc czerpać z tej swojej wspólnoty słuszną i usprawiedliwioną dumę, a nie mogąc się powołać na jakieś dzieło kolektywne, które byłoby specyficznie żydowskie, ani na jakąś specyficznie żydowską kulturę, ani na jakiś specyficznie żydowski mistycyzm, z konieczności musieliby wysławiać wspólne cechy etniczne. W ten sposób antysemita

zawsze będzie wygrany. Słowem, żąda się od Żyda, który jest intruzem w społeczeństwie francuskim, ażeby pozostał w nim odosobniony. Jeśli nie zgadza się na to, obrzuca się go obelgami. Jeśli zaś jest posłuszny, nie przyspiesza to bynajmniej jego asymilacji, po prostu t o l e r u j e s i ę go w tym społeczeństwie. I to z niedowierzaniem i podejrzliwością, która zmusza go do dostarczania „dowodów" na każdym kroku. W czasie wojny czy rozruchów „prawdziwy" Francuz nie musi dostarczać żadnych dowodów; wypełnia po prostu swe obowiązki wojskowe czy też cywilne. Z Żydami jest inaczej — mogą oni być pewni, że natychmiast zacznie się podejrzliwe przeliczanie Żydów w wojsku. W ten sposób wszyscy Żydzi stają się nagle solidarnie odpowiedzialni wobec społeczeństwa. Nawet jeśli ten czy ów przekroczył już dawno wiek przepisowy, poczuje nagle nieodpartą potrzebę — obojętne czy pójdzie za nią, czy też nie — zaciągnięcia się na ochotnika, bowiem wszyscy mówią, że Żydzi uchylają się od wojska. Nie bez słuszności, powiedzą niektórzy. Nieprawda. W pracy Steckla na temat „kompleksu żydowskości", o którym jeszcze będzie mowa, czytamy takie zdanie: „Chrześcijanie twierdzą (to mówi Żydówka), że Żydzi uchylają się od wojska. Więc mój mąż zaciągnął się jako ochotnik". Tymczasem, chodzi o pierwsze miesiące Wielkiej Wojny, Austria nie uczestniczyła w żadnej wojnie od 1866 roku, a tamtą prowadziła przy pomocy armii zawodowej. Ta reputacja, jaką cieszyli się Żydzi w Austrii i jaką cieszą się we Francji, jest więc po prostu spontanicznym wynikiem podejrzliwości wobec Żydów. W 1938, w momencie napięcia międzynarodowego rozładowanego dopiero przez haniebne Monachium, rząd francuski powołał do wojska pewne kategorie rezerwistów, ale większość mężczyzn zdatnych do służby wojskowej nie była jeszcze zmobilizowana. Już wówczas jednak zarzucono kamieniami wystawę jednego z moich przyjaciół, żydowskiego kupca z Belleville, wyzywając go od dezerterów. Tak więc Żyd, aby pozostawiano go w spokoju, winien być powoływany do wojska przed innymi, winien w czasie głodu cierpieć większy głód niż inni, winien w wypadku gdyby jakaś klęska dotknęła kraj, być bardziej dotknięty niż inni. Ta stała konieczność dostarczania dowodów, że jest Francuzem, stawia Żyda stale w s y t u a c j i w i n n e g o: jeśli w każdej sytuacji, przy każdej okazji nie wykaże się bardziej od innych, o wiele bardziej od innych — jest winny. Jest wtedy wrednym Żydem i niczym więcej. Można by, parafrazując zdanie Beaumarchais, powiedzieć: sądząc po zaletach, jakich wymaga się od Żyda, aby przyznać mu godność „prawdziwego" Francuza, ilu Francuzów byłoby godnych tego, żeby być Żydami we własnym kraju?

Ponieważ Żyd jest zależny od opinii publicznej, jeśli idzie o jego zawód, jego prawa i jego życie, sytuacja jego jest jak najbardziej niepewna. Choć niby prawnie zabezpieczony, zdany jest na łaskę i niełaskę „rzeczywistego" społeczeństwa. Śledzi pilnie postępy antysemityzmu, przewiduje kryzysy i rozruchy, jak chłop przewiduje burze i grad: stale zastanawia się nad ewentualnymi następstwami, jakie te czy inne wypadki zewnętrzne wywołać mogą w jego własnym życiu. Na nic mu wszystkie gwarancje prawne, bogactwa i zaszczyty, które gromadzi — wie, że to nie uchroni go przed zemstą, przeciwnie. Wydaje mu się, że wysiłki jego wieńczy stale sukces, bowiem przyzwyczajony jest, że mu się wszystko udaje i jednocześnie, że ciąży na nim jakaś okropna klątwa; nie osiągnie nigdy poczucia bezpieczeństwa, które jest udziałem pierwszego lepszego chrześcijanina. Może jest to po trosze i sens *Procesu* Kafki: jak bo-

hater tej książki, Żyd zaplątany jest w jakiś nie kończący się proces, nie zna swoich sędziów ani adwokatów, nie wie, co mu się zarzuca, lecz wie, że uważa się go za winnego; ogłoszenie wyroku jest odkładane z tygodnia na tydzień, a on czas ten wykorzystuje, aby się w różny sposób ubezpieczyć przed sentencją sądu; ale każde z tych na oślep czynionych ubezpieczeń pogrąża go jeszcze bardziej w poczuciu własnej winy; od zewnątrz pozycja jego może się wydawać godna pozazdroszczenia, ale ten nie kończący się proces podgryza go w sposób niewidoczny i zdarza się wreszcie często, tak jak w powieści, że rzucają się na niego jacyś ludzie, uprowadzają go twierdząc, że został skazany, i wykańczają go na jakimś pustym placu na przedmieściu.

Antysemici mają rację twierdząc, że Żyd je, pije, czyta, śpi i umiera jak Żyd. Cóż miałby robić innego? Niepostrzeżenie zatruto jego pożywienie, jego sen i nawet jego śmierć; w każdej chwili musi zajmować jakieś stanowisko wobec tego zatruwania. A skoro tylko wyszedł na ulicę, skoro tylko spotyka tamtych, w parku, w kawiarni, skoro tylko czuje na sobie spojrzenie tych, o których żydowska gazeta z mieszaniną strachu, pogardy, wyrzutu i braterskiej miłości mówi „Oni" — musi się zdecydować: zgadza się czy nie grać rolę, którą mu narzucono? A jeśli tak, to w jakim stopniu? A jeśli nie, to czy odrzuca wszelkie pokrewieństwo z Żydami? Czy tylko pokrewieństwo etniczne? Nie ma innego wyjścia, musi na to pytanie odpowiedzieć. Może wybrać odwagę lub tchórzostwo, może wybrać radość lub smutek, może wybrać miłość do chrześcijan lub nienawiść. Nie może tylko wybrać tego, żeby nie być już Żydem. Albo raczej, jeśli wybiera to właśnie, jeśli oświadcza, że Żyda nie ma, jeśli gorąco, rozpaczliwie zaprzecza swoim „żydowskim" cechom charakteru, to jeszcze jeden — najlepszy — dowód na to, że jest Żydem. Bo na przykład ja, który nie jestem Żydem, niczego nie muszę negować ani dowodzić, podczas gdy Żyd, skoro postanowił, że jego rasa nie istnieje, musi to najpierw u d o w o d n i ć. Być Żydem znaczy więc być rzuconym i o p u s z c z o n y m w żydowskiej sytuacji i być jednocześnie odpowiedzialnym we własnej osobie i poprzez własną osobę za los narodu żydowskiego. Bo niezależnie od tego, co Żyd sobie pomyśli czy powie, niezależnie od tego, czy jego poczucie własnej odpowiedzialności będzie niejasne czy oślepiające, wszystko odbywa się tak, jakby każdy swój czyn musiał konfrontować z groźnym imperatywem w rodzaju kantowskiego, jakby za każdym razem musiał stawiać pytanie: „Gdyby wszyscy Żydzi zachowywali się tak, jak ja, co by się stało z narodem żydowskim?". I na te pytania zadawane sobie („co by się stało, gdyby wszyscy Żydzi byli syjonistami albo przeciwnie, gdyby nawrócili się wszyscy na katolicyzm, gdyby wszyscy Żydzi solidarnie zaprzeczyli, że są Żydami" itd.) odpowiadać musi za każdym razem sam, bez niczyjej pomocy, dokonując w ten sposób wyboru samego siebie.

Jeśli czytelnik zgodzi się z nami, że człowiek jest w gruncie rzeczy jedynie wolnością w sytuacji, to zgodzi się także, że wolność ta może się określić jako autentyczna albo też nieautentyczna, zależnie od wyboru samej siebie, jakiego w danej sytuacji dokonuje. Autentyczność, rzecz to oczywista, polega na odważnym i prawdziwym zdaniu sobie sprawy z sytuacji, na świadomym podjęciu odpowiedzialności i ryzyka z tej sytuacji wynikającego, na przyznaniu się do niej i uznaniu jej za swoją w dumie lub upokorzeniu, czasem w nienawiści i wzgardzie. Nie ulega wątpliwości, że autentyczność wymaga wiele

odwagi i więcej niż odwagi. Nic też dziwnego, że nieautentyczność jest bardziej rozpowszechniona. Burżuje, chrześcijanie, wszyscy są w przeważającej większości nieautentyczni, w tym sensie, że wzbraniają się przed konsekwentnym „przeżyciem do końca“ swej sytuacji burżujów czy chrześcijan, że ukrywają przed sobą niektóre jej aspekty. A skoro komuniści wypisują na swoich sztandarach hasło „radykalizacji mas“, skoro Marks tłumaczy, że proletariat z klasy w sobie m u s i p r z e k s z t a ł c i ć s i ę w klasę dla siebie, znaczy to przecież, że robotnik zrazu jest także nieautentyczny. Żyd nie stanowi wyjątku od tej reguły: autentyczność u niego polega na przyjęciu i przeżyciu do końca jego żydowskiego położenia, nieautentyczność na negowaniu jego albo na wymykaniu się mu. Zapewne nieautentyczność jest dla niego bardziej atrakcyjna niż dla innych ludzi, gdyż sytuacja, którą musi przyjąć i przeżyć, jest po prostu i zwyczajnie sytuacją męczennika. Ludzie najbardziej przez los upośledzeni odkrywają zwykle w swej sytuacji jakąś głęboką więź konkretnej solidarności z innymi ludźmi: sytuacja ekonomiczna proletariusza, przeżywana w perspektywie rewolucji, sytuacja wyznawcy jakiejś religii, choćby i prześladowanej, zawierają w sobie głęboką wspólnotę interesów materialnych i duchowych. Ale dowiedliśmy przed chwilą, że Żydów nie łączy ani żadna wspólnota interesów materialnych, ani żadna wspólna wiara. Nie mają tej samej ojczyzny, nie mają żadnej historii. To, co jedynie ich łączy, to nieprzyjazna pogarda, jaką do nich żywią otaczające ich społeczeństwa. Tak więc Żyd autentyczny afirmuje się poprzez pogardę, którą inni dla niego żywią; sytuacja, którą chce w pełni zrozumieć i przeżyć do końca, jest w czasach pokoju społecznego prawie nieuchwytna: jest to zaledwie atmosfera, ukryte znaczenie słów i gestów, niebezpieczeństwo czające się w przedmiotach, abstrakcyjna więź łącząca go z innymi ludźmi, skądinąd bardzo od niego różnymi. Tymczasem wszystko jakby się zmówiło, aby mógł się on uważać za najnormalniejszego Francuza pod słońcem: powodzenie jego interesów jest ściśle związane z pomyślnością kraju, los jego synów związany z pokojem i wielkością Francji, język, którym mówi, i kultura, jaką mu zaszczepiono, pozwalają mu opierać swe rozumowanie i swe przewidywania na zasadach wspólnych całemu narodowi. Zdawałoby się więc, że wystarczy mu po prostu zapomnieć o jego sytuacji Żyda, gdyby nie to, że — jakeśmy widzieli — nie pozwala mu o tym zapomnieć ta niedostrzegalna prawie trucizna: wroga świadomość innych ludzi. Zadziwiające jest bynajmniej nie to, że jest tak wielu nieautentycznych Żydów, ale że proporcjonalnie jest ich mniej niż nieautentycznych chrześcijan. A przecież właśnie na podstawie pewnych reakcji nieautentycznych Żydów antysemita ukuł swój mit o Żydach. Charakteryzuje ich bowiem to, że przeżywają swoją sytuację uciekając od niej, że zaprzeczają jej albo zaprzeczają swojej odpowiedzialności, albo zaprzeczają swemu opuszczeniu, które stało się nieznośne. Nie znaczy to koniecznie, że chcą zniszczyć samo pojęcie Żyda, że zaprzeczają formalnie istnieniu żydowskiej rzeczywistości. Ale ich słowa, uczucia i czyny do niczego innego nie zmierzają, jak do zniszczenia tej rzeczywistości. Jednym słowem Żydzi nieautentyczni są to ci, których inni uważają za Żydów i którzy postanowili za wszelką cenę uciec przed tą sytuacją nie do wytrzymania. Wynikają z tego u nich różne postawy życiowe, które nie zawsze występują jednocześnie u jednej osoby, ale z których każda może być określona jako d r o g a u c i e c z k i. Antysemita zebrał i sca-

lił te wszystkie poszczególne drogi ucieczki, często najsprzeczniejsze ze sobą, i stworzył w ten sposób monstrualny portret, który ma być portretem Żyda w ogóle; jednocześnie rozpaczliwe wysiłki Żyda, aby wyrwać się z sytuacji nie do zniesienia, przedstawia on jako cechy dziedziczne, wyryte jakby w samym ciele Żyda, niemożliwe do zmienienia. Jeśli chcemy się w tym wszystkim rozeznać, musimy najpierw rozebrać ten portret na części, zwrócić przeróżnym „drogom ucieczki" ich autonomię i rozpatrywać je jako przedsięwzięcia, a nie jako cechy wrodzone. Trzeba przede wszystkim zrozumieć, że odnoszą się one wszystkie do Żydów nieautentycznych (w słowie nieautentyczny nie kryje się oczywiście żadna ocena moralna) i że dla pełni obrazu należy także zająć się bliżej opisem autentyczności żydowskiej. Wreszcie musimy zawsze pamiętać, że jedynym kompasem w naszych poszukiwaniach winna być w każdej okoliczności sytuacja Żyda. Jeśli zrozumiano, na czym polega ta metoda, to posługując się nią precyzyjnie może uda się w miejsce wielkiego, manicheistycznego mitu Izraela wyprowadzić parę prawd może mniej efektownych, bardziej fragmentarycznych, ale też i pewniejszych.

Jaka jest pierwsza cecha mitologii antysemickiej? Polega ona na tym, że Żyd jest istotą skomplikowaną, która cały czas spędza na analizowaniu samego siebie i komplikowaniu tego, co jest proste. Mówi się o nim często, że bawi się w „rozszczepianie włosa na czworo", nie zastanawiając się nawet, czy tę skłonność do autoanalizy i introspekcji pogodzić można z nieustępliwością w interesach i ślepym karierowiczostwem, które mu się skądinąd przypisuje. Przyznajemy, że wybór ucieczki przed samym sobą powoduje u pewnych Żydów, przede wszystkim zaś intelektualistów, pewną skłonność do postawy refleksyjnej. Ale musimy dobrze się rozumieć. Refleksyjność ta nie jest bynajmniej cechą odziedziczoną: jest to jedna z dróg ucieczki, a pamiętajmy, że to my zmuszamy Żyda do ucieczki.

Steckel, a także i wielu innych psychoanalityków, mówił przy tej okazji o „kompleksie żydowskości". I wielu Żydów wspomina o swym kompleksie niższości. Nic bym nie miał przeciw tej terminologii, jeśli przyjmiemy, że kompleks ten nie został wniesiony z zewnątrz, ale że Żyd sam wprowadził się w stan kompleksu wybierając przeżywanie swej sytuacji na sposób nieautentyczny. Dał się bowiem przekonać antysemitom, jest pierwszą ofiarą ich propagandy. Razem z nimi przyjmuje, że jeśli Żyd w ogóle istnieje, to posiada właśnie te cechy charakteru, jakie przypisuje mu niechęć powszechna, i usiłuje stać się męczennikiem, w pełnym rozumieniu tego słowa, to znaczy dowieść na swojej osobie, że Żydów nie ma. Niepokój przybiera często u niego bardzo specyficzne formy: staje się strachem, aby przypadkiem nie postąpić albo nie zareagować jak Żyd. Znamy tych psychasteników prześladowanych przez obawę, że kogoś zamordują, rzucą się przez okno czy wykrzykiwać będą brzydkie słowa. W pewnym stopniu, chociaż rzadko się zdarza, aby ich niepokój przechodził w stan patologiczny, można Żydów przyrównać do psychasteników: pozwolili się zatruć przez wyobrażenie, jakie o nich mają inni, i żyją w strachu, aby ich czyny nie upodobniły się przypadkiem do tego wyobrażenia. Tak że moglibyśmy powiedzieć, używając raz już zastosowanego wyrażenia, że ich postępowanie jest stale podwójnie determinowane od wewnątrz. Czyny ich bowiem, nie dość że tak samo umotywowane jak czyny nie-Żydów — interes, namiętność, al-

truizm itd. — mają ponadto odróżniać się zasadniczo od czynów, które skatalogowano jako „żydowskie". Iluż to znamy Żydów umyślnie szczodrych, bezinteresownych a nawet wielkodusznych d l a t e g o, że Żydzi uważani są na ogół za ludzi chciwych i skąpych. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, zauważmy, że mają do zwalczenia specjalne jakieś skłonności do skąpstwa. Nie ma *a priori* żadnego powodu, aby Żyd był bardziej skąpy od chrześcijanina. Znaczy to raczej, że ich wielkoduszne uczynki są z góry jakby zatrute postanowieniem wielkoduszności. Spontaniczność i świadomy, umyślny wybór są tutaj nierozerwalnie przemieszane. Cel, do którego dążą, jest podwójny: przede wszystkim osiągnąć pewien rezultat na zewnątrz, po drugie przekonać samego siebie, przekonać innych, że nie ma żadnej żydowskiej natury. W ten sposób wielu nieautentycznych Żydów bawi się w udawanie, że nie są Żydami. Kilku Żydów opowiadało mi o dziwnych ich reakcjach po zawieszeniu broni w 1940 roku: wiadomo przecież, że rola Żydów w Ruchu Oporu była wspaniała; oni to, zanim jeszcze komuniści włączyli się do akcji, zapewnili kadrę kierowniczą Ruchowi Oporu; w przeciągu czterech lat dali dowody wspaniałej odwagi i precyzyjności w działaniu, przed którymi z przyjemnością schylamy dziś głowę. A jednak wielu z nich długo się wahało przed przystąpieniem do Ruchu Oporu, gdyż wydawał im się zbyt wyraźnie leżący w interesie Żydów — chcieli być zupełnie pewni, że przychodzą do Ruchu Oporu nie j a k o Ż y d z i, a l e j a k o F r a n c u z i. Te skrupuły wskazują nam naocznie na charakter ich rozumowania: element „żydostwa" pojawia się w nich co chwila i uniemożliwia Żydom podjęcie normalnej decyzji po zwyczajnym i prostym rozważeniu faktów. Jednym słowem — Żydzi naturalnym biegiem wypadków znaleźli się na gruncie refleksyjności. Żyd, tak samo jak człowiek nieśmiały, jak człowiek pełen skrupułów, nie dość że działa i myśli — on p a t r z y na siebie, jak działa, i p a t r z y na siebie, jak myśli. Trzeba jednak zauważyć, że żydowska refleksyjność, nie spowodowana bynajmniej bezinteresowną ciekawością ani chęcią nawrócenia moralnego, jest sama w sobie p r a k t y c z n a. Nie człowieka, ale Ż y d a chcą poznać w sobie metodą introspekcji, a chcą go poznać po to, a b y m u z a p r z e c z y ć. Nie chodzi im o to, aby wyśledzić w sobie jakieś wady, które mogliby później zwalczać, ale o udowodnienie swoim postępowaniem, że bynajmniej tych wad nie posiadają. Tym się tłumaczy specyfika żydowskiej ironii, która najczęściej Żydów właśnie bierze pod obstrzał i jest stałym usiłowaniem spojrzenia na siebie z zewnątrz. Żyd, wiedząc, że jest stale pod obserwacją, wybiega temu naprzeciw i sam stara się na siebie spojrzeć oczyma innych ludzi. Ta obiektywność wobec samego siebie jest jeszcze jednym podstępem nieautentyczności: gdy tak obserwuje siebie pełen „oderwania", na jakie naprawdę stać być może tylko drugiego człowieka, czuje się rzeczywiście o d e r w a n y od samego siebie, staje się innym człowiekiem, już tylko świadkiem.

Jednak zdaje on sobie sprawę, że to oderwanie się od samego siebie może być skuteczne jedynie wówczas, gdy zostanie niejako zatwierdzone przez innych ludzi. Dlatego tak charakterystyczna jest dla Żyda łatwość asymilacji. Pożera wszystkie wiadomości i wszystkie nauki z chciwością, której nie należałoby mylić z bezinteresowną ciekawością. Myśli bowiem, że pożerając wszystkie myśli ludzkie i zdobywając „uniwersalny" punkt widzenia na świat stanie się „człowiekiem", tylko człowiekiem, takim samym jak inni. Kształci się z za-

pałem, aby zabić w sobie Żyda, chciałby, aby zastosowano do niego, z lekką poprawką, powiedzenie Terencjusza: *Nil humani mihi alienum puto, ergo homo sum.* I jednocześnie usiłuje zagubić się w tłumie chrześcijan. Jak widzieliśmy, chrześcijanie zdobyli się na genialną czelność i tupet: wytłumaczyli Żydom, że nie są przedstawicielami i n n e j r a s y, ale zwyczajnie i po prostu l u d ź m i. Żyd nie dlatego jest przez nich zafascynowany, że są nosicielami jakichś tam cnót, które mało go obchodzą, ale dlatego, że oznaczają anonimowość, ludzkość bez rasy. Jeśli usiłuje przedostać się do kół najbardziej elitarnych, to bynajmniej nie z powodu nieokiełznanej ponoć ambicji, którą mu się tak często ma za złe. A raczej ta jego ambicja ma jeden tylko sens: Żyd pragnie b y ć u z n a n y za człowieka przez innych ludzi. Dlatego chce się wszędzie prześliznąć, nie będzie miał chwili spokoju, dopóki jakieś środowisko, opierając mu się, odmówi mu uznania jako człowiekowi. Zasada tego pędu do asymilacji jest znakomita: Żyd afirmuje się przecież w ten sposób jako Francuz. Niestety realizacja tego przedsięwzięcia zwichnięta jest od podstaw: chciałby, aby przyjmowano go wszędzie jako „człowieka", a tymczasem, nawet w tych kołach, do których udało mu się wedrzeć, przyjmują go jako Żyda: albo jest tym bogatym czy ustosunkowanym Żydem, którego „trzeba przecież" przyjmować, albo znów „dobrym" Żydem, wyjątkowym Żydem, którego się przyjmuje z przyjaźni p o m i m o j e g o pochodzenia. Wie o tym dobrze, ale gdyby przyznał się do tego przed sobą, jego usiłowania stałyby się bezsensowne i straciłby resztki otuchy. Działa więc świadomie w złej wierze, ukrywa prawdę przed samym sobą: zdobywa swoją pozycję j a k o Ż y d, utrzymuje ją środkami, jakie są w jego dyspozycji, to znaczy środkami Ż y d a, ale każdy swój nowy sukces towarzyski uważa za nowy szczebel na drodze asymilacji. Jasne i zrozumiałe, że antysemityzm, który jest natychmiastową reakcją penetrowanych przez niego środowisk, nie pozwala mu długo zapominać o tym, czego nie chciałby dopuszczać do swej świadomości. Ale gwałtowności antysemitów osiągają jeden tylko, dość paradoksalny rezultat, popychają mianowicie Żyda do zdobywania innych środowisk, do penetracji innych grup społecznych. Bo w gruncie rzeczy ambicja jego nie jest niczym innym, jak poszukiwaniem bezpieczeństwa, tak samo jak jego snobizm — gdy jest snobem — jest jedynie usiłowaniem asymilacji wartości narodowych (obrazów, książek itd.). W ten sposób przemierza on szybko i efektownie wszystkie warstwy społeczne, ale zachowuje się jak twarda pestka w środowiskach, które go przyjmują. Asymilacja jego, choć efektowna, jest tylko pozorna. Często mu się robi z tego zarzut: na przykład Amerykanie, jak podaje Siegfried, uważają, że ich antysemityzm spowodowany jest faktem, iż imigranci żydowscy, na pozór najprędzej zasymilowani, okazują się Żydami jeszcze w drugim i trzecim pokoleniu. Oczywiście sugeruje się następującą interpretację: Żyd w gruncie rzeczy jest nieszczery, nie chce się asymilować i za powierzchowną układnością kryje głębokie i świadome przywiązanie do obyczajów swej rasy. A jest przecież wręcz przeciwnie: właśnie dlatego, że wszyscy i wszędzie traktują go nie jako c z ł o w i e k a, ale jako Ż y d a, właśnie dlatego Żyd nie może się zasymilować.

Z sytuacji tej wynika nowy paradoks: mianowicie Żyd nieautentyczny ustawicznie pragnie się zagubić w świecie chrześcijańskim i jednocześnie nie może się wyrwać z zaklętego kręgu żydowskości.

Wszędzie, gdzie Żyd się wkręci uciekając przed żydowską rzeczywistością, przyjmują go jako Żyda, a on czuje, że w każdej chwili jest myślany jako Żyd. Jego przebywanie wśród chrześcijan nie jest żadnym odpoczynkiem, nie zapewnia mu bynajmniej tak upragnionej anonimowości. Przeciwnie, jest stałym napięciem — w swej rozpaczliwej gonitwie za człowiekiem Żyd nie może uciec od wizerunku, który stale go prześladuje. To właśnie stwarza pomiędzy wszystkimi Żydami głęboką więź solidarności, opartej bynajmniej nie na działaniu, nie na wspólnocie interesów, ale na wspólnocie sytuacji. Bardziej jeszcze niż dwa tysiąclecia wspólnych cierpień i prześladowań jednoczy ich obecna wrogość chrześcijan. Na próżno twierdzić będą, że to przypadek grupuje ich zawsze razem w tych samych domach, tych samych dzielnicach, tych samych przedsiębiorstwach, istnieje pomiędzy nimi silna i nader skomplikowana więź, którą warto opisać. Żyd bowiem jest dla drugiego Żyda jedynym człowiekiem, z którym mówiąc może powiedzieć m y. Wszyscy Żydzi (a przynajmniej wszyscy Żydzi nieautentyczni) to mają wspólnego, że odczuwają pokusę, aby uważać się za „niezupełnie takich samych ludzi jak inni", że odczuwają strach i przerażenie przed opinią drugiego człowieka o sobie i że podjęli jednocześnie rozpaczliwe, ślepe postanowienie odpierania tej pokusy. Otóż gdy są między sobą, w zaciszu swych mieszkań, wyłączywszy z towarzystwa świadka nie-Żyda, wyłączyli jednocześnie rzeczywistość żydowską. To prawda, że ci nieliczni chrześcijanie, którzy mieli możność bywać w domach żydowskich, twierdzą, iż tam są oni jeszcze bardziej żydowscy niż gdzie indziej, ale polega to na tym, że w domu przestają na moment panować nad sobą; a przestają panować nad sobą nie dlatego, że z lubością oddają się swojej żydowskiej „naturze", jak to sugerują ich wrogowie, ale przeciwnie, że zapominają o niej. Kiedy Żydzi znajdują się między sobą, każdy z nich bowiem jest dla drugiego, a co za tym idzie także i dla siebie, j e d y n i e człowiekiem. Dowodem na to, gdyby trzeba było dowodów, jest fakt, że bardzo często na przykład członkowie tej samej rodziny nie zdają sobie sprawy z cech etnicznych swoich bliskich (przez cechy etniczne rozumiemy tu pewne odziedziczone cechy biologiczne, które przyjęliśmy uprzednio jako niewątpliwie istniejące). Znałem pewną panią, której syn musiał w 1934 roku odbyć parę podróży służbowych do Niemiec. Był on bardzo charakterystycznym typem Żyda francuskiego: garbaty nos, odstające uszy itd. Gdy niepokojono się o niego podczas jednej z przedłużających się nieobecności, jego matka powiedziała: „Ja jestem zupełnie spokojna, przecież on absolutnie nie wygląda na Żyda".

Niestety, w wyniku charakterystycznej dla nieautentyczności żydowskiej dialektyki, to odwrócenie się ku wnętrzu, ten wysiłek zmierzający do stworzenia żydowskiej immanencji, w której każdy Żyd przestałby wreszcie być świadkiem innych i rozpłynąłby się w kolektywnej subiektywności, z której chrześcijanin byłby wykluczony jako spojrzenie, wszystkie te podstępy i drogi u c i e c z k i stale są niweczone przez wszechobecność nie-Żyda. Nawet gdy są tylko między sobą, Żydzi mogą o nim powiedzieć to, co poeta Saint-John-Perse mówi o słońcu: „Choć nie nazwana, obecność jego jest wśród nas". Zdają sobie dobrze sprawę, że już sama skłonność do przebywania wśród swoich kwalifikuje ich jako Żydów w oczach chrześcijan. A gdy pojawiają się w towarzystwie, ich solidarność ze współwyznawcami naznacza ich jakby rozpalonym żelazem. Żyd spotykający innego Żyda we francuskim domu zachowuje

się tak, jak Francuz, który spotkał za granicą innego Francuza. W dodatku Francuz z dumą przyznaje się do swej narodowości przed światem. Żyd, przeciwnie, gdyby był sam jeden w nie-żydowskim towarzystwie, usiłowałby nie czuć się Żydem. Ale skoro już jest ich dwóch, czuje się zagrożony, boi się o tamtego. I on, który przed chwilą nie dostrzegał cech etnicznych swego syna czy siostrzeńca, zaczyna nagle wpatrywać się w tamtego wzrokiem antysemity, zaczyna szukać u niego, z mieszaniną lęku i fatalizmu, nieomylnych, obiektywnych znaków ich wspólnego pochodzenia; tak obawia się odkryć, których za chwilę dokonają nie-Żydzi, że spieszy ich za wszelką cenę wyprzedzić: oto z niecierpliwości i na cudzy rachunek stał się już antysemitą. I każda cecha żydowska, którą, wydaje mu się, odnalazł w tamtym, jest dla niego jak pchnięcie sztyletem, bo ma wrażenie, że odnaduje ją w sobie, ale nieosiągalną, obiektywną, nieuleczalną, z góry daną. Nie to jest bobiem ważne, kto świadczy o istnieniu rasy żydowskiej: wystarczy, aby ktokolwiek o niej świadczył, a wszystkie wysiłki Żyda zmierzające do jej negowania są tym samym unicestwione. Wiadomo że wrogowie Izraela mawiają często, jakby na potwierdzenie własnego zdania o Żydach: „nie ma większych antysemitów jak Żydzi". W rzeczywistości antysemityzm Żyda jest wypożyczony. Polega on przede wszystkim na bolesnej obsesji odnajdywania u wszystkich swoich bliskich, krewnych, przyjaciół tak znienawidzonych przez siebie wad. Steckel, w cytowanej już przez nas pracy, mówi o następujących faktach: „Jeśli idzie o wychowanie i prowadzenie domu, wszystko musi się odbywać według jego rozkazów (męża Żyda). W towarzystwie jest jeszcze gorzej: śledzi ją (kobietę, która poddała się psychoanalizie) bezustannie i krytykuje bezlitośnie, zbijając ją z tropu. Będąc panną była osobą bardzo pewną siebie i wszyscy podziwiali jej dystyngowane maniery oraz swobodę towarzyską. Teraz trzęsie się bez przerwy ze strachu, drżąc, że pewnie znowu popełniła gaffę; boi się jak ognia drwiących uwag męża... Przy każdym głupstwie strofuje ją, że zachowała się jak Żydówka".

Jesteśmy jakby świadkami okrutnego dramatu rozgrywającego się pomiędzy dwiema osobami: mąż, krytyczny, pedantyczny, podejrzliwy, ciągle wyrzucający żonie jej żydowskość w obawie, aby samemu nie uchodzić za Żyda; i żona, przygnieciona jego bezlitosnym i wrogim spojrzeniem, która czuje, że niezależnie od swej woli pogrąża się rozpaczliwie w „żydostwo", która nie rozumie, dlaczego każdy jej gest, każde zdanie nie jest takie, jak być powinno, i zdradza przede wszystkim jej pochodzenie. Dla obydwojga sytuacja taka jest piekłem nie do wytrzymania. W antysemityzmie Żyda należy jednak dostrzegać usiłowanie odcięcia się od wad ogólnie uznawanych jako żydowskie przez zajęcie stanowiska obiektywnego ich świadka i sędziego.

W ten sam sposób zdarza się, że wielu ludzi potrafi zdobyć się na surowy, bezlitosny osąd samych siebie, gdyż ta surowość pozwala na pewne rozdwojenie jaźni — czując się sędziami czują się w mniejszym stopniu winnymi. W każdym bądź razie niewątpliwie skonstatowanie w innym człowieku „rzeczywistości żydowskiej", której istnieniu u siebie zaprzecza, powoduje u każdego nieautentycznego Żyda poczucie jakiejś mistycznej, prelogicznej więzi z innymi Żydami. Poczucie to jest jakby stwierdzeniem współuczestniczenia; jedni „uczestniczą" w drugich, każdy z nich jest

prześladowany w swoim życiu przez innych, a ta wspólnota mistyczna jest tym silniejsza, im bardziej Żyd nieautentyczny stara się zaprzeczyć swojemu żydostwu. Chcę udowodnić to jednym przykładem. Wiadomo, że wśród prostytutek za granicą spotyka się często Francuzki. Spotkanie Francuzki w niemieckim czy południowo-amerykańskim domu publicznym nie należy nigdy do przyjemności dla Francuza. A jednak dla niego współuczestniczenie w rzeczywistości narodowej ma zupełnie inny sens: Francja to n a r ó d, toteż patriota francuski może uważać, że przynależy do pewnej rzeczywistości kolektywnej, która wyraża się w działalności ekonomicznej, kulturalnej czy wojskowej, a jeśli skądinąd pewne aspekty tej rzeczywistości są raczej przykre, z powodzeniem może ich nie dostrzegać. Zupełnie inna jest reakcja Żyda, gdy spotyka w takich samych warunkach Żydówkę: w upokarzającej sytuacji prostytutki widzi on jakby symbol upokarzającej sytuacji Izraela. Opowiadano mi wiele anegdot na ten temat. Przytoczę tu jedną, która zresztą nie jest anegdotą, lecz autentycznym wydarzeniem. Opowiadał mi o nim człowiek, który sam to przeżył. Pewien Żyd wchodzi do domu publicznego, wybiera jedną z prostytutek i idzie z nią na górę. Dowiaduje się od niej, że jest Żydówką. Czuje się natychmiast dotknięty niemocą płciową i jednocześnie odczuwa upokorzenie nie do zniesienia, wyrażające się silnymi wymiotami. Przecież nie chodzi o to, że brzydzi się stosunku płciowego z Żydówką, bo przeciwnie, Żydzi chętnie zawierają między sobą małżeństwa. Chodzi o to, że on sam dopomaga w poniżaniu i upokarzaniu rasy żydowskiej w osobie tej prostytutki i, co za tym idzie, w swojej własnej osobie: w końcu o n s a m uważa się za prostytuowanego, za poniżonego — on sam i cały naród żydowski.

Tak więc, choćby nie wiem jak się starał, Żyd nieautentyczny nie może w żaden sposób uwolnić się od świadomości, że jest Żydem. W tej samej chwili, w której usiłuje swoim zachowaniem zaprzeczyć przypisywanym mu cechom, rozpoznaje je u innych Żydów i w ten sposób niejako przyznaje się do nich. Poszukuje towarzystwa swoich współwyznawców i jednocześnie odżegnuje się od nich; twierdzi, że jest takim samym człowiekiem jak inni, i jednocześnie czuje się skompromitowany przez pierwszego lepszego przechodnia, jeśli przechodzień jest Żydem. Postanowił być antysemitą, aby w ten sposób zerwać wszystkie więzy łączące go ze społecznością żydowską, a jednocześnie więzy te odnajduje na dnie swego serca silniejsze niż kiedykolwiek, bo we własnym ciele odczuwa wszystkie upokorzenia, jakich antysemici nie szczędzą innym Żydom. I to jest właśnie cecha najbardziej charakterystyczna dla nieautentycznych Żydów, to ich ciągłe oscylowanie pomiędzy uczuciem dumy a kompleksem niższości, pomiędzy gwałtownym i namiętnym negowaniem cech rasy żydowskiej a mistycznym i cielesnym współuczestnictwem w rzeczywistości żydowskiej. Ta bolesna sytuacja bez wyjścia doprowadza niektórych Żydów do masochizmu. Bo masochizm wydaje się wówczas jakimś krótkotrwałym rozwiązaniem, jakimś wytchnieniem, wypoczynkiem. Nieznośną obsesją Żyda jest to, że jest on, jak każdy człowiek, odpowiedzialny za siebie, że całkowicie świadomie dokonuje takich, a nie innych czynów, a wrogie mu otoczenie sądzi za każdym razem, że czyny te podyktowane są przez żydowską „naturę". Więc wydaje mu się, że właśnie s t a j e s i ę Żydem, za każdym razem, gdy usiłuje odżegnać się od rzeczywistości żydowskiej. Wydaje mu się, że uczestniczy w nierównej walce, w której nie tylko jest zaw-

sze przegrany, ale w dodatku jest jeszcze własnym najzawziętszym wrogiem; w tym stopniu, w jakim czuje się odpowiedzialny za siebie, wydaje mu się, że to on ponosi w oczach innych Żydów i w oczach chrześcijan odpowiedzialność za i s t n i e n i e Żyda. Przez niego, choć pomimo niego, rzeczywistość żydowska istnieje. Otóż masochizm to nic innego, jak pragnienie, aby być traktowanym jak przedmiot. Poniżany, pogardzany czy choćby tylko bagatelizowany, masochista jest uszczęśliwiony, że przesuwa się go, obraca, użytkuje jak rzecz. Usiłuje urzeczywistnić się jako rzecz nieożywiona i od razu wyrzeka się wszelkiej odpowiedzialności. Właśnie to całkowite wyrzeczenie się odpowiedzialności jest tak ponętne dla niektórych Żydów, zmęczonych ciągłą, beznadziejną walką przeciwko tej nieuchwytnej, ciągle poskramianej i ciągle się odradzającej żydowskości. Na tym polega zresztą autentyczność postawy, aby afirmować się jako Żyd, ale nie zrozumieli oni, że autentyczność rodzi się z buntu: chcieliby jedynie, żeby spojrzenia, gwałty, pogarda innych ludzi zrobiły z nich Żydów w ten sam sposób, w jaki kamień jest kamieniem, przywiązały do nich pewne przymioty i wyznaczyły im z góry los; w ten jedynie sposób myślą uwolnić się choćby na chwilę od tej zaczarowanej ich wolności, która nie pozwala im wyrwać się z ich położenia i na to tylko wydaje się być im dana, aby mogli w pełni ponosić odpowiedzialność za coś, czego nie chcą i nienawidzą. Oczywiście, ów masochizm żydowski ma także i inne przyczyny. Sofokles, w jednej z najwspanialszych i najokrutniejszych replik *Antygony*, mówi: „Masz zbyt wiele dumy, jak na kogoś, kto jest tak nieszczęśliwy". Można by powiedzieć, że, w przeciwieństwie do Antygony, jedną z cech najbardziej charakterystycznych dla Żydów jest to, że, jak przystało na ludzi od wieków obeznanych z cierpieniem, są oni skromni i pokorni w nieszczęściu. Nie należy jednak z tego wnosić, jak to się często robi zbyt pochopnie, że Żyd jest arogancki, gdy mu się coś udaje, i pokorny, gdy ponosi klęskę. Chodzi o coś zupełnie innego: przyswoił on sobie tę dziwną radę, jakiej ludowa mądrość grecka udzielała córce Edypa, zrozumiał, że skromność, cierpliwość i milczenie bardziej przystoją w nieszczęściu, bo w oczach innych ludzi już samo nieszczęście jest grzechem. Niewątpliwie mądrość ta może łatwo przerodzić się w masochizm, rozsmakowanie się w cierpieniu. Ale najważniejsza tu jest jednak pokusa wyrzeczenia się samego siebie, zmęczenie, tęsknota, aby być już wreszcie naznaczonym na zawsze żydowską naturą i żydowskim losem i nie musieć już ponosić za nic odpowiedzialności ani walczyć. Innymi słowy antysemityzm nieautentycznego Żyda i jego masochizm są to niejako dwa krańcowe wyniki jego próby ucieczki: w pierwszym wypadku wyrzeknie się i zaprze swojej rasy, aby pozostać jedynie zwyczajnym człowiekiem wśród innych ludzi; w drugim wyrzeknie się i zaprze swej wolności, aby wyzwolić się z grzechu żydostwa i osiągnąć wypoczynek i bierność rzeczy.

Ale oto antysemita dorzuca nową cechę do portretu: Żyd, powiada nam, jest abstrakcyjnym intelektualistą, rezonerem. I zdajemy sobie sprawę, że w jego ustach słowa abstrakcyjny, racjonalista, intelektualista mają sens wyraźnie pejoratywny. Nie może być inaczej, skoro, jak widzieliśmy, antysemita określa się zawsze jako konkretny i irracjonalny posiadacz dóbr całego Narodu. Ale jeśli przypomnimy sobie, że racjonalizm był jednym z najpotężniejszych instrumentów wyzwolenia ludzkości, nie zgodzimy się nigdy uważać go jedynie za grę czystych abstrakcji, przeciwnie, podkreślać będziemy z na-

ciskiem jego siły twórcze. W nim bowiem dwa wieki naszej historii — i to nienajpośledniejsze — złożyły wszystkie swoje nadzieje, z niego wyrosły wszystkie nauki i ich praktyczne zastosowanie; był kiedyś ideałem i namiętnością, próbował pogodzić wszystkich ludzi na świecie objawiając im prawdy powszechne, uniwersalne, co do których mogli wszyscy się zgodzić, i w naiwnym swoim, sympatycznym zresztą, optymizmie, umyślnie Zło mieszał z błędem. Nikt niczego nie zrozumie z żydowskiego racjonalizmu, jeśli będzie chciał w nim widzieć jakieś zamiłowanie do czystej spekulacji, a nie, jak jest w rzeczywistości, po prostu młodą, gorącą i wiecznie żywą miłość do ludzi.

Jest to jednak jednocześnie jedna z dróg ucieczki — powiedziałbym nawet: główna droga ucieczki. Dotychczas przyglądaliśmy się tym Żydom, którzy za cenę własnej osobowości usiłowali zaprzeczyć swej sytuacji Żydów. Są jednak i tacy, którzy obierają z góry światopogląd, w którym nie ma w ogóle miejsca na pojęcie rasy. Oczywiście, chodzi ciągle o to, aby nie dostrzegać żydowskiej sytuacji, ale gdyby udało im się wmówić sobie i innym, że pojęcie Żyda nie ma w ogóle sensu, gdyby udało im się tak ustawić swój punkt widzenia na świat, aby móc nie dostrzegać żydowskiej rzeczywistości, tak jak daltonista nie dostrzega koloru zielonego czy czerwonego, wtedy mogliby w dobrej wierze twierdzić, że są „takimi samymi ludźmi jak inni". Racjonalizm żydowski jest namiętnością: namiętnością do tego, co uniwersalne. A wybrali tę namiętność, a nie inną po prostu dlatego, aby móc energiczniej zwalczać wszystkie koncepcje partykularystyczne, w oczach których mogą uchodzić za istoty odrębne. Rozum, jako rzecz najsprawiedliwiej podzielona na tym świecie, należy jednocześnie do wszystkich i do nikogo; dla wszystkich ma to samo znaczenie. Jeśli więc rozum istnieje, nie ma jednej prawdy francuskiej i innej prawdy niemieckiej; nie ma prawdy murzyńskiej czy też prawdy żydowskiej. Jest tylko jedna prawda i odkrywa ją najrosądniejszy. W obliczu praw odwiecznych, uniwersalnych, człowiek też jest uniwersalny. Nie ma już Żydów ani Polaków, są tylko ludzie mieszkający w Polsce i inni, którzy w papierach mają napisane „wyznania mojżeszowego", ale pomiędzy nimi porozumienie jest zawsze możliwe, gdy chodzi o rzeczy uniwersalne. Pamiętamy ten portret filozofa, jaki Platon podaje w *Phaedonie:* jak przebudzenie się w nim rozumu jest równoznaczne z obumarciem ciała, różnych własności jego charakteru, jak pozbawiony ciała filozof, kochanek prawdy abstrakcyjnej i uniwersalnej, traci wszystkie swoje cechy szczególne, aby stać się jedynie uniwersalnym spojrzeniem. Niektórzy Izraelici marzą o takiej dezynkarnacji. Rozumowanie jest najlepszym sposobem, aby przestać czuć się Żydem, bo rozumowanie jest ważne dla wszystkich i przez każdego może być w dowolnej chwili powtórzone: nie można rozumować matematycznie na jakiś żydowski sposób, toteż Żyd-matematyk rozumując podlega dezynkarnacji i staje się człowiekiem uniwersalnym. A antysemita, który idzie za jego rozumowaniem, mimo oporów ze swej strony, staje się jego bratem. Tak więc racjonalizm, ku któremu Żyd tak spontanicznie się zwraca, jest przede wszystkim ćwiczeniem ascetycznym i oczyszczającym, ucieczką w uniwersalizm. Młody Żyd lubujący się w błyskotliwych i abstrakcyjnych argumentacjach jest w gruncie rzeczy jak noworodek obmacujący swoje ciało, aby je poznać: zdaje on sobie nagle sprawę z cudownego swego położenia jako czło-

wieka uniwersalnego, realizuje niejako na wyższej płaszczyźnie tę asymilację, o której nie może być mowy w płaszczyźnie społecznej. Wybór racjonalizmu jest u niego wyborem takiego, a nie innego losu ludzkiego, takiej, a nie innej natury ludzkiej. Dlatego też twierdzenie, że „Żyd jest bardziej inteligentny od chrześcijanina" jest jednocześnie i słuszne, i niesłuszne. Należałoby raczej powiedzieć, że lubuje się specjalnie w czystej inteligencji, że lubi jej używać na każdym kroku, że w jej używaniu nie napotyka co krok na niezliczone „tabu", tak charakterystyczne dla świadomości katolickiej, ani też nie jest ograniczony pewnym typem wrażliwości partykularystycznej, chętnie kultywowanej przez nie-Żydów. Trzeba by także dodać, że ożywiony jest jakimś gwałtownym imperializmem rozumu: nie idzie mu tylko o przekonanie przeciwnika, że ma rację, chodzi mu także o dowiedzenie swoim rozmówcom absolutnej, nie podlegającej żadnym fluktuacjom wartości racjonalizmu. Uważa się za misjonarza uniwersalizmu: przeciwko powszechności religii katolickiej, z której jest wykluczony, usiłuje stworzyć „religię" racjonalizmu, instrument docierania do prawdy i więź duchową pomiędzy wszystkimi ludźmi. Nieprzypadkowo bynajmniej Leon Brunschvicg, filozof żydowski, traktuje łącznie w swoich pracach postępy rozumu i postępy u n i f i k a c j i (unifikacji myśli ludzkiej, unifikacji ludzkości).

Antysemita zarzuca także Żydowi, że „nie jest twórczy", że „jego typ umysłu działa rozkładowo". To bzdurne oskarżenie (czy Spinoza, Proust, Kafka, Darius Milhaud, Chagall, Einstein, Bergson nie są Żydami?) mogło przybierać czasami pozory słuszności z tego powodu, że żydowski typ inteligencji jest najczęściej krytyczny. Ale tutaj też nie chodzi przecież o taki, a nie inny układ komórek mózgowych, lecz o wybór broni. Przeciwko Żydowi skierowano bowiem wszystkie potężne siły irracjonalne tradycji, rasy, instynktu, przeznaczenia, narodu itd. Mówi się, że to te właśnie siły zbudowały pomniki kultury, historię, wreszcie wartości użytkowe, że te wszystkie rzeczy zachowały w sobie coś ze swej irracjonalnej przyczyny i że ich pełne zrozumienie dostępne jest jedynie intuicji. Obrona Żyda polega na negowaniu intuicji i jednocześnie tego wszystkiego, co irracjonalne; polega ona na obezwładnieniu mrocznych potęg, magii, szaleństwa, tego wszystkiego, czego niesposób wytłumaczyć zasadami uniwersalnymi, tego wszystkiego, co przejawia tendencję do niepowtarzalności i wyjątkowości. Z zasady zapatruje się podejrzliwie na totalitarne konstrukcje myślowe, które lęgną się od czasu do czasu w umyśle chrześcijan: on je p o d w a ż a. I słusznie można mówić w tym sensie o destruktywności jego myśli, ale to, co Żyd chce zniszczyć, jest bardzo ściśle określone i zlokalizowane — idzie mu mianowicie o zniszczenie wszystkich tych wartości irracjonalnych, które opanowują w jednej chwili i bez żadnej gwarancji świadomość człowieka. Żyd żąda jakiejś kaucji moralnej, jakiejś gwarancji dla każdego twierdzenia swoich przeciwników, bo chodzi mu o uzyskanie gwarancji dla siebie samego. Nie ufa intuicji, bo ona nie może być p r z e d m i o t e m d y s k u s j i, i w konsekwencji dzieli jedynie ludzi. On natomiast, jeśli wdaje się w dysputę ze swym przeciwnikiem, to po to, aby uzgodnić na wstępie płaszczyznę dyskusji: zanim zacznie dyskutować, chce uzgodnić przynajmniej najogólniejsze zasady i pojęcia, od których obydwaj wychodzą. Za cenę tej ugody zgadza się budować razem z tamtym porządek ludzki oparty na uniwersalizmie natury ludzkiej. Jego zmysł krytyczny, który

mu się tak uporczywie wyrzuca, kryje w sobie naiwną ufność w siłę przekonywającą rozumu i jeszcze bardziej naiwne przekonanie, że gwałt nie jest absolutnie nieunikniony w stosunkach między ludźmi. Podczas gdy antysemici, faszyści itp., wychodząc z intuicyjnych, nieprzekazywalnych nikomu założeń, muszą uciekać się do użycia siły, aby narzucić innym wiarę w swoje objawione prawdy, do których nie mogą nikogo przekonać, Żyd nieautentyczny stara się za pomocą analizy krytycznej rozwiązać wszystkie sporne kwestie między ludźmi, które mogą doprowadzić ich do stosowania przemocy — wie on dobrze, że padłby pierwszy ofiarą tej przemocy. Prawda, że Spinoza, Husserl, Bergson w swoich systemach filozoficznych pomieścili wszyscy intuicję, ale u pierwszego i drugiego z nich intuicja jest r a c j o n a l n a, to znaczy uzasadniona rozumowo, zagwarantowana krytyką i ma za cel poznanie prawd uniwersalnych. Nie ma ona nic wspólnego z Pascalowskim *esprit de finesse* — tamten, bezsporny, choć wymykający się wszelkiemu określeniu, oparty na rozlicznej gamie subtelnych odczuć, wydaje się Żydowi największym jego wrogiem. Co do Bergsona natomiast, to filozofia jego wydaje się zrazu zdumiewająca — ta antyintelektualna doktryna zbudowana jest bowiem całkowicie przez umysł jak najbardziej rezonerski i jak najbardziej krytyczny. Bergson drogą najściślejszego dowodzenia dochodzi do odkrycia czystego trwania i intuicji filozoficznej; i nawet ta intuicja pozwalająca odkryć życie czy też owo trwanie jest uniwersalna w tym sensie, że dostępna dla każdego i przedmiotem jej jest to, co uniwersalne, bowiem można je zawsze pomyśleć i nazwać. Przyznać trzeba, że Bergson najpierw długo się kryguje, zanim decyduje się myśli swoje powierzyć mowie, terminologii filozoficznej. Ale w końcu przystaje na to, aby słowa odegrały swą rolę przewodników, wskaźników, na wpół tylko wiernych posłańców. Któż by się domagał czegoś więcej? I oceńcie łaskawie swobodę jego argumentacji, gdy zaczyna on podważać czyjeś dowodzenie: przeczytajcie na nowo pierwszy rozdział *Essai sur les données immédiates de la conscience,* jego klasyczną już krytykę paralelizmu psychofizjologicznego i teorii Broca. W rzeczywistości, tak samo jak można było idąc za Poincaré'm powiedzieć, że geometria nie-Euklidesowa jest tylko sprawą definicji i zaczyna się wtedy, gdy postanawiam nazwać prostymi pewien typ linii krzywych — na przykład obwody, które można wyrysować na powierzchni kuli — tak samo filozofia Bergsona jest rodzajem racjonalizmu, który z pewnych określonych powodów używa innej terminologii. Postanowił on bowiem nazwać „życiem", „czystym trwaniem" itd. to, co uprzednio filozofowie nazywali „ciągłością", a zrozumienie tej ciągłości nazwał „intuicją". Ponieważ jednak do zrozumienia tego prowadzi jedynie dociekanie i myślenie krytyczne, ponieważ przedmiotem jego jest to, co powszechne, a nie to, co szczególne, jest więc rzeczą całkowicie obojętną, czy nazwiemy je irracjonalną intuicją, czy też syntetyczną funkcją rozumu. Tak samo jak nazywa się — i słusznie — irracjonalizmem myśl filozoficzną Kierkegaarda czy Novalisa, tak samo powiemy, że system filozoficzny Bergsona jest racjonalizmem pod przebraniem. Co do mnie, dostrzegam w tym systemie jak gdyby ostatni wybieg, ostatni ratunek prześladowanego Żyda: z obrony przejść do ataku, wydrzeć przeciwnikowi broń z ręki, to znaczy irracjonalizm jako taki, uczynić go nieszkodliwym i podporządkować rozumowi. I rzeczywiście, o ile irracjonalizm Sorela prowadzi w prostej linii do gwałtu i przemocy, a co za tym idzie, do antysemityzmu,

to irracjonalizm Bergsona jest absolutnie nieszkodliwy i może jedynie służyć sprawie porozumienia między ludźmi.

Ten uniwersalizm, ten racjonalizm krytyczny odnajdujemy na ogół u demokraty. Jego abstrakcyjny liberalizm stwierdza, że zarówno Żydzi jak i Chińczycy czy Murzyni powinni mieć te same prawa, co inni członkowie kolektywu, ale żąda on dla nich tych samych praw dlatego, że są ludźmi, nie zaś dlatego, że są konkretnymi i szczególnymi wytworami historii. Dlatego też niektórzy Żydzi pragną ściągnąć na siebie uwagę demokraty. Prześladowani stale przez widmo pogromów i gwałtów, nie mogąc się zasymilować w społeczeństwach partykularystycznych i stale wojowniczo nastrojonych, marzą oni o społeczności, w której myśl ludzka stanowiłaby podstawę „umowy społecznej" — ponieważ byłaby dialogiem, ponieważ zmuszałaby przeciwników do przyjęcia choćby tylko wspólnej płaszczyzny dyskusji — a „umowa społeczna" z kolei byłaby jedyną więzią pomiędzy kolektywem. Żydzi są najłagodniejszymi z ludzi. Namiętnie, z pasją występują przeciw wszelkiemu gwałtowi i wszelkiej przemocy. Ta ich cicha, uparta i ufna łagodność, jaką potrafią zachować pośród najokrutniejszych prześladowań, ich głębokie poczucie sprawiedliwości i rozsądku, które przeciwstawiają, jako jedyną broń, wrogiemu, brutalnemu i niesprawiedliwemu światu, jest może właśnie najcenniejszym ich wkładem we wspólną nam wszystkim kulturę, jest niewątpliwie prawdziwą oznaką ich wielkości.

Antysemita dewaloryzuje każdy świadomy wysiłek Żyda, aby przeżywać swą sytuację i panować nad nią — w każdym takim wysiłku widząc jeszcze jeden rzekomy dowód niemożności jego asymilacji. I tak Żyd staje się już nie racjonalistą, ale rezonerem, jego dociekliwość filozoficzna nie jest bynajmniej poszukiwaniem prawdy absolutnej, a dowodzi tylko niemożności odczucia i zrozumienia rasowych i narodowych wartości witalnych; zmysł krytyczny, w którym szuka obrony przed zabobonami i mitologią, przedstawiany jest jako sataniczny duch przekory, wirus rozkładowy, i zamiast widzieć w nim cenne narzędzie samokrytyki, wykształcone przez współczesne społeczeństwo, dostrzegają w nim jedynie śmiertelne niebezpieczeństwo dla więzów narodowych i wartości specyficznie francuskich. Zamiast zaprzeczać rzeczywistej skłonności wielu Żydów do spekulacji myślowych, wydawało nam się, że będzie uczciwsze i pożyteczniejsze z naszej strony, jeśli spróbujemy wyjaśnić przyczyny ich racjonalizmu.

Jako jeszcze jedną próbę ucieczki trzeba nam będzie interpretować stosunek niektórych Żydów do własnego ciała. Jak wiadomo, jedynie cechy fizyczne Żyda są cechami etnicznymi. Antysemita uczepił się tego faktu i ukuł z niego mit: woła, że wystarczy mu zaledwie jeden rzut oka, aby odkryć Żyda.

Reakcja więc niektórych Żydów będzie polegała na negowaniu tego ciała, które ich przy każdej okoliczności zdradza. Oczywiście, nasilenie tej postawy negującej zmienia się w zależności od wyglądu zewnętrznego każdego z nich, w każdym bądź razie można z całą pewnością stwierdzić, że nie czują się oni dobrze w swoim ciele, że nie mają do swojego ciała tego spokojnego, beztroskiego stosunku własności, tak charakterystycznego dla większości Aryjczyków. Dla tych ostatnich własne ciało jest także owocem ziemi francuskiej; posiadają je na zasadzie tego magicznego uczestnictwa, które zapewnia już im wyłączne posiadanie na własność francuskiej ziemi i francuskiej kultury.

Ponieważ są z tego ciała dumni, przywiązują do niego cały szereg wartości całkowicie irracjonalnych, wyrażających ideał ż y c i a jako taki. Scheler bardzo słusznie nazywa je wartościami witalnymi, nie dotyczą bowiem ani podstawowych potrzeb naszego ciała, ani wymagań ducha, oznaczając jedynie pewien stan rozkwitu, pewien styl biologiczny, świadczący o dobrym funkcjonowaniu organizmu, o harmonicznej współpracy wszystkich organów, o przemianie materii w komórkach, o tym „zamiarze życia" wreszcie, ślepym i nieustępliwym zamiarze, który jest sensem każdej żywej celowości. Zgrabność, szlachetność, elegancja ruchów należą do tych właśnie wartości irracjonalnych. Odkrywamy je także zresztą w zwierzętach — mówi się przecież o zgrabności kota, szlachetności orła itd. Zrozumiałe, że do pojęcia r a s y wchodzi bardzo wiele takich wartości biologicznych. Zresztą czyż sama rasa nie jest wartością czysto witalną? Czyż nie zawiera się już w samej jej strukturze ocena jakościowa, skoro pojęcie rasy zakłada niejako pojęcie nierówności? Dlatego też chrześcijanin, Aryjczyk, w bardzo swoisty sposób odczuwa swoje ciało: jego świadomość nie zadowala się zwyczajną rejestracją zmian, jakim jego organy podlegają, zmiany te, jak również wszystkie inne wiadomości, jakie mu ciało przekazuje, dochodzą do jego świadomości już pomnożone przez jakiś tajemniczy współczynnik ideału i zawsze w jakimś stopniu są symbolem wartości witalnych. Niemało swego czasu zwykł on poświęcać na reżyserowanie sobie takiej percepcji własnej osoby, która najlepiej odpowiada jego ideałowi witalnemu. Nonszalanckie noszenie się naszych elegantów, żywość ruchów i swoboda bycia, tak modna w pewnych okresach, dziarski krok włoskiego faszysty, urok kobiet — wszystkie te biologiczne sposoby bycia służą podkreśleniu arystokratyzmu ciała ludzkiego. Do wartości tych przywiązane są odpowiednie antywartości, jak na przykład pogarda dla w s t y d l i w y c h f u n k c j i naszego ciała a także cały zespół sposobów bycia i uczuć społecznych — jak na przykład wstydliwość. Wstydliwość to nie tylko wstyd przed obnażeniem ciała, to także jakby afirmacja jego świętości — nie chcemy widzieć w nim jedynie narzędzia, chowamy je w sanktuarium naszych ubrań jak przedmiot kultu. Żyd nieautentyczny jest pozbawiony przez chrześcijanina swych wartości witalnych. Jeśli ciało przypomina mu o sobie, natychmiast pojawia się pojęcie rasy i zatruwa mu jego najintymniejsze odczucia. Szlachetność, zgrabność, wdzięk, wszystkie te wartości zarezerwowali dla siebie Aryjczycy i nie chcą mu ich przyznać. Zresztą gdyby przyjął te wartości, musiałby zapewne powziąć przekonanie o wyższości etnicznej jednej rasy nad drugą i liczyć się z wszystkimi konsekwencjami takiego stanowiska. A więc w imię pojęcia c z ł o w i e k a u n i w e r s a l n e g o odrzuca on kategorycznie wszelkie tego rodzaju podszepty ze strony swego własnego ciała; w imię r a c j o n a l i z m u odrzuca wszelkie wartości irracjonalne i przyjmuje jedynie wartości duchowe; uniwersalizm uważając za szczyt skali wartości, wytworzył on sobie pojęcie ciała u n i w e r s a l n e g o i r a c j o n a l n e g o. Nie odczuwa bynajmniej dla swojego ciała pogardy, jaką zwykli żywić asceci, nie uważa go ani za „zewłok", ani za „zwierzę", ale nie chce w nim także widzieć żadnego przedmiotu kultu: o ile w ogóle o nim p a m i ę t a, traktuje je jako narzędzie, i jego jedyną troską jest, aby było ono jak najbardziej zdatne do służenia jego potrzebom. I tak samo, jak nie uznaje irracjonalnych wartości witalnych, tak samo nie

zgadza się na żadne różnicowanie naturalnych funkcji organizmu. Ta postawa ma podwójny sens i znaczenie: przede wszystkim neguje ona jakąkolwiek specyficzność etniczną Żydów a po drugie ma na celu przekonanie chrześcijan, że ich ciała są także jedynie narzędziami. Owa „bezwstydność", którą antysemita wyrzuca Żydom, nie ma innego podłoża. Polega ona na usiłowaniu traktowania ciała w sposób racjonalny. Jeśli ciało jest tylko mechanizmem, dlaczego mielibyśmy się wstydzić niektórych jego czynności? Dlaczego mielibyśmy sprawować nad nim nieustającą kontrolę? Trzeba dbać o nie, myć je, utrzymywać w dobrym stanie, ale beznamiętnie, bez miłości i bez wstydu — jak maszynę. Myślę jednak, że na dnie tej bezwstydności tkwi także, może w pełni nie uświadomiona, rozpacz: i na cóż przykrywać nagość ciała, które raz na zawsze zostało już rozebrane przez spojrzenia Aryjczyków; czuć się Żydem pod ich spojrzeniami, to przecież jeszcze gorzej niż czuć się nagim. Oczywiście, to racjonalistyczne traktowanie ciała nie jest charakterystyczne tylko dla Żydów: jest przecież wielu nie-Żydów — szczególnie wśród lekarzy — którzy przyjęli taki racjonalny punkt widzenia na ciało, własne czy swoich dzieci, ale u nich mamy do czynienia z jakąś zdobyczą, wyzwoleniem się z dawnego sposobu myślenia, które najczęściej sąsiaduje jeszcze z wieloma przeżytkami prelogicznymi. Żyd natomiast nie musiał się uczyć krytyki wartości witalnych — on ich po prostu nie odczuwa. Zresztą, dodać by należało ku rozwadze antysemitów, ten nienaturalny stosunek do własnego ciała powoduje bardzo często rezultaty wręcz przeciwne i prowadzi do nader przewrażliwionej wstydliwości. Znam wielu Żydów, którzy odznaczają się bardzo przesadną wstydliwością i o niczym innym nie myślą, jak o bezustannym przykrywaniu swego ciała, a także innych, których znów troską jest jego uduchowienie, to znaczy — skoro odmawia mu się wartości witalnych — przystrojenie go w pewne symboliczne wartości spirytualistyczne. Dla chrześcijanina widok twarzy czy gestykulacji Żyda jest często żenujący, gdyż są one t a k w i e l e m ó w i ą c e. Wyrażają one zbyt wiele, bo od wieków wyrażają dobroć, mądrość, rezygnację i ból.

Ogólnie jest przyjęte wyśmiewanie się z nazbyt żywej i namiętnej gestykulacji Żyda. Ta ożywiona mimika nie jest zresztą wcale tak rozpowszechniona, jak twierdzą niektórzy. Ale nie to jest ważne. Ważne jest odróżnienie tej gestykulacji od innych, które pozornie są do niej bardzo podobne: od mimiki mieszkańca Marsylii na przykład. U takiego południowca mimika jest szybka, porywista, niepohamowana, znamionuje ona jakiś ogień wewnętrzny, stałe podniecenie, chęć opowiadania całym ciałem o tym, co widzi czy odczuwa. U Żyda tymczasem chodzi przede wszystkim o to, aby być całkowicie zrozumiałym, aby cały jego organizm stał się jedynie znakiem w służbie myśli, aby wyrwać się z tego ciążącego mu ciała ku przedmiotom czy pojęciom, które rozum jego odkrywa. Zresztą opisywanie rzeczy tak niesłychanie delikatnych i nieuchwytnych jest bardzo niebezpieczne i musimy przestrzec czytelnika, że oczywiście to, cośmy wyżej powiedzieli, nie dotyczy bynajmniej wszystkich nieautentycznych Żydów a poza tym w ogóle występuje u różnych osób pod różną postacią, w zależności od wychowania, pochodzenia społecznego i ogólnego sposobu bycia.

Wydaje mi się, że w ten sam sposób można by wytłumaczyć ów sławetny „żydowski brak taktu". Jest w tym zarzucie oczywiście spora doza złośliwej

nieżyczliwości. Niemniej jednak pozostaje, że takt należy do *esprit de finesse*, do którego Żyd odnosi się zawsze z dużą nieufnością. Postępować taktownie, to znaczy umieć w jednej chwili ocenić sytuację, ująć ją syntetycznie, raczej ją odczuć niż zanalizować, ale jednocześnie znaczy to podporządkować swe uczynki całej olbrzymiej masie niewyraźnych i nie sprecyzowanych zasad towarzyskich, z których jedne dotyczą wartości witalnych, inne zaś są wyrazem zupełnie irracjonalnych tradycji uprzejmości czy grzeczności. Tak więc każdy czyn „taktowny" zakłada, iż autor jego przyjął pewien światopogląd tradycjonalistyczny, syntetyczny, związany z pewnym obowiązującym rytuałem, nie poddający się r o z u m o w i; zakłada też pewien specyficzny zmysł złożonych i trudnych sytuacji psychologicznych, nie jest w najmniejszym stopniu k r y t y c z n y; dodajmy wreszcie, że nabiera odpowiedniego znaczenia jedynie w łonie społeczności ściśle określonej, posiadającej swe ideały, zwyczaje i obyczaje. Żyd ma tyle samo taktu, co każdy inny człowiek, jeżeli rozumiemy przez takt wrodzony szacunek i zrozumienie innego człowieka; ale Żyd n i e u s i ł u j e nigdy być taktowny.

Kierowanie się w swoim postępowaniu poczuciem taktu sprowadza się do przyznania, że rozum nie jest wystarczającym przewodnikiem w stosunkach międzyludzkich i że tradycyjne, mroczne siły intuicji mogą nam być częstokroć bardziej przydatne w tych stosunkach — a to z kolei równoznaczne jest z uznaniem kazuistyki, moralności wypadków szczególnych, z odrzuceniem jednej, uniwersalnej natury ludzkiej, wymagającej zawsze takiego samego traktowania; musiałby wtedy przyznać, że konkretne sytuacje nie mogą być między sobą porównywalne, tak samo zresztą jak konkretni ludzie, i oto by już tkwił obydwiema nogami w partykularyzmie. I tym samym podpisałby wyrok na siebie: bo w imię tegoż właśnie partykularyzmu antysemita wskazuje na niego jako na wypadek szczególny i wyrzuca go poza obręb społeczności narodowej. Można więc zaobserwować u Żyda pewną skłonność do myślenia, że wszystkie trudności dadzą się rozwiązać na drodze rozumowania; on n i e d o s t r z e g a tego, co irracjonalne, magiczne, nie rozróżnia konkretnych i szczegółowych odcieni; n i e w i e r z y w niepowtarzalność uczuć; w wyniku jakiejś zrozumiałej reakcji obronnej ten człowiek, tak bardzo uzależniony od opinii, jaką mają o nim ludzie, usiłuje negować wartość wszelkich opinii i nie może przezwyciężyć ochoty stosowania w odniesieniu do ludzi takiego samego rozumowania, jakie stosuje się w odniesieniu do rzeczy; jego racjonalizm jest bardzo zbliżony do racjonalizmu analitycznego inżyniera czy robotnika, ale nie dlatego, by przyciągały go rzeczy, a dlatego, że odpychają go ludzie. Zbudowana przez niego na własny użytek psychologia analityczna zastępuje systematycznie wszystkie struktury syntetyczne naszej świadomości grą interesów, składem zainteresowań czy algebraiczną sumą dążeń. Sztuka panowania nad ludźmi, zjednywania ich sobie czy przekonywania staje się prostym, racjonalnym rachunkiem. Nie ulega wątpliwości jednak, że tego rodzaju próba wytłumaczenia zachowania się ludzi w różnych sytuacjach poprzez pojęcia uniwersalne grozi doprowadzeniem do zupełnej abstrakcji.

Zresztą niczym innym, jak właśnie zamiłowaniem do abstrakcji, nie można wytłumaczyć specyficznego stosunku Żyda do pieniędzy. Żyd lubi pieniądze, powiadają. A jednak świadomość powszechna, która chętnie przedstawia go jako nader pazernego na pieniądze, nie myli go nigdy z innym mitem ludo-

wym — z mitem skąpca liczącego złote monety. Zresztą przysłowiowa żydowska rozrzutność jest też jednym z powodów nienawiści antysemity i jego głośnych wymysłów pod adresem Żydów. Jeśli Żyd rzeczywiście lubi pieniądze, to nie z jakiegoś chorobliwego upodobania do złotych lub miedzianych monet czy banknotów: bardzo często przybierają one dla niego abstrakcyjną postać akcji, czeków czy rachunku bankowego. Nie wyobrażenie zmysłowe pieniędzy jest więc dla niego ważne, ale ich forma abstrakcyjna. W rzeczywistości idzie mu o siłę kupna. Spośród wszystkich innych woli tę formę własności, bo jest ona najbardziej uniwersalna. Sposób przywłaszczania drogą kupna nie jest bowiem w najmniejszym stopniu zależny od rasy kupującego ani od jego idiosynkrazji, c e n a przedmiotu jest propozycją dla k a ż d e g o, przyjmuje ją ten, kto ma wystarczającą sumę pieniędzy. A skoro suma została wypłacona, kupujący stał się prawnym właścicielem przedmiotu. Tak więc własność nabyta drogą kupna jest abstrakcyjną i uniwersalną formą własności w przeciwieństwie do szczególnego i irracjonalnego przywłaszczania drogą u c z e s t n i c t w a. Mamy tu do czynienia z jakimś błędnym kołem, im Żyd będzie bogatszy, tym głośniej antysemita będzie twierdził, że prawdziwa własność to bynajmniej nie własność prawna, ale jakieś mistyczne przystosowanie ciała i duszy do posiadanego przedmiotu — w ten właśnie sposób, jak widzieliśmy, ubodzy antysemici mogą czuć się wyłącznymi właścicielami terytorium Francji i jej dóbr duchowych. Literatura antysemicka obfituje w dumne repliki sierot, wdów i zrujnowanych magnatów, którzy wyniośle pouczają Żyda, że honor, miłość, cnota, dobry smak i parę innych jeszcze rzeczy „nie są do kupienia za pieniądze". Ale im większy nacisk kłaść będzie antysemita na tę formę przywłaszczania, która chce wyrugować Żyda ze społeczności narodowej, tym bardziej Żyd będzie się upierał, że jedyną formą własności prawnej jest własność nabyta drogą kupna. Protestując niejako przeciwko tej magicznej formie własności, która dla niego jest nieosiągalna i w dodatku podważa jeszcze jego prawa do rzeczy przez niego prawnie już nabytych, Żyd przywiązuje się do pieniędzy jako do legalnej siły kupna człowieka uniwersalnego i anonimowego, jakim chce pozostawać w społeczeństwie. A jeśli kładzie taki nacisk na potęgę pieniądza, to w obronie swoich praw konsumenta, których odmawia mu społeczeństwo, i jednocześnie w celu sprowadzenia do kategorii racjonalnych pseudomistycznej więzi między posiadaczem a rzeczą posiadaną, tak aby własność mogła się zmieścić w ramach racjonalnej koncepcji świata. Kupno bowiem, jako racjonalny akt prawno-handlowy, sankcjonuje niejako własność i ta określa się jedynie jako prawo użytkowania. Jednocześnie w a r t o ś ć nabytego przedmiotu przestaje być jakimś mistycznym *mâna,* dostępnym jedynie dla wtajemniczonych, ale pokrywa się dokładnie z jego ceną, która jest wiadoma i dostępna dla wszystkich. Dostrzegamy już teraz wszystko, co kryje się za jego zamiłowaniem do pieniędzy: jeżeli pieniądz decyduje o wartości, to wartość jest uniwersalna i racjonalna, nie wynika ona z tajemniczych jakichś źródeł społecznych, jest dostępna i zrozumiała dla wszystkich — wobec tego nie można wyrugować Żyda ze społeczeństwa, do którego przynależy on ściśle jako anonimowy kupujący i anonimowy konsument. Pieniądz właśnie realizuje tę jego pełnoprawną przynależność do społeczeństwa. I na piękne formułki antysemity w rodzaju: „pieniądz nie wszystko może", „nie wszystko można kupić za pieniądze" — odpowiada on czasami

pysznym powiedzeniem, afirmującym wszechwładzę pieniądza: „za pieniądze można kupić nawet sumienia, wystarczy tylko odpowiednio zapłacić". Nie jest to sprawa żadnego cynizmu czy podłości: zwyczajny kontratak. Chce on w ten sposób udowodnić antysemicie, że wartości irracjonalne istnieją tylko pozornie i że każdy gotów je sprzedać za brzęczącą monetę. Jeśli antysemita da się czasami kupić, dowód przeprowadzony: znaczy to, że on także woli prawną formę przywłaszczenia drogą kupna niż mistyczną formę przywłaszczenia drogą uczestnictwa. Tym samym Żyd osiąga wreszcie anonimowość; jest człowiekiem uniwersalnym, określonym jedynie swoją siłą kupna. Tym się tłumaczy „pazerność" Żyda i jego rzeczywista szczodrość. Jego „przywiązanie do pieniędzy" oznacza, że postanowił uważać za jedynie obowiązujące racjonalne, uniwersalne i abstrakcyjne stosunki człowieka do rzeczy; Żyd jest utylitarystą, gdyż opinia publiczna odmawia mu prawa do jakiegokolwiek innego stosunku do rzeczy niż jej u ż y t k o w a n i e. Pragnie on także kupić za pieniądze te prawa społeczne, których mu się odmawia indywidualnie. Bynajmniej nie razi go to, że będzie kochany i szanowany tylko dla swoich pieniędzy: szacunek, respekt czy miłość, jakie jedna mu bogactwo, należne są anonimowemu człowiekowi, który posiada t a k ą siłę kupna, a przecież nie chodzi mu o nic więcej, tylko o anonimowość: w sposób dość paradoksalny chce być bogaty, aby u j ś ć n i e p o s t r z e ż o n y m.

Te spostrzeżenia powinny nam pozwolić teraz na określenie zasadniczych cech wrażliwości żydowskiej. Jest ona, jak łatwo się domyślić, głęboko naznaczona przez wybór samego siebie, jakiego Żyd dokonuje, i przez wybór sensu swej sytuacji. Ale nie chodzi nam przecież o portret. Wystarczy więc, że wspomnimy o długiej cierpliwości Żyda i tym ciągłym wyczekiwaniu na prześladowania, o tym przeczuciu katastrofy, o którym stara się zapomnieć podczas lat spokojnych i szczęśliwych i które wybucha nagle, gdy tylko niebo zasnuwa się chmurami; zwrócimy też uwagę na specyficzny charakter jego humanizmu, na to jego marzenie o powszechnym braterstwie ludzi, rozbijające się o najbardziej uparty i ograniczony partykularyzm, na tę dziwną mieszaninę miłości, pogardy, podziwu i podejrzliwości, jakie żywi dla tych wszystkich, którzy go odpychają. Nie myślcie bowiem, że wystarczy podejść do niego z otwartymi ramionami, aby wam zaufał: nauczył się już odróżniać antysemityzm pod najgorętszymi manifestacjami liberalizmu. Jest tak samo podejrzliwy w stosunku do nie-Żydów, jak robotnicy w stosunku do młodych mieszczan „pochylających się nad okrutną dolą ludu". Jego utylitarystyczna psychologia każe mu doszukiwać się pod każdym dowodem przyjaźni czy sympatii ukrytych jakichś motywacji. Rzadko się zresztą myli, trzeba mu to przyznać. A jednak namiętnie pożąda tych dowodów przyjaźni, lubi te wszystkie honory, choć wzbudzają jego nieufność, chciałby znaleźć się kiedyś po tamtej stronie, wśród tamtych, w głębi serca hołubi marzenie, że kiedyś wyleczy go z tej jego uniwersalnej podejrzliwości jakieś prawdziwe uczucie, które dostarczy mu prawdziwych dowodów dobrej woli i szczerości. Warto by opisać szczegółowo ten jego świat dwubiegunowy, tę ludzkość rozdartą na dwoje, pokazać, jak każde uczucie żydowskie jest inne w zależności od tego, czy skierowane jest do Żyda, czy chrześcijanina: miłość Żyda do Żydówki jest czymś z natury rzeczy innym niż jego miłość do Aryjki; istnieje, pod pozorami uniwersalnego humanizmu, jakieś głębokie rozdarcie, rozdwojenie żydow-

skiej wrażliwości. Trzeba by też powiedzieć o rozbrajającej świeżości i nieokrzesanej spontaniczności żydowskich uczuć: zajęty racjonalizacją świata, Żyd nieautentyczny umie wprawdzie analizować swe uczucia, ale nie potrafi ich kultywować; może być Proustem, nigdy Barrèsem. Bowiem kultywowanie uczuć i samego siebie suponuje głęboki jakiś tradycjonalizm, przywiązanie do tego, co szczegółowe i irracjonalne, odwołanie się do metod empirycznych, spokojne wykorzystywanie przysługujących przywilejów: takie są zasady wrażliwości arystokratycznej. Z nich właśnie wychodząc, chrześcijanin potrafi traktować siebie jak cieplarnianą roślinkę albo jak te beczki starego wina, które wysyłano niegdyś do Indii i przywożono z powrotem do Francji, bo morskie powietrze nadawało winu jakiś smak zupełnie fenomenalny. Kultywowanie samego siebie jest czynnością wprawdzie nieco magiczną i trudną do wyrażenia w kategoriach racjonalnych, niemniej jednak przynosi ona czasami jakieś owoce. Żyd uciekający przed własnym „ja" i pojmujący procesy psychologiczne jako następstwa czysto mechaniczne, a nie rozwój organizmu, jest niewątpliwie świadkiem gry swoich skłonności, bo uplasował się na płaszczyźnie refleksyjnej, ale nie potrafi on wpływać na nie, nie bardzo wiadomo nawet, czy rozumie ich sens: analiza refleksyjna nie jest bowiem najlepszym instrumentem dociekań psychologicznych. Dlatego też ten racjonalista jest bez przerwy miotany przez burze namiętności i wzruszeń, nad którymi nie potrafi panować. Zupełnie nie wykształcona wrażliwość łączy się u niego z najwyższym wyrafinowaniem intelektualnym. Jest jakaś szczerość, jakaś młodość, jakieś ciepło w sposobie okazywania przyjaźni przez Żyda, których próżno by szukać u chrześcijan, zaplątanych w swych tradycjach i konwenansach. To nadaje też pewne cechy bezbronności żydowskiemu cierpieniu, najbardziej wstrząsającemu cierpieniu, jakie można sobie wyobrazić. Ale nie mamy potrzeby dłużej się nad tym zatrzymywać. Wystarczy, że wskazaliśmy na konsekwencje, jakie mieć może żydowska nieautentyczność. Na zakończenie postaramy się jeszcze w paru słowach wskazać, na czym polegać może to, co zwykło się nazywać żydowskim n i e p o k o j e m. Bo Żydzi często są jakby trawieni przez niepokój. Żyd nigdy nie jest pewien swojego miejsca na ziemi ani swych posiadłości; nie potrafi nawet powiedzieć, czy jutro będzie jeszcze mieszkał w tym samym kraju, tak dalece jego pozycja społeczna, jego prawa obywatelskie i nawet jego prawo do życia mogą być z dnia na dzień zakwestionowane. Poza tym, jak widzieliśmy, prześladuje go stale to nieuchwytne i upokarzające wyobrażenie, jakie mają o nim otaczające go wrogie tłumy. Historia jego jest historią dwudziestowiecznej tułaczki, w każdej chwili musi być przygotowany na to, że trzeba mu będzie podjąć swój kij pielgrzymi i dalej iść w drogę. Czuje się źle nawet we własnej skórze, jest nieprzejednanym wrogiem własnego ciała, marzy bez przerwy o niemożliwej dla niego asymilacji, do której właściwie im bliżej, tym dalej — jakże mu daleko do gruboskórnego poczucia bezpieczeństwa Aryjczyka, tak solidnie osiadłego na swej ziemi i tak pewnego swych tytułów własności, że może sobie pozwolić nawet na zapomnienie, że jest właścicielem, i uważać więź łączącą go z krajem za n a t u r a l n ą. Nie należałoby jednak sądzić, że żydowski niepokój jest niepokojem metafizycznym. Nie ma on nic wspólnego z metafizycznym przerażeniem, jakie wywołuje w nas myśl o położeniu człowieka. Powiedziałbym wręcz, że niepokój metafizyczny jest swego rodzaju luksusem,

na który ani Żyd, ani robotnik pozwolić sobie dziś nie może. Trzeba być pewnym swoich praw i dobrze być wrośniętym w ziemię, trzeba nie doznawać tych tysięcznych obaw, które co dzień są udziałem uciskanych klas czy mniejszości, aby móc sobie pozwolić na zastanawianie się nad miejscem człowieka w świecie i jego losem. Jednym słowem metafizyka jest przywilejem aryjskich klas rządzących. Nie chcę przez to bynajmniej jej dyskredytować: stanie się ona najważniejszą troską człowieka, kiedy wszyscy ludzie będą już wolni. Niepokój Żyda nie jest metafizyczny, ale społeczny. Przedmiotem jego troski nie jest jego miejsce człowieka w świecie, ale jego własne miejsce w społeczeństwie. Nie dostrzega jeszcze samotności, która jest udziałem każdego w tym milczącym i groźnym wszechświecie, bo nie wychylił jeszcze głowy ze społeczeństwa we wszechświat. Czuje się samotny i opuszczony pomiędzy ludźmi, a nie pomiędzy gwiazdami: problem rasizmu zasłania przed nim wszystkie inne. Jego niepokój nie należy do tych, które lubują się w sobie, Żyd pragnie być uspokojony. Zwracano mi kiedyś uwagę, że wśród surrealistów francuskich nie było Żydów. A to dlatego, wydaje mi się, że surrealizm na swój sposób stawiał zagadnienie losu ludzkiego. Niszczycielskie jego przedsięwzięcia i wielka reklama, jaką wokół nich roztaczał, to były luksusowe zabawy dla bogatych mieszczan, znakomicie się czujących w zwycięskim kraju, który do nich należał. Żyd nie myśli wcale o niszczeniu czegokolwiek ani go nie wzrusza specjalnie tragizm położenia człowieka we wszechświecie. Żyd jest *par excellence* człowiekiem społecznym, bo jego męka jest męką społeczną. To społeczeństwo, a nie zrządzenie boskie, zrobiło z niego Żyda, to ono zrodziło problem żydowski, a ponieważ musi on dokonywać wyboru samego siebie w tych perspektywach, jakie określa problem żydowski, dlatego też dokonuje tego wyboru w życiu społecznym i poprzez życie społeczne; społeczny jest jego zamysł włączenia się do społeczności narodowej, społeczne jego usiłowanie pomyślenia się — to znaczy usytuowania się — wśród innych ludzi, społeczne jego radości i zmartwienia; a to dlatego, że klątwa ciążąca na nim jest także społeczna. Jeśli więc wyrzuca mu się jego nieautentyczność metafizyczną, jeśli zwraca się uwagę, że ustawiczny jego niepokój występuje obok radykalnego pozytywizmu, nie należy zapominać, że te wyrzuty obracają się przeciwko temu, kto je formułuje: Żyd jest bowiem społeczny dlatego, że takim uczynił go antysemita.

Taki jest więc ten człowiek w potrzasku, skazany na wybór samego siebie dokonywany na bazie fałszywych problemów i w fałszywej sytuacji, pozbawiony zmysłu metafizycznego przez groźną wrogość otaczającego go społeczeństwa, doprowadzony do rozpaczliwego racjonalizmu bez wyjścia. Jego życie jest jedną wielką ucieczką przed sobą samym i przed innymi. Zabrano mu nawet jego własne ciało, rozcięto na pół jego życie uczuciowe, zmuszono go do snucia wśród odpychających go ludzi bezpłodnych marzeń o uniwersalnym braterstwie. Czyja to wina? To w naszych oczach przegląda się jego nieznośny obraz, który chciałby przed samym sobą zataić. To nasze słowa i gesty — wszystkie nasze słowa i wszystkie nasze gesty, zarówno nasz antysemityzm, jak i nasz łaskawie zniżający się doń liberalizm — zatruły go do szpiku kości; to my zmuszamy go do tego, aby wybierał siebie jako Żyda, niezależnie od tego, czy ucieka przed sobą, czy afirmuje swoją sytuację, myśmy go doprowadzili do dylematu: autentyczność albo nieauten-

tyczność. Myśmy stworzyli ten rodzaj ludzi, który ma sens jedynie jako sztuczny produkt społeczeństwa kapitalistycznego (czy feudalnego) i którego jedyną racją istnienia jest służenie jako wentyl bezpieczeństwa społecznościom ciągle jeszcze prelogicznym. Ten rodzaj ludzi, który świadczy o człowieku bardziej niż wszystkie inne razem, bo zrodził się na skutek wtórnych reakcji w łonie samej ludzkości, tę kwintesencję człowieka, upokorzoną, wyrwaną z korzeniami, miotaną z miejsca na miejsce, pierworodnie skazaną na nieautentyczność lub też na męczeństwo. Nie ma wśród nas takiego, który by nie ponosił za to winy, każdy z nas jest zbrodniarzem: krew żydowska przelana przez hitlerowców spada na głowy nas wszystkich.

Niemniej jednak, może ktoś powiedzieć, Żyd jest przecież wolny: może postanowić być autentycznym. To prawda, ale musimy najpierw zrozumieć, że to nas nie obchodzi: więzień ma zawsze prawo ucieczki, choć wiadomo, że może ją przypłacić życiem przekraczając druty kolczaste, nie umniejsza to jednak w niczym winy i odpowiedzialności strażnika. Autentyczność żydowska polega na wybraniu siebie jako Żyda, innymi słowy na zrealizowaniu swego żydowskiego położenia. Żyd autentyczny porzuca mit o człowieku uniwersalnym: zna siebie i chce wejść do historii jako stworzenie historyczne i przeklęte; przestał uciekać przed sobą i wstydzić się swoich bliskich. Zrozumiał, że społeczeństwo jest złe; naiwny monizm nieautentycznego Żyda zastąpił pluralizmem społecznym; wie, że jest innym, pariasem, banitą, wygnańcem — takim chce być. Automatycznie niejako rezygnuje z racjonalistycznego optymizmu innych Żydów: zdaje sobie sprawę, że świat jest rozdzielony na części, że przebiegają po nim irracjonalne linie podziału i zgadzając się na to rozbicie świata — przynajmniej jeśli o niego chodzi — afirmując się jako Żyd, przyswaja sobie niektóre z tych wartości i niektóre z tych linii podziału; wybiera własnowolnie swoich braci: są to inni Żydzi; wierzy on w wielkość i godność człowieka, godząc się znosić do końca sytuację, którą określa się właśnie jako sytuację nie do zniesienia, i czerpiąc całą swoją dumę ze swego upokorzenia. Odbiera też wszelką moc i wszelką władzę antysemityzmowi, skoro zdecydował raz, że nie pozostanie bierny. Gdyż Żyd nieautentyczny uciekał przed żydowską rzeczywistością i antysemita kreował go na Żyda mimo jego woli; tymczasem Żyd autentyczny sam kreuje się na Żyda, sam i dobrowolnie przeciw wszystkiemu i wszystkim; zgadza się na wszystko, aż do męczeństwa włącznie, i rozbrojony antysemita może tylko warczeć i szczekać — nie może go naznaczyć. Tym samym Żyd, jak każdy człowiek autentyczny, wymyka się wszelkiemu opisowi: cechy wspólne, jakie odkrywaliśmy u Żydów nieautentycznych, wypływały z ich wspólnej nieautentyczności. Żyd autentyczny nie ma z nikim żadnych cech wspólnych: jest tym, czym się staje, to wszystko, co można o nim powiedzieć. W swojej dobrowolnej samotności staje się człowiekiem, całkowitym człowiekiem z całym balastem metafizycznym, jaki obciąża położenie człowieka.

Dobre nasze dusze nie znalazłyby jednak uspokojenia mówiąc: „Więc skoro Żyd jest wolny, niech sobie będzie autentyczny i będziemy mieli spokój". Wybór autentyczności nie jest rozwiązaniem społecznym kwestii żydowskiej; nie jest on nawet rozwiązaniem indywidualnym. Niewątpliwie autentyczni Żydzi są dzisiaj o wiele liczniejsi, niż się wydaje. Cierpienia, jakie przeszli w czasie ostatniej wojny, otworzyły im oczy i wydaje mi się prawie na pew-

no, że więcej jest dziś na świecie autentycznych Żydów niż autentycznych chrześcijan. Ale ów wybór samych siebie, jakiego dokonali, bynajmniej nie ułatwia im ich działalności indywidualnej, wprost przeciwnie. Oto przykład. Mój znajomy, Żyd francuski „autentyczny", po klęsce 1940 roku redaguje w Londynie propagandowe pismo francuskie. Pisze pod pseudonimem, chcąc oszczędzić żonę — zresztą Aryjkę — pozostałą we Francji pod okupacją. Wielu Francuzów piszących przybrało pseudonimy i nikt im tego nie ma za złe. Ale jemu odmawia się tego prawa: „Aha, jeszcze jeden parch, co chce się przeszwarcować!" Kwalifikując artykuły do druku ma na uwadze jedynie ich wartość. Ale niech no proporcja artykułów pisanych przez Żydów okaże się przypadkiem stosunkowo wysoka, czytelnicy ironizują, piszą do niego listy: „Z powrotem zebrała się cała rodzinka!" Jeśli natomiast odrzuci artykuł napisany przez Żyda, mówią natychmiast, że „jest antysemitą". „No to co, powiecie pewnie, nie ma co się tym przejmować, skoro jest autentyczny!" Łatwo powiedzieć: nie może się tym nie przejmować, skoro jego działalność ma być właśnie p r o p a g a n d o w a; on po prostu zależy od opinii publicznej. „No to znaczy, że tego rodzaju działalność jest wzbroniona Żydom, niech się zajmie czym innym!" Otóż właśnie: zgodzilibyście się na autentyczność, gdyby prowadziła ona prosto za mury getta. Wy sami nie chcecie w niej dostrzec rozwiązania problemu. Z punktu widzenia społecznego zresztą sprawa wcale nie wygląda lepiej: warunki, które stworzyliśmy, są takie, że autentyczność powoduje tylko rozłamy i rozdźwięki wśród Żydów. Wybór autentyczności może bowiem prowadzić do różnych, nawet przeciwstawnych sobie, postaw politycznych. Żyd może się wybrać autentycznym we Francji, domagać się swego miejsca i swych praw jako Żyda w łonie społeczeństwa francuskiego; może chcieć dowieść, że najlepszy dla niego sposób bycia Francuzem polega na afirmowaniu się jako f r a n c u s k i Ż y d. Ale też wybór jego może doprowadzić do wniosku, że należy walczyć o autonomiczne państwo żydowskie z własnym terytorium, może mu się wydawać, że autentyczność żydowska winna mieć oparcie w żydowskiej wspólnocie. Można by zresztą przyjąć, że te dwie przeciwne drogi mogłyby w przyszłości zbliżyć się i nawzajem uzupełniać, występując jako dwa różne warianty rzeczywistości żydowskiej. Ale jedynie w tym wypadku, gdyby wszystkie czyny Żydów nie były nieustannie śledzone i gdyby nie było obawy, że taki czy inny czyn dostarczy natychmiast argumentów ich przeciwnikom. Gdybyśmy nie byli stworzyli Żydom t a k i e j s y t u a c j i, chodziłoby zwyczajnie o opcję, zawsze przecież możliwą, pomiędzy Francją a Jerozolimą; olbrzymia większość Żydów francuskich pozostałaby we Francji, niewielka ich ilość podążyłaby do Izraela; nie znaczyłoby to bynajmniej, że Żyd włączony do społeczności francuskiej zachowałby jakieś tajemnicze więzy z Tel-Avivem, co najwyżej Palestyna reprezentowałaby w jego oczach jakąś wartość idealną, jakiś symbol, a istnienie autonomicznej społeczności żydowskiej byłoby na pewno mniej groźne dla spoistości społeczeństwa francuskiego niż, na przykład, istnienie w łonie społeczeństwa ultramontańskiego kleru, który przecież tolerujemy. Ale obecny stan umysłów powoduje, iż opcja ta, choć najzupełniej uzasadniona, jest w tej chwili przedmiotem rozłamu wśród Izraelitów. W oczach antysemity ukonstytuowanie się państwa żydowskiego jest jeszcze jednym dowodem na to, że Żyd jest obcym ciałem w społeczeństwie francuskim. Niegdyś wyrzucano mu obcość rasową,

dziś traktuje się go jako obywatela obcego państwa — czego on od nas chce, niech sobie jedzie do Palestyny. Tak więc autentyczność, gdy prowadzi do syjoznimu, szkodzi tym Żydom, którzy chcą pozostać w swej prawdziwej ojczyźnie, bowiem daje antysemicie nowe argumenty do ręki. Żyd francuski złości się na syjonistę, który komplikuje i tak już skomplikowaną sytuację, a syjonista złości się na Żyda francuskiego, którego apriorycznie oskarża o nieautentyczność. Tak więc wybór autentyczności wydaje się być tylko determinacją m o r a l n ą, przynoszącą Żydowi jakąś pewność etyczną, ale w żadnym wypadku nie może być uważany za rozwiązanie na płaszczyźnie społecznej czy politycznej: sytuacja Żyda jest taka, że wszystko, co robi, obraca się przeciw niemu.

IV

Jak łatwo się domyślić, te nasze rozważania nie prowadzą, niestety, do jakiegoś radykalnego rozwiązania kwestii żydowskiej. Ale wychodząc z nich, nie jest chyba niemożliwością sprecyzowanie warunków, w których można będzie oczekiwać jej rozwiązania. Przekonaliśmy się bowiem, że, wbrew utartemu mniemaniu, bynajmniej nie żydowski charakter rodzi antysemityzm, ale wręcz przeciwnie, antysemityzm tworzy Żydów. Pierwotny jest więc antysemityzm, regresywna struktura społeczna, światopogląd prelogiczny. A teraz zastanówmy się, czego my chcemy? Bo zwróćmy uwagę, że w rozwiązaniu tego problemu winna się zawierać definicja celu do osiągnięcia jak również określenie środków, którymi cel ten można osiągnąć. Często dyskutuje się już zawzięcie o środkach, zanim się jeszcze sprecyzowało cel.

Bo rzeczywiście, czego można chcieć? Asymilacji? Ależ to nierealne marzenie: dowiedliśmy przecież, że nie Żyd, ale antysemita jest najzacieklejszym wrogiem asymilacji. Od czasu swej emancypacji, to znaczy od jakichś stu pięćdziesięciu lat, Żyd stara się daremnie wkraść do społeczeństwa, które stale go ruguje. Nie ma co więc wpływać na niego w celu przyspieszenia tego procesu integracji: póki istnieć będzie antysemityzm, asymilacji nie będzie można zrealizować. Inna rzecz, że mówi się o użyciu drakońskich środków: niektórzy Żydzi sami występują z inicjatywą obowiązkowej zmiany nazwisk wszystkich Żydów, niech się nazywają wszyscy Dupont albo Durand. Ale to by nie wystarczyło: trzeba by rozpocząć wielką akcję małżeństw mieszanych i zabronić kategorycznie wszelkich praktyk religijnych, szczególnie zaś obrzezywania. Powiem głośno, że środki te wydają mi się nieludzkie. Być może myślał o nich już Napoleon, ale Napoleon właśnie nie miał nic przeciwko temu, aby poświęcać osobowość człowieka społeczności. Żadna demokracja nie może się zgodzić na integrację Żydów pod rygorem tak nieludzkiej przemocy. Zresztą tego rodzaju metody mogą być jedynie głoszone przez nieautentycznych Żydów w ostrym ataku antysemityzmu; celem ich jest nic innego, jak zniszczenie rasy żydowskiej; nie są w sumie niczym innym, jak doprowadzoną do ostateczności propozycją demokraty, aby po prostu i zwyczajnie zniszczyć Żyda i zachować jedynie c z ł o w i e k a. Ale c z ł o w i e k przecież nie istnieje: istnieją Żydzi, protestanci, katolicy, istnieją Anglicy, Francuzi i Niemcy, istnieją ludzie biali, żółci i czarni. Chodzi ni mniej ni więcej, tylko o unicestwienie pewnej wspólnoty duchowej, opartej na oby-

czajach i wzajemnym przywiązaniu w imię kolektywu narodowego. Większość świadomych Żydów odmówi asymilacji, jeśli tak będzie ona wyglądała. Marzą oni wprawdzie o tym, żeby włączyć się do narodu, ale jako Żydzi, i któż śmiałby im to wyrzucać? Zmuszono ich do tego, żeby myśleli się jako Żydzi, obudzono w nich poczucie solidarności z innymi Żydami, nic dziwnego, że nie chcą się oni teraz zgodzić na metody, które mają na celu unicestwienie Izraela. I nic tu nie pomogą demagogiczne wołania, że tworzą oni jakoby naród w łonie narodu. Próbowaliśmy wskazać na to, że wspólnota żydowska nie jest ani narodowa, ani międzynarodowa, ani religijna, ani etniczna, ani polityczna: jest to wspólnota quasi-historyczna. Żyda stwarza jego konkretna sytuacja, łączy go z innymi identyczność sytuacji. Ta wspólnota quasi-historyczna nie może być w żadnym stopniu uważana za obce ciało w łonie społeczeństwa. Przeciwnie, jest ona społeczeństwu niezbędna. Jeśli Kościół tolerował jej istnienie w czasach swojej wszechwładzy, to dlatego, że spełniała pewne niezbędne funkcje ekonomiczne. Dziś te funkcje dostępne są każdemu, ale nie znaczy to, że Żyd, jako czynnik duchowy, jest już teraz niepotrzebny dla równowagi, dla specyficznego charakteru nacji francuskiej. Opisaliśmy w sposób obiektywny, może aż nazbyt bezwzględny, cechy nieautentycznego Żyda: ale ani jeden z nich nie byłby jako taki przeciwny swej asymilacji, swej integracji. A jego racjonalizm, jego zmysł krytyczny, marzenie o przyszłym społeczeństwie uniwersalnym, o powszechnym braterstwie ludzi, jego humanizm — każą widzieć w nim niezbędne drożdże każdego społeczeństwa. To, co proponujemy tutaj, jest liberalizmem tym razem konkretnym. Rozumiemy przez to, że te wszystkie osoby, które pracą swoją przyczyniają się do wielkości jakiegoś kraju, mają w tym kraju pełne prawo obywatelstwa. Daje im to prawo nie jakaś problematyczna i abstrakcyjna „natura ludzka", ale aktywny ich udział w życiu społeczeństwa. Znaczy to, że Żydzi, tak samo zresztą jak Arabowie czy Murzyni, skoro tylko czują się solidarni ze sprawą narodu, mają prawo wglądu w tę sprawę — są obywatelami kraju. I prawa te mają właśnie jako Żydzi, Murzyni czy Arabowie, to znaczy jako konkretne osoby. W tych krajach, gdzie kobieta ma prawo głosu, nikt nie żąda od niej, aby podchodząc do urny wyborczej zmieniała płeć: głos kobiety jest dokładnie tak samo ważny, jak głos mężczyzny, ale głosuje ona jako kobieta, ze wszystkimi swymi namiętnościami i troskami kobiety, ze swoim charakterem kobiety. Jeśli idzie o legalne prawa Żyda a także i o te prawa nie sprecyzowane w konstytucjach, ale nie mniej ważne, należą mu się one nie dlatego, że tkwi w nim potencjalny chrześcijanin, ale dlatego, że jest francuskim Żydem i jako takiego musimy dopuścić go do naszego społeczeństwa z jego charakterem, obyczajami, gustami, religią — jeśli jest wierzący — nazwiskiem, cechami somatycznymi. Jeśli dopuszczenie to będzie szczere i prawdziwe, ułatwi ono zrazu Żydom wybór autentyczności a później, powoli, z biegiem lat, umożliwi bez żadnej przemocy i gwałtu, tę asymilację, której nie chcemy zawdzięczać przymusowi.

Ale ów liberalizm konkretny, który proponujemy, jest oczywiście celem; zachodzi obawa, że pozostanie on na zawsze w sferze mrzonek, jeśli nie potrafimy określić środków jego realizacji. Jak wiemy, nie może być mowy o wywieraniu jakiegokolwiek wpływu na Żydów. Kwestia żydowska zrodziła się z antysemityzmu; trzeba więc zniszczyć antysemityzm, aby móc zna-

leźć dla niej rozwiązanie. Pytanie nasze sprowadza się więc do tego: w jaki sposób wywrzeć można wpływ na antysemityzm? Zwyczajne metody działania, między innymi wychowanie i propaganda, na pewno nie będą tu od rzeczy: należałoby, aby już w szkole dziecko miało zaszczepione wstręt i pogardę dla tego rodzaju namiętności. Można się jednak obawiać, że działanie to odniesie rezultaty jedynie w indywidualnych wypadkach. Tak samo nie należy obawiać się wprowadzania do kodeksu karnego surowych kar za te słowa i czyny, które zmierzają do dyskredytowania pewnej kategorii Francuzów. Ale nie łudźmy się co do skuteczności tych metod: prawa nigdy nie krępowały i nie będą krępować antysemity, gdyż wydaje mu się, że należy do społeczności mistycznej i pozalegalnej. Można mnożyć dekrety i zakazy: będą one zawsze wyrazem Francji legalnej, a tymczasem antysemita twierdzi, że reprezentuje sobą Francję rzeczywistą.

Pamiętajmy, że antysemityzm jest światopoglądem manicheistycznym i prymitywnym, w którym nienawiść do Żyda przybiera postać wiekiego mitu tłumaczącego wszystko. Widzieliśmy, że nie idzie tu o jakiś odosobniony pogląd, ale o globalny wybór samego siebie i sensu świata, jakiego dokonuje człowiek w sytuacji. Jest to wyraz jakiejś dziwacznej i upartej mistyki renty gruntowej. Jeśli chcemy uniemożliwić ten wybór, nie wystarczy zwrócić się — poprzez propagandę, wychowanie i zakazy prawne — do w o l n o ś c i antysemity. Ponieważ jest on, jak każdy człowiek, wolnością w sytuacji — trzeba zmienić całkowicie jego sytuację. I rzeczywiście, wystarczy zmienić perspektywy wyboru, aby wybór dokonał się inny; wolność człowieka pozostała nienaruszona, ale decyduje ona wtedy na innych podstawach, stanowi o innych strukturach. Politykowi nie wolno nigdy wpływać na wolność obywateli; już sama jego pozycja zabrania mu myśleć o niej inaczej, jak w sposób negatywny — to znaczy uważając, aby jej przypadkiem nie naruszyć. Polityk wpływa natomiast — i jedynie — na sytuacje. Konstatujemy, że antysemityzm jest namiętnym usiłowaniem zbudowania jedności narodowej p r z e c i w k o podziałowi społeczeństwa na klasy. Stara się on zlikwidować podział społeczeństwa na wrogie sobie grupy, warstwy i klasy, podnosząc wspólne namiętności do temperatury wrzenia, do takiej temperatury, która byłaby w stanie stopić wszystkie bariery społeczne. A ponieważ mimo wszystko podział społeczeństwa i sprzeczności pozostają, bo nie tknięto ich przyczyn ekonomicznych i społecznych, antysemityzm wszystkie sprzeczności usiłuje złączyć w jedno: różnice pomiędzy bogatymi i biednymi, pomiędzy klasami uciskanymi i klasami posiadającymi, pomiędzy władzą legalną a okultystyczną, pomiędzy miastem a wsią itd. itd. sprowadza do różnicy pomiędzy Żydem a nie-Żydem. Znaczy to po prostu, że antysemityzm jest mityczną i burżuazyjną reprezentacją walki klasowej i że nie może istnieć w społeczeństwie bezklasowym. Jest on wyrazem o d d z i e l e n i a ludzi i ich samotności w łonie społeczeństwa, wyrazem konfliktów różnych interesów i rozdrobnienia namiętności: może istnieć jedynie w tych społeczeństwach, w których bardzo luźna więź solidarności jednoczy różne struktury społeczne; jest to zjawisko właściwe pluralizmowi społecznemu. W społeczeństwie, którego członkowie są wszyscy solidarni, bo wszyscy zaangażowani w tę samą sprawę, nie byłoby dla niego miejsca. Jest on poza tym wyrazem pewnej więzi mistycznej pomiędzy człowiekiem a jego „własnością", więzi wynikającej z istnieją-

cych w społeczeństwie kapitalistycznym form własności. W społeczeństwie bezklasowym, opartym na wspólnej własności środków produkcji, kiedy człowiek, wyzwolony z halucynacji zaświatów, zajmie się wreszcie swoim dziełem, którym jest zbudowanie królestwa ludzkiego na ziemi, antysemityzm nie będzie miał już żadnej racji bytu — podetnie mu się korzenie. I jak robotnik, który odkrywa nagle swą przynależność do klasy robotniczej, nie jest bynajmniej przeciwny zniesieniu klas, tak samo Żyd autentyczny, myślący się jako Żyd, dlatego że antysemita postawił go w sytuacji Żyda, nie jest wcale przeciwny asymilacji. Przeciwnie, w obydwu wypadkach właśnie pełna świadomość dopomoże w szybszym zlikwidowaniu zarówno walki klas, jak i rasizmu. Tyle że Żyd autentyczny zrezygnuje na razie, j e ś l i o n i e g o i d z i e, z niemożliwej dziś jeszcze asymilacji i będzie czekał, aż całkowita likwidacja antysemityzmu pozwoli na tę asymilację jego dzieciom. Dzisiaj Żyd musi brać jeszcze udział w walce. Nie znaczy to wszystko nic innego, tylko że rewolucja socjalistyczna jest niezbędna i wystarczająca, aby zlikwidować antysemityzm: rewolucję więc będziemy musieli zrobić t a k ż e i dla Żydów.

A tymczasem co? Bo w końcu jest to dość wygodne załatwienie sprawy — takie zdanie się na przyszłą rewolucję i powierzenie jej załatwienia kwestii żydowskiej. Kwestia ta obchodzi nas w sposób najbardziej osobisty; wszyscy musimy czuć się solidarni z Żydami, antysemityzm bowiem prowadzi do faszyzmu. A jeśli my nie uszanujemy osobowości Żyda, kto naszą osobowość uszanuje? Jeśli zdajemy sobie sprawę z tych niebezpieczeństw, jeżeli ze wstydem przeżywaliśmy naszą współodpowiedzialność z antysemitami, która uczyniła z nas morderców, to może zaczniemy wreszcie rozumieć, że musimy walczyć o Żydów, zupełnie tak samo jak musimy walczyć o samych siebie. Dowiaduję się, że odrodziła się na nowo żydowska liga do walki z antysemityzmem. Cieszę się z tego bardzo — dowodzi to bowiem, że wzrasta u Żydów poczucie autentyczności. Ale czy ta liga będzie dość skuteczna? Wielu Żydów — i to najlepszych — waha się do niej przystąpić przez rodzaj jakiejś skromności. „Nie ma o czym mówić" — powiedział do mnie jeden z nich przed paru dniami. I niezręcznie dorzucił, z jakąś szczerą i głęboką wstydliwością: „Antysemityzm i prześladowanie, to nieważne". Łatwo zrozumieć jego niechęć do mówienia o tych sprawach. Ale m y, my, którzy nie jesteśmy Żydami, czy wolno nam ją podzielać? Richard Wright, amerykański pisarz murzyński, powiedział niedawno: „W Stanach Zjednoczonych nie ma problemu ludzi kolorowych, jest tylko problem ludzi białych". My twierdzimy to samo: antysemityzm nie jest problemem żydowskim — jest n a s z y m problemem. Skoro myśmy go spowodowali, skoro możemy być w przyszłości jego ofiarami, trzeba dziwnej ślepoty, aby nie dostrzegać, że to jest przede wszystkim nasza sprawa. Nie do Żydów należy stworzenie wojującej ligi przeciw antysemityzmowi — ale do nas. Jasne, że samo istnienie takiej ligi nie rozwiązuje jeszcze problemu. Ale gdyby rozgałęziła się ona po całej Francji, gdyby została oficjalnie uznana przez państwo, gdyby jej istnienie zachęciło inne państwa do tworzenia podobnych organizacji, które mogłyby połączyć się razem i stworzyć silną organizację międzynarodową, gdyby mogła ona interweniować wówczas wszędzie tam, gdzie dzieje się krzywda i niesprawiedliwość, gdyby miała do dyspozycji prasę, propagandę i szkołę, osiągnęłaby potrójny rezultat: przede wszystkim pozwoliłaby wszystkim przeciwnikom an-

tysemityzmu przeliczyć swoje szeregi i złączyć się w działający kolektyw; po drugie przyciągnęłaby swoją siłą atrakcyjną wielu ludzi wahających się, którzy o kwestii żydowskiej nie myślą n i c; po trzecie wreszcie pozwoliłaby przeciwstawić wrogowi, który ustawicznie dokonuje podziału na kraj legalny i kraj rzeczywisty, obraz konkretnej społeczności zaangażowanej w konkretną walkę społeczną, ponad uniwersalistyczną abstrakcją legalności. W ten sposób odebrałaby antysemityzmowi argument, którym szermuje najchętniej, a mianowicie mit konkretności. Gdyby przyjaciele Żydów zdobyli się choć na odrobinę tej pasji i wytrwałości, z jaką wrogowie Żydów prześladują ich i gnębią, sprawa żydowska byłaby już prawie wygrana. Aby obudzić w nich ten zapał, nie należy się jednak odwoływać do szlachetności Aryjczyków: u najlepszych ta cnota jest na wymarciu. Lecz należy uświadomić każdemu, że los Żydów jest j e g o w ł a s n y m losem. Żaden Francuz nie będzie prawdziwie wolny, dopóki Żydzi nie będą mogli korzystać z pełni swych praw obywatelskich i społecznych. Żaden Francuz nie będzie prawdziwie bezpieczny, dopóki choć jeden Żyd, we Francji i n a c a ł y m ś w i e c i e, będzie mógł drżeć o swoje życie.

Przełożył
Jerzy Lisowski

KSIĘGA MAŁYCH I WIELKICH STRACHÓW

Jest w tej książce dramat pisarza, który chce wziąć odpowiedzialność za historię, za dolę ludzką, za losy sztuki, lecz milczy, bo mówić mu „nie kazano". Jest w tej książce dramat pisarza, który chce uważać się za ojca epoki, chociaż epoka, dojrzawszy, pogardziła nim, powiedziała mu: „Cicho, ojcze, od dziś jesteś moim synem".

„Jesteśmy mandatariuszami najpiękniejszej myśli, najpiękniejszych ludzi świata. Ponieważ szukamy, niepodobieństwem byłoby także nie pobłądzić. Tylko małym duszom świat niczego nie wybacza, wielkie zawsze mogą liczyć na wielkoduszność. Tedy nie powinniśmy się wstydzić swoich błędów; powinniśmy o nich mówić głośno, raz dlatego, że tylko w ten sposób możemy uwolnić się od błędów, dwa — dlatego, że nasz rachunek wobec świata jest wciąż otwarty i żywy. Realizujemy w równym stopniu swoje, co świata idee. Ciąży na nas tedy stały obowiązek zdawania sprawy światu z naszych dokonań, zaś świat ma względem nas obowiązek wielkoduszności. Jeśli tu i ówdzie okazuje się, iż człowiek nie dorósł, nasz smutek jest nie tylko naszym smutkiem, niech się świat smuci wraz z nami. Nie powinniśmy niczego ukrywać, nie mamy potrzeby niczego ukrywać, nie mamy powodu! Robimy największe rzeczy, jakie kiedykolwiek człowiek robił, stawiamy człowieka twarzą w twarz wobec idei, które niepokoiły od wieków, my, nie kto inny." *(Na temat nr 1* — podkreślenia moje, *A. K.)*

Cała trudność zrozumienia naszej epoki leży w tym, aby ujrzeć w niej dramat intelektualisty, w większym stopniu dramat intelektualisty niż dramat działacza, w większym stopniu dramat filozofii niż dramat władzy. W nieudolnych, często groteskowych, zbrodniczych nawet poczynaniach władzy odnaleźć karykaturę idei — to nie znaczy skompromitować ideę, to znaczy nadać ludzką rangę tej rzeczywistości, w której empiryk dojrzy tylko głupstwo i bałagan; to nie znaczy tworzyć mitologię, to znaczy tworzyć problematykę; to nie znaczy działać na rzecz głupstwa, to znaczy działać na rzecz filozofii — głupstwo to słowo zakazane dla pisarzy. Gdzie praktyka odkrywa głupstwo, tam filozof winien zawsze odkrywać katastrofę mądrości. Podobnie jest z winą, która niech dla praktyka nie będzie niczym innym, tylko winą właśnie,

iecz dla moralisty musi być katastrofą cnoty. W rzeczywistości tak pełnej głupstwa i winy dostrzec katastrofę idei najszczytniejszych, jakie ludzkość znała — to obowiązek i rozum pisarza. To zarazem jego dramat, ponieważ sądzić idee owe, znaczy sądzić ród ideologów, sądzić siebie — własne marzenia, własne nadzieje, własny brak czujności i trzeźwości, własną nieumiejętność przewidywania, własną nieświadomość nieuchronnych prawideł, które obejmują władzę nad ideą, gdy ta ostatnia wchodzi w stadium realizacji. *Niebieskie kartki* są wyznaniem człowieka, który w dramacie tym bierze udział żywy i pełny: „Mijając wiek dziewiętnasty zostawił po sobie takie wrażenie, jakby złoty wiek ludzkości znalazł się na odległość ręki — sceptycy twierdzili co prawda, że są to mrzonki istot tragicznie niezdolnych poznać siebie, ale byli to przecież sceptycy! W siedemnastym roku bolszewicy raz na zawsze postanowili skończyć z podziałem świata na wyzyskujących i wyzyskiwanych, na marzenia i byt, i przystąpili do realizacji jednej z najuporczywszych, najstarszych i najpiękniejszych legend rodzaju ludzkiego.

Blask legendy, realizowanej o miedzę od nas, rozgrzewał młode serca gdziekolwiek padał... Byliśmy pokoleniem, które wierzyło, iż u końca drogi czeka nas cel, o którym marzyły wieki. Nie czuliśmy w karku zimnego podmuchu bomby H jak dzisiejsze pokolenie. Przed nami wznosiła się brama nadziei. Byliśmy pokoleniem szczęśliwym, ostatnim pokoleniem szczęśliwym." *(Legenda* — podkreślenia moje, *A. K.)*

Niebieskie kartki są świadectwem rzeczywiście współczesnego dramatu pisarza oraz wysokiej świadomości wszystkiego, co w naszej współczesności ważne. Adolf Rudnicki wie, że współczesność nasza jest wyjątkowym spiętrzeniem odwiecznego konfliktu idei i rzeczywistości, myśli i czynu, sztuki i użyteczności. Wie, że konflikt ten grozi śmiercią wszystkiemu, co ludzkie. Adolf Rudnicki wie, że nie ma chwili do stracenia. Myśli do końca, do ostatecznych konsekwencji. Nie boi się powiedzieć: jeśli... to nie będzie sztuki, jeśli... to zginiemy wszyscy. Jest odważny, ponieważ odważył się na wielki strach.*

Jest w tej książce strach o zachowanie świata — Adolf Rudnicki należy do pisarzy, którzy wiedzą, że los świata nie zależy od tego, kto będzie sekretarzem generalnym Związku Literatów i jakie akcenty pod adresem kultury znajdą się w najbliższym referacie politycznym. Adolf Rudnicki wie, że reportaż o wadliwym funkcjonowaniu aparatu administracyjnego czy nowela podszczypująca w takim czy innym stopniu dogmaty państwowej religii, że cała ta odwaga zapewniająca pisarzowi jednodzienny sukces w literackiej kawiarni jest niczym: „Artyści! Nasze zamówienie było źle zredagowane, z nadmiaru rozumu okazaliśmy się nierozumni. W naszym zamówieniu nie powinniśmy byli zajmować się drobiazgami, dzisiaj, po poprawce, nasze zamówienie brzmi tak: Świat znajduje się w stanie śmiertelnego zagrożenia..." *(Wywieszka na domach twórczych).*

Jest strach o losy ideologii, która — pisarz pamięta — była nadzieją wielu pokoleń i która — pisarz widzi — stoi przed groźbą starości:

„Nasza idea mieści się w jednym zdaniu: aby człowiek nie krzywdził człowieka, jeden naród nie uciskał drugiego. Oto główna myśl naszej idei, ciągle

* Proszę mi wybaczyć — to wpływ stylistyki Adolfa Rudnickiego, który kocha się w rozstrzelonych słowach.

najważniejszej i najżywotniejszej, od której nie możemy odstąpić, by nie popełnić samobójstwa. Głupstwem natomiast jest upór w małych sprawach."

Jest strach o losy sztuki. Adolf Rudnicki wie, że dyskusja z politykiem kultury nie toczy się o sensowniejszy rozdział nagród państwowych ani o wybór tradycji, ani o to, czy socrealistyczne książki będą lepsze lub gorsze. Adolf Rudnicki wie, że dyskusja ta toczy się o istnienie sztuki. Jest w *Niebieskich kartkach* notatka pt. *Redaktor U.*, w której jest wszystko, co należy powiedzieć o sprawie literatury w naszym ustroju. Kazimierz Brandys w dwuarkuszowym opowiadaniu nie powiedział ani jednej czwartej tego, co zamknął Adolf Rudnicki w tych dwóch zdaniach swego *Redaktora U.*: „Zadania są właściwym życiem, reszta to galareta. Oni wszyscy (zwolennicy „odwilży" i „bałaganu indywidualistycznego" — *przyp. rec.)* uprawiają filozofię galarety; mnie galareta nie interesuje".

Jest strach o duszę pokolenia. *Rewolucja żywa, Romeo i Julia, Niebieskie kartki czytelników* mówią o miłości — wybierają — wzorem literatury wszystkich czasów — miłość na symbol duszy pokolenia. Znakomita jest zwłaszcza pierwsza z wymienionych notatek, w której pisarz piętnuje płaski funkcjonalizm naszej pedagogiki współczesnej, naszej literatury, naszej filozofii moralnej.

Nowa książka Adolfa Rudnickiego — owoc lat, które dla każdego pisarza były bardzo ciężkie — dowodzi, że pisarz nie stracił nigdy przytomności. To wielki komplement. Przyszła generacja już go może nie zrozumie. Ta, która wraz z nami przeżywała dramat odpowiedzialności i milczenia, niech poświadczy, że nikt z nas nie oczekuje komplementu większego.

*

Jest w *Niebieskich kartkach* sporo strzępów literackich — dobrych lub gorszych, Świetna noweletka na pół strony, *Adam i Ewa*, zabawne groteski *Już zbyt posunięta miłość własna* i *Dusza artysty* — z tej linii w twórczości pisarza, z której pochodzi wspaniały *Autoportret z dwoma kilogramami złota.* Można wyłapać strzępki kilku innych „linii": z linii *Lata — Kostium aktora Borowego;* z linii *Ucieczki z Jasnej Polany — Pod międzynarodową prasą;* z linii *Epoki pieców — Doktor Klein, Juda Korn* i in.

Bardzo charakterystyczne są te strzępki. Charakterystyczne dla Adolfa Rudnickiego, u którego jest nieustanne współżycie dwóch żywiołów: fabuły i sentencji, felietonu i epiki. Felieton raz po raz rozkwita w nowelę, nowela często zatrzymuje się na pierwszym przystanku i zostaje felietonem.

Adolf Rudnicki jest artystą, cierpiącym nieustanną pokusę, aby stać się filozofem. Czasem ma się wrażenie, że szczytem jego marzeń jest napisać stustronicową książeczkę, w której byłoby w s z y s t k o. Nie jest zresztą w tym odosobniony w naszej literaturze — w literaturze kraju, który nie wydał ani jednego filozofa-pisarza, więc płodzi wciąż pisarzy-filozofów. Ani Kartezjusza, ani Schopenhauera, ani Bielińskiego, więc poeci i powieściopisarze musieli tutaj tworzyć systemy, wymyślać syntezy, ssać z palca aforyzmy. Abstrakcja wciąż grozi tutaj sztuce. I nigdy zdecydowanego wyboru: u nas nie ma powieściopisarzy, którzy by oprócz powieści pisali filozoficzne dzienniki — u nas wszystko na pograniczu. Adolf Rudnicki nie może zleźć z tego pogranicza. Jest

przecież dużej klasy artystą, zapuścił się już dobrze w głąb domu sztuki, już by mógł na stałe w nim zamieszkać, ale przeciąg lub diabeł nie pozwala mu zamknąć drzwi, przez które wciąż zakrada się czysta myśl — prosi o dygresję, o aforyzm, namawia do zdrady. Naprawdę wolę *Wniebowstąpienie* od *Niebieskich kartek*, *Niekochaną* od *Lata*. Jestem przekonany, że Adolf Rudnicki pozostanie w historii literatury jako twórca kilku bardzo pięknych opowiadań, a nie jako wymyślacz pięknych zdań.

Czy mi się wydaje, czy też zdaje sobie z tego sprawę także sam pisarz i wciąż przeżywa obok publicznego dramatu pisarza osaczonego przez epokę także prywatny dramat pisarza nie mogącego domknąć za sobą drzwi od domu sztuki? Ten drugi dramat daje gorsze kartki. To rozważania treści własnej — mam czy nie mam nic do powiedzenia, jestem czy nie jestem czytany *(Co masz w swym koszyczku, pisarzu?, Akademia czyli każdy ma swój Wołomin)*. To mówienie o wielkich pisarzach z zazdrosną irytacją (Balzac, Dostojewski, Tołstoj). To publiczne nakładanie sobie dyscypliny, przypominające trochę groteskowe obsesje Aschenbacha ze *Śmierci w Wenecji* Tomasza Manna. Gorsze to kartki: histeria sąsiaduje tu z banałem. Wypełnia je mały strach — już nie o świat, o sztukę, o duszę ludzką — lecz o własne życie, o własne książki, o własną równowagę.

Czy histeria pisarza nie może zrodzić wspaniałej książki? Jak kiedy. Gdyby pisarz tak np. chłodny, opanowany i pełen autoironii, jak Mann, opublikował dziennik swoich histerii — byłaby to fascynująca lektura. Pisarz nareszcie rozebrałby się ze swoich kostiumów, pokazałby siebie. Ale w twórczości Adolfa Rudnickiego — jego samego nie brak. Jest go pełno. W *Niebieskich kartkach* jeszcze pełniej — machamy rękami zniecierpliwieni: dalej, co dalej, mów pan o świecie! Ciekawe jest zobaczyć bez krawata kogoś, kogo się stale widzi zapiętego na ostatni guzik, ale jeśli ktoś, kto wciąż chodzi rozchełstany, zawoła nagle „popatrz, rozpiąłem się!" — to co? Bardzo mnie wzruszyła autobiografia Tomasza Manna: oto pisarz, który podawał siebie w rozlicznych, zawsze ironicznych kreacjach, mówi o sobie, nareszcie naprawdę o sobie. I oto powstaje jeszcze jedna kreacja — jeszcze jeden bohater, nazwiskiem Tomasz Mann, do którego autor ma ten sam dystans co do Hansa Castorpa, Gustawa von Aschenbacha, Tonia Kroegera — tak samo nad nim panuje, tak samo ironizuje, jest tak samo powściągliwy i dyskretny.

Coś podobnego da się powiedzieć o sprawie gatunku literackiego. Gdyby jakiś pisarz tak doskonale oddzielony od siebie, zamknięty w swoich fikcjach, jak — czy ja wiem — Szołochow albo Hemingway — naraz opublikował taki dziennik, rzucilibyśmy się zaintrygowani wyglądem myśli tego pisarza nie przyprzężonej do wyobraźni, myśli w stanie surowym, nie wypracowującej sztuki; bylibyśmy zaciekawieni, co ten pisarz, wypowiadający się tylko za pośrednictwem swoich bohaterów, sam sądzi o miłości, śmierci, wojnie, modzie i jedzeniu.

Autor *Niebieskich kartek* nigdy nie szczędzi siebie w swych utworach. Jest nieodłącznym towarzyszem swoich bohaterów. Nigdy się w nich nie wciela — zawsze konkuruje z nimi o serce czytelnika.

Kartki sportowe, Niebieskie kartki to wzmożone dawki Adolfa Rudnickiego jako Adolfa Rudnickiego. I dlatego myślę, że mimo wszystko wielbiciele talentu, który stworzył *Niekochaną, Wniebowstąpienie, Autoportret z dwoma*

kilogramami złota, nie powinni zbytnio radować się nową książką autora tych wspaniałych utworów. Nie ma co za długo podziwiać piękności języka, trafności sądów, celności formuł, niezapomnianych metafor — nie ma co powtarzać, że ma się do czynienia ze świetnym majstrem i mądrym człowiekiem. Trzeba się martwić, że pisarz, który tworzy najlepsze rzeczy wtedy, gdy ufa oku i wyobraźni, gdy kreuje, gdy gra, gdy wychodzi na rynek, teraz coraz częściej obcuje ze swoją myślą w stanie domowym, ze swoją myślą nie ubraną.

Cieszyć się tylko trzeba dowodami wielkiej przytomności umysłu, które autor *Niebieskich kartek* złożył w kilku miejscach swej książki. I z tego, że w czasach, które napełniały ludzi małym strachem, zachował zdolność do strachu wielkiego.

Andrzej Kijowski

ŻYWIOŁ WYOBRAŹNI

Tadeusz Nowak: *Prorocy już odchodzą*. Kraków 1956. Wydawnictwo Literackie; str. 59, 1 nlb.

Wydaje mi się, że Nowak jest poetą stanowczo niedocenionym. *Prorocy już odchodzą* to jedna z najcenniejszych tegorocznych publikacji w dziale liryki. Dawno już nie zdarzyło mi się mieć w ręku książki tak pełnej liryzmu, tak żywiołowo poetyckiej i tak musującej radosnym patosem zuchwałego fantazjotwórstwa:

Ekonom dzikiej wyobraźni,
ezciciel pogody i prostoty,
żyję, by sobą ludzi drażnić,
bo na płacz nie mam już ochoty.

Nie umiem dłoni kłaść na usta,
milczeć i potakiwać łbem,
kiedy wychodzi z głębi lustra
mój gniew i uśmiech szczuty psem.

[. . . . .]

Jeżdżę wśród owczych stad na szkapie,
w saganach z gliny warzę ser,
a noc w biblijnych łapciach człapie
wiodąc wilczycę gwiazd na żer.
(Prorocy już odchodzą)

Poezji Nowaka patronuje Jesienin. Stwierdzają to chyba wszyscy krytycy interesujący się twórczością młodego krakowskiego poety, a i on sam, zamykając tomik przekładami paru wierszy mistrza, podkreśla związek swojej liryki z twórczością tragicznego piewcy rosyjskiej wsi. Ale czyż o związkach tych nie świadczy choćby taka np. strofa:

Sam się uczyłem ostrzyć nóż,
ujeżdżać siwe konie nocy
i prócz oklasku ryżych zbóż
nie chciałem żadnej brać pomocy.

Skrzywdzilibyśmy jednak Nowaka zaliczając go do licznego u nas klanu epigonów wielkiego Rosjanina. Imażynizm naszego poety nie jest programowy, lecz spontaniczny. Wystarczy wczytać się w taki np. całkowicie, jeśli chodzi o jego materię fabularną, opisowy liryk, jak *Staruszka*, by dostrzec, że żywioł wyobraźni porywa i unosi ze sobą wizje poety, i przeobraża w baśń i metaforę — jakby w jakiejś mimowolnej, bezwiednej igraszce. Jest w poezji Nowaka, której nieobcy przecież bywa smutek a nawet tragizm, lekkość i wdzięk, lekkości zaś i wdzięku nie podobna udać. Albo są one naturalne, albo ich nie ma. Polski imażynista trafił na drogi, którymi chadzał niegdyś Jesienin, ponieważ są to jego w ł a s n e drogi.

Można by chyba zresztą odszukać dla Nowaka parantele bardziej rodzime. Gdy czytam takie np. strofy:

I cóż mu powiem? W oczy mu popatrzę,
schylę się nisko do rąk dostojeństwa,
a on pomyśli o miejskim teatrze,
gdzie ponoć uczą kłamliwej pokory,
i twarz odwróci od gestu błazeństwa
i pójdzie siwą łąką na nieszpory.
(Jak się przed tobą wytłumaczę)

albo:

Lecz jakież będzie nasze pożegnanie,
jeśli w źrenicach hałaśliwa zieleń

ogromnym lasem między nami stanie,
o jakież, matko, będzie pożegnanie?

Kto mnie tej nocy z płonącej jesieni
schyleniem głowy do ciebie przywoła
i słoną zorzę u okna zamieni
na dłoń gładzącą pokorną biel czoła?
(Pożegnanie)

to zarówno właściwe im rozczłonkowanie i instrumentacja frazy poetyckiej, jak i jej tonacja emocjonalna oraz metoda gospodarowania elementami fabuły każą mi myśleć o Słowackim. Ani mi w głowie kwestionować autentyzm materiału fabularnego wiejskich wierszy Nowaka, osnową jednak, na której poeta rozpina obrazy życia ojczystych stron i swego rodzinnego domu, jest mit, mit świętej, zbożnej, wiecznej wsi, przypominający żywo najpiękniejsze jej wizje z *Balladyny, Króla Ducha, Beniowskiego*. I znów podkreślam: nie o wpływy mi chodzi w tym wypadku, ale o romantyczne wizjonerstwo poetyckie, czerpiące z romantycznej *par excellence* uczuciowości, wypowiadającej się przez wiersze autora *Uczę się mówić*. Jeżeli jednak to, co Nowak mówi (a raczej sugeruje) na temat roli wsi „jako takiej", wsi „samej w sobie", przypomina Słowackiego, to obrazy ukazujące jej codzienne życie naładowane są konkretem, cechuje je realizm faktury, nasycony eliksirem poetyckiej wyobraźni.

Ta typowa dla Nowaka umiejętność wyrazistego, ostrego obrysowywania konturów czasem nawet bardzo zuchwałej i fantastycznej wizji nasuwa mi jeszcze inne skojarzenia. Pozwolę sobie tu zacytować dłuższy fragment *Ballady prowincjonalnej* — jednego z najlepszych w tomie i najbardziej reprezentacyjnych dla Nowaka wierszy:

W małym miasteczku żyją święci
z drewna kozikiem tak wycięci,
że im po brodach ciekną jeszcze
pachnące mirrą niebios deszcze.

. . . . . .

Widzą ich tylko wielkie zbóje
I pies, co z łapy ból zlizuje,
i jeszcze ślepiec berłem kija
pokorny pokłon im wybija.

Ale już wieść na rynku ściele
siano i sutych kolęd biel,
i zamówione jest wesele,
i utoczony w beczkach chmiel.

A święci idą procesyją,
a ludzie światło z rąk ich pjią,
a święci wiodą gwiazdę pól,
a ludzie niosą chleb i sól.

Otwiera się przed naszymi oczyma istne rojowisko dziwności, ale dziwność ta nie ma w sobie nic zjawiskowo widmowego. Jest nasycona barwami, bryłowata, masywna. Przywołana z jakichś nieprzewidzianych zaświatów zaklęciem poety — trwa, zdolna istnieć nawet w pełnym świetle słonecznym jak oszałamiające wizje Hieronima Boscha czy Piotra Brueghela młodszego. Nie wzywam tych wielkich imion nadaremnie. W balladach Tadeusza Nowaka raz jeszcze doszła do głosu stanowiąca dominantę twórczości starych mistrzów pasja wyobraźni ludowej, tworząca baśń tę osnowę i wzorzec dla średniowiecznych rycerskich mitów, sag, klechd, eposów i rapsodów. Ta baśń skażona jest już u Nowaka znamieniem wtórności: literackością, ale mimo wszystko odnajduje się w niej polot i żywiołową siłę kształtowania obrazów w konkretne, wyraziste, sugestywne przedstawienia. Miano poetów ludowych zagarniają dziś dla siebie przeważnie stylizatorzy lub propagandyści. Prócz Nowaka chyba jednak tylko Piętak umie w najlepszych swych wierszach przekonać nas o tym, że potrafi — tak jak niegdyś starzy pieśniarze ludowi — zaczynać od początku. Pewnie, jest to już tylko echo tych poezjotwórczych inspiracji, od których brało początek nawarstwianie się w świadomości zbiorowej będącego jej własnością dorobku poezji.

Nie jestem zaślepiony w Nowaku. Dostrzegam w jego liryce miłosnej tony sentymentalizmu, w *Balladzie o drwalach* — dość naiwną dydaktykę *à la* „produkcyjniaki", w całym zaś jego dorobku poetyckim — niebezpieczną wąskość horyzontów. Nowak jest przede wszystkim poetą wsi, która znalazła się na przełomie dwu epok, i poetą kryzysu dawnej patriarchalnej rodziny chłopskiej, mocno zresztą emocjonalnie do niej przywiązanym, choć zbuntowanym przeciw niej intelektualnie. Świat jego nie jest zbyt szeroki. Na razie Nowak drąży problematykę owego kryzysu rodziny. Wiersze takie, jak *Spowiedź, Pożegnanie, Jak się przed tobą wytłumaczę*, są dużej miary osiągnięciami. Co będzie jednak, gdy problematyka ta wyczerpie się?

Próby porania się z czymś, co można by nazwać „matafizyką losów klasy chłopskiej“ w utworze *Mojego rodu gość*, nie wypadły nazbyt przekonywająco. Pomimo piękności poszczególnych strof utwór ten jako całość rozczarowuje: jest ciemny ciemnością nie głębi, ale taką, która wynika z niedokształtowania wizji, z niedomyślenia do końca poruszonych w wierszu zagadnień. Za mało w nim wyobraźni, za dużo myślowych rebusów ułożonych z wykoncypowanych sztucznie alegorii („wymienni jeźdźcy naszych grzbietów w biblijnym fraku dla aniołów“).

Poezja Nowaka to poezja-żywioł. Siła jej leży w jej spontaniczności, siła — ale zarazem i słabość. Jak ukształtują się przyszłe losy tego pięknego i bogatego talentu? Czy zdoła on nasycić swoją twórczość problematyką o wyższej randze intelektualnej, pogłębić myślowo, nie niszcząc jednocześnie jej żywiołowego rozmachu, jej uroczej naturalności? Prorocy — jak powiada poeta — już odchodzą. Nie pora więc i mnie, niepowołanemu, zabawiać się w proroka. Na razie pewne jest, że „powrozami słońca do zdrowego drzewa gminnej wyobraźni mocno przytroczony“ „czciciel pogody i prostoty“ dał nam książkę, o której — uwzględniwszy wszelkie jej braki i niedostatki — śmiało rzec można, że jest tomem tęgiej, rzetelnej poezji.

Stefan Lichański

PORA DOJRZEWANIA

Jan Maria Gisges: *Pora dojrzewania*. Warszawa 1956. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 131, 5 nlb.

Książkę tę wypełniają w trzech czwartych przedruki z poprzednich zbiorków Gisgesa. Stanowi ona więc podsumowanie dotychczasowego dorobku poety, próbę bilansu jego kilkunastoletniej pracy pisarskiej.

A nie była to praca łatwa. Dziś co prawda panuje wśród ludzi pióra moda na opowiadanie o męce twórczej, o niesłychanych trudach i wysiłkach, jakimi okupuje się wzbogacenie literatury ojczystej choćby o jeden jeszcze wierszyk na temat zachodu słońca czy opadania zwiędłych liści. Na ogół jednak ci męczennicy nie trudzą się tak straszliwie, jakby to chcieli nam wmówić, choć — przyznajmy to lojalnie — praca ich często mogłaby być ze względu na swoje wyniki zestawiana z pracą Syzyfa lub Danaid. Na wierszach Gisgesa trud pisarza starającego się owładnąć słowem, podporządkować je swojej woli — znać wyraźnie. I to chyba jest w jego książce najbardziej sympatyczne: ten zaciekły upór zaczynający raz po raz od nowa, nie zrażający się niepowodzeniami, idący do upragnionego celu. Można mieć wątpliwości, czy poeta do tego celu już dotarł, ale trzeba docenić wyrażającą się w tym dążeniu pasję twórczą, owo opętanie poezją, które każe Gisgesowi stale szukać, eksperymentować, rewidować swój program pisarski — jakby w poczuciu permanentnego niezadowolenia z tego, co się już zdołało osiągnąć.

Dzisiaj — jak to już wspomniałem wyżej — literaci chętnie się chwalą swoją pracowitością. Trzeba jednak stwierdzić, że takie szczęśliwe wynalazki, jak wiersz wolny, rym przybliżony (niesłusznie zwany asonansem), a w jeszcze większym stopniu dezyntegracja składni i operowanie luźnymi asocjacjami uczyniły pracę współczesnego wierszopisa bardzo łatwą i wygodną. Oczywiście, dobry poeta potrafi, nawet ulegając w pewnym stopniu manierze przyjętej przez amatorów literackiego „życia ułatwionego“, spiętrzyć przed sobą rozmaitego rodzaju trudności, z tego, co dla miernoty jest udogodnieniem, stworzyć sobie nowe komplikacje, może cięższe do pokonania niż wszystkie narzucane przez jakąkolwiek poetykę klasycyzującą. Na wybranie tej najtrudniejszej drogi poetyckiej Gisges się nie zdecydował, ale bądź co bądź już w wierszach z tomu *Pierwsza miłość* oczyścił swoją lirykę z tego postawangardowego vola-

püku, który psuł często najlepsze nawet fragmenty dwu pierwszych jego książek:

Groźne oczy patrzą pochmurnie,
wyższe o ten cel, do którego
serca — pełne ładownice kul —
już jadą.
(Twardszy o jedną noc)

Ten ranek wiejski inny od sielanki
spłynął po szybie żałobnym wiankiem,
kiedy chłopak od sąsiadów mały
w drzwiach rozwartych wieść rozpiął jak całun:
— Niemcy jadą od Staszowa!
(Opowieści krajobrazu)

Wyszedłszy z okresu „burzy i naporu" poeta zaczyna klasycyzować, nawraca do regularnej metryki i strofiki, próbuje nawet wskrzesić stworzony przez Kasprowicza w cyklu *Z chałupy* typ sonetu fabularno-opisowego o tematyce ludowej *(O garncarzu z Iłży, Odwiedziny)*. Ten styl wypowiedzi poetyckiej utrwala się w dalszej twórczości Gisgesa a ostatnio wzbogaca się jeszcze o elementy stylizacji na pieśń ludową *(W Kadzidle, Wesele, Wyspa miłości)*.

Za najbardziej charakterystyczny rys tej klasycyzującej poetyki Gisgesa uważałbym jej swoisty ascetyzm. Poeta ulegający dawniej pokusom barokowego wielosłowia przerzucił się w drugą skrajność: skazał się na absolutną jasność wpowiedzi, na radykalne wyeliminowanie ze swoich wierszy wszelkich nastrojowych niejasności i wszelkiej „opalizacji" znaczeniowej, na reportażową niemal rzeczowość opisu, na realizm przedstawienia zgodny z potocznym doświadczeniem życiowym.

Komunikatywność? Owszem, wiersze Gisgesa są całkowicie komunikatywne, ale często za cenę zubożenia wizji poetyckiej i ekspresji wyrazu, za cenę poprzestania na liryzowanym reportażu „z wydźwiękiem". Weźmy dla przykładu wiersz *Decyzja*, przedstawiający moment podjęcia decyzji o odbudowie Warszawy. Wiersz ten wzrusza, wzrusza jednak samym przypomnieniem doniosłego momentu historycznego — nie zaś artystycznym jego przedstawieniem. Słowa Bolesława Bieruta: „Stolicą będzie Warszawa!" poprzedza opowiadanie mało ekspresyjne, potraktowane zbyt sprawozdawczo; poezja tkwi właściwie nie w wierszu, lecz w patosie faktów, o których wiersz mówi. Asceza posunięta tak daleko równa się faktycznie samobójstwu poezji.

Ograniczenie aktywności wyobraźni poetyckiej starał się Gisges rekompensować wzbogaceniem i skomplikowaniem techniki wierszopisarskiej, urozmaicając bardzo (zwłaszcza w zbiorku *Idącym naprzód)* budowę stroficzną i metryczną wierszy. W zakresie dbałości o zewnętrzny kształt wiersza, o jego — rzec by się chciało — wygląd było to wcale poważne osiągnięcie, tym cenniejsze, że świadczące o przezwyciężeniu przez poetę skłonności do wypowiedzi przeciążonej barokowym zdobnictwem i wskutek tego nadmiaru ozdób często bezkształtnej i bezładnej. Ta jednak troska o kształtność i zgrabność wyrazu staje się w tomikach *Idącym naprzód i Najbliższa sercu* grzechem wobec merytorycznej zawartości obu tych książek. Są to zbiory wierszy okolicznościowych, a wiersz okolicznościowy powinien posiadać akurat tyle „formy", żeby zdołał nią zainteresować i pozyskać odbiorcę. W okresie powojennego dziesięciolecia raz po raz ujawniała się tendencja do uznawania poezji okolicznościowej za jedyną mającą w obecnych warunkach rację bytu. Mniemanie, że tego rodzaju poezja skazana jest z góry na artystyczną mierność, pozostaje w niewątpliwej sprzeczności z faktami. Prawdą jest natomiast, że posiada ona dość ograniczone możliwości jako laboratorium nowych form wypowiedzi poetyckiej. Poezja ta bowiem wtedy spełnia swoje zadanie, kiedy trafia do możliwie najszerszego kręgu odbiorców. Aby jednak mogła do nich trafić, musi przemawiać zrozumiałym dla nich językiem, posługiwać się „chwytami" artystycznymi i intelektualnymi, o których wiadomo, że zdołają zdynamizować i zmobilizować emocjonalnie czytelnika. Do tego celu Or-Ot np. posługiwał się techniką poetycką romantyków, wyjaskrawiając jej efekty tak, że mogły podobać się nawet ludziom o elementarnej kulturze literackiej. Bardziej uzdolniona poetycko i szerszy krąg problematyki obejmująca Konopnicka wzbogaciła poważnie arsenał środków poezji okolicznościowej, gdyż spożytkowała

dla jej celu stylizację na pieśń ludową czy na bajkę dziecięcą. U nas do tych wzorów nie sięgnięto w ogóle; nie sięgnięto również do dydaktycznej poezji polskiego Oświecenia, choć tyle gadało się o naszych osiemnastowiecznych antenatach i prekursorach. Próbowano podrabiać Majakowskiego, ale Majakowski jest w literaturze rosyjskiej fenomenem tak jedynym i tak nie nadającym się do podrabiania, jak u nas np. Wyspiański. Epigonowie Staffa czy Tuwima czasem nudzą, ale na ogół nie drażnią, epigonowie Wyspiańskiego (a tak samo Majakowskiego) są po prostu nieznośni. Gisges, który nazbyt serio potraktował grasujące w literaturze minionego dziesięciolecia mody, ustrzegł się wprawdzie przed epigońskim naśladownictwem jakichkolwiek gotowych wzorów, ale tych możliwości, które ujawnił w dwu pierwszych swoich zbiorkach, nie rozwinął, ugrzązł w okolicznościowym „opiewalstwie".

Mówiąc o możliwościach mam na myśli przede wszystkim zacięcie epickie Gisgesa, jego talent narracyjny, który najsilniej przemówił w *Opowieściach krajobrazu*. Pomimo wszystkich wydziwaczeń stylistycznych jest to najżywsza i najciekawsza pozycja w dorobku poety. Znajdujemy u niego jednak i inne nieco utwory, jak np. *Twardszy o jedną noc, Wspomnienie o Icku, Która uratowała starodruk, Grunwald po raz tysiączny, Ballada o górze czterech wiatrów* — bardzo interesujące i godne uwagi próby noweli poetyckiej. Upodobanie Gisgesa do wzbogacania poezji elementem fabularności idzie w parze ze skłonnością do uprawiania poetyckiej dydaktyki. I myślę, że właśnie ta pasja dydaktyczno-pedagogiczna, wypowiadająca się w wielu jego utworach, uczyniła go tak podatnym na pokusy literatury okolicznościowej. Bieda jednak z tym, że nie zdołał dopracować się w tym typie literatury własnego stylu wypowiedzi. W najlepszych jednak swoich wierszach (jak np. wymienione powyżej) zbliżał się — może zresztą bez świadomych zamierzeń — do wzorów poezji Oświecenia, do typu wiersza fabularnego, w którym od przedstawienia akcji przechodzi się bezpośrednio do dydaktycznego komentarza.

Nie chcę, aby to, co powiedziałem wyżej, zostało potraktowane czy przez samego poetę, czy też przez czytelników jako tzw. wskazanie drogi: tędy i tylko tędy masz iść, autorze, a gwarantuję ci, że trafisz na pomnik. Sądzę, że Gisges miałby jeszcze sporo do powiedzenia jako poeta przyrody (przypomnę znowu *Opowieści krajobrazu*) i jako liryk „czysty" (*Mój dom, Zimowy wiersz, Wycinanki*), ale obecnie, po okresie naiwnej propagandy literackiego propagandyzmu przyszedł okres rehabilitacji „czystej poezji" i dziś należy się już poważnie liczyć z niebezpieczeństwem przesadnego kultu tej „czystości". Dlatego też warto mówić jak najwięcej o sprawach literatury świadomie i dobrowolnie podejmującej zadania dydaktyki społecznej i dlatego te właśnie sprawy podkreśliłem szczególnie mocno w niniejszej recenzji.

Stefan Lichański

NAD OKRUCHAMI LIRYCZNEJ WAZY...

Antologia liryki greckiej. Opracował Wiktor Steffen. Wrocław 1955. Ossolineum. Biblioteka Narodowa, seria II, nr. 92; str. CLIX i 214.

Z wielkim wzruszeniem przewracałem kartki tej niewielkiej książeczki, na których zostały zapisane jedne z najdawniejszych myśli i sformułowań poetyckich. Chyba nie tylko ja doświadczyłem dziwnego uczucia, jak gdybym przesuwał w palcach ułamki greckiej wazy, na których — miast ornamentów i nieco sztywnych figurynek — utrwalono urywki eposów, okruchy kronik i, najbardziej chyba nam bliskie, osobiste opowieści dawnych Greków o własnym życiu, ujęte w słowa proste i niekłamane.

Można nad tym niewielkim tomikiem w płóciennej okładce snuć smętne rozważania o kruchości ludzkiej pamięci,

która — niby udzielna własność — przynależy przecież twórcom łączącej pokolenia kultury i sztuki. Spośród kilkudziesięciu poetów, których biografie i charakterystyki twórczości wypełniają obfity wstęp prof. Steffena — któryż jest mniej obcy polskiemu miłośnikowi poezji z drugiej połowy dwudziestego stulecia? Poza Anakreontem i Safoną a także nie uwzględnionym w *Antologii* Pindarem — Hipponaks, Archiloch, Symonides i przeróżni inni przesuwają się przez wyobraźnię jako nieznani posiadacze imion greckich, z którymi pod względem zażyłości z nami o ileż bardziej może rywalizować chociażby fikcyjny Chilon Chilonides, rodem z *Quo vadis!* A jeśli coś o którymś z nich wiemy — to często tak błędnie, jak o Tyrteuszu, antycznym patronie patriotycznej twórczości Mickiewicza — w istocie zaś starożytnym Krasińskim, zdeklarowanym i gwałtownym obrońcy starego porządku społecznego. Tak, tylko zawodowi kronikarze starożytności, filologowie klasyczni, wiedzą coś więcej o ludziach, których słowa i pieśni poruszały przed dwudziestoma czterema wiekami całą kulturalną ludzkość...

A przecież liryka grecka zasługuje na o wiele szerszą i trwalszą pamięć, pozbawioną przymusu profesjonalizmu. Odznacza się ta najpierwsza poezja takimi cechami, których próżno by szukać w dorobku niejednej dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej sławy literackiej, ba! — w majątku niejednego, kanonizowanego przez krytyków i badaczy, kierunku artystycznego. Popatrzmy...

Liryka grecka reprezentowana w *Antologii* jest bardzo osobista. Późniejsze losy literatury aż nadto przekonują, jak dalece dodawanie owego określenia do poezji przestało być tautologią, jak wysoko między twórcą a kartką papieru — na której winien zapisywać on we frazach i strofach swoje przeżycie — wyrósł mur, wznoszony po społu przez artystowskie rzemiosło i literacką fikcję, mordującą nieraz w zarodku uczciwość i szczerość lirycznego wypowiedzenia. Helleńskim lirykom obcy był z gruntu poetycki profesjonalizm; jesteśmy odrobinę zdumieni, gdy wśród współautorów *Antologii* spotykamy prawodawcę Solona i filozofa Ksenofanesa, gdy dowiadujemy się, że działalność poetycka Safony operowała na marginesie jej pracy pedagogicznej, a nawet — mówiąc dzisiejszym językiem — kulturalno-oświatowej. „Na marginesie"... — jest to zwrot, który uparcie ciśnie się na usta przy obserwacji roli liryki greckiej w życiu jej twórców, a przecież nie odznacza się dostateczną precyzją i celnością, przeciwnie, budzi obawę przed fałszywymi skojarzeniami. Chodzi przede wszystkim o to, że liryka grecka dosłownie czerpała z życia materiał dla swych obrazów i metafor, że zaliczane do niej utwory odznaczają się jakąś gwałtowną i doraźną aktualnością, są poezją „pierwszej pomocy", wyręczającą nowoczesne dzienniki i broszury polityczne. Gdyby powiedzieć, że Majakowski jest kontynuatorem i naśladowcą linii generalnej poezji greckiego antyku, trąciłoby to wulgarnym schematyzmem krytyckim — a jednak tak właśnie jest: twórca *Obłoku w spodniach* i Tyrteusz, Ksenofanes, Solon są głęboko złączeni gwałtowną pasją, potrzebą odpowiadania natychmiast poetyckim piórem na palące problemy teraźniejszości.

Liryka grecka jest świeża i prosta. Znowu: gdyby się tych określeń użyło wobec jakiejś nowoczesnej twórczości literackiej — słowa takie zaskrzypiałyby szelestem czeków bez pokrycia. Na brodę Sokratesa! — kto wie zresztą, czy nie układał on wierszy, a tylko niechętny poetom Plato nie przekazał ich współczesności — przecież te dwa przymiotniki decydują właściwie o jędrności i wartości artystycznego miąższu poezji. Jeśli czytamy taki oto epigramat Mimnermosa:

Zeus Tytonowi największe dał zło, nie kończące się nigdy:
Starość, co gorsza niż śmierć, smutek niosąca i ból.

— pomińmy na razie odrębną sprawę tłumaczenia — zdumieni jesteśmy zwięzłością poetyckiej maksymy, która potrafi nie tylko wydobyć psychologiczną prawdę sformułowania, ale i wytworzyć specyficzną atmosferę, jakże silnie przypominającą najpiękniejsze ody Horacego. Prawie wszyscy lirycy greccy, którzy spotkali się w *Antologii*, wystrzegają się na ogół rozciągłych poza wytrzymałość ludzkiego poznania metafor, zawiłych koncepcji kompozycyjnych, sztucznawych wykoślawień słownictwa i stylu. Jeśli pominąć nieznane nam — często obejmujące całą mitologiczną fabułę utworu — realia, lirycz-

ny spadek helleńskiego antyku możemy sobie przyswoić bez większych trudności.

Tym bardziej że jest to poezja — w ogromnym zasięgu tego słowa — humanistyczna. Znowu określenie ograne, osłuchane, tułające się w wielkiej ilości potomków po stronicach najróżniejszych prac drukowanych. A jednak — nie znam bardziej ludzkiej poezji niż liryka grecka. Ludzkiej — tzn. towarzyszącej człowiekowi w każdej chwili dnia, w każdej okoliczności życia, w każdej sprawie, świadczącej o odrębności jego zainteresowań wśród potrzeb innych istot żyjących. Nad poezją dawnych Greków mogą się do woli pastwić konstruktorzy najbardziej skomplikowanych i rozczłonkowanych typologii liryki; znajdą oni tam materiał do podbudowania swoich hipotez. Kartkując *Antologię* spotykamy się raz wraz z ułamkami moralitetu, eposu, romancy (puśćmy wodze anachronizmowi!) antycznego trubadura, wierszowanej dydaktyki, poetyckiej „agitki", filozoficznego dyskursu i oratorskiej filipiki polityka... Ta poezja jest bogata zasobem uczuć i pragnień ludzkich, naszych dążeń, miłości i nienawiści. Ktoś, kto przemierza dzieje literatury w poszukiwaniu niezafałszowanej oryginalności ideowej i artystycznej — ucieknie stąd zawiedziony; ktoś, kto szuka w poezji natchnienia i usprawiedliwienia dla wielkich pasji i tęsknot ludzkości — znajdzie w tej książeczce walną pociechę, okazuje się bowiem, że idziemy w dobrym kierunku, którego wypatrywali już nasi greccy praojcowie. Właśnie dlatego liryka grecka świadczy bardzo dobrze o atrybutach koniecznych dla prawdziwie humanistycznej (w postępowym odblasku tego słowa) literatury...

Mimo wyszczególnionych wyżej cech, na których wspiera się, jak sądzę, świeżość i komunikatywność poezji dawnych Greków dla nas, ludzi drugiej połowy dwudziestego wieku — z kart *Antologii liryki greckiej* unosi się wyraźny chwilami odór jakiejś starczej stęchlizny. Staranna szata edytorska, okrywająca ów tomik Biblioteki Narodowej nie potrafi, niestety, przysłonić wyciśniętego na książce szkolarstwa, rodem z ubiegłego stulecia. Dotykam tutaj zresztą sprawy bardzo zasadniczej dla popularyzacji całej poezji i dramaturgii antycznej, wartej zatem szerszego omówienia.

Jest w typologii poezji rozbudowanej przez jednego z niemieckich teoretyków literatury kategoria trudna do przetłumaczenia, ale znakomicie, choć trochę złośliwie, oddająca charakter objętych nią utworów: *Professorenlyrik*. Jest to poezja, tworzona przez uczonych humanistów, o dużym ładunku historyczno-literackim wpływów i filiacji — kulturalna, ale trochę ciężkawa i mało oryginalna. Jest to poezja zazwyczaj anachroniczna: ociężała intelektem erudycja nie potrafi zwykle nadążyć za świeżością lirycznego odczucia.

Wśród jedenastu tłumaczeń, których przekłady złożyły się na *Antologię*, można naliczyć (włączając w to Kasprowicza) aż siedmiu profesorów uniwersytetu! Pewno, nazwiska Sinki, Srebrnego, Klingera, Steffena — nie mówiąc już o Porębowiczu — dają gwarancję wierności przekładu, jak najbardziej przystającej zgodności jego treści, nade wszystko zaś realiów, z tekstem antycznego oryginału. Ale wierność — to dopiero jedna połowa literackiej (nie: historyczno-literackiej) wartości tłumaczenia.

Z jej drugą połową: poetyckim pięknem, jest w *Antologii* znacznie gorzej, czasem nawet zupełnie źle. Przekłady są stare — i to nie czternastoma wiekami odległości od antyku, ale kilkudziesięcioma latami, dzielącymi nas od pozytywizmu i Młodej Polski. Z panujących wówczas manier stylistycznych i składniowych, metaforycznych, a przede wszystkim leksykalnych wywodzą się frazy spolszczone nie tylko (co jest najzupełniej zrozumiałe) przez Kasprowicza i Porębowicza, ale i przez żyjących i tłumaczących w latach 50-tych naszego wieku (a więc współczesnych Parandowskiemu i Morstinowi!) Srebrnego i Steffena. Przeczytajmy chociażby niewielki utwór Anakreonta, zaadresowany do Dionizosa, który tak przekłada Stefan Srebrny:

Przyjdź, mocarzu, co w gronie nimf
Ciemnookich z Erosem tam,
Z Afrodytą zawodzisz!
Lekki, zwinny cię niesie pląs
Hen, po szczytach wysokich gór!
Kornie chwytam się kolan twych:
Modłom naszym miłościw bądź,
Skłoń się ku nam łaskawie!
Dobrą radą, władyko, służ:
Niech kochaniem nie gardzi mym
Kleobul, o Dionizosie!

Gdybyśmy, podobnie jak publiczność w parodii *Rozdroża miłości* Zawieyskiego-Swinarskiego, zaczęli wołać o autora owego przekładu, sypnęliby się ku nam nie tylko Wyspiański i Rydel, ale Asnyk, Felicjan Faleński, a nawet poczciwy Bohdan Zaleski. W tym bardzo typowym dla przekładów w *Antologii* tłumaczeniu kroczy zgodnie pod rękę filologiczna wierność oryginałowi z młodopolskim, leksykalnym emocjonalizmem, romantycznymi kadencjami fraz i pozytywistycznym, odpoetycznionym rytmem. Widać tu — bez złośliwości! — jak bliższa znajomość ze współczesną poezją skończyła się dla tłumacza wraz z opuszczeniem ławy gimnazjalnej.

Wydaje mi się, że tego rodzaju artystycznych anachronizmów nie można usprawiedliwiać dążeniem tłumacza do ofiarowania czytelnikowi jak najbardziej wiernego przekładu. Zacznijmy zresztą — jak to się mówi — od pieca i zapytajmy: dla kogo właściwie są przeznaczone tłumaczenia z literatury starożytnej, dla studentów i wykładowców filologii klasycznej czy dla zwykłych śmiertelników, nie znających greki, a nawet łaciny? Człowiek, który chce czy musi znać utwory starożytnych jako dokumenty literackie i kulturalne — jest obowiązany do nauki łaciny i greki, przekład zatem służy czytelnikowi, szukającemu w dawnej literaturze wzruszeń i przeżyć korespondujących z teraźniejszością, przekonujących go o wiecznotrwałości pewnych ludzkich pasji i dążeń. I takiemu człowiekowi podsuwa się przed oczy kawałek — nie zawsze zresztą dobrze zrytmizowany — metrycznej czy rymowanej prozy...

Niedawnymi czasy przeżywaliśmy małą rewolucyjkę literacką z okazji ukazania się prozaicznego przekładu *Odysei*, dokonanego przez Parandowskiego (znamienne zresztą, że ani nazwisko jego, ani Ludwika Hieronima Morstina nie pojawiło się wśród polskich współautorów *Antologii!*). Wątlutka dyskusja zainicjowana przez *„Tygodnik Powszechny"* męczyła się w długich i zawiłych rozważaniach, czy Parandowski miał prawo pozbawiać siebie i czytelnika nudnego i bezowocnego trudu łamania potoczystej narracji Homera na męczące i nudne, niby-heksametryczne trzynastozgłoskowce. A tymczasem czytelnicy, którzy rozkupili dwa wydania *Odysei* Parandowskiego (podczas gdy filologiczny przekład Czubka do dziś dnia żółknie w antykwariatach), rozkoszowali się jakże nowoczesną opowieścią greckiego epika...

Jaka z tego konkluzja? Wydaje mi się, że dla przekładu starożytnych poetów i dramaturgów (układali oni swe sztuki przecież również wierszem) stworzony jest jak gdyby wiersz nowoczesny, w którym (jak — chociażby — u Różewicza) jedynym współczynnikiem metrycznym jest przełamanie frazy na człony. Użycie tego wiersza, który jest przecież o wiele łatwiejszy dla tłumacza i czytelniejszy dla współczesnego odbiorcy, ocali niewątpliwie dużo z czystego poetycko wzruszenia, do jakiego musimy się — przy obecnej polskiej szacie liryków zgromadzonych w *Antologii* — z trudem dokopywać. Dla istotnej popularności tej niewątpliwie cennej książeczki ważne jest bowiem, aby była mniej filologiczna, a bardziej poetycka.

Z tych samych względów dobrze — po jastrunowsku — pojętej popularyzacji literatury rościłbym pewne pretensje do wstępu do *Antologii* pióra prof. Steffena. Nie zaprzeczam dydaktycznym wartościom tej 150-stronicowej rozprawki i oceniam jej niewątpliwą przydatność do przedegzaminowej nauki. Ale wszak *Antologia* — jak zresztą i cała Biblioteka Narodowa — nie jest przeznaczona tylko i wyłącznie dla studentów. Wstęp prof. Steffena jest przeładowany wiadomościami o realiach twórczości poszczególnych liryków greckich, spoza których jakże rzadko przeziera ludzkie oblicze tych twórców, nie odbijające się przecież w suchym katalogu biograficznym. Pójście w kierunku bardziej swobodnie pojętego eseju wyszłoby niewątpliwie nie tylko tej pozycji Biblioteki Narodowej na dobre.

Dokładność i techniczna precyzja nie wystarczą, ale aby z nielicznych skorupek odtworzyć piękną, grecką wazę — konieczny jest do tego, korespondujący żywo ze współczesnością, zmysł piękna. Baczmy, abyśmy w troskliwym odtwarzaniu jambów i chorejów nie zagubili ludzkiego piętna poezji, która od wieluset lat wzrusza nie tylko naszą epokę...

Zbigniew Pędziński

Z PRASY

Publicystyka i publicystyka. Na jeden temat, na jedną nutę. Bardzo pryncypialnie. I zgodnie. Wszyscy są zgodni co do tego jednego tematu — tematu nr 1, jak pisał Adolf Rudnicki. Jak można nie być zgodnym co do „demokratyzacji"? Łapię się na tym, że przeglądając naszą prasę poszukuję ostrego artykułu w obronie niejawności życia publicznego albo o niebezpieczeństwach, jakie groziłyby państwu ze strony niezawisłych sądów czy niezależnej prasy. Próżne nadzieje. Póki się o demokracji pisze, wszyscy są zgodni. Gorzej, gdy przychodzi ją realizować. Dlatego zresztą tak podejrzana jest zgoda publicystów. Ludzie są zgodni zazwyczaj co do rzeczy, których nie ma. Prawdziwa demokracja polega m. in. na tym, że wszyscy ją zwalczają. Demokracja utrzymuje się dotąd, dopóki pozwala się zwalczać z różnych stron. Widziałem kiedyś w kronice filmowej bójkę w parlamencie japońskim. Przedstawiciele różnych partii próbowali zrzucić z krzesła przewodniczącego. Ponieważ jednak wszyscy chcieli to zrobić jednocześnie, przewodniczący nie mógł spaść. Był to mądry człowiek i wiedział, że nie spadnie, więc siedział z kamienną twarzą i wykonywał swoje obowiązki, tzn. jedną ręką trzymał papiery, a drugą dzwonił. Właściwie na tym polega istota demokracji. I kiedy w prasie zobaczę pierwszy artykuł przeciwko demokracji, będę pewien, że demokracja już jest.

*

Powszechną uwagę zwróciły drukowane w *„Po prostu"* reportaże pt. *Na peryferiach praworządności.* Nie ma tu nic do dodania. Ujawnienie afery kieleckiej, rozbudzenie miejscowej opinii publicznej oraz doprowadzenie do interwencji władz zwierzchnich to naturalny przebieg wpływu prasy na życie. W szczegóły sprawy nie wchodzę, nie chcę do niej wracać. Natomiast zdziwił mnie artykuł Zimanda pt. *O Temidzie partyjnej i jednocześnie niezawisłej.* Artykuł ten kontynuuje tradycje „podsumowań", wyciągania „krótkich wniosków". Zimand, omawiając zebranie egzekutywy KW w Kielcach, zwraca uwagę „towarzyszom kieleckim" na brak pryncypialności: „... *gros* czasu poświęcono nie zasadniczym problemom związanym z zagadnieniami partyjnego kierownictwa aparatem wymiaru sprawiedliwości..." Z drugiej jednak strony jednemu z kieleckich towarzyszy odpowiedzialnych za łamanie praworządności zarzuca, iż ten „ograniczył się do stwierdzenia, że »za mało tkwił w masach« oraz, że »w działalności jego były elementy administrowania«". Z dalszej lektury *Krótkich wniosków* Zimanda wynika, że ów „towarzysz kielecki" dokładnie sprostał wymaganiom publicysty *„Po prostu"*. „Tkwić w masach" — czy „administrować" — oto *aut* — *aut* kieleckiego łamania praworządności. Instruować sądy czy nie instruować — oto *aut-aut* Zimanda. „Wszyscy wiemy, że sądy powinny być niezawisłe" — dręczy się autor artykułu o partyjnej Temidzie. „Wiemy jednocześnie, że partia powinna kierować wymiarem sprawiedliwości." I tu otwiera się piekło wątpliwości, które każdego absolwenta INS rzeczywiście mogą doprowadzić do obłędu: jeśli partyjne, to zawisłe, jeśli niezawisłe, to niepartyjne; jeśli partyjne i zawisłe, to niedemokratyczne, tak? Tak twierdzą niektórzy — powiada Zi-

mand — ale pogląd taki „jest w sposób oczywisty nie do przyjęcia dla komunisty". A może mimo to demokratyczne? Taki pogląd nazywa Zimand poglądem „z socjalistycznych imienin u socjalistycznej, dobrej cioci". Więc? Jaki więc pogląd nie jest od cioci, a jest jednocześnie w sposób oczywisty do przyjęcia dla komunisty? Pocytujmy twierdzenia pozytywne z artykułu Zimanda:

„Przyjmujemy założenie, że partia powinna kierować całokształtem polityki karnej. Co to znaczy? Jak to realizować? Nasuwa się oczywista* odpowiedź, że przede wszystkim przez komunistyczne wychowanie członków partii pracujących w sądownictwie i prokuraturze. To znaczy przez wychowanie komunistów pracujących w aparacie wymiaru sprawiedliwości na ludzi, którzy sami będą rozumieli, jak powinien postępować członek partii w tak odpowiedzialnej dziedzinie życia..."

I dalej:

„Niechaj sekretarze KW i kierownicy wydziałów nie ingerują w konkretne przypadki. To słuszne. Ale trzeba to uzupełniać: niechaj prokuratorzy i sędziowie mają odwagę przeciwstawienia się takiej ingerencji."

Niechaj zrozumieją, niechaj moją odwagę — trzeba ich wychować, nauczyć. Przypomina to rozumowanie chrześcijańskiej demokracji, która chciała realizować sprawiedliwość społeczną przez umoralnianie zarówno klas posiadających, jak pracujących: niechaj kapitaliści zrozumieją, że żyją z wyzysku, niechaj robotnicy mają odwagę przeciwstawić się wyzyskowi, będziemy mieli rewolucję skuteczną i moralną zarazem. Podobnie Zimand: niechaj jedni zrozumieją, a drudzy niech mają odwagę, będziemy mieli Temidę partyjną i niezawisłą. Podobnie większość naszych publicystów politycznych: niechaj jedni będą uczciwi, a drudzy rozumni, niechaj jedni rozsądnie planują, a drudzy dobrze pracują, niechaj jedni będą odważni, a drudzy łagodni — będziemy mieli i socjalizm, i demokrację, i przemysł, i stopę życiową, i praworządność, i bezpieczeństwo.

Każdy absolwent INS-u powie, że to jest dialektyka. Odpowiem słowami Lenina:

„Dialektykę zastępuje się eklektyzmem... Taka zamiana nie jest, oczywiście, nowością, znaleźć ją można było nawet w dziejach klasycznej filozofii greckiej. Przy fałszowaniu marksizmu na modłę oportunizmu najłatwiej oszukać masy przez eklektyzm, podszywający się pod dialektykę, co pozornie daje zadośćuczynienie, uwzględnia wszystkie strony procesu, wszystkie tendencje rozwoju, wszystkie sprzeczne oddziaływania itp., a w istocie rzeczy nie daje żadnego jednolitego i rewolucyjnego pojmowania procesu rozwoju społecznego." (Z pracy *Państwo a rewolucja*)

Eklektyzm nie byłby może nawet złą rzeczą, gdyby nie to, że umożliwia podstawianie niewłaściwych zjawisk pod niewłaściwe pojęcia. Dlatego nie zawsze się u nas można połapać, co się właściwie mieści w słowie demokracja. Dlatego także namnożyło się naraz bardzo dużo demokratów.

Andrzej Kijowski

* Iloma to oczywistościami dysponuje szczęśliwy Zimand!

TRZY DNI ERMITAŻU

Jest taka książeczka Duhamela: młody człowiek, zapragnąwszy zostać świętym, notuje z dnia na dzień w swoim dzienniczku klęski i zwycięstwa na polu doskonałości. By nie razić najbliższych swoją ambicją (a może w obawie śmieszności?), słowo „świę*ty*" zastępuje słowem „turysta". Takie np. zdanie (powtarzam z pamięci) oszałamiające szczęściem: „Dziś piękny był dzień, przeżyłem go jak turysta".

W Leningradzie zdanie to powtarzałem w euforii przez trzy dni. Tyle trwał pobyt w tym mieście. W perspektywie roku, a nawet miesiąca, to niewiele, bagatela prawie. Ale w perspektywie życia te trzy dni Leningradu stanowią dla mnie cały układ astronomii, ogromny

świat doznań, w którym dzisiaj jeszcze się gubię. Tym bardziej olśniewający, że nie czekany, nie pragniony, nie przeczuwany także. Został mi darowany przez przypadek, który bynajmniej nie chciał mnie nadmiernie wyróżnić. Wylosowany na wycieczkę orbisową Leningrad — Moskwa, miałem mieć według programu co najmniej obojętną twarz wobec wzruszonych obliczy Matuszewskiego czy Jaszcza, obdarowanych Dalmacją czy norweskimi fiordami. Dzisiaj — gdyby nie los mnie, ale ja miałbym los wybierać — nie wybrałbym inaczej. Leningrad to najpiękniejsze spotkanie mojego życia. A przecież miałem spotkania piękne. Wenecja, Florencja, Rzym. Nawet Rawenna, nie leżąca na przeciętnej turystycznej trasie. Przypominam te miasta, z których każde było szokiem, zachwytem, westchnieniem. Tam się rodziłem do sztuki. By potem przez lata umierać.

Nie ma beznadziejniejszej śmierci niż umieranie sztuki. Niesposób zatrzymać tego procesu rozkładu, kiedy kruszą się wartości doskonałego trwania, kiedy marmur traci spoistość, proporcje, zachodzi mgłą, kiedy barwy zlewają się, matowieją, rozpływają w powietrzu i zostajemy z coraz rozleglejszą pustką. Bo cóż z tego, że żyją w innych oczach, jeśli w tych jedynych oczach, którymi patrzę, niepowrotnie z dniem każdym gasną. To umieranie — z niczym nie jest porównywalne. Kiedy umiera miłość, to my umieramy z nią razem. Między tą śmiercią a nami nie ma dystansu. Coś w nas samych zastyga, kamienieje i w końcu odpada. Cierpimy jeszcze wspominając umarłe, ale jest to cierpienie spokojne, wzniosłe, będące niejednokrotnie źródłem nowej rozkoszy. Czerpiemy zeń zdolność do nowej miłości, wierzymy, bardziej umiejętnej, bardziej trwałej. Śmierć dzieła sztuki zostawia nas sam na sam z nieszczęściem. Nienaruszonych, z tą samą wyogromnioną przez nie wrażliwością, osamotnionych, z ostrym, coraz ostrzejszym poczuciem osamotnienia. Czujemy, jak w oczach gaśnie blask barw, rozprzęga się harmonia kształtów, nikną umiłowane proporcje. Na pomoc przyzywamy całą pamięć wzruszenia, do jakiej jesteśmy zdolni, oglądamy z zapamiętaniem reprodukcje, usiłujemy wzbudzić w sobie gwałtowny, sztuczny, by był prawdziwszy, akt zachwytu — wszystko daremnie. Rozpoczyna się konanie, trwające miesiące, czasem lata, dzieło sztuki żyje coraz bardziej słabnącym, zamierającym uderzeniem serca, oddycha ledwie słyszalnym westchnieniem. I wreszcie zostajemy sami. Z raną w pamięci, z raną w sercu, z raną w myśli. Nic jej nie zaleczy, nic jej nie zapełni. Cóż może zapełnić tę wyrwę po *Zwiastowaniu* Simone Martini, po *Zdjęciu z krzyża* Giovanniego Bellini, po *Ucieczce do Egiptu* Giotta, Fra Angelico?

Natura człowieka jest cudotwórczym żywiołem. Doświadczyłem na sobie jej miłosierdzia i jej cudowności. Gdy oślepły oczy i serce w absolutnej pustce powtarzało jak automat czysto fizyczne funkcje, nagle na dnie nieszczęścia otworzyły się uszy. Głuche od urodzenia, rozgrały się, świat chaotyczny, bezkształtny zaczął się — jak kiedyś w malarstwie — formować w harmonię, proporcje, barwy. Z dźwięków. Zbliżyli się z tak daleka, że aż z niemożliwości, Beethoven, Mozart, Haydn. Z potrzeby serca, któremu nie wystarcza ta jedyna, wszędzie dostępna ambicja utrzymania przy życiu ludzkiego ciała. Dar natury, która nie może znieść bezgranicznego nieszczęścia. Świat zastępczy, czułem to zawsze. Stworzonemu do oczu nic nie zastąpi widzenia. Gdy po latach ciemności ujrzałem przybyłą na cztery dni do Warszawy *Florę* Rembrandta, to jakby się otworzył grób, gdzie było pochowane serce. Ale z tej śmierci nie ma zmartwychwstania. Tak myślałem. I wtedy właśnie nastąpił Leningrad.

Ermitaż to największy szok, jakiego w życiu doznałem. Jakbym się znalazł, bez uprzedzenia, jednocześnie w Luwrze, w Uffizi, u Pittich i w Pinakotekach — Watykańskiej, Wiedeńskiej i Monachijskiej. Oczom, które na kilka dni przed wyjazdem z Warszawy na wystawie dziewiętnastowiecznego malarstwa francuskiego nie potrafiły się skupić na żadnym z przywiezionych obrazów, znanych im przecież dobrze, dziesiątki razy oglądanych w Jeu de Paume i Luwrze, tutaj jakby błyskawice rozdarły kataraktę ciemności. W niewiele chwil. Dosłownie w tyle, ile potrzeba, aby gorączkowo pytając odźwierne o najkrótszą drogę, przebiec przez przeładowane złotem salony Pałacu Zimowego i znaleźć się w salach kolekcji włoskiej. Od razu wszystkie zawory, żaluzje i katarakty, ograniczające wzrok przez lata, rozpadły się nagle. Nie wiem, czy bez Włochów potrafiłbym przeżywać, tak jak przeżywałem, Flamandów, Niemców, Francuzów, Holen-

drów. Może jeszcze Roger van der Weyden *(Łukasz ewangelista rysujący Madonnę)*, olśniewający spokojem barwy i harmonii, z przejrzystym, a jednocześnie konkretnym, rzeczowym pejzażem, przypominającym Jana van Eycka z Luwru *(Madonna z donatorem)*, zdołałby to sprawić. Może. Lecz Włosi byli przecież. Trzydzieści jeden sal malarstwa włoskiego od Simone Martini do Tiepola. Przede wszystkim Quattrocento. Wiedziałem, że czeka mnie *Madonna Litta* (na reprodukcjach dziwiła zawsze niebieskością szaty i pejzażu za oknami) i *Madonna Benois* Leonarda, wiedziałem o *Świętej rodzinie* i *Madonnie Conestabile* Rafaela. I tylko tyle wiedziałem. Bo już *Judyta* Giorgione była całkowitym zaskoczeniem. Wpatrując się w *Świętą Katarzynę* Luiniego, o twarzy tak podobnej do świętej Anny z obrazów Leonarda przypadkowym zwróceniem głowy w prawo, zobaczyłem *Judytę*. Te dwa, trzy obrazy, które widziałem (nie znam *Wenus* z Drezdeńskiej), np. *Koncert w polu* z Luwru, nie dały mi odrębnego pojęcia o Giorgione. Zacierał mi się zawsze między Tycjanem i Bellinim. Dopiero *Judyta* niezwykłością kolorytu, tą złoto-czerwienią niemal florentyńską, nie spotykaną u żadnego malarza weneckiego, przy jednoczesnym nasyceniu barwy i precyzji rysunku tej szkoły, dała mi pojęcie Giorgione.

Malarstwa włoskiego z Ermitażu niesposób ani wyliczyć, ani tym bardziej wybrać. Oczywiście wychodzi się i idzie w życie z kilkoma obrazami, bo wszystkich przecież oczy nie uniosą, ale jakże szkoda tych, które pozostaną. Jakże nie wziąć ze sobą *Zwiastowania* Cima da Conegliano, tego genialnego ucznia Belliniego, który mówi i za siebie, i za swego mistrza. Jakże zostawić *Madonnę z dziecięciem* Pollajuolo, *Adorację* Ghirlandajo? Della Robbia? Chciałoby się unieść możliwie najwięcej z Quattrocento, ten cały świat barw jakby żywcem wniebowziętych. Lecz oczy nie uniosą. Tym bardziej że odradzają się do nowego życia dzieła zdawało się już umarłe i pogrzebane w niepamięci. Przed freskiem Fra Angelico *(Madonna z dziecięciem, św. Dominik i św. Tomasz)* w oczach staje cały San Marco z Florencji. Mieni się od tamtej niebieskości i tamtego złota, bijących od anielskich skrzydeł długo jeszcze w nocy nad Newą. Przed maleńką Madonną Simone Martini odżywają Uffizi, Siena. Cały ogromny, najwspanialszy ze wszystkich możliwych światów świat malarstwa jakby wstał z martwych zewsząd. Wraca się potem do tych sal jeszcze wspanialszych, bo wzbogaconych o wszystkie inne, kiedykolwiek oglądane. W salach Veroneza i Tycjana jest jednocześnie i Luwr, i Wenecja. Chciałoby się już z tych sal włoskich nie iść dalej, bo nic — wydaje się — nie zdoła ich przewyższyć wzruszeniem ani uzupełnić w niczym. Przed *Madonną Littą* składam wszystkie najwznioślejsze, jakie potrafię w sobie skrzesać, myśli dziękczynne. Jak modlitwę odmawiam barwy.

Po odzyskaniu największego zachwytu, następnego dnia idę zobaczyć te dzieła, od których zaczęła się moja miłość malarstwa. Idę w odwiedziny do własnej młodości. Francuscy impresjoniści. Idę raczej z zaciekawieniem niż z gwałtownej potrzeby serca. Impresjoniści wzbudzili we mnie kiedyś, przed wieloma już laty, wrażliwość na sztukę, ale oddaliłem się już bardzo od tamtych wzruszeń. Zresztą przekonany jestem, że znam ich dobrze i niczego nowego się nie spodziewam. Po dobrych, solidnych zbiorach szkoły barbizońskiej, Corota, Courbeta — pierwsza sala impresjonistów: dwa obrazy Maneta i kilkanaście Claude-Monetów. Od razu szok. Kilka tak olśniewających, świeżych w barwie (jak tylko mogą być impresjoniści), że drga nie tylko powietrze na płótnach, ale wprost w sali: *Śniadanie na trawie* i *Klomb*. Aż się wierzyć nie chce, że to Claude-Monet. Ale już obok, na przeciwległej ścianie *Katedra w Rouen* (ze znanego cyklu), *Most Douvres* we mgle. Tak, Claude-Monet. Znając tego malarza, znając go we własnym pojęciu nieźle, nie podejrzewałem nigdy tak silnej, jednolitej, odrębnej indywidualności. We wrażeniu zacierał mi się zawsze między Manetem, Pissarrem i Sisleyem *(nota bene* niedawna wystawa francuska w Warszawie — dogoniłem ją po Ermitażu w Moskwie i sprawdziłem — wrażenie to utwierdzała). Pamiętam, że mówiąc kiedyś Janowi Cybisowi o tej „niewidoczności" Moneta usłyszałem gorący protest: Claude-Monet to wielki, odrębny malarz, tak samo odrębny i własny, jak Gauguin, jak Van Gogh. Nie zrozumiałem i nie uwierzyłem. Teraz, w Leningradzie, przed nie przeczuwanymi arcydziełami Moneta w pokorze przyznaję rację Janowi Cybisowi. Cóż, nic dziwnego, wielki malarz polski dojrzał Moneta tam. gdzie moje oczy

nie umiały się przebić. Mnie trzeba było dowodów oczywistych.

Ogromne sale (każda po dwadzieścia kilka płócien) Renoira, Cézanne'a, Gauguina, to już czysta radość, bez dydaktyzmu. Potwierdzenie i odnowienie doznań młodości. Wzbogacenie także. Zaręczam, każdy, kto chce poznać impresjonistów, powinien przede wszystkim jechać do Ermitażu, bo dzieł tej miary i w takiej masie nie znajdzie we Francji. Oczywiście francuskie wystawy specjalne (pamiętam takie: Cézanne'a u Bernheima przed wojną, Gauguina, Van Gogha w Orangerie po wojnie), gdzie zgromadzono obrazy z muzeów zagranicznych i zbiorów prywatnych, były bogatsze, pełniejsze, ale żaden ze znanych mi muzeów tylu dzieł i tak reprezentacyjnych nie posiada. To samo odnosi się do Matisse'a. Ermitaż, chociaż gromadzi dzieła z jednego okresu (1907-1913), jest bogatszy od Musée de l'Art Moderne.

Jedynym zgrzytem tej kolekcji późnych Francuzów, jedynym zgrzytem Ermitażu jest prostacki obraz Fougerona zawieszony w miejscu widocznym, nad schodami, i rzucający się w oczy, gdy się wychodzi z pięknej salki grupującej obrazy Sisleya, Utrillo i Rousseau-celnika.

Zdumienie bogactwem kolekcji francuskiej wzmaga się jeszcze w salach grupujących dzieła poprzez wieki od Fouqueta do Chardina (Poussin, Watteau, Fragonard, Boucher...). Oczy już są ociężałe nowym, wspaniałym życiem. Jak pszczoły obładowane nazbieranym pięknem, z trudem unoszą się z obrazu na obraz. A Watteau *(Zalotnica)* i Chardin *(Praczka, Domek z kart)* to przecież ogromna przygoda sama dla siebie.

Włosi! Francuzi! Jakżeż nie postawić wykrzykników przy Niemcach (Dürer, Holbein, a przede wszystkim Cranach, Cranach: cztery wspaniałe portrety, chyba najpiękniejsze na świecie, i *Madonna z dziecięciem)*, przy Hiszpanach, przy Flamandach średniowiecznych (wspomniany Roger van der Weyden, ale nie tylko; *Pieta* Hugona van der Goesa, *Pieta* Gerarda Davida)! A Flamandzi siedemnastowieczni? Rubens, van Dyck, Snyders. Drugiego dnia pobytu w Leningradzie doszedłem do takiego zachwytu, że już nie potrafiłem go stopniować. Nie potrafię i dzisiaj. By nie przeciągać struny, zatrzymuję się przy dziesięciu ogromnych, martwych i żywych naturach Snydersa i po prostu chłonę urodę rzeczy jadalnych. Tutaj już nie podziw, ale zdumienie ogarnia.

Jeśli kolekcja włoska wskrzesiła mi Włochy, francuska wzbogaciła Francję, to w Ermitażu także narodziłem się dla sztuki, której nie znałem. Całkowicie Ermitażowi zawdzięczam Holendrów. Oczywiście widziałem poszczególne obrazy wielkich mistrzów holenderskich. Ale malarstwa holenderskiego nie znałem. Niestety, podczas naszego pobytu Rembrandt nie był dostępny. Gdyby był dostępny, może nie zdołałbym już go wchłonąć. Bo to, co zobaczyłem, zobaczyłem z ostatecznym wysiłkiem fizycznym. Gdy trzeciego dnia (wieczorem był wyjazd do Moskwy) nie chcąc uronić ani minuty nie poszedłem na obiad, bite siedem godzin przebyłem w muzeum, wychodziłem ledwie żywy. Nie tylko nogi. Oczy. Były tak pełne, że wszystko widziane przelewało się i idąc Newskim Prospektem dosłownie nie dostrzegałem ludzi i pojazdów. Tylko Holendrzy. Tylko Holendrów widziałem. Jakżeż ich wymienię. Wielu z nich widziałem po raz pierwszy, wielu tak jak po raz pierwszy. Dziesiątki delikatnych, naprawdę aksamitnych (Jan Breughel) pejzaży, dziesiątki wnętrz mieszczańskich tak urodnych, jak najpiękniej skomponowane martwe natury, zwierzęta, kompozycje figuralne. Realizm i romantyzm tego malarstwa, tak odrębnego, jakby pochodziło z innego świata, z innej cywilizacji, nasyconej spokojem ducha i pewnością, że szczęście jest osiągalne. Humanizm tego malarstwa jakby mi do mojej duszy dodał nową duszę jeszcze. Wyjeżdżałem z Leningradu odrodzony, wzbogacony i szczęśliwy.

Zbigniew Bieńkowski

FEDERICO GARCIA LORCA
W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ ZAMORDOWANIA

W roku 1954 ukazało się na wystawach księgarń madryckich imponujące dzieło, wydane w niewielkiej ilości egzemplarzy na najbardziej luksusowym papierze, w zachwycającej oprawie. Było, oczywiście, bardzo drogie, przeznaczone najwyraźniej dla ozdoby mieszkań, na użytek wytwornych snobów. Na karcie tytułowej widniały słowa: Federico Garcia Lorca—*Pisma*. Widok tego dzieła przejmował zdumieniem.

Przed dwudziestu laty, 6 sierpnia 1936 roku, poeta i dramaturg Federico Garcia Lorca zamordowany został na drodze koło rodzinnej Grenady. Zamordował go pluton żandarmerii z rozkazu tego samego rządu frankistowskiego, który obecnie tak uroczyście publikuje jego książki. Ci, którzy hojnie subwencjonowali wydawnictwo, mają jeszcze na rękach krew największego współczesnego poety hiszpańskiego. Długi czas zakazywał Franco publikowania utworów Garcii Lorki. Grób zamordowanego nie znajduje się w obrębie żadnego cmentarza. Lorcę pochowano koło drogi, tam gdzie padł owej księżycowej, letniej nocy. Więzieniem i kijami karano chłopów andaluzyjskich, którzy przyozdabiali kwiatami miejsce, gdzie po raz ostatni zachwycał się pięknem świata twórca *Romansów cygańskich* i *Czarującej szewcowej*.

Cóż się więc stało, że nagle postanowiono opublikować dzieła „wyklętego" pisarza? Nie trudno domyślić się przyczyn tej zmiany. W Madrycie zrozumiano nareszcie, że można zabić poetę, ale nie podobna zamordować bliskiej narodowi poezji. Już w 1937 roku żołnierze i robotnicy recytowali długie poematy swego ukochanego Federica. W okresie triumfującej dyktatury frankistowskiej zakazane wiersze Lorki krążyły w odpisach z rąk do rąk, uczono się ich na pamięć, szeptano w celach więziennych. Nie podobna było zatrzeć wspomnień o Garcii Lorce, wydrzeć z pamięci jego imienia. Zaczęto więc przebąkiwać w Madrycie, że autor *Czarującej szewcowej* został rozstrzelany „przez omyłkę", że właściwą ofiarą krwawego wyroku miał być inny wielki poeta Hiszpanii współczesnej, kolega i bliski przyjaciel Federica, obecnie wygnaniec — Rafael Alberti. Osobliwa to próba oczyszczenia się ze zbrodni — przez twierdzenie, że zamierzało się zamordować kogoś innego.

Na próżno próbuje więc Franco nowego środka sparaliżowania przemożnego wpływu, jaki na własny naród i na opinię świata wywiera twórczość Federica. Tym środkiem ma być zagarnięcie poezji Lorki, nadanie jej oficjalnego stempla frankistowskiego, „uświęcenie" jej urzędowymi publikacjami. Nie może się to udać, gdyż świat pojęć i wyobrażeń Lorki jest po prostu antytezą tego wszystkiego, co reprezentuje i co zawsze reprezentował reżym madryckiego dyktatora.*

Federico Lorca urodził się pod Grenadą, w rodzinie chłopskiej, na granicy dwóch wieków — 5 marca 1899 roku. Jego rodzinne strony to jedna z najpiękniejszych prowincji hiszpańskich, rozśpiewana, pełna słońca i radości Andaluzja. Prowincja ta, wysunięta daleko na południe, nosi ślady i przechowuje wspomnienia dawnych cywilizacji — rzymskiej i mauretańskiej. Bogate i różnorodne kultury ludowe spotykają się tutaj. Jedna z dzielnic Grenady — stolicy Andaluzji — to zamieszkany wyłącznie przez Cyganów Albascin.

Rodzina, rzecz prosta, marzyła dla syna o karierze sędziego czy urzędnika. Dlatego po ukończeniu szkoły średniej w Grenadzie zapisał się Federico na wydział prawa miejscowego uniwersytetu. Był pilnym słuchaczem, zdał nawet wszystkie egzaminy, lecz równocześnie entuzjazmował się poezją, muzyką, malarstwem, teatrem i sztuką ludową.

Był wszechstronnie i zdumiewająco uzdolniony. Gdy się zjawiał w kawiarni i zaczynał mówić, milkły wszystkie głosy, zbiegano się od innych stolików,

---

* Ostatnio rodzina Garcii Lorki, a szczególnie jego brat, zakazali wystawiania na scenie dzieł zamordowanego poety.

by posłuchać jego frapujących opowiadań, błyskotliwych paradoksów, wspaniałych anegdot. Zdolności rysunkowe i malarskie (zwłaszcza do karykatury i grafiki) współzawodniczyły u młodego słuchacza prawa z wielkim talentem muzycznym. Podczas gdy kolega i przyjaciel jego, Rafael Alberti, dotarł do literatury poprzez uczestniczenie w wystawach awangardowej plastyki, Lorca zaczął od komponowania pieśni. Chętnie wsłuchiwał się także w piosenki śpiewane przez lud andaluzyjski. Z pasją namiętnego zbieracza krążył od wsi do wsi, notując słowa i melodie, publikując ludowe utwory albo też opierając na ich motywach kompozycje własne. Wtedy to przejął się Lorca gorącą miłością i nigdy nie wygasłym zachwytem dla samorodnej hiszpańskiej, a szczególnie andaluzyjskiej, twórczości ludowej. Wtedy to usłyszał na pewno i zobaczył w wyobraźni zarysy przyszłych swych sztuk, przede wszystkim *Czarującej szewcowej, Mariany Pinedy i Yermy.*

Nie wolno jednak niczego upraszczać. Z oczarowaniem, z zachwytem dla ludowego nurtu poetyckiego i muzycznego przeplatały się u Lorki, szczególnie w jego młodości, sugestie ówczesnej awangardowej poezji europejskiej, szczególnie futurystów i „ultraistów". Poeta i malarz bliski sercu Lorki, Rafael Alberti, zdobywał sławę na wystawach „młodej sztuki". Próbowano szukać nowych dróg, przeciwstawiać się panującemu dotychczas smakowi modernistów i symbolistów, łamać ustalone formy obrazowania, nasycać wiersze „skłębioną zamiecią metafor". Wrażliwa umysłowość Lorki poddawała się tym oddziaływaniom. Umiał on jednak godzić poetykę awangardową z bogatą tradycją ludu w swych poezjach a także w utworach scenicznych, nasyconych śmiałymi, pełnymi blasku metaforami.

W tym samym czasie budzi się w młodym poecie zamiłowanie do teatru i wielkiej narodowej poezji dramatycznej. Już na uniwersytecie organizuje Lorca doskonały zespół, który wystawia komedie Lope de Vegi oraz tragedie Calderona.

Powrót do „złotej ery" hiszpańskiego teatru miał być od tej chwili jednym z głównych punktów programu artystycznego Garcii Lorki. To hasło, na pozór zrozumiałe i naturalne, brzmiało w owym czasie niemal rewolucyjnie.

Przez cały wiek XVIII i XIX wielki teatr hiszpański, podziwiany za granicą, był we własnej ojczyźnie zapomniany. Gdy nasz Słowacki wchłaniał z zachwytem „brylantowe strofy" tragedii o *Księciu Niezłomnym,* młodzież hiszpańska mogła oglądać w swych teatrach tylko najbardziej pospolite francuskie sztuczydła bulwarowe. Gdy później w teatrach rosyjskich aktorzy wstrząsali widownię wielkim konfliktem *Owczego źródła* Lope de Vegi, gdy rząd carski musiał zakazać przedstawień tej rewolucjonizującej młodzież sztuki — w Hiszpanii zaledwie wspominano o niej w podręcznikach szkolnych. Lorca wracał do dawnej poezji dramatycznej, ponieważ był gorącym patriotą, ponieważ marzył, aby Hiszpania odgrywała znów tę wielką rolę w kulturze światowej, która była kiedyś jej udziałem.

W roku 1928 publikuje Lorca jedną z najsłynniejszych swych książek, *Romancero gitano.*

Większość zamieszczonych tu wierszy powstała w cygańskiej dzielnicy Grenady. Życie „gitanów", ich gorące zwady, umiłowanie wolności, tęsknota i radość stały się materiałem dla stworzenia prawdziwego arcydzieła, jakim są *Romanse cygańskie.*

O miasto, miasto cygańskie,
Zaułki, chorągwie w górze,
Żółty księżyc, dynia żółta,
Wraz z wiśniami w konfiturze.
O miasto, miasto cygańskie,
Któż cię nie znał i nie wspomina.
. . . . . .
Kiedy nocy urok nastanie,
nocy, nocy pośród nocy,
w swoich kuźniach już Cyganie
kują słońca i strzał groty.
Rży koń ranny, stuka w bramy,
we drzwi — nikt mu nie otwiera.
Zapiały koguty szklane
w Jeraz dela Frontera.
Zza węgła wypadł znienacka
wietrzyk nagi i łopoce,
wietrzyk nocy, nocy srebrnej,
nocy, nocy pośród nocy.*

Urok tego świata tym bliższy jest poecie, że w cygańskiej dzielnicy Grenady, w okresie „pierwszej dyktatury" gen. Primo de Rivery, policja rządo-

* Przekład Jerzego Ficowskiego.

wa, tak zwana „Guardia Civil", dokonała krwawej operacji:

Kędy przechodzą żandarmi,
tam wyrastają pożary,
tam się młodzieńcza i naga
fantazja w płomieniach spala.

W tym samym czasie, gdy dokonywano pacyfikacji „cygańskiego miasta", Garcia Lorca pisze swą pierwszą wyraźnie polityczną sztukę: *Marianę Pinedę* (1924). Jest to dramatyczna ballada o bohaterce walk wolnościowych z 1831 roku, Marianie, czyli, jak ją czule nazywa lud, Marianicie Pinedzie, która zginęła za to, że dla konspiratorów, członków tajnego związku, haftowała sztandar wolności. W tym właśnie czasie w Warszawie uczestnicy spisku szli nocą listopadową na Belweder ze słowami wydanego na krótko przedtem *Konrada Wallenroda*. W tym też czasie rewolucja wypędziła Burbonów z Paryża. Lud próbował wypędzić również z Hiszpanii znienawidzonego Ferdynanda VII, wysługującego się obcym rządom i własnej oligarchii.

Przedstawienie *Mariany Pinedy* w teatrze madryckiej aktorki, Małgorzaty Xirgu, stało się potężną manifestacją narodową.*

W roku 1930, w okresie najbujniejszej swej działalności literackiej i teatralnej, pisze Garcia Lorca drugą swą sztukę — *Czarującą szewcową*. Nigdy już później nie wzniósł się Lorca do tak pogodnego, radosnego i mądrego spojrzenia na życie i na ludzi. *La zapatera prodigiosa* (tak brzmi tytuł hiszpański) łączy urok świeżości z subtelną wnikliwością psychologiczną. *Szewcowa* jest zarazem jedną z najszczęśliwszych prób realizacji tak zwanego „teatru całkowitego", w którym tekst poetycki i sztuka aktorska splatają się w nierozdzielną całość z piosenką, tańcem, grą świateł i barw oraz z pewnymi cechami ludowego teatru marionetek.

W roku 1931 republikanie powierzają Garcii Lorce dyrekcję objazdowego teatru ludowego „La Barraca". Poeta przyjmuje to zadanie z radością i entuzjazmem. Teatr jego objeżdża cały kraj, by przypomnieć ludowi najpiękniejsze sztuki wielkich hiszpańskich klasyków. Nieśmiertelne *Owcze źródło* reżyseruje i wystawia Lorca w tej właśnie miejscowości, gdzie akcję sztuki umieścił Lope de Vega.

Równocześnie pisze Lorca nowe utwory z myślą o teatrze wielkiej aktorki, która go wprowadzała w świat sceniczny, Małgorzaty Xirgu. Powstają kolejno: *Krwawe gody* (1933), *Yerma* (1934), *Donna Rosita, czyli o wymowie kwiatów* (1935) i *Dom Benardy Alby* (1936). Coraz częściej pojawia się tutaj ton pesymizmu. Sytuacja Hiszpanii, zagrożenie młodej republiki, samotna drogą poety — były to zapewne przyczyny narastającej melancholii, jakże dalekiej od radości życia objawionej w *Czarującej szewcowej*.

Najpiękniej brzmi głos poety, gdy daje wyraz swej znajomości hiszpańskiego ludu. Na przykład w takim oto urywku dialogu między kobietą z ludu a jej dawną chlebodawczynią:

CIOTKA Obym ja miała twoje lata.

GOSPODYNI Niewielka różnica między nami, tylko że ja pracowałam ciężko i dlatego jestem mocna, a pani od leniuchowania zesztywniały nogi.

CIOTKA Tobie się zdaje, że ja wcale nie pracowałam w moim życiu.

GOSPODYNI Pracowała pani koniuszkami palców, przebierała pani niteczki, łodyżki kwiatów albo robiła pani konfitury. A ja pracowałam plecami, kolanami, rękami, pazurami...

CIOTKA Czyli że, według ciebie, prowadzić cały dom to nie żadna praca.

GOSPODYNI Trudniej jest wyszorować podłogę.*

Gdyby nawet nie pracował dla republikanów, gdyby nie obraził w swych wierszach policji i gdyby nie był przyjacielem Rafaela Alberti — musiał być Lorca obcy i nienawistny dla falangistów i generała Franco.

Był patriotą, a oni sprzymierzyli się z obcymi mocarstwami, z Hitlerem i Mussolinim. Był entuzjastą poezji ludowej, a Franco przeciwstawia się jej choćby dlatego, iż ludowa kultura hiszpańska jest regionalna. Lorca szanuje bogate odcienie wielorakich i wielo-

* Niebawem ukaże się nakładem PIW-u polski przekład (Zbigniewa Bieńkowskiego) *Mariany Pinedy*.

* Przekład Zofii Szleyen.

językowych jej motywów, a przede wszystkim to, co wydała kraina Basków i Katalonia. Franco natomiast zakazał nawet wydania *Boskiej Komedii* w przekładzie katalońskim, nawet Biblii. Dla Garcii Lorki wielobarwna intensywność narodowego życia była symbolem uwielbianej przez niego piękności świata. Przyjaciel poety, Antonio Otero Seco, opisał zdarzenie, które dobrze obrazuje niegasnący entuzjazm twórcy *Czarującej szewcowej:*

„W roku 1935 w Barcelonie, gdy grano jego *Donnę Rositę*, publiczność chciała koniecznie złożyć hołd autorowi. Ale Lorki nie było. Wielka aktorka, Małgorzata Xirgu, która grała rolę głównej bohaterki, zatelefonowała do hotelu, gdzie poeta zamieszkał. Okazało się, że zapomniał o przedstawieniu pisząc z zapałem sonet, który układał z cierpliwością szlifierza brylantów."

Lorca myślał o wielkiej kulturze hiszpańskiej, która podbiłaby świat urokiem swego piękna, podobnie jak się to działo za czasów *Cyda, Don Kichota, Księcia Niezłomnego, Dziewczyny z dzbankiem* i *Owczego źródła.* Władcy Hiszpanii dzisiejszej wolą ją widzieć ubogą, ciemną i nędzną. Zamorzyli oni głodem w roku 1945, po dziewięcioletnim więzieniu, poetę hiszpańskiego, Miguela Hornandesa. Zamordowali w roku 1937 młodego kompozytora, Antoniego Jose. W lipcu 1937 rozstrzelali na podwórzu koszar w Oviedo rektora tamtejszego uniwersytetu, Leopolda Alesa, oraz rektora uniwersytetu w Walencji, profesora Peseta. Zabili 5 tysięcy nauczycieli, 7 tysięcy uwięzili, 47 tysięcy pozbawili pracy. Skazali na banicję Rafaela Alberti, który przepływając koło wybrzeży hiszpańskich napisał przepiękny wiersz, wyrażający głęboką nostalgię za ojczystym krajem.

Wiemy jednak wszyscy, że istnieje Hiszpania inna, rzeczywista, prawdziwa. Hiszpania, droga sercom polskim, jak droga była Joachimowi Lelewelowi, gdy pisał „historyczną paralelę" losów obu narodów.

W roku 1846 grupa hiszpańskich republikanów ogłosiła manifest kończący się słowami: „Polsko, ukochana siostro nasza. Z jakim uczuciem pozdrawiamy Cię dziś nieszczęśliwą i utrapioną, z taką radością witać Cię będziemy wolną i niepodległą. Twoje dzieci są naszymi braćmi: ich smutek i nieszczęście są naszymi, a ich wolność i chwała będą naszą chwałą i naszą wolnością".

Wojciech Natanson

LITERATURA POLITYCZNA W AMERYCE

Przy każdym bliższym spojrzeniu od razu bije to w oczy: Stany Zjednoczone prawie wcale nie mają literatury politycznej w europejskim znaczeniu tego słowa. Wypływa to w sposób logiczny i nieuchronny z tych samych przyczyn, dla których obydwie rządzące na przemian, właściwie zaś współrządzące partie unikają teoretycznych założeń politycznego programu. Wolą ograniczać się do praktycznej problematyki dnia. Odpowiednikiem tego stanu rzeczy są publikacje, w których zamyka się cała niemal amerykańska myśl polityczna: monografie o pragmatycznym ujęciu i, w zasadzie przynajmniej, wolne od z góry przyjętych wniosków. Daje to znaczną swobodę w krytycznym szeregowaniu faktów, a tym samym zwiększa wartość poznawczą tych książek. W pewnych momentach niektóre z nich nabierają szczególnej aktualności — jeśli na przykład ich data wydania zbiega się z punktem szczytowym obecnej prezydenckiej kampanii wyborczej.

James MacGregor Burns jest profesorem nauk politycznych w Williams Colledge, zakładzie naukowym ściśle związanym z jedną z najwybitniejszych amerykańskich uczelni: uniwersytetem stanu Kalifornia w Berkeley. Jego obszerne studium, ponad 550 stron, *Roosevelt: lew i lis,* daje gruntowną, a łatwo czytelną i przeplataną anegdotami analizę techniki politycznej zmarłego prezydenta. Książka jest owocem dziesięciu lat pracy, wertowania wielu tysięcy dokumentów i listów, badania ar-

chiwów, prowadzenia niezliczonych rozmów zarówno z wielkimi rybami New Dealu jak i z drobnymi płotkami, z dziennikarzami, działaczami robotniczymi, pracownikami machiny partyjnej czy najbliższym otoczeniem Roosevelta.

Las dokumentarnych szczegółów nie zaciemnia jednakże książki, nie przesłania postaci centralnej. Przeciwnie. Na ich tle tym wyraziściej rysuje się sylwetka człowieka, który pierwszy od czasów Lincolna przypomniał swemu krajowi istnienie wyższych celów w polityce, a przy tym łączył z idealizmem rzadki dar praktycznego myślenia. Roosevelt był kuty na cztery nogi, przebiegły i zręczny. Najbardziej nawet cyniczni i doświadczeni bossowie partyjni nie mogli go przechytrzyć i podejść. Już to jedno było rzeczą niezwykłą.

Badając przyczyny Burns dochodzi do wniosku — a za nim podkreślają to słusznie recenzenci amerykańscy — że najważniejszym bodaj atutem Roosevelta była umiejętność posługiwania się nowoczesnymi środkami działania na opinię. Roosevelt pierwszy ocenił doniosłość radia. W niespełna dwa miesiące po objęciu urzędowania rozpoczął serię słynnych „gawęd przy kominku", przerzucając w ten sposób most do publiczności ponad głowami urzędników, prasy i aparatury partyjnej. „Chcę teraz pogadać chwilkę z narodem amerykańskim o bankowości..." Tak brzmiał początek jego pierwszej audycji. Odtąd zaś aż do śmierci utrzymał w dłoni oręż, który pozwolił mu czterokrotnie zwyciężyć w wyborach, mimo że miał przeciw sobie cały nieomal system narzędzi opiniotwórczych.

Trzeba jednak podkreślić, że Roosevelt znakomicie umiał władać tą bronią współczesności. Był urodzonym mówcą radiowym, był też świetnym aktorem, potrafił więc znakomicie „sprzedawać" samego siebie według najlepszych wzorów amerykańskiej reklamy. Gdyby nie to, nigdy nie zdołałby przeciwważyć koncentrycznego ataku przeciwników. Górował zaś nad nimi, gdyż wiedział, czego chce, miał czyste intencje i ręce. Ale górował także i dlatego, że umiał to podać, że na opinię wywierał wpływ magiczny, że stworzył dokoła siebie coś, co można by nazwać amerykańską odmianą kultu osobowości.

Kult wybitnej jednostki zawsze cechował społeczeństwo Ameryki. Jednakże z biegiem lat, pod wpływem coraz bardziej wzmagającego się uniformizmu, przybrał formy jakiejś swoistej kwadratury koła. Bohater — wszystko jedno, powieściowy czy narodowy — musiał być jedyny w swoim rodzaju a jednocześnie taki jak wszyscy. Roosevelt, będąc naprawdę nieprzeciętnym człowiekiem, umiał z ogromnym talentem rozwiązywać tę niepokonalną w zasadzie sprzeczność. Jego tajemnica polegała na niesłychanie dokładnym zorientowaniu we wszystkich odruchach, nastrojach i fluktuacjach opinii. Czytał skrupulatnie niebywałą ilość dzienników, przyjmował niebywałą wprost liczbę ludzi, wypytywał o wszystko, o najbardziej, na pozór, nieistotne szczegóły: intuicja mówiła mu, że te właśnie szczegóły najlepiej ilustrują wahania igły w społecznym barometrze.

W rezultacie ilekroć zwracał się do narodu — a robił to często — potrafił utożsamić się całkowicie z masami społeczeństwa. Mimikryzm był zupełny. Każdą nową myśl, każdą, najbardziej nawet obrazoburczą, koncepcję umiał tak sformułować, jak gdyby wypowiadał to właśnie, co w danej chwili najsilniej nurtuje całą nieomal publiczność. Tak mówić zdoła tylko nadzwyczajny aktor — albo człowiek z tłumu. Jednostka wyjątkowa — lub też doskonale przeciętna.

Dzisiaj, w epoce telewizji, doniosłość tych spraw urosła do kwadratu. Brzmi to może paradoksalnie, lecz fotogeniczność kandydata prezydenckiego stała się *sui generis* warunkiem koniecznym. O ile więc kandydaci nie reprezentują osobowości naprawdę wybitnych, a prócz tego nietuzinkowych zdolności aktorskich i talentu improwizacyjnego, wszystko musi być z góry wyreżyserowane w każdym calu, aż do najdrobniejszych realiów przedstawienia. Wiemy zresztą, że taki właśnie charakter miały tegoroczne konwencje wyborcze obu konkurencyjnych partii. Ich przebieg, łącznie z wynikami głosowań i „niespodziankami", układali najlepsi specjaliści telewizyjni, a prasa amerykańska dokładnie je opisała na parę tygodni naprzód.

Najbardziej typową z „niespodzianek" konwencji Republikanów było jednomyślne wybranie Nixona kandydatem na wiceprezydenta. „Wiceprezydent jest piątym kołem u wozu, szczeblem nie wiodącym nigdzie, chyba w zapomnienie." Są to słowa Teodora Roosevel-

ta, wypowiedziane w chwili, gdy obejmował tak nisko cenione przez siebie stanowisko. Minął rok i nagła śmierć McKinleya wprowadziła słynnego pogromcę Kubańczyków do Białego Domu. Przypadek otworzył mu drogę do władzy. Bo urząd wiceprezydencki stanowił wtedy istotnie podrzędną synekurę.

Ale nie zawsze tak było, a już z całą pewnością nie jest tak obecnie. Tej nader aktualnej kwestii poświęcona została książka — *Rozwój wiceprezydentury*. Autor, prof. Irving G. Williams, przypomina, że w początkowym okresie republiki wiceprezydentem zostawał „drugi z najgodniejszych". Przejściowo piastowali ten urząd i John Adams, i Tomasz Jefferson. Później wszakże na całe stulecie wiceprezydentura spadła rzeczywiście do roli piątego koła u wozu. Tak dalece, że Woodrow Wilson, jako profesor prawa administracyjnego w Princeton, pisał: „Największym kłopotem jest to, że po wyjaśnieniu, jak mało można o tym urzędzie powiedzieć, powiedziało się już właściwie wszystko".

Renesans zaczął się, odkąd Franklin D. Roosevelt obarczył wiceprezydenta Garnera szeregiem odpowiedzialnych funkcji. Jeszcze większe i jeszcze bardziej odpowiedzialne obowiązki spadły po wybuchu wojny na barki Henry Wallace'a. Truman wprowadził wiceprezydenta Barkleya do Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, Eisenhower zaś zrobił Nixona w całej rozciągłości swoim zastępcą. Były na tym tle burzliwe, choć tajemnicą okryte konflikty. Echo tych zatargów odezwało się w poronionej próbie Stassena, by wysunąć nowego kandydata. Skutkiem całej rozgrywki było w ostatecznym wyniku dalsze ogromne wzmocnienie pozycji wiceprezydentury i utrzymanie w ten sposób równowagi między prawym i lewym skrzydłem Republikanów. Nasza publicystyka rozpatruje osobę Nixona jako możliwego następcy w wypadku nowego kryzysu zdrowia obecnego mieszkańca Białego Domu. W rozważaniach tych zapomina się jednak, że już teraz Nixon skupił w swym ręku szereg doniosłych funkcji, a tym samym już teraz jego wpływ na politykę USA jest olbrzymi. Uwypukla to książka Williamsa i dlatego jest tak bardzo na czasie.

Układ sił na najwyższym szczeblu władzy politycznej w Ameryce w znacznym stopniu zależeć będzie, rzecz jasna, od liczbowego wyniku głosowań 6 listopada. Przywykliśmy, niestety, zbyt łatwo szufladkować i symplifikować wszelkie zjawiska i procesy, u siebie i u obcych. I wciąż jeszcze raczej tylko teoretycznie wiemy, że wielorakiej i trudnej rzeczywistości nie można odmierzyć i zinterpretować z pomocą kilku, choćby i słusznych, lecz uproszczonych kryteriów.

Nie chodzi jednak o rozstrzyganie w tym miejscu zawiłych problemów teraźniejszości. Chodzi po prostu o to, że wyraz społecznych nastrojów i tendencji Ameryki — a takim są mimo hollywoodzkich akcentów wybory — ma znaczenie wskaźników, z którymi liczy się rząd. Inny też będzie klimat panujący w rządzie w wypadku (prawdopodobnego zresztą) czysto osobistego zwycięstwa Eisenhowera, inny zaś, jeśli zwycięży sama Partia Republikańska.

Za parę tygodni będziemy dokładnie znali te nastroje i otrzymamy ich cyfrową miarę. Już teraz jednak można powiedzieć, że tani slogan „lewych" Republikanów o „postępowym" czy „ludowym" konserwatyzmie wykazuje poważną atrakcyjność dla szerokich naprawdę kół społeczeństwa.

Takie są, między innymi, fakty dzisiejszej Ameryki, toteż musimy je sobie uprzytomnić, choćby w nas budziły uzasadnioną awersję. Mówią o nich wszystkie badania opinii, łącznie z tymi, które jednocześnie stwierdzają upadek wpływów McCarthy'ego. Znamienna zaś w tym procesie jest rola intelektualistów. Do niedawna intelektualiści skupieni byli bez reszty w kołach liberalnych i radykalnych i wiązali się z reguły z Partią Demokratyczną. Obecnie daje się zauważyć coraz częstsze występowanie intelektualistów po stronie konserwatyzmu, który usiłują zabarwić nowymi myślami i któremu z całą pewnością przydali sporo dynamizmu. W praktycystycznej i — jak się nam zdawało — antyintelektualnej Ameryce tak znaczny wpływ klerków budzić może zdziwienie. Fakt jednak pozostaje faktem.

Najświeższym przejawem jest poczytność nowego tomu szkiców znanego teoretyka neokonserwatyzmu, Russell Kirka. Trzy lata temu wydał *Umysłowość konserwatywną*, obecnie pojawił się dalszy ciąg tej książki w formie zbioru esejów — *Poza marzeniem skąpców*. Kirk ostro krytykuje obecny stan spo-

łeczeństwa, upatrując w nim wiele objawów daleko posuniętego rozkładu. Rzecz znamienna — kierunek ataku nie zwraca się przeciw komunistom, ale uderza w niektóre przerosty kapitalistyczne. Ameryka — twierdzi Kirk — bliska jest wkroczenia w „Wiek Żarłoczności", a tego marszu nie zahamują liberałowie, którzy sądzą, że myślą samodzielnie, podczas gdy w gruncie rzeczy są tylko rozchełstani intelektualnie. Nie w teraźniejszości szukać należy wszystkich rozwiązań, nie zrodziliśmy się dopiero wczoraj wieczór. Kirk proklamuje konieczność zachowania z przeszłości wszystkiego, co w niej reprezentuje wartość, a przede wszystkim religii. Tu przypomnijmy, że nawrót do religijnych praktyk jest tak wielki w Ameryce, iż jego przesadne formy wywołują poważny niepokój wśród znacznej części kleru.

O czym to wszystko świadczy? W przeciwieństwie do zachodniego Europejczyka, Francuza czy Włocha, który pragnie zmiany, ale się jej boi, John Smith z amerykańskich miast, miasteczek i farm nie tylko boi się zmiany, ale jej nie chce. Lecz nie chce także i zmiany w kierunku ograniczenia swobody przekonań, nie jest wcale spragniony „silnej" władzy, bo wszelkiej w ogóle władzy organicznie nie lubi. Nie życzy sobie, aby w jego imieniu i dla jego rzekomo dobra wprowadzać inkwizycję. Nie cierpi arystokracji i katolicyzmu, choć ubóstwia tradycję. Nie znosi wszystkiego, co zatrąca państwem policyjnym, i z dumą podkreśla, że jego przodkowie dokonali dwóch rewolucji.

McCarthy szybko się zgrał w oczach Amerykanów. Z drugiej strony wysoce nieufnym spojrzeniem obrzucają socjalizm, który jest dla nich synonimem rządów totalitarnych. W ich pojęciu Eisenhower skończył z wojną i zapewnił im pokój. Jednocześnie zaś bardziej — ich zdaniem — lewicowe rządy Demokratów dopuściły do wojny koreańskiej. Prezydenturę Eisenhowera cechuje niebywała fala dobrobytu — chcieliby ją zatrzymać i pamiętają, że bezpośrednio przedtem przeżywali depresję i bóle rekonwersji. A przecież Eisenhower stale podkreśla, że jest „postępowym konserwatystą".

John Smith nie widzi, ile jest w tym po prostu spaczeń perspektywy; pokój i dobrobyt przypisuje wynikom świadomego działania rządzących. Jednocześnie zaś czuje niedosyt swojego stylu życia, zwanego niesłusznie amerykańskim, toteż chętnie, a nawet skwapliwie, przyjmuje rozumowanie Kirka i wielu innych Kirków. „Wierzę — mówi apostoł neokonserwatyzmu — w nagromadzoną mądrość pokoleń." John Smith razem z nim wierzy.

Julian Stawiński

DROGA BERTOLTA BRECHTA

W jednej ze sztuk Sartre'a mówi robotnik-komunista: „Zostałem członkiem Partii dlatego, że w dzieciństwie byłem codziennie głodny". „A ja — odpowiada na to młody inteligent — wstąpiłem do Partii, gdyż w dzieciństwie ani jednego dnia głodny nie byłem."

Bertolt Brecht rozpoczął drogę do socjalizmu znajdując się w podobnych, co ów młody intelektualista, okolicznościach życiowych. Jego ojciec, dyrektor fabryki papieru w bawarskim Augsburgu, dał dzieciom solidną edukację mieszczańską. „Rosłem jako dziecko dobrze sytuowanej rodziny — wspominał autor *Matki Courage* — rodzice silnie trzymali mnie za kołnierz, wychowując w surowym obyczaju patriarchalnego posłuszeństwa... Lecz ja zacząłem się rozglądać dokoła siebie i doznałem uczuć niechęci wobec ludzi mojej własnej klasy. Powiedziałem sobie, że nie chcę ani komend, ani posłuszeństwa. I opuściłem, porzuciłem moją klasę społeczną..."

Do ostatecznego umocnienia decyzji pomogła atmosfera pierwszej wojny światowej. W roku 1916 osiemanastoletni student medycyny, Bertolt Brecht (urodzony 10 lutego 1898), zostaje zmobilizowany. Jest pielęgniarzem na linii frontu. Nienawiść, jaką w nim wzbudza mord zbiorowy, pomaga w buncie przeciw porządkowi, który tę rzeź wywołał.

Po powrocie bierze Brecht jakiś czas udział w rewolucyjnym niemieckim ruchu Rad Robotniczo-Żołnierskich, organizowanym przez Liebknechta. Lecz w tej chwili jest jeszcze Brecht, jak sam później wyznawał, raczej anarchistą niż socjalistą. W Monachium, gdzie się osiedla, pisze w słynnej kawiarni „Stefania" swe buntownicze wiersze i pierwsze poematy dramatyczne. Dzienniki, nawet lewicowe, odrzucają zbyt śmiałe i drapieżne wiersze. Sztuki takie, jak *Życie Edwarda II angielskiego, Baal* — padają w teatrze. Utworem, który zdobywa powodzenie i który Brecht uważa za pierwszy dokument swej transformacji politycznej, jest *Opera za trzy grosze*, osnuta na tle dzieła Johna Gay'a, z przejmującą muzyką Kurta Weilla. To dzieło rozsławiło przed wojną imię Brechta także i w naszym kraju.

Hitleryzm i emigracja — oto dalsze etapy drogi myślowej Brechta. Autor *Grozy i nędzy Trzeciej Rzeszy* i *Szwejka* udaje się najpierw do Danii, potem do Finlandii i Kalifornii. *Galileo Galilei, Matka Courage* i *Dobry człowiek z Seczuanu* uzyskują w Ameryce sukcesy. Lecz Brecht nie chce zostać na obczyźnie; w roku 1947 poprzez Szwajcarię wraca do NRD, zakłada wraz z Heleną Weigel teatr „Berliner Ensemble".

Dziewięć lat pracy intensywnej (1947-1956) — to próba znalezienia takiej formy teatru, która by porwała ludzi naszej epoki. „Teatr — powiedział Brecht w jednym ze swych odczytów — wtedy będzie potrzebny, gdy ukaże świat w rozwoju, w przemianie." Prawo rozwoju, a więc i postępu — stanowi, jak wolno sądzić, rdzeń Brechtowskiej estetyki. Wiele jego sztuk wyraża tę ideę — wspaniałą teatralną metaforą. W *Regule i wyjątku* przewodnią nicią akcji jest droga, jaką kupiec chiński odbywa wraz ze swym wyzyskiwanym tragarzem; a

jest to zarazem droga zrozumienia praw, jakie rządzą sprawiedliwością klasowego społeczeństwa. W *Matce Courage* wóz, ciągniony przez dzieci bohaterki tytułowej, a w finale przez nią samą — odgrywa rolę wielkiego teatralnego obrazu, zamykającego w sobie ideę sztuki, obraz żarłocznego pochłaniania ofiar przez molocha wojny nowoczesnej.

Droga Bertolta Brechta była tą drogą, jaką wraz z naszym pokoleniem i na jego czele odbył pisarz, ku któremu zwracały się oczy wszystkich. Wielki francuski aktor i reżyser, Jean Louis Barrault, napisał dowiedziawszy się o śmierci Brechta: „Ta wiadomość jest dla mnie katastrofalna. Jakaż to strata dla teatralnej rodziny świata! Za trzy tygodnie miałem odwiedzić Brechta w Berlinie. W zeszłym roku on był u nas, w Paryżu, w teatrze Marigny. Zawsze go podziwiałem, snuliśmy wspólne projekty, postanowiliśmy ostatnio wystawić razem w Teatrze Marigny jego *Galileusza*. Miał przyjechać do mnie, by reżyserować tę sztukę... A oto międzynarodowy teatr poniósł stratę nieodwołalną."

Brecht był w teatrze spadkobiercą wielkich marzeń i projektów reformatorów z początku naszego stulecia, a szczególnie Gordona Craiga. Grę światła i skomponowanie przestrzeni scenicznej uczynił jednym z elementów działania poetyckiego. W *Matce Courage* niemy okrzyk bohaterki — na wieść o śmierci jednego z synów — zabrzmiał głośniej i bardziej rozdzierająco, niżby to mogły zrobić najwymowniejsze słowa. Aktor francuski, Albert Prejean, który w roku 1936 grał w filmie nakręconym na tle *Opery za trzy grosze*, był zdumiony oglądając wykonawców niemieckich, tej sztuki. „Oni się poruszają jak marionetki" — zauważył. I poprosił Brechta o wyjaśnienie. „Bo to są marionetki życia"— odrzekł poeta. Marionetki, myślał zapewne Brecht, poruszane wielkimi motorami życia, prawem miłości i głodu, a jednak znajdujące drogę ku przyszłości. Sekretem twórczości dramatycznej Brechta była i jest poetyckość.

Wojciech Natanson

WYSTAWA KSIĄŻKI FRANCUSKIEJ

Ruszyło się w tej drogiej nam wszystkim dziedzinie współpracy kulturalnej polsko-francuskiej. Odnotujmy wydarzenia. Była wystawa malarstwa XIX-wiecznego w Muzeum Narodowym. Trochę jak dla ubogich. Była bogata za to wystawa francuskich win i koniaków w Delikatesach. Były francuskie dessusy w Galluxie. Były szminki i perfumy w MHD. Teraz książka. Za piękne, aby mogło być prawdziwe. Istotnie. Są więc okładki. Około czterech tysięcy pięknych, urzekających krojem czcionki, zestawieniami barwnymi, rozplanowaniem płaszczyzny — okładek. Pod nimi są podobno książki. Są naprawdę. Widać. Piękny i skromny na brewiarzowym papierze tomik Plejady zawiera całą twórczość Saint-Exupéry'ego. Dwa takie tomiki to cały Racine. Oczy się cieszą, ręce drżą, by otworzyć i choć jeden — dwa wiersze przeczytać. Ale tu zaczyna się marzenie. Czytać nie wolno. Szampana z Delikatesów napić się wolno. MHD i Gallux też swoją francuszczyzną poczęstują, jak się odpowiednio poprosi. Ale książki są zbyt wrażliwe, można poplamić, kartkę zagiąć, bo każda jest tylko w jednym egzemplarzu. No tak, przecież to wystawa. Trzeba to sobie szybko przypomnieć i oglądać z rękami w kieszeniach. Nie tak to łatwo. Ręce do książki wyciągają się same. I znów karcące spojrzenie sympatycznej pani, która tu jest po to, by tych książek bronić przed nachalnymi odruchami wiecznych nieprzyjaciół książki: czytelników. Czy nie lepiej było wyciąć te okładki i pod szkło położyć? Oszczędziłoby się wielu fałszywych sytuacji i walk toczonych z samym sobą.

Dosyć już tego malkontenctwa. Polacy tylko szukają okazji do niezadowolenia. Gdyby Francuzom pokazać książki polskie, na pewno oglądaliby grzecznie, bez takiego szumu i gwałtu. Słyszę, czy zdaje mi się, że słyszę, te uwagi, gdy znów dostaję po łapach.

Okładki to okładki, oglądajmy okładki. Są literowe, ilustracyjne, dwu-, trójbarwne i wielobarwne, a w każdym rodzaju rozmaite. Nawet w ramach tego samego graficznego schematu jest coś, co uniemożliwia sztampę, banał. Okład-

ki Gallimarda, ułożone obok siebie, nie nużą, choć są identyczne przecież. Zastanawiam się nad tym porównując bliźniacze *La chute* Camusa i *La nausée* Sartre'a. I odkrywam tajemnicę kroju czcionki, która zmusza do odczytania. Są inne. Jak dobre plakaty. To samo odnosi się do wydawnictw Presse Universitaire de France, Payota, Classiques Garnier itd. Każde z tych wydawnictw posługuje się od lat tym samym kolorem, tą samą czcionką, tym samym układem graficznym okładki. Każde z nich stworzyło własną tradycję, strzeże jej, stroni od nowych pomysłów, zatrudnia nie grafików, a konserwatorów. Oczywiście nowe pomysły są także. Okładki reprodukujące lub naśladujące fotosy filmowe, jaskrawe, brutalne, jak obwoluty kryminałów, kryją — podobno, nie przysięgam, gdyż książki do rąk już nie biorę — pod sobą arcydzieła współczesnej literatury, bynajmniej nie kryminalnej (Sartre, Radiguet, Steinbeck). Ale te pomysły są bardziej ciekawe niż ładne. Wzrok przykuwają te okładki, w których przeważa konserwatyzm dobrego smaku. Okładki wydawnictw sztuki Skira na przykład, każda z reprodukcją arcydzieła malarskiego. Tym grafikom, którzy nowoczesność realizują na ogół w sposób rozmyślnie szokujący, da to może do myślenia. Oczywiście spisuję te uwagi z całkowitym poczuciem niekompetencji. Ale cóż, jako recenzent wystawy książki o czymś pisać muszę.

Intencje miałem jak najlepsze. Wyjąłem papier, ołówek i zastanawiałem się głęboko. Czy wynotować tytuły interesujące? Jest ich około czterech tysięcy. Ze wszystkich dziedzin: sztuka, literatura piękna, historia, nauki ścisłe, literatura religijna, dziecięca, młodzieżowa... Lista książek, które sam bym chciał posiadać — byłaby długa. Lista książek, które bym polecał innym — byłaby jeszcze dłuższa. Więc co? Notować? Po co? Książki te będą dostępne w najlepszym wypadku w jednym egzemplarzu. Ileż marzeń wokół jednej książki! Żeby mnie kto nie ubiegł, zapisuję swoje: Saint-Exupéry w wydaniu Pleiady.

Okładki, okładki, ostatecznie czego ja spodziewałem się po wystawie francuskiej książki? Wystawa to nie księgarnia. Już wiem. Celowość tej wystawy. To mnie trapi. Na wystawach pokazuje się na ogół rzeczy piękne po to, aby wzbudzić uczucia estetyczne, uszlachetnić smak, wzbogacić. Z wystawy wychodzi się z uczuciem mniejszego lub większego zadowolenia, z jakąś malutką chociażby pełnią satysfakcji, szczęścia. Jakie jest oddziaływanie wystawy francuskiej książki? Zamilczę swoje uczucia. Cóż, jestem recenzentem, a więc człowiekiem jak najbardziej omylnym. Co czują inni?

Wśród czterech tysięcy okładek jest jedna książka do czytania. Książka życzeń. Nie będę wynotowywał z niej czarnych myśli (np. „Po tej wystawie można się rozchorować ze zmartwienia"). Jedno tylko przesłanie. Takie:

„Drodzy Francuzi! Zlitujcie się, przyślijcie mi książkę Serge Daleus *Le bracelet de vermeil* albo *Le grand jeu* i dla mojej siostry bajki Lafontaine'a. Ewa Bułhak. Prabuty, Sanatorium, woj. olsztyńskie" (charakter pisma dziecinny).

To błaganie usłyszą może także tzw. czynniki. Są bliżej. Może przy okazji Lafontaine'a pomyślą także o Molierze, Rasynie, Wiktorze Hugo... Saint-Exupérym, Gidzie, Vercorsie... Jak zaczną myśleć, to domyślą się i reszty. Bo przecież nie jest możliwe — jak mi tłumaczył jakiś dowcipniś — aby czynniki obawiały się szkodliwego wpływu literatury, słowa na nasze umysły i serca. Ładni to byliby marksiści. Słowa niech się idealiści boją. Byt określa świadomość.

Jeśli sprowadza się szampany francuskie do walki z alkoholizmem (kto kupi butelkę szampana za 180 zł., nie kupi 2 litrów wódki) a bieliznę damską i perfumy w celu podniesienia estetyki współżycia małżeńskiego, to książki francuskie niech się sprowadzi choćby po to, by tysiące ludzi wyzwolić z poniżającego uczucia zawiści. To podłe uczucie i zły doradca.

zb

BOSTOŃSKI ODCZYT MAKSYMA GORKIEGO

Niedawno opublikowano po raz pierwszy (*„Znamia"*, Nr 6/56) nieomal pełny tekst odczytu, wygłoszonego przez Gorkiego w Bostonie wiosną 1906 roku. Ciekawe są dzieje tego dokumentu, ważnego dla poznania partyjno-politycznej i propagandowej działalności wielkiego pisarza.

Jak wiadomo, przybyłego w owym czasie do Stanów Zjednoczonych znanego pisarza rewolucyjnego na każdym kroku prześladowała amerykańska burżuazja, do czego niemało przyczyniła się „troskliwa opieka" depczących Gorkiemu po piętach tajnych agentów i szpiegów carskich. Doszło do tego, że pisarz nie mógł znaleźć pokoju w żadnym z licznych nowojorskich hoteli. Z miasta Żółtego Diabła Gorki wyjechał więc w głąb kraju i w podróży tej zawadził o Boston.

Szczegóły pobytu pisarza w Bostonie i dokładne omówienie — z zacytowaniem niemal pełnego tekstu — jego odczytu pt. *Car, Duma a Lud* podał postępowy tygodnik bostońskiej kolonii emigrantów ormiańskich, „*Araks*". Otóż ówczesny wizerunek Gorkiego, skreślony piórem sprawozdawcy „*Araksu*": „Gorki — prosty i skromny, w ściągniętej wąskim kaukaskim paskiem ciemnej bluzie robotniczej, wysoki, chudy i nieco przygarbiony — sprawia wrażenie zwykłego rosyjskiego robociarza".

Redaktorzy postępowego „*Araksu*" dobrze rozumieli, że ludzie pracy wszystkich narodów i narodowości cesarstwa rosyjskiego — cytuję artykuł redakcyjny pisma — „jednakowo i w równej mierze uciemiężeni przez samowładnych krwiopijców, czują i pojmują całą wielkość czynów Gorkiego, widzą, jak silnie jest on zespolony z wyzwoleniem ludu rosyjskiego". Rozumiały to także szerokie koła rosyjskich emigrantów. Odczyt Gorkiego wywarł na nie silny wpływ.

W relacji sprawozdawcy „*Araksu*" — odczyt Gorkiego był dowcipny, przystępny i bardzo piękny. Zaledwie kilkoma celnymi słowy pisarz „zdołał zdobyć posłuch rzeszy słuchaczy... i swobodnie wiódł ich myśl w pożądanym kierunku".

Z cytowanych przez sprawozdawcę „*Araksu*" bardzo obszernych fragmentów odczytu Gorkiego (podanych przez miesięcznik „*Znamia*" w przekładzie rosyjskim) wynika, że pisarz dał dokładną i trafną charakterystykę układu sił społeczno-politycznych w Rosji 1905—6 r. Szczególnie mocną nienawiścią tchną słowa Gorkiego o caracie: „Na przestrzeni ostatniego stulecia — mówił — carowie wszelkimi sposobami usilnie starali się, ażeby do reszty wyssać z ludu krew, ażeby z pomocą swoich popleczników uczynić zeń przedmiot bezlitosnej eksploatacji moralnej i materialnej."

„Wolnomyśliciele — powiedział Gorki w zakończeniu odczytu — są zawsze optymistami... Dni Dumy — można powiedzieć — są policzone, Rosja stoi na progu rewolucji..."

Przez pół wieku treść odczytu Gorkiego w Bostonie była nieznana, nie wszedł on do archiwum spuścizny pisarza, chociaż garstka gorkologów wiedziała o fakcie wygłoszenia odczytu. W r. 1906 prasa rosyjska nawet o tym nie wspomniała, a w prasie amerykańskiej ukazało się tylko kilka wzmianek. Dopiero z końcem ub. r. w naukowej prasie ormiańskiej podano wzmiankę o odnalezionym tekście. W narodowych księgozbiorach Radzieckiej Armenii „Matenadaran" zachowały się egzemplarze bostońskiego tygodnika „*Araks*" z r. 1906. Dzięki temu — tekst odczytu Gorkiego wydarto niepamięci.

J. S.

WSPOMNIENIE O ODWIEDZINACH U GERHARTA HAUPTMANNA

Działo się to jesienią 1945 roku. Do posiadłości Wiesenstein, położonej w małym, zagubionym wśród lasów Gór Olbrzymich osiedlu dolno-śląskim — przybył ówczesny przewodniczący „Kulturbundu", poeta Jahannes Becher — wraz z grupą radzieckich korespondentów wojennych, by odwiedzić chorego, 83-letniego Gerharta Hauptmanna. Pisarz, niejako „wewnętrzny emigrant" — z dala od zhitleryzowanego świata przeżył wielką burzę dziejową w ciszy, zapomnieniu, samotności i — pod koniec życia znalazł się na naszych Ziemiach Odzyskanych.

Jeden z uczestników wycieczki do Wiesensteinu, Grigorij Wajs, ogłosił w czerwcowym zeszycie leningradzkiego miesięcznika literackiego „*Newa*" swoje notatki o tym spotkaniu z Hauptmannem. Relacja dziennikarza radzieckiego zawiera wiele interesujących, mało znanych szczegółów biograficznych z ostatnich lat życia autora *Tkaczy;* znajdujemy w niej opis perypetii jego walki z zalewem hitleryzmu, z nieustającymi na przestrzeni wielu lat próbami wciągnięcia nazwiska światowej sławy pisarza na listę lojalnych, pogodzonych z

reżimem hitlerowskim intelektualistów niemieckich.

Wajs podaje np., że w roku 1942 władze hitlerowskie usiłowały wykorzystać dla celów propagandowych 80-lecie urodzin pisarza. Bawiący w owym czasie chwilowo w Berlinie Hauptmann odrzucił zaproszenie dra Goebbelsa na „skromny obiad" i natychmiast opuścił stolicę, gdy się zorientował, że ministerstwo propagandy Rzeszy zamierza jego jubileusz przekształcić w hitlerowskie święto. I jeszcze jedną próbę, próbę wykorzystania nazwiska Hauptmanna dla podtrzymania „autorytetu" hitlerowców w krajach przez nich okupowanych — odrzucił sędziwy pisarz. Do Wiesensteinu przyjechał osławiony satrapa Frank i osobiście zaprosił jubilata do Krakowa, Pragi i Paryża na uroczyste premiery jego sztuk. Hauptmann stanowczo odmówił.

— Nigdy — powiedział — moja stopa nie stanie na ziemi okupowanej. Wiem, iż tam dzieje się największa niesprawiedliwość...

I uroczystości te nie odbyły się.

Wajs omawia twórczość Hauptmanna w ostatnim dziesięcioleciu jego życia — na podstawie tego, co mówił o tym Hauptmann ze swoimi gośćmi w długich, sześciodniowych rozmowach o literaturze, o sobie i swoich planach twórczych. W szczególności Wajs akcentuje utwory o tendencjach antyhitlerowskich. Po powstałym jeszcze przed dojściem hitlerowców do władzy dramacie *Przed zachodem słońca*, w którym pisarz ostrzegał naród niemiecki przed hitlerowskim zalewem, dobitnie malując społeczne i moralne sprzeczności, które nurtowały Niemców w przede dniu faszystowskiego przewrotu — Hauptmann stworzył wiele dzieł dramatycznych (m. in. *Hamleta w Wittenbergu*, 1935, *Ifigenię w Delfach*, 1940, *Ifigenię w Aulidzie*, 1941).

Hauptmann pokazywał swym gościom egzemplarz moskiewskiego *„Tieatru"* ze stycznia 1941 roku — z recenzją przedstawienia dramatu *Przed zachodem słońca*, granego w Związku Radzieckim w owym czasie. Egzemplarz ten, znaleziony w opuszczonym domu pewnej nauczycielki wiejskiej pod Smoleńskiem, przysłał pisarzowi z frontu wschodniego jakiś niemiecki lekarz wojskowy, wielbiciel talentu Hauptmanna. Tą moskiewską recenzją legitymowali się wobec kwatermistrza wkraczających na Śląsk wojsk radzieckich domownicy i opiekunowie ciężko chorego na zapalenie płuc i wstrząs nerwowy Hauptmanna (sędziwy pisarz w czasie przypadkowego pobytu w Dreźnie w lutym 1945 roku przeżył tam okropności zbombardowania i zniszczenia tego pięknego miasta przez samoloty amerykańskie).

Na wiadomość o tym, że w dworku Wiesenstein mieszka wielki pisarz, Hauptmanna odwiedzili oficerowie radzieccy, a dowództwo wystawiło przed dworkiem posterunek, by nikt nie zakłócił spokoju chorego. Gdy z kolei Becher opowiedział Hauptmannowi, jak hitlerowcy zbezcześcili muzeum i grób Lwa Tołstoja w Jasnej Polanie, pisarz — cytuję Wajsa — „...słuchał tego z szeroko rozwartymi oczyma. Oddech jego stał się ciężki, urywany. Cicho wyszeptał:

— To, co się stało, jest takie straszne, iż z niczym tego porównać nie mogę. Nie wątpię, iż naród niemiecki z czasem znowu odnajdzie siebie. Odrodzi się. Ale to już winien być naród inny, nie ten, który ślepo runął na spotkanie własnej katastrofy..."

Po tej dygresji wracam do wspomnienia Wajsa o tym, co mówił Hauptmann o własnej twórczości w okresie hitlerowskim. Z utworów prozatorskich najbardziej cenił pisarz nowelę *Mignon* (napisaną w r. 1943, wydrukowaną dopiero w r. 1946). — Bardzo lubię ten utwór — powiedział i dodał ze smutkiem: — Przypuszczam, że to mój łabędzi śpiew...

Wiele mówił Hauptmann o pracy swej nad zamierzoną epopeją powieściową pt. *Nowy Krzysztof*. Szczególnie silny wydźwięk antyfaszystowski, nawet tony politycznego pamfletu, posiadają *Nowe marzenia*, pisany w czasie wojny cykl tercyn. Dłuższy czas nieznana była (napisana przez Hauptmanna w r. 1937, czytana z rękopisu w wąskim kręgu przyjaciół i dopiero w r. 1947 opublikowana w Ameryce) sztuka *Ciemności*, poświęcona pamięci długoletniego przyjaciela pisarza, znanego i popularnego na Śląsku mecenasa sztuki i literatury, Maxa Pinkusa. W *Ciemnościach* poeta Herberg (w postaci tej Hauptmann odtworzył siebie) wbrew antysemickiemu zakazowi władz hitlerowskich, które pragnęły przed ludnością miasteczka ukryć wiadomość o śmierci popularnego fundatora biblioteki miejskiej i poleciły pochować go potajemnie — nad otwartym grobem przyjaciela wygłasza płomienne przemówienie.

W rozmowie z Becherem Hauptmann

żywo interesował się procesem rozbudzania narodu niemieckiego do nowego życia, problemami odrodzenia postępowej niemieckiej myśli naukowej i artystycznej, sprawami budownictwa kulturalnego w wyzwolonych Niemczech. W przekazanym Becherowi dla *„Tägliche Rundschau"* apelu do narodu niemieckiego Hauptmann pisał m. in: „...Wiem, iż wszystkie szlachetne moce, powiedziałbym: wszystkie szlachetne moce świata — ogarnęło to samo dążenie myśli i dlatego żywię niezłomną wiarę i nadzieję, że zdołam wziąć jak najpełniejszy udział w powszechnym odrodzeniu..."

Niestety. Sterane chorobą i przeżyciami siły pisarza na to nie pozwoliły. Zmarłego 8 czerwca 1946 r. na ziemi polskiej Hauptmanna pochowano — zgodnie z jego ostatnią wolą — na ulubionej przez niego wysepce bałtyckiej Hiddensö.

J. S.

DWIE PUBLIKACJE O TOMASZU MANNIE

W niespełna rok po śmierci Tomasza Manna ukazały się dwie książki przynoszące garść wspomnień o jego osobistym życiu i twórczości. Są to relacje rodzinne. Jeszcze za życia autora *Czarodziejskiej góry* duży rozgłos zyskały pamiętniki jego brata, Wiktora, pod tytułem *Było nas pięcioro* — pewnego rodzaju kronika rodzinna Mannów, opisująca szczegółowo historię rodzeństwa, a więc Henryka, Tomasza i Wiktora Mannów oraz ich dwóch sióstr. Obecnie familijne wspominki wzbogaciły się o dwa pamiętniki córek Tomasza Manna, Moniki i Eriki.

Książka Moniki wyszła z druku w Monachium. Jej tytuł brzmi *Przeszłość i teraźniejszość*. Jest to autobiografia Mannowskiej córki i zarazem jej pierwszy utwór literacki, rozpoczęty *nota bene* jeszcze za życia ojca. Autorka pisze wiele o swoim ojcu, a tam, gdzie wspomina o sobie, na jej słowa pada zawsze cień wielkiego pisarza, który odszedł. Monika ciekawie charakteryzuje atmosferę rodzinnego domu, w którym dominowała postać prozaika. Pokoje Mannów, goszczące zawsze wielu przyjaciół z sąsiedztwa i przybyszów z dalekich krajów, rozbrzmiewały gwarem, ale pod tą ruchliwą zewnętrzną powłoką panował w gruncie rzeczy uroczysty spokój i głęboka zaduma promieniująca od Tomasza Manna. Monika rozpisuje się szeroko o muzycznych upodobaniach ojca, albowiem muzyka była jego drugim żywiołem. Kompozytorzy, krytycy i teoretycy muzyki z dużym zainteresowaniem słuchali wywodów pisarza, podziwiając jego wszechstronną wiedzę i subtelne znawstwo w tej materii. Do najciekawszych rozdziałów książki należą te, w których autorka opowiada o pracy ojca, o jego lekturze, literackich gustach oraz o niektórych rysach jego duchowej sylwetki.

Książkę Eriki Mann *Ostatni rok*, liczącą 74 stronice, wydał wieloletni wydawca Tomasza, S. Fischer. Wskrzesza ona ostatni rok życia pisarza i ujawnia kilka szczegółów o powstaniu ostatnich jego utworów, przede wszystkim zaś o jego szkicu o Czechowie (drukowanym także w *„Twórczości"*), o przemówieniu wygłoszonym w 150-lecie śmierci Fryderyka Schillera, a także o sztuce *Wesele Lutra*, spoczywającej jeszcze w rękopisie. Charakterystyczne, że mowa o Schillerze, zamierzona na dwadzieścia stron, rozrosła się w obszerne studium, które tak dalece pochłonęło energię i myśli autora, że esejowi „groził" rozmiar książki. W podobny sposób, jak wiadomo, powstały duże powieści Manna. Jego *Buddenbrookowie*, *Czarodziejska góra* i cykl *Józef i jego bracia*, początkowo były zamierzone jako krótkie opowiadania, w trakcie pisania jednak zmienił się całkowicie ich pierwotny kształt.

Autorka pisze o szczerości i „życiowej naiwności" Tomasza Manna, który bez osłonek wypowiadał swoje myśli, co wykorzystywali dziennikarze, publikując wszystko na drugi dzień w gazetach. Skądinąd wiadomo, że Erika, która w domu sędziwego pisarza, jak się to mówi, „chodziła w spodniach", skrupulatnie baczyła, by jakieś nieopatrznie radykalne słowo ojca nie przedostało się na łamy prasy, co jej się zresztą nie zawsze udawało.

Z książeczki jej dowiadujemy się także, że Tomasz Mann przygotowywał w ostatnich dniach swojego życia duży manifest pokojowy, zabiegając o podpisy wybitnych filozofów, pisarzy, artystów, uczonych i historyków starego i nowego świata.

r

LERMONTOW SKRZYWDZONY

Lermontow, jeden z najbardziej powszechnych, ogólnoludzkich poetów świata, jest otoczony jakimś niemal magicznym kręgiem, nie przepuszczającym blasku jego poezji poza strefę języka, w którym tworzył. Powszechny, a jednocześnie najbardziej rosyjski z rosyjskich poetów. Analogia ze Słowackim narzuca się sama. Tak jak Słowacki urodę języka polskiego wysnuł do granicy wyrafinowania, tak Lermontow wygrał olbrzymią skalę melodyki języka rosyjskiego. Zrośnięci z tworzywem mowy ojczystej obaj nie przeniknęli do świata. Z analogii tej, dostrzegalnej od dawna, nie były wyciągane konsekwencje. Tłumacze liryki Lermontowa porali się, często bezowocnie, z niemożliwymi do przezwyciężenia trudnościami, usiłując oddać „dosłownie" te wartości poezji Lermontowa, które są zrośnięte z ich formą językową. Stąd utwory, urzekające w oryginale urodą prostoty, w kształcie polskim wychodziły sztucznie i bezbarwnie. Nie naśladować niewolniczo, naturalistycznie, ale sięgnąć do analogicznych wzorów naszej poezji — oto natchnienie współczesnych tłumaczy poezji Lermontowa. Po kilkuletniej pracy wielu wybitnych naszych poetów Lermontow ukazał się właśnie w księgarniach. Jest to z pewnością wydarzenie kulturalne. Po raz pierwszy tak gromadnym, zbiorowym wysiłkiem Lermontow został przybliżony polskiemu czytelnikowi. Dotychczasowe przekłady z Lermontowa (ostatnio Jerzego Zagórskiego) były wyrazem miłości pojedynczych i nie mogły ogarnąć wszystkich strun liryki Lermontowowskiej. Zbiorowe wydanie jest pierwszym w naszej historii literatury wydaniem na taką skalę poezji Lermontowa.

Państwowy Instytut Wydawniczy włożył wiele troski edytorskiej w polskiego Lermontowa. I wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie paradoks. Lermontow, od lat oczekiwany przez czytelnika, nie będzie mu jednak należycie udostępniony. Lermontow wydany bowiem został w minimalnym — jak na klasyka — nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. Poeta bliski nam, poeta posiadający stałe miejsce w sercach miłośników literatury został wydany jak gdyby dla honoru domu. Konsekwencje są oczywiste. Lermontow nie trafi do tych wszystkich rąk, do których trafić powinien. 47,90 złotych za dwa tomiki (sześć tomów Puszkina kosztowało 56 złotych) — zrobi swoje.

Rzecz oczywista, że nowe cele wydawnictw, rozszerzenie zakresów zachodniego i współczesnego, nie mogły nie odbić się na zakresach innych. Ale nieporozumieniem jest, że za nowe, jak najbardziej szlachetne, odwilżowe ambicje rynku księgarskiego płacić ma wielki poeta rosyjski. Są wartości wieczne, które nie podlegają fluktuacjom chwili. Ani Tołstoj, ani Puszkin, ani Lermontow nie mogą stać się walutą wymienną. To czyste złoto.

Te gorzkie uwagi spisuję pod adresem Domu Książki (plan PIW-u przewidywał wyższy nakład, który został obcięty przez Dom Książki) w miesiącu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

b

OSTROŻNIE Z SUPERLATYWEM

Notatnik kulturalny *„Życia Warszawy"* podał przed kilkoma tygodniami wiadomość o wydaniu przez poetę francuskiego, Charlesa Dobrzyńskiego, tomu przekładów poezji Mickiewicza. Informacja interesująca. Polonicum. Niepotrzebnie jednak kronikarz *„Życia Warszawy"* wyznacza rangę temu wydarzeniu. Na niewidziane prawdopodobnie. Publikowane bowiem w swoim czasie w *„Les Lettres Françaises"* przekłady Dobrzyńskiego z Mickiewicza czytaliśmy. Stanowią one zapewne próbkę wydanej obecnie książki. Próbka niezbyt zachęcająca. Nie czuć w tych przekładach nurtu poezji Mickiewiczowskiej. Nie czuć też bezpośredniości, która powinna cechować przekład dokonany z oryginału. Nic dziwnego. Dobrzyński, wbrew polskiemu brzmieniu nazwiska, język polski zna minimalnie.

Każde polonicum warte jest bacznej uwagi, szczególnie polonicum rangi poetyckiej. Dlatego też wydarzenia tego typu należy śledzić ostrożnie. Pamiętamy, przed kilkoma miesiącami, Jarosław Iwaszkiewicz, pisząc w *„Życiu Warszawy"* o książce poświęconej Mickiewiczowi i wydanej przez UNESCO, zwrócił uwagę na zawarte w niej, zaskakujące śmiałością interpretacji, istotnie war-

tościowe przekłady kilku liryków Mickiewicza, dokonane przez Armand Robina. „*Twórczość*“ także poświęciła tym przekładom notatkę. Wiązka pięknych poetyckich interpretacji Robina liryków Mickiewicza istotnie zbliżyła polskiego poetę francuskiemu czytelnikowi. Ze strony francuskiej głosy takie dotarły do nas. Czy książka przekładów Dobrzyńskiego spełni taką funkcję? Nad tym warto zastanowić się przed przyznaniem jej rangi.

z

Książki nadesłane

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Berent Wacław — *DZIEŁA WYBRANE. Fachowiec.* Powieść spółczesna. Tekst według wydania z r. 1895. Wstęp Janusza Wilhelmiego. Tłoczenia na oprawę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 247, 1 nl.

Gomulicki Wiktor — *Miecz i łokieć.* Powieść historyczna. Tekst opracował, wstępem, przypisami i słownikiem opatrzył Juliusz W. Gomulicki. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie IV; str. 434, 2 nl.

— *Wspomnienia niebieskiego mundurka.* Przedmowę napisał Andrzej Kijowski. Okładkę projektowała Maria Czajkowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 291, 3 nl.

Kasprowicz Jan — *Świat się kończy.* Dramat z życia ludu wielkopolskiego w pięciu odsłonach. Opracował Jan Józef Lipski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 118, 2 nl.

Krasicki Ignacy — *Komedie.* Opracował Mieczysław Klimowicz. Wstęp Romana Wołoszyńskiego. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 415, 3 nl.

Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus — *O literaturze.* Wyboru dokonał, posłowiem i przypisami opatrzył Zdzisław Najder. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956 wydanie I; str. 470, 2 nl.

Sienkiewicz Henryk — *Orso. Sachem.* Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 39, 1 nl.

Sieroszewski Wacław — *Na kresach lasów.* Powieść. Wstęp Aliny Brodzkiej. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 217, 3 nl.

Słowacki Juliusz — *Poezje.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 173, 3 nl.

Weyssenhoff Józef — *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.* Posłowie: Janusz Wilhelmi. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 277, 3 nl.

Żeromski Stefan — *DZIEŁA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Henryka Markiewicza. Powieści, tom 3. *Ludzie bezdomni.* Powieść. Ilustracje Krzysztofa Henisza. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 373, 3 nl.

— *PISMA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Tom XXII. Dramaty. 3. *Grzech.* × *Biała rękawiczka.* Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 233, 3 nl.

— *PISMA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Tom XXIII. Dramaty. 4. *Ponad śnieg bielszym się stanę.* × *Uciekła mi przepióreczka...* Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 246, 2 nl.

— *PISMA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Tom I. Nowele i opowiadania. 1. *Rozdziobią nas kruki, wrony...* Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 216, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Buonarroti Michał Anioł — *Poezje.* Wybór. Przełożył Leopold Staff. Wybór opracował i wstępem opatrzył Mieczysław Brahmer. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 112, 4 nl.

Conrad Joseph — *Lord Jim.* Opowieść. Przełożyła Aniela Zagórska. Posłowiem opatrzył Jerzy Andrzejewski. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II, str. 474, 2 nl.

— *Wykolejeniec.* Przełożyła Aniela Zagórska. Posłowiem opatrzył Zdzisław Najder. Słownictwo i realia malajskie opracował Robert Stiller. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 390, 2 nl.

Goethe Johann Wolfgang — *Götz von Berlichingen.* Dramat w pięciu aktach. Przełożył Włodzimierz Lewik. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 231, 1 nl.

Gogol Mikołaj — *PISMA WYBRANE.* W czterech tomach. Pod redakcją i ze wstępem Ziemowita Fedeckiego. Tom I. *Opowiadania.* Tłumaczyli: Jerzy Brzęczkowski, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Jerzy Wyszomirski. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 432, 4 nl.

Lermontow Michał — *Wybór poezji.* Tom I. *Liryki.* Tom II. *Poematy.* Wstępem poprzedził Zbigniew Bieńkowski. Przypisy opracował Jan Śpiewak. Okładkę projektował Czesław Bieniek. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I, str. 414, 2 nl; tom II, str. 309, 3 nl.

Raabe Wilhelm — *Kronika Wróblego Zaułka.* Przełożyła Maria Kurecka. Ilustrował Otto Axer. Okładkę i stronę tytułową projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 207, 1 nl.

Schulz Fryderyk — *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793.* Przełożył Józef Ignacy Kraszewski. Z oryginałem sprawdził, wstępem i przypisami opatrzył Wacław Zawadzki. Wyboru ilustracji dokonali: Eugeniusz Szwankowski i Wacław Zawadzki. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 367, 1 nl.

Stendhal (Henri Beyle) — *Lucjan Leuwen.* Tom I i II. Przełożył Julian Rogoziński. Przypisy Cecylii Brad. Rysunki na okładce Ewy Frysztak-Lubelskiej. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I, str. 400; tom II, str. 439, 1 nl.

Szekspir William — *Otello.* Przełożyła Krystyna Berwińska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 222, 2 nl.

Wells H. G. — *Tono-Bungay.* Tłumaczył Bronisław Zieliński. Przedmową opatrzył Stanisław Helsztyński. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 423, 1 nl.

Verga Giovanni — *Mastro-don Gesualdo.* Tłumaczyła Barbara Sieroszewska. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 421, 1 nl.

Poezja, dramat

Brandstaetter Roman — *Król Stanisław August.* Dramat w 3 aktach. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 67, 1 nl.

Chróścielewski Tadeusz — *Najmilsze strony.* Okładkę projektował Tadeusz Babicz. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 58, 2 nl.

Czapek Karol — *Dramaty.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 342, 2 nl.

Dąbrowski Stanisław — *Jedyna miłość.* Okładkę projektował Tadeusz Babicz. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 89, 1 nl.

Gruszczyński Krzysztof — *Klucz od przepaści.* Dramat w dwóch aktach. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 75, 1 nl.

Kuśniewicz Andrzej — *Słowa o nienawiści.* Okładkę projektował Kajetan Sosnowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 61, 3 nl.

Piętak Stanisław — *Wybór poezji.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 203, 1 nl.

Sędzicki Franciszek — *Jestem Kaszubą.* Wybór utworów. Okładkę, karty tytułowe i przerywniki projektował Waldemar Żaczek. Wybór przygotował, wstępem, uwagami o pisowni i słownikiem opatrzył oraz korektę przejrzał Leon Roppel. Melodie do pieśni zebrał i opracował Władysław Kirstein. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 367, 1 nl.

Smólski Władysław — *Zaczarowana gospoda.* Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 353, 3 nl.

Ziemny Aleksander — *Teraz i zawsze.* Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 60, 4 nl.

Proza

Andrzejewski Jerzy — *Książka dla Marcina.* Ilustrowała Olga Siemaszkowa. Okładkę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 107, 1 nl.

Awdiejenko A. — *Nad Cisą.* Tłumaczył z rosyjskiego N. Stanisławski. Okładkę projektował M. Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 241, 3 nl.

Banaś Sylwester — *W rodzinie starego Balcerzaka.* Okładkę projektowała Jadwiga Cybulska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 70, 2 nl.

Bartelski Lesław M. — *Jonasz.* Opowiadania. Okładkę projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 161, 3 nl.

Bek Aleksander — *Szosa wołokołamska.* Przełożył Stefan Klonowski. Okładkę i stronę tytułową projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie VIII; str. 333, 1 nl.

Boguszewska Helena i Kornacki Jerzy — *Pisma wybrane.* Tom I i II. Wyboru dokonał Hieronim Michalski. Obwolutę i tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; tom I, str. 703, 1 nl; tom II, str. 761, 3 nl.

Boruń Krzysztof i Trepka Andrzej — *Proxima.* Powieść fantastyczna. Okładka, ilustracje i opracowanie graficzne Bohdana Bocianowskiego. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 595, 5 nl.

Boyer François — *Podniebny dworzec.* Tłumaczyła Hanna Olędzka. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 249, 3 nl.

Burek Wincenty — *Siwy Kaźmirz i insi.* Okładkę, kartę tytułową i rysunki wykonał Jan Młodożeniec. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 288, 4 nl.

Dąbrowska Maria — *Uśmiech dzieciństwa.* Okładka i ilustracje Jerzego Jaworowskiego. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 126, 2 nl.

Dobraczyński Jan — *Najeźdźcy.* Obwolutę i okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 757, 3 nl.

Dodd Marta — *Ci co sieją wiatr.* Tłumaczył z angielskiego Józef Brodzki. Okładkę i kartę tytułową projektował Konstanty Sopoćko. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 443, 5 nl.

Feuchtwanger Lion — *Samozwańczy Neron.* Tłumaczył Jan Barski. Tłoczenia i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie II; str. 352, 4 nl.

Fiedler Arkady — *Dywizjon 303.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie VIII; str. 130, 6 nl.

Frison-Roche Roger — *Pierwszy na linie.* Tłumaczył Piotr Krupa. Okładkę projektowała T. Stankiewicz-Chamielec. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 347, 1 nl.

Glaus Jerzy — *Lelek woła o zmroku.* Okładkę projektował Włodzimierz Lewiński. Ilustracje projektowała Maria Radwanowicz. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 238, 2 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Opowiadania.* Obwolutę i tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski, Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 289, 3 nl.

Gorbatow Borys — *Moje pokolenie.* Przełożył Kazimierz Truchanowski. Ilustrował Stefan Styczyński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 409, 7 nl.

Granin Danił — *Poszukiwacze.* Przełożyła z rosyjskiego Zofia Kaczorowska. Okładkę projektowała Jadwiga Cybulska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I, str. 267, 1 nl.; tom II, str. 294, 2 nl.

Hołuj Tadeusz — *Marzenia.* Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 193, 3 nl.

Kawerin W. *Dwaj kapitanowie.* Tłumaczyła z rosyjskiego Melania Kierczyńska. Okładkę i kartę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie IV; tom I, str. 422, 2 nl; tom II, str. 342, 6 nl.

Kedros André — *Nowy kwiat.* Tłumaczyła Małgorzata Hołyńska. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 246, 2 nl.

Knothe Jan — *A tu jest Warszawa.* Ilustrował Jan Knothe. Okładkę opracował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956, str. 337, 3 nl.

Kowalska Anna — *Astrea.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 264, 4 nl.

Kostecki Tadeusz — *Kilka nocnych godzin.* Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 204, 4 nl.

Leonhard Rudolf — *Śmierć Donkiszota.* Tłumaczył Aleksander Wat. Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował Ignacy Witz. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 315, 5 nl.

London Jack — *Nowele.* Tom I i II. Wybór opracował Kazimierz Piotrowski. Przełożyli: Agnieszka Glinczanka, Zygmunt Glinka, Gabriel Karski, Kazimierz Piotrowski, Bronisław Zieliński. Okładkę projektował Jan Samuel Miklaszewski. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie II; tom I, str. 190, 2 nl; tom II, str. 213, 3 nl.

Lovell Jerzy — *Są takie dzielnice.* Reportaże. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 246, 2 nl.

Łopalewski Tadeusz — *Wolni strzelcy.* Powieść z lat siedemdziesiątych. Okładkę projektował Włodzimierz Stankiewicz. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 401, 1 nl.

Malewska Hanna — *Żelazna korona.* Tom I. *Imperator.* Tom II. *Wiek klęski.* Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; tom I, str. 284, 2 nl; tom II, str. 305, 1 nl.

Mrożek Sławomir — *Maleńkie lato.* Ilustracje i okładka Ryszarda Twardocha. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 286, 2 nl.

Nawrocka Barbara — *Dwie miłości.* Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 237, 3 nl.

Nelson Steve — *Trzynasty sędzia.* Prawdziwe oblicze mego procesu. Tłumaczyli: A. Trzecieska i O. Missuna. Przedmowę napisał Julian Stawiński. Z oryginałem porównał Jerzy Herbst. Okładkę projektował Wojciech Węzeł. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 365, 3 nl.

Orzeł Stanisław — *Chmurne lata.* Okładkę projektowała Zofia Kryńska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 296, 4 nl.

Ostrowska Róża — *Premiera.* Okładkę projektował Andrzej Kowalski. Ilustracje: Alina Klimczak. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 253, 3 nl.

Ożóg Jan Bolesław — *Ścigani.* Okładkę projektowała Maria Czajkowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 150, 2 nl.

Paustowski Konstanty — *Burzliwa młodość.* Tłumaczył Jerzy Jędrzejewicz. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 339, 1 nl.

Piętak Stanisław — *Ciężkie lato.* Okładkę projektował Tadeusz Grabiański. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 114, 2 nl.

Pietrzak Włodzimierz — *Lot jaskółek.* Okładkę projektowała Teresa Stankiewicz-Chamiec. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 269, 3 nl.

Promiński Marian — *Salamandra.* Okładkę projektował Witold Skulicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 259, 3 nl.

Prorok Leszek — *Magnetyzm serca.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 189, 3 nl.

Pruszyński Ksawery — *Opowieść o Mickiewiczu.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 309, 3 nl.

Rembek Stanisław — *Wyrok na Franciszka Kłosa.* Powieść. Okładkę projektowała T. Chamiec-Stankiewicz, Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II poprawione przez autora; str. 221, 3 nl.

Romanowiczowa Zofia — *Baśka i Barbara.* Okładkę projektował art. graf. Szomański Władysław. Paris, Libella, 1956; 223, 1 nl.

Ruth - Buczkowski Marian — *Wielkie marzenia.* Okładkę, kartę tytułową i kontrtytuł projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 183, 1 nl.

Sar Adam — *Dzień powszedni.* Okładkę projektowała Salomea Krassowska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 170, 2 nl.

Segal Kalman — *Ziemia jest dla wszystkich.* Okładkę i ilustracje projektował Marek Oberländer. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 193, 1 nl.

Smirnow S. — *Stalingrad nad Dnieprem.* Z rosyjskiego tłumaczył A. Czyż. Okładkę i kartę tytułową projektował M. Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 274, 2 nl.

Sowiński Adolf — *Lata szkolne.* Opowieść o Stefanie Żeromskim. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 393, 3 nl.

Szewczyk Wilhelm — *Klara Krause i inne opowiadania.* Okładkę projektował Ryszard Twardoch. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 213, 3 nl.

Szirwanzade Aleksander — *Chaos.* Tłumaczył Józef Brodzki. Okładkę, kartę tytułową i inicjały projektował M. Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 423, 1 nl.

Warneńska Monika — *Dziewczyna z książką.* Okładkę i rysunki projektowała Jadwiga Cybulska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 138, 2 nl.

Wiktor Jan — *Burek.* Okładkę i przerywniki projektowała Hanna Balicka. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 253, 1 nl.

Vercors — *Milczenie morza i inne opowiadania.* Przełożyli: Wacław Rogowicz, Gabriel Karski, Jan Błoński, Joanna Guze, Wiera i Zbigniew Bieńkowscy. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Jan Błoński. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 256, 2 nl.

— *Oczy i światło.* Misterium na sześć głosów. Tłumaczyli Wiera i Zbigniew Bieńkowscy. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 222, 2 nl.

W najbliższych numerach ukażą się:

Edward Bagricki

NOWE PRZEKŁADY

Lion Feuchtwanger

ODYSEUSZ I WIEPRZE

Marek Hłasko

ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA

Rainer Maria Rilke

NOWE PRZEKŁADY

Aleksander Wat

WIERSZE

Cena zł 7.–